

DEBORAH HALE

**Pigmalion
w spódnicy**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szpital Wojskowy Bramleigh, 1812 rok.

To miejsce było przesiąknięte zapachem mężczyzn.

Leonora Freemantle odnosiła wrażenie, że nozdrza jej drgają, a wszystkie mięśnie tężeją - niczym u zająca czy łani wietrzącej drapieznika. Nie rozglądając się na boki, szła zdecydowanym krokiem za siostrą przełożoną. Mimo to, kiedy mijała łóżka rekonwalescentów, czuła na sobie ich ukradkowe spojrzania, słyszała rzucane półgłosem uwagi.

- Przełożona znalazła sobie nowego dragona, chłopcy.
- Skwaszona, jakby po całych dniachssała cytrynę, co?
- Kubek w kubek podobna do mojego sierżanta od musztry

Przez całą drogę wzdłuż sali ściagały ją podobnie drwiące komentarze. Leonora uniosła wysoko głowę i dumnie wyprostowała plecy, zwalczając w sobie pokusę, by poprawić okulary i mały, sztywny kapelusz budkę. Ci żołnierze mogliby wziąć taki gest za oznakę słabości. Mogliby pomyśleć, że przejmuje się ich opiniami. O, nie. Za żadne skarby nie zamierzała dać im takiej satysfakcji.

Nie mogła jednak zgasić ognistego rumieńca palącego jej policzki. Jak długo ci mężczyźni byli pozbawieni towarzystwa kobiet? A mimo to uważali, że jest śmieszna i nieatrakcyjna.

Przynajmniej szczerze wyrażali swoje uczucia. Szczerłość zaś to rzadka cecha u mężczyzn - tego nauczyły Leonorę gorzkie doświadczenia.

Przełożona weszła do niewielkiej sali przeznaczonej na świetlicę i bez wahania skierowała się ku grupce mężczyzn przycupniętych w kącie. Leonorę dobiegł stukot kości toczo-nych po twardej, drewnianej podłodze. A chwilę później - gło-ny okrzyk i potok przekleństw.

- Znów ci się udało, Archer! - oznajmił jeden z żołnierzy tonem pełnym zawistnego podziwu. - Niech mnie diabli, jeśli widział kiedyś większego szczęściarza.

Na dźwięk tego nazwiska Leonora nadstawiła ucha. Jeżeli to był sierżant Archer, z którym przyjechała się zobaczyć, fakt. że lubił hazard, zwiększał szanse powodzenia jej misji.

Gracz zagarnął kości wprawnym, pewnym ruchem.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego - odparł, osładza-jąc słowa ciepłym uśmiechem. - To talent, mój chłopcze, po prostu zręczność i talent.

- Sierżancie Archer! - Przełożona rzuciła się na żołnierzy niczym jastrzęb na stadko kurcząt. - Ile razy mam wam powta-rzać?! Żadnego hazardu w tym szpitalu!

Archer wstał i wówczas Leonora ujrzała, jak wysoki i gibki jest ten sierżant Brygady Strzelców. Przez jego twarz przebiegł grymas, jakby ruch sprawił mu ból. Ale już chwilę później rysy złagodniały w urzekającym uśmiechu, którym hojnie obdarował przełożoną.

Na ten widok serce Leonory, zdeklarowanej przeciwniczki mężczyzn, zaczęło bić gwałtownie, wprawiając ją w dziwny niepokój. Nic w listach kuzyna Wesleya nie przygotowało jej na podobny widok.

Przezań natychmiast! - nakazała sobie w duchu. W tej chwili skończ z tymi bzdurami!

Jednak jej zdradzieckie ciało nie chciało się poddać rozumo-wi. Oddech stał się szybszy.

Czemu sam widok tego mężczyzny tak bardzo ją poruszył?

Leonora obserwowała, jak Archer uśmiechem rozbraja przełożoną i wprawia ją w pogodny nastrój. Miała nadzieję, że chłodne, intelektualne analizowanie problemu pozwoli jej zap*mywać* nad emocjami.

Dlaczego akurat on? Przecież widziała w życiu wielu przystojniejszych mężczyzn - przynajmniej wedle standardów obowiązującej mody. Mężczyzn o gładkiej, mdłej urodzie i bardziej proporcjonalnych rysach.

Tymczasem w twarzy Archera nie było nic banalnego. Rysy miał wyjątkowo wyraziste. Nos i podbródek wyglądały jak wykute ze złocistobrazowego granitu. Szerokie usta były pełne ekspresji, podczas gdy ciemne oczy patrzyły z prowokacyjną przenikliwością.

U człowieka o mniej uderzających rysach gęste, czarne brwi wyglądałyby przytłaczająco. Natomiast u sierżanta Morse'a Archera idealnie harmonizowały z całością, dodając twarzy frapującego uroku.

- A co my tu mamy? - Zwrócił swój hipnotyczny wzrok na Leonorę, unosząc przy tym nieznacznie brew.

Zauważyła natychmiast, że kolor jego oczu - z domieszką zieleni, brązu i złota - jest niezwykle. Nagle po raz pierwszy w życiu zapragnęła być piękną kobietą. Chociaż zdawała sobie sprawę, że to szczyt płochości i głupoty, czuła, że bardzo chciałaby mu się podobać.

Przełożona odpowiedziała na jego pytanie.

- Macie gości, sierżancie Archer, i zachowujcie się jak należy.

Wystarczyło jedno stanowcze spojrzenie Archera i kompani od kości natychmiast zniknęli. Przełożona stanęła na straży przy drzwiach. Czy zamierzała strzec prywatności ich rozmowy, czy też pełnić rolę przyzwoitki? Leonora nie umiała zdecydować.

- Czego piękna dama może chcieć od takiego prostego żoł-

nierza? - zapytał Archer, gdy tylko zostali sami. Miał głęboki, ciepły głos przywodzący na myśl długo leżakowaną brandy. Swoje słowa znów okraślił zniewalającym uśmiechem.

Leonorę tymczasem ogarnął gniew. „Piękna dama”? Co za łgarz! Czy ten cyniczny bałamut naprawdę sądził, że da się zwieść jego kłamliwym pochlebstwom? Gdy zdejmowała rękawiczkę, ledwo się powstrzymała, by nie zdzielić nią Archcra w twarz. W porę przypomniała sobie jednak, jak bardzo potrzebuje jego pomocy, powstrzymała więc gniew i wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Nazywam się Leonora Freemantle. Jak mi się zdaje, poznał pan już mojego wuja, sir Hugona Peverilla. Przybyłam tu, by złożyć panu pewną propozycję.

Natychmiast zauważyła, że jej słowa wyprowadziły go i równowagi, chociaż bardzo się starał to ukryć. Szerokie brwi ściągnęły się gwałtownie, a twarz pociemniała niczym letnie niebo tuż przed burzą. Gdy się odezwał, w jego głębokim głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

- Proszę odejść, panno Freemantle. Nie jestem zainteresowany pani propozycją.

Zamierzał błyskawicznie obrócić się na pięcie, ale zraniona noga odmówiła posłuszeństwa. Zachwiał się, a marsowa mina ustąpiła miejsca grymasowi bólu.

Odruchowo, bez zastanowienia, Leonora wyciągnęła rękę, by go podtrzymać. Rękawy szorstkiej, lnianej koszuli miał zrolowane ponad łokcie. Gdy chwyciła opalone ramię, natychmiast poczuła siłę jego mięśni, zniewalające gorąco nagiej skóry i prowokacyjną miękkość ciemnych, pokrywających ramię włosów.

Fala dziwnej energii przepłynęła przez jej ciało - ruszyła od czubków palców przez nadgarstek do ramienia, szyi, a potem do piersi i jeszcze dalej - aż do brzucha.

Leonora natychmiast znieawidziła to uczucie.

Jak ten irytujący osobnik śmie zachowywać się w podobnie prowokując) sposób? Odprawił ją, nawet nie wysłuchawszy słowa z tego, co miała mu do powiedzenia. Już dawno Leonora poprzysięgła sobie, że nigdy nie będzie ulegać kaprysom mężczyzn. I w żadnym razie nie zamierzała złamać danego sobie słowa właśnie teraz. Szczególnie że gra toczyła się o jej życie i o jej przyszłość.

Kiedy próbował wyszarpnąć ramię, jeszcze mocniej zacisnęła dłoń.

- Puszczę pana, jeżeli zgodzi się pan mnie wysłuchać, sierżancie Archer.

Na jego ekspresywnej twarzy pojawiała się niechęć, walczyła o lepsze z rozbawieniem. W korku rozbawienie zwyciężyło.

Uśmiechnął się szelmowsko, błyskając białymi, idealnie równymi zębami.

- W takim razie, jeżeli nie zechcę pani wysłuchać, czeka nas wyjątkowo interesujący dzień.

Leonora znów poczuła piekące rumieńce. Dobrze wiedziała, co Archer powie za chwilę. Sama zdażyła dojść już do podobnych wniosków.

- Nie wspominając o jeszcze bardziej interesującej nocy - dorzucił, wybuchając ciepłym, zaraźliwym śmiechem, zdradzającym wesołe usposobienie.

Leonora gwałtownie puściła jego ramię. W kącikach oczu poczuła łzy rodzące się z bezsilnej furii. Nie pozwoliła jednak, żeby się polały. Czemu wuj Hugo wybrał właśnie tak niezdolnie irytującego człowieka?

Kiedy kuśtykał w stronę drzwi, postanowiła na pożegnanie sięgnąć po miażdżący argument

- Dziwne. Wcześniej nie wzięłabym pana za głupca, sierżancie.

Jej słowa okazały się celne. Archer zawahał się, zatrzymał w pół kroku i ściągnął łopatki, jakby właśnie ktoś potężnie zdzielił go w plecy.

Leonora postanowiła wykorzystać chwilową przewagę.

- W moim mniemaniu jedynie głupiec nie chciałby wysłuchać propozycji, na której może bardzo wiele skorzystać.

Morse Archer, nie odwracając się w jej stronę, odpowiedział, cedząc słowa:

- Propozycje przedstawiane mężczyźnie takiemu jak ja przez kobiety takie jak pani rzadko bywają korzystne. W każdym razie na dalszą metę.

Niewiele brakowało, a z ust Leonory wyrwałby się okrzyk niedowierzania i gniewu. Była pewna, że Morse Archer z zachwytem przyjmie jej ofertę, tymczasem on z miejsca narzucał jej rolę osoby proszącej. A tej roli Leonora szczerze nienawidziła.

To jednak tylko zwielokrotniło jej determinację, by wygrać zakład z wujem Hugonem i na zawsze uwolnić się od perspektywy zwracania się z jakąkolwiek prośbą do jakiegokolwiek mężczyzny.

- Przepraszam, co miało znaczyć określenie „kobieta taka jak pani”, sierżancie Archer?

- Proszę nic udawać! - Odwrócił się ku niej gwałtownie. - Oczywiście dama z pani sfery - oznajmił z wyraźną pogardą w głosie.

Wreszcie powiedział coś, co mogło ją zbliżyć do wyłuszczenia problemu.

- Czy zdziwiłoby pana, gdybym oznajmiła, że równie niewiele robię sobie z pojęcia „sfera” jak i pan?

- A i owszem. Zdziwiłoby mnie bardzo.

Leonora niepewnie zaczerpnęła powietrza i zmusiła się, by wytrzymać na sobie jego przenikliwy wzrok.

- Sądzę, że tym, co oddziela tak zwane wyższe klasy społeczne od tak zwanych klas niższych, jest jedynie wykształcenie.

- Doprawdy? - Założył ramiona na piersi, stając w pozie bez wątpienia mającej wyrażać: „A co mnie do tego?”.

Przynajmniej nie próbował wyjść.

- Właśnie dlatego przyjechałam dziś do pana. Wuj Hugo uważa mnie za dziwaczkę, podobnie zresztą jak większość znanych mi ludzi.

Archer uniósł nieznacznie brew, niewątpliwie w odruchu solidarności ze wspomnianą większością. Leonora natomiast szybko podjęła wątek, bo odniosła wrażenie, że znów zamierza ją odprawić.

- Wuj Hugo nie wierzy, że moja teoria sprawdzi się w praktyce, dlatego zawarł ze mną pewien zakład.

To słowo wzbudziło w Archerze pewne zainteresowanie, Leonora zaczęła więc skwapliwie wyłuszczać założenia planu.

- W ciągu trzech miesięcy mam tak wykształcić prostego żołnierza, by w czasie otwarcia sezonu w Bath wszyscy uznali go za dżentelmena i oficera. Jeżeli mi się powiedzie, wygram zakład, a wuj w nagrodę sfinansuje szkołę dla ubogich dziewcząt, której zostaną przełożoną.

- I to ja mam być tym prostym, niewykształconym żołnierzem, nad którym będzie pani odprawiać swoje czary?

Pytanie zostało zadane niewinnym tonem, jednak lekkie skrzywienie ust wyrażało najczystsze szyderstwo.

- Jeżeli przez „czary” rozumie pan coś łatwego i iluzorycznego, to jest pan w poważnym błędzie, sierzancie. To będą trzy miesiące bardzo ciężkiej pracy dla nas obojga. Wierzę jednak, że rezultat okaże się pożądanym i wart zachodu - także dla pana. Czy podejmie pan ten trud?

- Nie. panno Freemantle. W żadnym razie. - Jego ton i postawa były oczywistą parodią wielkopańskich m;inier. - A teraz

proszę łaskawie opuścić moje towarzystwo. Jak na jedno popołudnie zabrała mi pani aż nadto czasu.

Czy ten człowiek nie był w stanie dostrzec swojej życiowej szansy, nawet gdy miał ją pod nosem? Nie rozumiał, jak szlachetnej sprawie mógłby się przysłużyć?

- Naprawdę jest pan tak całkiem pozbawiony ambicji? Ani trochę nie zainteresowany udoskonaleniem samego siebie?

Archer ruszył w jej stronę niczym rozjuszony byk. Wbrew własnej woli Leonora cofnęła się o krok, a sierżant zatrzymał - tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu na swojej twarzy. A po chwili odezwał się szeptem, jednak tak pełnym tłumionej gwałtowności, że zabrzmiał bardziej onieśmielająco od najgłośniejszego wybuchu.

- Jestem wyjątkowo ambitnym człowiekiem, panno Freemantle, ale to ja wyznaczam sobie standardy. Tak się składa, że całkiem mi odpowiada bycie tym, kim jestem. Dlatego nie interesują mnie pani udoskonalenia i nie chcę, żeby ktokolwiek zmieniał mnie w afektowanego, tępotowego dżentelmena.

Leonora nie ruszyła się z miejsca. Gdzieś w głębi duszy poczuła podziw dla dumy i niezależności Morse'a Archera - podziw, który usilnie starała się zdusić. Pamiętała jednak, ile ma do zyskania... i do stracenia, podjęła więc jeszcze ostatnia, desperacką próbę.

- Bardzo pana proszę, sierżancie. Jeżeli nie chce pan tego zrobić ze względu na własną osobę, niech pan pomyśli o mojej szkole.

- W której będzie pani przemieniać wiejskie dziewczęta w bezużyteczne lalki? Rzeczywiście, bardzo to szczytna idea.

- Nie przypuszczałam, że zdoła pan pojąć moje motywy. Nikt inny też nie jest w stanie ich zrozumieć - odparła Leonora z całą dumą, na jaką mogła się zdobyć.

- Problem w tym, że rozumiem aż za dobrze, panno Free-

mantle. Doskonale wiem, jakie to uczucie, gdy tak zwani lepsi od nas wypychają nam swoją dobroczynność do gardła, po czym oczekują grzecznego, pełnego wdzięczności ukłonu, chociaż człowiek dławi się tą ich dobrocią.

Jego słowa niemal ścięły ją z nóg. Jej szkoła nie będzie przypominać nic z tego, co przed chwilą opisał... a może będzie?

- Nie mówię o dobroczynności, sierzancie.

- Doprawdy, panno Freemantle? - odparł już spokojnie. Jego gniew jakby nagle sam się wypalił. Odwrócił się i powoli pokuśtykał w stronę drzwi.

Przez moment Leonora stała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w jego plecy. Wycieńczona, miała wrażenie, że przeżyła kataklizm. Zbierając w sobie odwagę, by raz jeszcze przedelfilować przez oddział pośród natarczywych spojrzeń i drwiących komentarzy, zastanawiała się jednocześnie, jak wuj zareaguje na podobny rozwój wypadków. Tak bardzo przecież nalegał, by zaangażowali akurat tego człowieka.

No cóż, ostatecznie zrobiła, co mogła, by zwerbować Morse'a Archera. On jednak zdecydowanie odrzucił ofertę. Wuj Hugo będzie więc zmuszony wybrać kogoś innego.

W pewnym sensie szkoda jednak, że tak się stało. Ten sierżant niewątpliwie odznaczał się inteligencją, a w jego wymowie nie było wielu niepożądanych naleciałości. Gdy dodać jeszcze do tego jego niezwykle atrakcyjną prezencję, nietrudno byłoby uczynić z niego dżentelmena - przynajmniej w oczach świata.

Leonora jednak nie mogła się uwolnić od uczucia ulgi. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, to trzy miesiące w towarzystwie mężczyzny takiego jak Morse Archer. Niezwykle uparłego. Wyjątkowo krnąbrnego.

I zniewalająco przystojnego.

Morse odprowadzał wzrokiem opuszczającą oddział Leonorę, całkowicie niepomny porozumiewawczych mrugnięć i kuksańców wymienianych przez żołnierzy. Odwrócił się w stronę okna i patrzył, jak panna wsiada do niewielkiego powozu, po czym rusza w drogę. Chciał mieć absolutną pewność, że opuściła szpital.

A przynajmniej tak sobie wmawiał.

- Jeszcze jedną partyjkę, sierżancie? - spytał młody kapral z regimentu Morse'a z pełnym nadziei uśmiechem. Prawą rękę miał uciętą tuż poniżej łokcia, jednak nauczył się całkiem niezłe rzucać kości lewą dłonią.

Morse pokręcił głową tak, jak mógłby to zrobić starszy brat, dający do zrozumienia, że ma ważniejsze zajęcia niż zabawianie rodzeństwa.

- Słyszeliście, co mówiła przełożona, kapralu Boyer. Żadnego hazardu na terenie szpitala. Już i bez tego mam dość kłopotów z armią. Nic chcę żadnych dodatkowych sądów wojskowych.

Boyer posłał mu niepewny uśmiech i odszedł w drugi koniec sali. Morse po raz pierwszy otwarcie napomknął o komisji dochodzeniowej, chociaż ta sprawa zapewne była dobrze znana rekonwalescentom w Bramleigh.

Bez wątpienia musiał się liczyć z tym, że zostanie zdegradowany i karnie wydalony z wojska. Jego imię okryje niesława. Wraz z myślami o komisji natychmiast pojawiły się wspomnienia żalostnego odwrotu spod Bucaso. I zaraz też odczuł gwałtowniejsze pulsowanie nad kolanem - w miejscu, gdzie jego nogę przeszył francuski bagnet.

W trakcie odwrotu wojsk brytyjskich spod Bucaso.

Przykuśtykał do pryczy i wyciągnął się na całą imponującą długość swojego ciała. Stopy wystawały mu ponad pięć centymetrów poza cienki materac. By uciec od narastającego bólu

i równie przykrych wspomnień ostatniej wojennej potyczki, zwrócił myśli ku Leonorze Freemantle.

Cóż za irytująca kobieta! Wkroczyła tu niczym dobra wróżka w dniu Bożego Narodzenia i zaproponowała, że zmieni go w dżentelmena. Zanim jeszcze otworzyła usta, dojrzał w niej coś nieodparcie pociągającego. Tyle że teraz za diabła nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

Nie miała wiele wspólnego z kobietami, które zazwyczaj mu się podobały. Przede wszystkim była zbyt chuda jak na jego gust. Rzadko zdarzało mu się zwracać uwagę na kobiece stroje, ale jej suknia była tak brzydka, że nawet jemu nie udało się tego nie zauważyć. Zawsze natomiast przykuwały jego wzrok włosy kobiet, tymczasem panna Freemantle ściągnęła je tak surowo i tak ciasno wepchnęła pod mały kapelusz budkę, że nawet nie spostrzegł ich koloru. Niewykluczone, że spodobały mu się jej oczy - może ich barwa czy niezwykła przejrzystość - jednak małe, wciśnięte głęboko na nos binokle odbierały im wiele ewentualnego uroku.

A więc, ogólnie rzecz biorąc, sztywna stara panna - na dodatek sawantka.

Nie to jednak wzbudziło gwałtowną niechęć Morse'a. Sprawiał to jej głos.

Od kiedy wstąpił do wojska - gdy pełnił służbę w Indiach i Hiszpanii - rzadko miał okazję rozmawiać z angielskimi damami. W szpitalu Bramleigh była tylko jedna kobieta - o ile można było podobną istotę określić tym mianem - przełożona, ten stary gargulec. Mówiła jednak z tak silnym kornwalijskim akcentem, że niekiedy Morse nie był w stanie jej zrozumieć i nic w jej chropawym, niskim głosie nie wzbudzało bolesnych wspomnień. Czego, niestety, nie mógł powiedzieć o głosie Leonory Freemantle.

Co gorsza, gdy tylko się odezwała, wspomniwała o propozycji.

Fakt - była to zupełnie inna propozycja od tej, jaką swego czasu złożyła mu lady Pamela Granville. Słowo to jednak wzbudziło natychmiast dawne, bolesne emocje i sprawiło, że odrzucił ofertę panny Freemantle, jeszcze zanim ją usłyszał. Natomiast teraz, gdy w nodze pulsował mu nieznośny ból i kiedy próbował się odciąć od nieustannego zgiełku panującego na oddziale, Morse zaczął się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie zachował się jak ostatni głupiec.

Tym bardziej że nie otwierało się przed nim wiele możliwości. Nie mógł liczyć na dłuższy pobyt w Bramleigh, bo groźba amputacji została już zażegnana i w zasadzie mógł stapać na obu nogach, choć wciąż jeszcze niepewnie. Nawet gdyby komisja dochodzeniowa nie usunęła go karnie z wojska, w tym stanie nie mógł już parać się żołnierką. Lekarze wierzyli, że z czasem noga wróci do pełnej sprawności. Zanim to jednak nastąpi, i tak nie zdoła podjąć żadnej z prac dostępnych dla niego przy jego ograniczonym wykształceniu.

Z ponurych rozmyślań wyrwał go dźwięk gongu wzywającego na obiad. Z głębokim westchnieniem zwał się z przy- czy i poszedł za zmierzającymi w stronę jadalni. Tam bez entuzjazmu zabrał się za wodnisty, letni gulasz. Do Morse'a, jak zwykle, dosiadł się Boyer i inni chłopcy z jego pułku. W taki czy inny sposób wszyscy byli ofiarami odwrotu spod Bucaso.

I to tymi, którym mimo wszystko dopisało wyjątkowe szczęście.

- Pana towarzyszka nie zabawiła długo, sierzancie. - Za niewinną uwagą Boyera kryło się pytanie. - Nie bardzo w pana typie, prawda?

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Podboje miłosne sierzanta napawały dumą jego podwładnych. Wiedzieli, że gustuje w ładnych, pulchnych, pełnych temperamentu bar-

mankach. Wiedzieli też, że sierżant nie musiał się nigdy wysilać, by przyciągnąć uwagę kobiet.

Nie podnosząc głowy znad talerza, Morse ukrócił ich wesołość jednym cicho wypowiedzianym zdaniem.

- Ta dama jest kuzynką porucznika Peverilla.

Wśród żołnierzy rozległo się ciche „och”, zabarwione żalem i w pewnym stopniu - poczuciem wstydu. Poległy porucznik Wesley Peverill cieszył się powszechnym szacunkiem swoich podkomendnych. A na pewno nikt nie považał go bardziej od jego sierżanta - Morse'a Archera.

Właśnie w tym momencie Morse zdał sobie sprawę z tego, co go urzekło w pannie Freemantle, zanim otworzyła usta: jej podobieństwo do kuzyna. Porucznik Peverill był niskim, szczupłym mężczyzną, sprawiającym wrażenie delikatnego, słabego człowieka. Było to jednak wrażenie bardzo złudne, bo pod drobną postacią kryła się przebiegłość węża, nieustępliwość borsuka i męstwo lwa. Morse Archer był pewien, że do końca swoich dni nie odżałuje bezsensownej śmierci porucznika.

W pannie Freemantle dostrzegł coś z bystrej inteligencji i nieugiętości swego dowódcy. Przypomniał sobie, jak stała przed nim z podniesioną głową i atakowała go w każdy możliwy sposób. A kiedy natarł na nią pełen wściekłości, nawet nie mrugnęła. Nie wierzył jej, gdy powiedziała, że pojęcie klas społecznych nic dla niej nie znaczy. Teraz, gdy w pełni uświadomił sobie jej pokrewieństwo z porucznikiem, musiał przyznać, że nie miał racji.

- Przyjechała, żeby panu podziękować, sierżancie? - odezwał się znowu Boyer.

Morse skinął głową.

- Coś w tym rodzaju.

Żołnierze Archera wiedzieli, że sir Hugo Peverill odwiedził sierżanta tuż po tym, jak przetransportowano ich do Bramleigh.

Przyszedł podziękować Morse'owi, że z narażeniem życia uratował porucznika od niechybnej śmierci na polu walki. Niestety, rany młodego człowieka okazały się zbyt poważne, by zdołał przeżyć. Jednak jego pogrążony w żałobie ojciec miał choć tę drobną pociechę, że syn zmarł i został pochowany w swojej rodzinnej posiadłości w Anglii, a nie w jakimś płytkim, bezimiennym grobie w Portugalii.

Sir Hugo zaoferował Morse'owi pieniądze, pracę czy cokolwiek innego, o co tylko poprosi. Morse jednak odrzucił jego propozycję - i to w dość szorstki sposób. Nie był dumny ze swoich działań w czasie odwrotu. Jego desperacka szarża na francuskie bagnety okazała się spóźniona i przeprowadzona zbyt skąpymi siłami. Gdyby przyjął za to nagrodę, poczułby się jeszcze bardziej winny.

Najwyraźniej jednak przebiegły, stary lis nie zamierzał pogodzić się z odmową. I stąd ten pozorowany zakład z siostrzenicą, aż nazbyt przejrzysty w swej wymowie. Morse nie podejrzewał, by Leonora Freemantle wiedziała, że to fortel. Gdyby nie była przekonana, że to najprawdziwszy układ, nie walczyłaby o wygraną z taką pasją.

Żując kawałek twardej skórki chleba, Morse zaczął sobie wyobrażać, jakimi frykasami mógłby się rozkoszować w posiadłości sir Hugona, w Laurelwood. Kiedy w Portugalii racje żywnościowe stały się bardzo skąpe, porucznik Peverill często rozwodził się z sentymentem nad zawartością ojcowskiej spiżarni oraz wybitnymi talentami personelu kuchennego. Morse przypomniał sobie jeszcze więcej z tych opowieści, gdy tuż po obiedzie, przepełniony dziwnym niepokojem, zaczął snuć się bez celu po oddziale.

Owej nocy śnił o wspaniałym, puchowym łożu z pościelą pachnącą słońcem i koniczyną. A także o wesołym ogniu trzaskającym w kominku. I o tłustej, pieczonej gęsi ustawionej na

nocnym stoliku, o jej soczystym mięsie, z brązową chrupiącą skórką i pysznymi dodatkami. Gdy się obudził, ślina niemal ciekła mu z ust.

Bez wątpienia Laurelwood byłoby luksusową kwaterą na najbliższe trzy miesiące - tym bardziej że do tego czasu noga zapewne wygoiłaby się na dobre. Dach nad głową, posiłki, jakich nie jadał od lat. A w zamian musiałby jedynie poddawać się naukom tej sawantki, siostrzenicy sir Hugona. I nagle, o dziwo, zatęsknił za podobnym życiem.

Teraz jednak było już za późno.

Panna Freemantle zapewne już zaangażowała kogoś bardziej skorego do współpracy. Bystrego chłopaka, którego nie zaślepiła fałszywa duma i bolesne wspomnienia.

Morse przypomniał sobie zrzędlive napominania własnego ojca: „Kiedy człek nic nie ma w życiu, nie stać go na dumę, synu”.

Przypomniał sobie również gorzką elegię, jaką wymamrotał nad bezimiennym grobem rodziców. „Jeżeli człowiek nie ma nic w życiu, jedyną rzeczą, na jaką może sobie pozwolić, jest właśnie duma”.

Morse Archer z żalem potrząsnął głową. Pewnego dnia ta źle pojęta duma wpędzi go w tarapaty.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Wyrzuć to wreszcie z siebie, Leonoro. Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności, moja droga. - Sir Hugo Peverill oderwał się od pieczonej gęsi i spojrzał na Leonorę z pełnym nadziei błyskiem w oku. - Kiedy się tutaj zjawi?

Leonora skoncentrowała się na jedzeniu, żeby odwlec odpowiedź. Rzeczywiście była głodna. Prawie cały dzień spędziła w zimnym powozie, a w drodze powrotnej rozgrzewało ją jedynie poczucie słusznego oburzenia.

- No słucham? Kiedy?

Leonora wciąż się wahała. Nie była tchórzem. Kuzyn Wesley często twierdził, że ma więcej odwagi od połowych oficerów, jeżeli z takim samozaparciem opiera się konwenansom i odrzuca zamażpójście, by poświęcić się prowadzeniu szkoły.

Czym innym było jednak odrzucenie konwenansów, a czym innym opieranie się wujowi, szczególnie gdy sir Hugo wbił sobie do głowy jakiś pomysł. Leonora często porównywała w myślach męża swojej zmarłej ciotki do dyliżansu pocztowego - pędzącego wprost do miejsca przeznaczenia, nie zatrzymującego się na rogatkach, nie znoszącego żadnych opóźnień czy objazdów.

Wujowi nie spodoba się to, co miała mu do powiedzenia. Nie było jednak sensu odwlekać nieuniknionego.

- On nic przyjedzie, wuju. - Chociaż wypowiedziała te słowa beznamiętnym tonem, już się przygotowywała na nieuchronny wybuch. - Będziemy musieli znaleźć kogoś innego. Jestem

pewna, że nie brakuje wokół rozsądnych mężczyzn, umiających dostrzec wielką życiową szansę, gdy im się ją podsuwa pod nos. Nieprawdaż wuju?

- Nie przyjedzie?! Bzdura! Brednie! - Okazałe, siwe bokobrody sir Hugona zjeżyły się wojowniczo, a wydatny, rzymski nos ostro przeciął powietrze. - Oczywiście, że przyjedzie.

Leonora była niemal pewna, że wuj dorzuci za chwilę: „Tyle że sierżant Archer jeszcze o tym nic wie”.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, wuju. Odmówił bardzo stanowczo. Musiałam się wyjątkowo natrudzić, żeby w ogóle zechciał mnie wysłuchać. Kiedy w końcu udało mi się przedstawić szczegóły naszego planu, zarzucił mi, że próbuję na siłę nakarmić go litościwą dobrocią. Szkoda, że tego nie słyszałaś.

- W takim razie musiałaś się zabrać do rzeczy w niewłaściwy sposób. - W zaskakująco jasnych, niebieskich oczach sir Hugona pojawiły się lodowate błyski, w wielu ludziach wzbudzające przerażenie. - Wiedziałem, że powinienem pojechać tam z tobą. Jesteś bystrą panną, ale nie pojmujesz istoty męskiej dumy.

Leonora odsunęła talerz. Nagle całkowicie straciła apetyt. Miała ochotę przypomnieć wujowi, że widziała, jak fortuna jej rodziny niknie w oczach właśnie w imię zaspokajania męskiej dumy. Jednak gdy zauważyła, z jaką determinacją szczęki wuja zuciskają się na placku, postanowiła nie wdawać się w otwartą sprzeczkę.

Pomimo swoich despotycznych zapędów i ekscentrycznych zachcianek sir Hugo był w gruncie rzeczy człowiekiem wielkiego serca. Chociaż z Leonora łączyła go jedynie daleka koligacja przez małżeństwo, był dla niej o wiele lepszym ojcem niż którykolwiek z mężczyzn poślubionych przez jej matkę.

- Nic ekscytuj się tak bardzo, wuju - uspokajającym tonem

powiedziała Leonora. - Czy nie możemy znaleźć kogoś innego? Uważam, że sierżant Archer nie zgodzi się na naszą propozycję, bez względu na to, kto go o to poprosi i co będzie skłonny zaoferować w zamian. To nieznośnie uparty osobnik.

- Uparty?! - Sir Hugo zaczął wymachiwać nożem do chleba niczym szpadą. - Nonsens! Chciałaś powiedzieć, że to reżym śmiałek. Bo takim właśnie trzeba być człowiekiem, by wbrew rozkazom rzucić się na francuskie bagnety i wynieść Wesleya z pola walki.

Leonora bez trudu mogła sobie wyobrazić Morse'a Archera odpierającego atak całego francuskiego batalionu. Nie dziwiło ją też, że bez mrugnięcia zlekceważył rozkazy. Trudno natomiast było jej uwierzyć, że zrobił to wszystko dla innego człowieka.

Juz dawno pogodziła się z faktem, że ludzie są z natury istotami egoistycznymi. Sierżant Archer wydawał się mężczyzną umiającym bardzo dobrze zadbać o własne interesy. Próbowwała odwołać się do jego poczucia altruizmu, wspominając o szkole. On tymczasem odrzucił jej propozycję w wysoce obraźliwy sposób, wygłaszając przy tym kolejną tyradę na temat niechcianej dobroczynności.

Nagle na Leonorę spłynęło olśnienie.

- O to chodzi w tym całym zakładzie, czyż nie. wuju? Wcale nie o mnie i o moją szkołę. Wykorzystujesz ją jedynie jako pretekst, by odwdziżyć się sierżantowi Archerowi.

- Banialuki! Pretekst? Odwdziżenie? Bzdura! W żadnym razie! - Sir Hugo pociągnął spory łyk wina. unikając jednak wzroku siostrzenicy.

- Nie chciał przyjąć twojej pomocy, gdy zaoferowałaś mu ją wprost - naciskała Leonora. - Wpadłeś więc na pomysł tego zakładu. Powinieneś być ze mną szczerzy, wuju.

Na rumianej twarzy sir Hugona pojawił się wyraz ulgi. Po-

nieważ z natury był prostolinijnym człowiekiem, nie sprawiało mu przyjemności zwodzenie siostrzenicy.

- Nie zaprzeczam, że był to jeden z motywów. Nie żywiłem wiele nadziei na szczęśliwy powrót Wesa. Nawet nie wiesz, jak wiele dla mnie znaczy, że miałem go przy sobie w ostatnich godzinach jego życia. Zrobiłbym bardzo dużo, by odwdziżyć się Archerowi za to, że mi to umożliwił.

Zakończył głębokim westchnieniem, wstrząsającym całą jego potężną postacią.

- Nie podoba mi się, że tak mną manipulowałaś, wuju - napomniała go delikatnie, bardziej ze smutkiem niż gniewem w głosie. - Sądziłam, że traktujesz nasz zakład poważnie.

- Oczywiście, moja droga. Skąd przyszło ci do głowy, że jest inaczej? Traktuję nasz zakład najpoważniej pod słońcem. - Posłał jej pełne czułości spojrzenie. - Chcę cię widzieć szczęśliwą, z dobrym mężem u boku i gromadką żwawego drobiazgu, który mógłbym rozpieszczać i psuć do woli.

- Wuju! - Leonora nie umiała ukryć goryczy. - Omawialiśmy już tę sprawę co najmniej sto razy. Dobrze wiesz, że nie byłabym szczęśliwa w małżeństwie, tak samo jak Wesley nie byłby szczęśliwy, gdyby pozostał cywilem.

Zakryła dłonią usta, ale było już za późno. Za nic w świecie nie zamierzała przysparzać wujowi dodatkowego cierpienia.

Wuj posłał jej długie, znaczące spojrzenie.

- A jak bardzo, według ciebie, Wes jest szczęśliwy teraz, hę? - zapytał po chwili. - Powiniennem być zadziwiać o wiele energiczniej, by zniechęcić go do wstąpienia do wojska. Dlatego nie zamierzam siedzieć teraz z założonymi rękami, by nie popełnić tego samego błędu wobec ciebie. Nie powinnaś od razu potępiać całego rodzaju męskiego tylko dlatego, że Clarissa wychodziła za każdego szubrawca, który raczył stanąć na jej drodze.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś nie micszał do naszej dyskusji mojej matki i jej mężczyzn - ostro przerwała mu Leonora.

Sir Hugo uniósł ręce w żartobliwym geście poddania.

- Rzeczywiście, nie ma sensu ponownie drażyć tego tematu. Wiedz jedynie, że - skoro nie udało mi się przekonać ciebie do swoich racji w inny sposób - musiałem posunąć się do tego zakładu. Jeżeli wypełnisz jego warunki, sfinansuję szkołę, o której tak marzysz.

- I? - naciskała Leonora.

- I wyznaczę ci taką roczną pensję, że nigdy nie będziesz zmuszona wyjść za mąż - dorzucił zrędliwie.

Na ustach Leonory pojawił się uśmiech szczerego zachwytu.

- Tylko żebyś nie zapomniała o swojej części układu - sir Hugo stuknął palcem w stół.

Uśmiech Leonory zgasł natychmiast, jakby zdmuchnięty powiewem północnego wiatru.

- Na pewno nie zapomnę, wuju.

Jakże mogłaby zapomnieć, gdy w grę wchodziło jej przyszłe szczęście? Przysięgła przecież, że jeżeli przegra zakład, poślubi mężczyznę wybranego dla niej przez wuja. Gdyby tak desperacko nie pragnęła tej szkoły, nigdy nie zdecydowałyby się na równie ryzykowne warunki.

- I nie zapominaj także, że zgodnie z. naszą umową do mnie należy wybór podmiotu naszego zakładu. A ja nie zgadzam się na nikogo innego prócz Morse'a Archcra.

- Ależ wuju, przecież ci powiedziałam...

- Owszem. A teraz ja ci powiadam, Leonoro, że jeżeli Archer nie zgodzi się tu przyjechać, nasz zakład zostanie unieważniony.

- Nie mówisz tego poważnie. - Leonora pobladła gwałtownie. Jeżeli wuj odbierze jej tę szansę, jakkolwiek wątplą, to już na pewno nigdy nie będzie miała swojej szkoły.

- Zapewniam cię, że mówię bardzo poważnie No już, dziecko, nie rób takiej zrospaczonej miny. Tym razem pojedę do niego razem z tobą i jestem pewien, że oboje jakoś przerobimy sierżanta Archera na naszą modłę. A ty może byś się trochę przygotowała do tej podróży? Czy doprawdy nie masz żadnych kolorowych sukien?

Leonora zamierzała wyłożyć wujowi, że jej wygląd w najmniejszym stopniu nie wpłynie na decyzję sierżanta Archera. Tyczka przystrojona wstążkami jest wciąż tylko kawałkiem kija.

- Szary to też kolor. wuju.

- Żadną miarą. W każdym razie nie w kobiecej sukni. Podobnie jak czarny, brązowy czy ten brudnozielony. A przy okazji zrób też coś ze swoimi włosami. Czy nie możesz ich jakoś tak zwinąć, żeby opadały w lokach?

- Mogę, wuju - odparła Leonora z westchnieniem. Kiedy sir Hugo był w podobnym humorze, nie trafiały do niego żadne rzeczowe argumenty.

Nie cieszyła jej wizja powrotu do Bramleigh. Znajdzie się w jednym pokoju z dwoma najbardziej irytującymi mężczyznami, jakich znała, i nie wiedziała, czy zdoła się powstrzymać, by nie zderzyć ich ze sobą głowami.

Morse, podpierając się solidną łagą wyciosaną z gałęzi, kuśtykał błotnistą ścieżką ogrodowego szpitala, gdy w oddali dojrzał ojca i kuzynkę porucznika Peverilla.

Tego roku zima była lodowata jak na Somerset. nawet dla ludzi, którzy nie spędzili ostatniej dekady w upalnym klimacie Indii i Półwyspu Iberyjskiego. Morse znalazł się zimą w Anglii po raz pierwszy od dziesięciu lat i chłód dokuczał mu bardziej, niżby się spodziewał. Mimo to nie mógł już ani chwili dłużej wysiedzieć w pomieszczeniu.

Był człowiekiem czynu, lubił otwarte przestrzenie - dlatego

bardzo mu odpowiadało życie w Brygadzie Strzelców. Teraz - bez względu na to, czy zostanie karnie wydalony ze służby, czy też nie - i tak nadszedł czas, by pożegnać się z zielonym mundurem. Będzie mu tego bardzo brakowało - pomimo niebezpieczeństw, fatalnego jedzenia, nędznego żołądka, upałów, much, nienawiści lokalnych społeczności, bezdennej głupoty oficerów i dopadającego go od czasu do czasu poczucia samotności. W końcu tak wyglądało ostatnie dziesięć lat jego życia. Na myśl, że będzie musiał to wszystko zostawić, czuł się zagubiony i wypalony. A marne widoki na przyszłość tylko wzmagaly te uczucia.

- Witam, sierżancie Archer!

Morse zobaczył sir Hugona Peverilla nacierającego w jego stronę. Tuz za nim kroczyła Leonora Freemantle. Niespodziewanie Morse'owi spodobała się jej postawa. Uniesiony podbródek. Wzrok skupiony na celu. Żadnego drobiazgu, żadnego marudzenia, że błoto powala jej płaszcz i suknię.

- Zastanawiałem się, czy w ogóle damy radę dopędzić cię, chłopcze - wydyszał sir Hugo.

Nagle Morse uświadomił sobie, po co się tutaj zjawili. Myśl o trzech miesiącach w Laurelwood była niezwykle pociągająca - jawiła się jako jedyny jasny punkt skądinąd ponurej przyszłości. Żeby tylko ta jego przekłeta duma wszystkiego nic zniweczyła.

Morse wyciągnął dłoń.

- Miło pana znów zobaczyć, sir.

- W rzeczy samej. Zdaje się, że poznałeś już pannę Freemantle. - Sir Hugo wypychał młodą kobietę przed siebie, aż jej dłoń zetknęła się z dłonią Morse'a.

Jemu tymczasem stało przed oczami ich poprzednie spotkanie. Przypomniał sobie dotyk jej ręki na swoim nagim ramieniu i grubiański dowcip, gdy nie chciała go puścić. Nic dziwnego, że uznała, iż przydałoby mu się nieco więcej ogłady.

Zdecydowany okazać, że nie obce mu są dobre maniere, pochylał się nisko nad jej dłoń.

- Rzeczywiście, miałem już przyjemność.

Wiatr wyszarpnął jej kilka ciemnych loków spod kapelusza - mniej ciasnego i surowego niż ten, który miała poprzednio. Chłód zabarwił jasną skórę na wysokich kościach policzkowych. Binokle zsunęły się na czubek nosa, odsłaniając niezwykle piękne, szarozielone oczy.

Oczy posyłające mu karcące spojrzenie, którego nie był w stanie zrozumieć. Co tym razem zrobił złego?

Wyrwała szybko rękę z jego dłoni, jakby bała się, że ją ugryzie.

- Odniosłam wrażenie, że nasze poprzednie spotkanie nie sprawiło panu przyjemności.

Policzki ostro zaszczypały Morse'a. Prawdopodobnie już za długo przebywał na chłodzie.

- Muszę panią gorąco przeprosić za moje zachowanie, panno Freemantle. Przychodzą takie chwile, że to miejsce wyprowadziłoby z równowagi nawet świętego. Przykro mi, że miała pani nieszczęście trafić na jedną z takich właśnie chwil.

Sir Hugo objął Leonorę ramieniem, ale słowa skierował do Mors,

- To całkiem zrozumiałe, mój chłopcze. Oczywiście, że Leonora ci wybaczy. Należy do tych wyjątkowych kobiet, które nigdy długo nie chowają urazy.

- To rzeczywiście rzadkie - odparł Morse, uśmiechając się ciepło i spoglądając w szarozielone oczy w nadziei na pojednanie.

W odpowiedzi Leonora Freemantle gwałtownym ruchem wcisnęła binokle głęboko na nos. To było tak, jakby nagle ktoś zatrzasnął ciężkie drzwi przed jej oczami. Morse odruchowo cofnął się o krok.

Sir Hugo szybkim ruchem chwycił za kapelusz, by nie zwał mu go z głowy ostry podmuch lodowatej bryzy.

- Chcielibyśmy ponownie porozmawiać z wami. sierżancie, jeśli łaska! - wykrzyknął, żeby zagłuszyć wzmagający się świst wiatru. - Chyba nie musimy w tym celu wychładzać naszych trzewi. Jeżeli jeszcze nie chcesz wracać, mój chłopcze, to może przejedziemy się po okolicy?

- Z przyjemnością, sir.

Morse już od wielu lat nie jechał w porządnym powozie.

- Wspaniale! - odparł sir Hugo z ciepłym, ujmującym uśmiechem.

Ten widok tak bardzo przypomniał Morse'owi młodego porucznika, że poczuł dławienie w gardle.

Sir Hugo tymczasem obrócił się na pięcie i żwawo ruszył i stronę podjazdu, rzucając za siebie:

- Leonoro, użycz swojego ramienia sierżantowi. Ta ścieżka wydaje się zdradziecko nierówna.

Leonora posłała Morse'owi przelotne spojrzenie, ale z powodu tych ponurych binokli nie umiał zdecydować, czy w jej wzroku było coś przepraszającego, czy może raczej wojowniczego.

Chwyciła jednak posłusznie jego ramię.

Morse z trudem powstrzymał uśmiech. Wiele kobiet byłoby zachwyconych, gdyby mogły wziąć go pod rękę. Tymczasem Leonora Freemantle miała minę męczennicy. Bez wątpienia to przedziwna istota - nikogo podobnego jeszcze nie zdarzyło mu się spotkać. I ta niezwykłość pociągała Morse'a. Zrozumiał, że z wielką ochotą poznałby tę kobietę bliżej.

- No już, sierżancie, proszę nie powstrzymywać tego uśmiešku - powiedziała z oczami utkwionymi przed siebie. - Przecież widze, że ma pan na to ochotę. Może się więc pan śmiało radować moim upokorzeniem.

- Nie wiem, co pani ma na myśli, panno Freemantle. Na mnie żadną miarą nie robi pani wrażenia upokorzonej.

Tym razem ich ciała rozdzielała szorstka tkanina jego płaszczka i gruba wełna jej pelisy. Nie tak jak w czasie ich poprzedniego spotkania, gdy zacisnęła dłoń na jego nagim ramieniu. Kiedy niespodziewanie wróciło to wspomnienie. Morse'owi zrobiło się gorąco i nie czuł już lodowatych podmuchów wiatru. Chwilę później przyłapał się też na tym, że próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miał kobietę.

Zanim jednak zdołał się tego doliczyć, już znaleźli się przy powozie.

- Wchodźcie szybko! - zarządził sir Hugo, kiwając na nich przez otwarte drzwi.

Leonora Freemantle zwróciła się w stronę Morse'a. Odniósł wrażenie, że czekała ze swoją przemową na ostatnią chwilę, by nie było już czasu na dyskusję.

- Niepotrzebnie prosił mnie pan o przebaczenie, sierżancie. To raczej ja jestem winna panu przeprosiny. Niemal w każdym punkcie, który mi pan wyłuszczył w czasie naszego poprzedniego spotkania, miał pan rację. Z jednym wyjątkiem. Moja szkoła nie będzie instytucją dobroczynną - w każdym razie nie w takim sensie, o jakim pan mówił. Dlatego proszę, by zechciał mi pan pomóc.

Morse rozumiał, co to duma. Wiedział więc, ile kosztowało ją wypowiedzenie tych słów. Gdyby tylko dała mu więcej czasu na odpowiedź! Teraz mógł jedynie okazać, że nie jest całkowicie pozbawiony galanterii, i pomóc jej wsiąść do powozu. Gdy dojrzał szczupłą kostkę obciągniętą skórą trzewika, znów załała go ta przeklęta fala gorąca.

Poczuł złość na samego siebie i próbował zdusić dziwne emocje. One jednak nie poddawały się jego woli.

Wspiął się do wnętrza powozu i z ulgą opadł na siedzenie

naprzeciwko panny Freemantle i sir Hugona. Jeżeli potrzebował przypomnienia, jak wygodne życie mógłby wieść w Laurelwood, luksusowe wnętrze pojazdu świetnie się do tego nadawało. Idealnie wypolerowany mahoń. Piękne wykończenia z brązu. Miękka skóra siedzeń.

Sir Hugo uniósł laskę, rączką z kości słoniowej zastukał w sufit i niemalże w tej samej chwili powóz potoczył się po zamrzniętej drodze.

Morse poczuł na sobie wzrok starszego pana.

- Przejdę od razu do sprawy. Archer, bez owijania w bawełnę. Dobrze wiem, że wy, wojskowi, nie lubicie bawić się w ceregiele. A więc, rzecz w tym, że wraz z Leonora rozpaczliwie potrzebujemy twojej pomocy, by nasz zakład mógł dojść do skutku.

- Tak... cóż, sir... w rzeczy samej... prawdę mówiąc... - Morse usilnie starał się znaleźć słowa, które pozwoliłyby mu przyjąć wielkoduszną propozycję sir Hugona bez większego uszczerbku na własnej godności.

- Ani słowa więcej, mój chłopcze - przerwał mu sir Hugo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zarówno ten ton, jak i słowa „mój chłopcze”, ostro zadrasnęły jego dumę, choć Morse starał się zdusić swoje rozdrażnienie.

- Dobrze wiem, na czym polega twój problem - ciągnął sir Hugo. - Nic mogę przecieżyć oczekiwać, że - tak ot! - oferujesz nam kilka miesięcy życia, zawieszysz realizację własnych planów, byśmy wraz z Leonora mogli rozwiązać naszą filozoficzną dysputę, nie mającą żadnego znaczenia dla nikogo prócz nas.

Kiedy starszy pan przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, Morse spróbował dać wyraz obiekcjom.

- Nie, nie. To nie...

Sir Hugo uniósł dłoń, by uciszyć Archera.

- Wysłuchaj mnie do końca, młodzieńcze. Nic odrzucaj naszej prośby, póki się nie dowiesz, jaką zamierzamy oferować ci rekompensatę za stracony czas.

Morse miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Rekompensata. Ci ludzie zamierzali wyrwać go z chłodu, głodu i życia bez pracy, a w zamian umieścić w prawdziwym luksusie. A teraz na dodatek proponowali mu za to rekompensatę. Zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, jak jeszcze mogliby osłodzić mu życie. I ta ciekawość, a także szacunek dla sir Hugona kazały mu trzymać język za zębami

- Jeżeli zgodzisz się nam pomóc, zaangażuję dla ciebie najlepszego prawnika, nie licząc się z kosztami. Pociągnę też za odpowiednie sznurki, wykorzystam wszelkie możliwe znajomości. Oczywiście, nie mogę niczego obiecywać z góry, byłbym jednak bardzo zdumiony, gdyby w tej sytuacji komisja dochodzeniowa nie oddaliła twojej sprawy.

Morse rozdziawił usta. Cóż mógłby na to odpowiedzieć? Oto nagle sir Hugo zamierzał wyprostować jego życie tak po prostu i bez wysiłku, jak pokojówka wygładza pomięte prześcieradła.

Gdy próbował coś z siebie wykrztusić, odezwała się panna Freemantle.

- Nie zapomnij też o reszcie, wuju.

Morse nie wierzył własnym uszom. A więc na tym nie koniec?

- Oczywiście, moja droga. - Sir Hugo wziął głęboki oddech. - Moja siostrzenica słusznie zwróciła mi uwagę, że pan też powinien mieć określone zyski z naszego zakładu, by stały się dla pana zachętą dla jak najlepszej pracy.

Morse przez chwilę poczuł się urażony przypuszczeniem, że mógłby nie dać z siebie wszystkiego. Następne słowa sir Hugona natychmiast wyparły z jego głowy wszelkie myśli.

- Jeżeli więc. mój chłopcze, w Bath zostaniesz powszechnie uznany za urodzonego dżentelmena, umożliwię ci wyjazd do takiego miejsca, gdzie „sfery” nie mają większego znaczenia. W grę wchodzi każda brytyjska kolonia, w jakiej miałbyś ochotę się osiedlić: Karaiby, Ameryka Północna, południe Australii. Wykupię dla ciebie solidny kawał ziemi i dam dość złota, byś nabył sprzęt, żywy inwentarz i ziarno. To powinno wynagrodzić ci udział w naszej zabawie, nie sądzisz?

Czekając na odpowiedź Morse'a, sir Hugo uśmiechnął się szeroko.

Morse natomiast zacisnął mocno wargi. Nie mógł przecież wypowiedzieć pierwszych słów, jakie cisnęły mu się na usta. Milczał więc posepnie.

Do wszystkich diabłów! Już zdołał okiełznać swoją dumę na tyle, by przyjąć oryginalną propozycję panny Freemantle. A tymczasem, w jak najlepszych intencjach, sir Hugo zniweczył wszystko, zarzucając go podwójną dawką miłosiernej dobrotności. Choć oferta była bardzo kusząca, Morse wiedział, że to zbyt obfite danie, by mógł je strawić.

- To niezwykle hojna propozycja, sir. - Sierżant z trudnością powściągnął wybuch gniewu. Ostatecznie, starszy pan chciał jak najlepiej. Po prostu nic nie rozumiał. - Żadną miarą nie mogę jej przyjąć.

Uśmiech na twarzy sir Hugona zastygł w kamienną maskę. Jego twarz zaczęła powlekać się purpurą. Wyglądał jak człowiek, który za chwilę zostanie rażony apopleksją.

Morse nagle przypomniał sobie o Leonorze. Wyglądała na zrozpaczoną. Archer nie był w stanie pojąć, czemu tak bardzo zależało jej na założeniu tej szkoły. Nie rozumiał też, dlaczego nagle poczuł nieprzewartą ochotę, by chwycić ją w ramiona i ukoić ów smutek.

Bardzo chciałby znaleźć w sobie dość pokory, by przystać

na ich propozycję. Aby zadośćuczynić własnemu pragnieniu, jeśli już o tym mowa. Gdyby tylko umiał poskromić tę swoją przekłątą dumę...

- Czyś ty postradał zmysły, chłopcze? Jakże możesz odrzucać...

- Spokojnie wuju. Nie ekscytuj się tak bardzo - powiedziała panna Freemantle, uspokajająco poklepując sir Hugo po ramieniu.

Posłała Morse'owi spojrzenie zimne jak lód skuwający pobliskie pola. Sierżant natychmiast doszedł do wniosku, że jej chwilowa słabość była czystym wytworem jego wyobraźni.

- To oczywiste, że sierżant Archer uważa, iż nie podoła zadaniu.

Poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go skórzaną rękawiczką przez twarz. Jego duma, już wcześniej bardzo podrażniona, kazała mu bez zwłoki podjąć wyzwanie.

- Zadaniu? Pani to nazywa zadaniem? To najzwyczajsza maskarada! Pozowanie na oficera, też coś. Napatrzyłem się na tych idiotów dostatecznie, by móc uchodzić za jednego z nich choćby jutro. I nie potrzeba mi do tego trzech miesięcy edukacji.

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem, a on odpłacił jej tym samym. Jednak gdzieś w głębi duszy Morse poczuł podziw dla tak godnej przeciwniczki i pragnienie, by ona też zaczęła go podziwiać.

- Proszę więc tego dowieść, sierżancie.

- Nie mam nic do udowodnienia, ani pani. ani nikomu innemu, panno Freemantle. - Morse czuł, że zdolność logicznego myślenia i opanowanie wymykają mu się z rąk niczym wytłuszczona lina. ale nie mógł gładko przełknąć prowokacji tej kobiety.

- Niech pan przyzna, sierżancie, że nie ma pan nawet dość odwagi, by podjąć tę próbę.

- Nigdy w życiu nie słyszałem większej bzdury.
- To nie jest bzdura.
- Właśnie że jest.
- A więc sady pan, że podoła zadaniu?

- Do diaska! Pewnie, że podołałam. - Słowa wymknęły się Morse'owi z ust, zanim na dobre pojął, co właśnie powiedział. W oczach przeciwniczki dojrzał błysk triumfu. - To znaczy, nie. Nie mogę. Byłbym do tego zdolny, ale tego nie zrobię.

- Chwileczkę, Archer - wtrącił szybko sir Hugo. - Nie mów mi, że żołnierz Brygady Strzelców cofnie dane słowo. Przyjąłeś wyzwanie. Słyszałem na własne uszy. I zamierzam trzymać cię za słowo.

Może Morse pragnął odwołać słowa wypowiedziane do Leonory Freemantle w czasie ich dziecinnej sprzeczki, przede wszystkim jednak odczuł wielką ulgę, że ta kobieta podstępem zmusiła go do zrobienia czegoś, co przez cały czas miał wielką ochotę zrobić.

- Ponieważ nie daje mi pan wyboru, sir, jak szybko możemy zacząć?

Sir Hugo już się otrząsnął z wrażenia, jakie wywarła na nim tak niespodziewana kapitulacja sierżanta.

- Jeżeli te łapiduchy od rzezania rąk i nóg uznają, że jesteś w dość dobrej formie, by opuścić szpital, spakujemy cię od razu i podwieczorek zjemy już w Laurelwood.

Morse wpatrywał się w Leonorę wzrokiem niosącym wyzwanie.

- To doskonałe.

W tym momencie głośno zaburczało mu w brzuchu, ale reszta kompanii grzecznie udała, że nic nie słyszała. Na myśl o podwieczorku w Laurelwood ślinka napłynęła Archerowi do ust. a wszystkie mięśnie stężały w oczekiwaniu na puchowe łożo. Po twardych dziesięciu latach żołnierki w szeregach strzel-

ców chyba wreszcie zasłużył na luksusową kwaterę. W tym momencie zauważył, że Leonora Freemantle mierzy go wzrokiem sierżanta od musztry, któremu w ręce wpadł właśnie nieopierzony rekrut. Przeszył go dreszcz niepokoju.

A może dreszcz ekscytacji?

ROZDZIAŁ TRZECI

Luksusowa kwatery?

Po raz setny w ciągu ostatnich dwóch tygodni Morse uśmiechnął się ironicznie, gdy konfrontował rzeczywistość z marzeniami. Przewrócił się na brzuch i z całej siły przycisnął do głowy puchową poduszkę. Mimo to nie zdołał zagłuszyć uporczywego pukania do drzwi.

- Idź sobie, Dickon! - wrzasnął na młodego lokaja. - Chcę jeszcze pospać choć przez kilka minut.

Jego prośby były jednak daremne i Morse świetnie o tym wiedział.

Co prawda, pukanie ustało, ale oznaczało to jedynie, że Dickon wszedł do pokoju. Zgodnie z rozkazami tej diablicy. Morse z całych sił zacisnął palce na płótnie poszewki.

Oczywiście na próżno.

Dickon - potężne chłopisko, ważące co najmniej sto dwadzieścia kilo - miał palce wielkości parówek. Bez trudu zdjął więc poduszkę z głowy Morse'a - delikatnie, ale stanowczo.

- Czas wstawać, sir - zagrzmiął przeproszającym tonem. - Bardzo proszę mnie nie zmuszać, bym oblał pana zimną wodą jak wczoraj.

Z jękiem rezygnacji Morse zwał się z łóżka i pozwolił, by lokaj pomógł mu przygotować się do nowego dnia. To był rytuał, którego nie znosił. A szczególnie o tej godzinie tuż przed świtem. Niemniej, Leonora nalegała, by przyzwyczał się do usług służby. Morse szybko się zorientował, że każde słowo

Leonory Freemantle odnoszące się do jego osoby stawało się w tym domu niepodważalnym prawem.

Prawem? Do stu diabłów! To była najczystsza tyrania.

- Nie pojmuję, czemu pan tak źle to znosi, sir - oznajmił Dickon, wlewając do miski wrzącą wodę z czajnika, który przyniósł ze sobą z kuchni. - Czy gdy był pan w strzelcach, nie musiał pan wstawać przed świtem?

- Hm, to prawda - wymamrotał Morse, siadając na krześle, by pokornie poddać się porannemu rytuałowi golenia.

Sir John Moore - Panie, świeć nad jego duszą - wyrobił ten nawyk we wszystkich żołnierzach Brygady Strzelców, ponieważ świt był często momentem ataku wroga liczącego na osiągnięcie przewagi przez zaskoczenie.

- Ale to nie ma nic do rzeczy.

Podczas gdy lokaj golił mu policzki - zaskakująco sprawnie i delikatnie posługując się brzytwą - Morse przeżuwał w duchu wszystkie krzywdy, jakich doznał od Leonory Freemantle.

Wbrew jego oczekiwaniom, posiłki w Laurelwood były istna, torturą, wymagającą szybkiej orientacji w przeznaczeniu określonych kieliszków i sztućców. Jeżeli zdarzyło mu się popełnić drobny błąd i chwycić nie za ten widelec co należy, panna Freemantle nie cofała się przed pozbawieniem go dania, które właśnie miał spożywać. Jeszcze gorsze okazały się długie godziny siedzenia za biurkiem i wpatrywania w książkę czy też mozolnego odrabiania pisemnych prac, z palcami zaciśniętymi na piórze tak mocno, że tylko jakimś cudem jeszcze się nie złamało.

- Widzisz, Dickon, bo wszystko sprowadza się do jednego - oznajmił, splukując z twarzy resztki mydła. - Nie najlepiej mi idzie wypełnianie rozkazów.

- Ależ sir... - lokaj podał Morse'owi parę spodni piaskowego koloru - ...tyle lat wojaczki i pan nie umie wypełniać rozkazów?

Morse powoli wciągał na siebie każdą sztukę odzieży podawaną mu w określonej kolejności. Wszystko było doskonale skrojone i uszyte z najszlachetniejszych materiałów. Spojrzał w lustro i uśmiechnął się przelotnie, gdy w odbiciu modnego dandysa rozpoznał samego siebie.

Wciąż jednak tęsknił do zielonego munduru, który swego czasu świadczył o jego przynależności do elitarniej Brygady Strzelców.

- Zieloni to coś innego, Dickon. Piechota - czerwone kurbaki - oni są szkoleni do tępego wykonywania rozkazów, natomiast strzelcy zawsze muszą myśleć samodzielnie. A i tak często okazywało się, że nawet jak na naszą brygadę jestem zbyt niezależny. Nie raz i nic dwa z tego powodu wpadałem w tarapaty. Nieźle mi idzie, gdy szanuję swojego dowódcę i widzę sens w tym, co każe mi robić. Natomiast wykonywanie idiotycznych rozkazów jakiegoś głupca, który ma nade mną władzę tylko dlatego, że jest wyższy rangą - cóż, tak właśnie, według mnie, musi wyglądać piekło.

Wsuwając palec za kołnierzyk, Morse usiłował poluzować biały fular, ściskający mu szyję niczym katowska pętla. Na próżno.

- Głowa do góry, sir. - Dickon szturchnął go konfidencjonalnie łokciem i uśmiechnął się szeroko. - Dzisiaj środa, pamięta pan?

- Środowy wieczór. - Morse rozkoszował się tymi słowami. Napięcie, które czuł w barkach i ramionach, zaczęło go opuszczać.

Środowe i sobotnie wieczory to jedyny czas, kiedy mógł odpuścić od tyranii generała Freemantle. Morse był pewien, że gdyby nie te krótkie chwile, rzuciłby wszystko w diabły pomimo długu wdzięczności wobec sir Hugona.

Starszy pan dotrzymał słowa i przekonał komisję dochodzą-

niową, by odstąpiła od kierowania oskarżeń przeciw Morse'owi i bez żadnych problemów zezwoliła na honorowe zwolnienie go ze służby.

- Myślisz, że znów uda ci się zorganizować parę kwaterek tego doskonałego piwa? - spytał lokaja.

Kiedy w środowe i sobotnie wieczory panna Freemantie udawała się do wioski, zaszywał się z Dickonem w jakimś odległym kącie domu i raczył kilkoma kwaterkami piwa. Kiedy popijali, zakąszając zimnym prowiantem, jaki akurat Dickonowi udało się ściągnąć ze spiżarni, Morse snuł opowieści o swoich przygodach w szeregach 4. Pułku Strzelców z Somerset. Rozkoszował się przy tym zachwytem i podziwem, jaki wzbudzał u lokaja. Prawdę powiedziawszy, to niemal wystarczało, by podreperować poczucie własnej wartości, nadwątlone przez Leonorę Freemantie.

- Jeszcze lepiej, sir. Co by pan powiedział na łyk tego cydru?

- W to mi graj! Chętnie napiłbym się kropelkę już w tej chwili.

Dickon współczująco pokiwał wielką głową.

- Teraz już na pana czas, sir. Panna Leonora niechybnie na pana czeka. Nie poskapi mi wymówek, jeśli pan się spóźni. Zupełnie tego nie pojmuję. Zanim pan się tu zjawił, nigdy złego słowa od niej nie usłyszałem. Zawsze tylko: „Czy byłbyś tak uprzejmy...” i „Czy mogę cię prosić o to lub owo...”. A od dwóch tygodni jest dokuczliwa niczym stara borsuczycza.

Słyszając to trafne porównanie, Morse uśmiechnął się bezwiednie. Nie miał wątpliwości, że aż do wieczora będzie to ostatni uśmiech na jego twarzy. Leonora Freemantie już się o to postara, nie szczędząc mu uszczypliwości, wyrzutów i najwzyczajniejszego znęcania.

Życie w wojsku było ciężkie i najeżone niebezpieczeń-

stwami. Ale - pomijając marny żołąd - dawało wiele satysfakcji. Dzięki własnemu talentowi Morse awansował, zaskarbił sobie miłość i szacunek podwładnych oraz zaufanie przełożonych - przynajmniej tych przełożonych, których opinia miała dla niego znaczenie.

Tymczasem w Forcie Laurelwood co dzień i co noc przypomniano mu, że niczego nie jest w stanie zrobić jak należy.

Zmuszając się do każdego kroku, Morse zszedł po pogrążonych w mroku schodach, po czym niechętnie skierował się do biblioteki. Ta opieszałość kłóciła się z jego żołnierskim instynktem. Przez lata wpajano mu, że bez względu na okoliczności musi się znaleźć w określonym miejscu w danym czasie. Od tego często zależało życie jego towarzyszy. Morse jednak nie mógł uwierzyć, by miało jakiegokolwiek znaczenie, czy zacznie lekcje teraz, czy też dwie godziny później. Dla niego to wszystko zakrawało na nonsens.

Z pomrukiem niechęci otworzył drzwi biblioteki.

Z pełnym irytacji westchnieniem Leonora zerknęła na zegar stojący na kominku. Morse Archer znów był kwadrans spóźniony na swoją przedśniadaniową sesję edukacyjną, chociaż wysłała Dickona pół godziny wcześniej do jego pokoju. Nic dziwnego, że generał Wellington poniósł sromotną klęskę w kampanii iberyjskiej, jeżeli dowodził armią nieokrzesanych próżniaków takich jak jej uczeń.

Stukając palcami o blat biurka. Leonora przeniosła wzrok na podręcznik do łaciny otwarty na zaledwie dziesiątej stronie. Z każdym dniem rosły zaległości w stosunku do jej precyzyjnie opracowanego planu. Próbowwała już wszystkiego, by obudzić w Archerze ambicję, on jednak uparcie odmawiał wyuczenia się choćby podstaw deklinacji łacińskiej. Jego znajomość historii Anglii wołała o pomstę do nieba - nie odróżniał bitwy pod

Azincourt od bitwy pod Hastings. Niekiedy Leonora zastanawiała się, czy wiedział, że Henryk V panował przed Henrykiem VIII. A jego ignorancja, gdy chodziło o literaturę...

Wybaczyłaby mu wszystko, gdyby okazał się tępakiem, niezdolnym do przyswojenia jakiegokolwiek wiedzy. Tak jednak nie było. Gdy przysłuchiwała się jego rozmowom prowadzonym przy stole z sir Hugonem, wyłapywała okruchy wiedzy, jaką Archer zdobył w czasie służby za granicą. Dostrzegwała jego niezwykłą inteligencję. Gdybyż tylko umiała przełamać tę jego upartą niechęć do nauki.

Próbowała już wszystkiego prócz pochlebstwa. Z jakiegoś powodu nie umiała przybrać wobec sierzanta łagodnej postawy. Może dlatego, że sama jego obecność działała na nią onieśmialająco. Często, zamiast korygować przerażający charakter pisma, łapała się na tym, że wpatruje się w jego ręce. Bezwstydnie wlepia wzrok w jego silne, kształtne ręce. Wyobraża sobie, jak zdecydowanym ruchem kierują muszkiet na cel, chwytają radośnie za butelkę hiszpańskiego wina czy obejmują talię jakiejś ognistej Dulcyniei.

Niekiedy w takich sytuacjach Archer zauważał, że ona się w niego wpatruje, i wówczas w jego oczach pojawiał się błysk szyderstwa.

Leonora wiedziała, że natychmiast musi zacząć myśleć o czymś innym, choć nie było to łatwe zadanie. Gdy nagle zdała sobie sprawę, ile już minęło dni i jak w tym czasie niewiele zrobili, ogarnęła ją panika. Pomimo czczych przechwałek Morse'a. jeżeli będą posuwać się w tym żółwym tempie, nikt nie weźmie go nawet za kamerdynera, nie wspominając już o dżentelmenie.

A gdy już towarzystwo szyderstwami wygna go z Bath, ona będzie musiała dotrzymać warunków zakładu i wyjść za mąż za człowieka, którego wybierze dla niej wuj Hugo. Jej marzenia

o własnej szkole legną w gruzach. Nie zdoła poświęcić się nauce, chociaż nauka była jedyną radością jej życia.

Na tę myśl poczuła łzy pod powiekami.

Zagniewana na samą siebie, Leonora zdjęła binokle i bezceremonialnie otarła łzy rękawem. Od czasów wczesnego dzieciństwa nie pozwalała, by cokolwiek czy ktokolwiek doprowadził ją do płaczu. I z pewnością nie dostąpi tego zaszczytu mężczyzna pokroju Morse'a Archera.

Drzwi biblioteki otworzyły się gwałtownie. Zamykając je za sobą z hukiem, który echem rozległ się po pokoju. Morse ospałym krokiem podszedł do biurka i ciężko opadł na krzesło.

Leonora wydała z siebie żałosny dźwięk, po czym wepchnęła binokle na nos i stanęła sztywno wyprostowana.

- Morsie Archerze, nawet jeśli nic nauczysz się pan ode mnie niczego więcej w ciągu następnych miesięcy, mam nadzieję, że przynajmniej wyrobi pan w sobie obowiązujący w cywilizowanym świecie nawyk pukania, zanim wtargnie pan do pokoju.

Spojrzał na nią wojowniczo, unosząc brew.

- Po co miałem zawracać sobie głowę pukaniem? Czyż nie oczekiwała mnie pani?

Leonora wytrzymała to spojrzenie, modląc się w duchu, by nie zauważył, że ma zaczerwienione oczy.

- Oczekuję pana już od kwadransa. To jednak nie usprawiedliwia podobnie grubiańskiego zachowania. Karą za spóźnienie będzie dodatkowe pół godziny zajęć przed śniadaniem.

Zignorowała jęk, jakim przyjął tę nowinę.

- Natomiast za to, że uchybił pan dobrym manierom, spędzi pan wieczorem dodatkowe pół godziny na studiowaniu historii.

Z jakiegoś powodu Morse nic wydawał się przerażony tą drugą karą i przez chwilę Leonora czuła pokusę, by zwiększyć ją o kolejne pół godziny.

- Już dostatecznie dużo czasu zmarnowaliśmy tego ranka. Chciałam panu przypomnieć, że do wyjazdu do Bath zostało nam zaledwie dziesięć tygodni. Zabieramy się więc do pracy. Zacniemy od powtórki wczorajszej lekcji łaciny. Proszę przetłumaczyć czasownik „jeść” i odmienić go w czasie teraźniejszym.

- „Jeść”? - Morse odchylił się na krześle, ledwie rzucając okiem na otwarty przed nim podręcznik. - Od wczorajszej kolacji minęło już tak dużo czasu, że nie jestem pewien, czy pamiętam jeszcze znaczenie tego słowa w języku angielskim, nie wspominając o łacinie.

- Tylko tak dalej... - wtrąciła Leonora, której cierpliwość była już na wyczerpaniu - ...a upłynie wiele godzin, zanim będzie miał pan szansę empirycznie odświeżyć swoją pamięć. Proszę więc skoncentrować się na lekcji i łaskawie przetłumaczyć, po czym odmienić ten czasownik.

Morse z trzaskiem zamknął podręcznik.

- To szaleństwo. Założyła się pani, że będę mógł uchodzić w towarzystwie za oficera dżentelmena, a nie jakiegoś pioruńskiego arcybiskupa Canterbury! Gdyby tylko...

- Tego już za wiele, mój panie! - Leonora zaczynała tracić panowanie nad sobą. - To ja jestem tu nauczycielem. Ten zakład ma sprawdzić moje umiejętności. Dobrze pan o tym wiedział, gdy godził się wziąć w tym wszystkim udział. Dlatego to ja decyduję, jakich przedmiotów będzie się pan uczył. To ja wybieram tematy naszych lekcji. I ja te lekcje prowadzę. Zanim zaczniesz mnie pan pouczać, proszę najpierw opanować rolę ucznia. A teraz zabieramy się do pracy.

Ponownie otworzyła książkę i podsunęła mu ją pod nos. Jeżeli zamierzał się zachowywać jak rozpaskudzone dziecko, będzie go w taki sposób traktować.

- Odmiana czasownika „jeść”. Proszę powtarzać za mną.

Ku jej zdziwieniu Archer rzeczywiście za nią powtarzał. Robił to jednak w tak apatyczny sposób, że nie ulegało wątpliwości, iż zapomni każde słowo tuż po tym, jak je wypowie.

Przez następne dwie godziny Leonora nic ustawała w wysiłkach - zmusznie powtarzała deklinacje, nachylając się nad swoim uczniem, starannie unikając jednak jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Wyciągniętym palcem wskazywała na odpowiednie wersy i recytowała słowa martwego języka. Morse powtarzał je za nią mechanicznie, bez najmniejszego zaangażowania.

Po dwóch godzinach bolały ją już ramiona i plecy. Czuła dojmujący głód. Najgorsza jednak była fizyczna bliskość Morse'a Archera - jego widok, dźwięk głosu, zapach przyprawiały ją o silny niepokój. O wpół do dziewiątej miała już jedynie ochotę chwycić ciężki podręcznik do łaciny i cisnąć nim przez okno.

- *Celo, celare, celavi, celatus.* - Morse miał wrażenie, że te słowa, wydobywające się przecież z jego własnych ust, dochodzą do niego z niezmiernej oddali. Tuż przed nim leżała książka do łaciny i Morse patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, ale tak naprawdę w ogóle nie widział liter.

- *Habeo, habere, habui, habitus.* - Duża część wojskowego życia polegała na ciągłym, bezmyślnym powtarzaniu pewnych fizycznych ćwiczeń. Morse pozwalał, by jedynie ręce i nogi wykonywały określone ruchy, myśli zaś koncentrował zazwyczaj na czymś znacznie bardziej interesującym.

- *Audio, audiere, audivi, auditus.* - Odruchowo wypowiadał te słowa, złapał się jednak na tym, że pochłonięty jest przypatrywaniem się dłoniom Leonory.

Miała szczupłe, kształtne palce i starannie utrzymane paznokcie przypominające pięć malutkich, perłowych muszelek. Pomimo delikatnego rysunku ta dłoń nie była słaba lub wątła. Po-

ruszała się w zdecydowany, pełen wdzięku sposób, który Morse uznał za fascynujący i zaskakująco piękny.

Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robi, gdy chwycił dłoń Leonory, która w tym momencie znieruchomiała. Z ledwo słumionym sapnięciem przerwała recytację łacińskich czasowników.

Pewnego razu w Indiach Morse miał w rękach cenne, religijne dzieło sztuki, kunsztownie wyrzeźbione w jasnym, przejrzystym jadeicie. Teraz trzymał dłoń Leonory z taką samą nabożną rewerencją, rozkoszując się jej gładkością i ciepłem. Najnaturalniejszą rzeczą na świecie wydało mu się uniesienie jej do ust i złożenie należnego hołdu.

Przedziwny czar przysł, gdy Leonora gwałtownie wyrwała dłoń.

- Cóż to wszystko ma znaczyć?! Jak pan śmie pozwalać sobie na tak wiele!

Z ciemnym rumieńcem i z szeroko rozwartymi oczami zaczęła wycofywać się w stronę drzwi.

- Podziwiałem tylko piękno pani dłoni. - Morse nie mógł zrozumieć, jak podobny drobiazg mógł tak bardzo wyprowadzić ją z równowagi. - W żadnym razie nie zamierzałem pani urazić.

Wpatrywała się w swoją dłoń, jakby pierwszy raz w życiu ją widziała i, na dodatek, nic spodobało się jej to, co zobaczyła.

- Powinien pan większą uwagę przykładać do nauki, sierżancie Archer, a dużo mniejszą do mojej osoby. - Ostatnie słowo zabrzmiało jak zduszony jęk.

Morse tymczasem z trudem powstrzymywał uśmiech. Nigdy by się nie spodziewał, że ta zimna, nieprzejednana służbistka może stracić głowę, i to z powodu takiej błahostki.

- Skoro najwyraźniej... nie skupia się pan na lekcji, zróbmy przerwę... na śniadanie. Oczekuję, że zaraz potem przeczyta pan kolejne dwadzieścia stron *Hudebrasa* pióra pana Butlera.

Morse już otwierał usta, by zapytać, gdzie ona będzie w tym czasie, gdy on zajmie się lekturą. Zanim jednak zdążył zadać pytanie, Leonora wymknęła się z biblioteki.

Po czym nie pojawiła się na śniadaniu.

Dzięki temu pierwszy raz od przyjazdu do Laurelwood Morse mógł się zrelaksować i zjeść posiłek w spokoju. Gdy pochłaniał smażone jajka i cielece cynaderki z rusztu, zastanawiał się nad niezrozumiałymi wydarzeniami poranka. Czemu niewinny dotyk i banalny komplement tak bardzo wzburzyły Leonorę? Nie był w stanie tego pojąć.

Po spożytym bez pośpiechu śniadaniu wrócił do biblioteki, ale nie zastał tam Leonory. Z braku lepszej rozrywki przeczytał kilka stron *Hudebrasa*. Ponieważ jednak akcja nie zdołała go wciągnąć, podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

Błade promienie zimowego słońca i krople wody spadające z okapu wskazywały na dość ciepły dzień. Morse doszedł do wniosku, że świeże powietrze poprawi jego koncentrację, kazał więc sobie podać kapelusze, pelerynę i łaskę, po czym wyszedł na dwór.

Idąc wolno wzdłuż laurowego żywopłotu, zorientował się, że coraz silniej może obciążać chorą nogę. Niewykluczone, że jeśli zacznie intensywnie ćwiczyć, znów zdoła chodzić jak kiedyś.

Gdy po spacerze wrócił do domu, był w lepszym humorze niż kiedykolwiek od czasu przyjazdu do Laurelwood. Bez względu na to, co właściwie doprowadziło do przełamania nudnej rutyny lekcji, należało tego popróbować znowu. Jeżeli to komplementy tak bardzo wyprowadzały Leonorę z równowagi... Morse zaśmiał się pod nosem na myśl, jak by zareagowała, gdyby nazwał ją po imieniu. Niewątpliwie miała jeszcze inne przymioty, którymi będzie mógł się otwarcie zachwycić, gdy następnym razem najdzie go ochota na przerwę w zajęciach.

Na przykład długa, łabędzia szyja. Jeśli powiodłby ustami po jej szyi, zapewne Leonora musiałaby spędzić kilka dni w łóżku, zdjeta atakiem waporów.

Na myśl o tym Morse uśmiechnął się szeroko.

Zachwycony przebiegłością swego planu, znowu zabrał się do lektury i do podwieczorku zdołał pochłonąć kolejne sto stron powieści.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pocałował jej dłoń!

Jeszcze parę godzin później skóra w tym miejscu wciąż lekko ją paliła, a wspomnienie dotyku ust Morse'a przyprawiało o idiotyczny rumieniec. Leonora zamknęła się w swoim sanktuarium - buduarze - nie miała bowiem dość wiary we własne siły, by tego dnia stanąć raz jeszcze twarzą w twarz z Archerem. W żadnym razie ten impertynencki mężczyzna nie może zobaczyć, do jakiego stanu ekscytacji zdołał ją doprowadzić.

Spacerując nerwowo po pokoju, próbowała sprowadzić ten incydent do właściwych proporcji - bo przecież tak naprawdę był to nic nieznaczący, głupi wybryk. Bez wątpienia Morse Archer całował dłonie wielu kobiet. I zapewne nie tylko dłonie, o ile się zdążyła zorientować.

Przez okno zobaczyła, jak sierżant idzie podjazdem obsadzonym żywopłotem. Teraz kuśtykanie było o wiele mniej widoczne, niż kiedy przyjechał do Laurelwood. Leonora nie potrafiła ruszyć się z miejsca dopóty, dopóki Morse Archer nie zniknął jej z oczu.

Złapała się też na tym, że wbrew własnej woli pogrąża się w bezwstydnym rojeniach. Przed oczami stały jej niechciane obrazy, niezdrowo pobudzające jej zmysły. Zaczęła myśleć o tych wszystkich miejscach na kobiecym ciele, które mężczyzna mógłby pokrywać pocałunkami.

Usta, oczywiście. Prawdopodobnie także szyja i odsłonięte ramię. Czy niekiedy zdarzało się Morse'owi musnąć przelotnie wargami kształtnie rzeźbione ucho? Lub wcisnąć twarz w rozsypane loki?

Każdy z tych obrazów sprawiał, że dłoń Leonory - ta ucałowana dłoń Leonory - przesuwała się w stronę części ciała, o której akurat myślała. Powiodła więc palcem po wargach, wprawiając je w delikatne drżenie, przejechali dłonią po szyi, po ramieniu, po czym obrysowała palcami ucho. W końcu wyjęła szpilki z włosów.

Kiedy posypały się czarną kaskadą wokół jej ramion, ta sama ogarnięta dziwnym transem dłoń wplątała się w grube pasma. Po raz pierwszy w życiu Leonora zdała sobie sprawę z delikatnej jedwabistości swoich włosów.

Kiedy spojrzała w lustro, niemal nie rozpoznała własnego odbicia. Twarz, którą widziała przed sobą, była taka łagodna, taka miękka... Kobieta spoglądająca z lustra wyglądała na dużo młodszą niż dwudziestosiedmioletnia Leonora. I nawet surowe, brzydkie binokle nie były w stanie ukryć marzycielskiego wejścia szarozielonych oczu.

Leonora już kiedyś widziała podobne spojrzenie. Na to wspomnienie poczuła ostre ściskanie w dołku.

Matka!

Daleka i zamyślona. Nucała jakąś melodię. Gładząca bukiet kwiatów otrzymany od adoratora. Taki obrazek świadczył tylko o jednym - w życiu Clarissy Freemantle pojawił się nowy mężczyzna. Dla Leonory zawsze oznaczało to kłopoty.

Zacisnęła usta. napięła ramiona i w ten sposób wyznała rozmarzoną postać z lustra. Nie zamierzała powtarzać błędów własnej matki, a już na pewno nie z tym zuchwałym, niefrasobliwym eksstrzelcem, którego obecność narzuciły jej nieprzewidziane okoliczności.

Wcisnęła binokle na nos. Zdecydowanym ruchem chwyciła z toaletki szczotkę i rozprostowała loki, po czym zaplotła włosy tak ściśle, że aż rozboleła ją głowa.

Następnego ranka Dickon niemal upuścił czajnik z wrażenia, gdy zastał sierżanta już na nogach.

- Nie gap się tak, człowieku. - Morse wyrwał parujący czajnik z dłoni krzepkiego lokaja i chlusnął w miskę wrzątkiem. - Sam się ogolę, a ty w tym czasie naszykuj mi ubranie.

- Nie spodziewałem się zastać pana w tak wybornym nastroju, sir - wymamrotał Dickon, pocierając czoło. - Nie po tej ilości cydru, którą wypiliśmy wczorajszego wieczoru, co to nam tak setnie poprawiło humor.

Morse rozrobił mydło na puszystą pianę, którą rozsmarował grubo po twarzy, wdychając przy tym jej korzenny aromat.

- Zrywałem się na długo przed świtem i rzucałem w najgorętszy wir walki po dużo huczniejszych libacjach niż nasze wczorajsze skromne świętowanie.

Zagwizdał kilka taktów portugalskiej biesiadnej piosenki, której słów nigdy nie rozumiał.

- Niekiedy człowiek miewa się rano o wiele lepiej, gdy noc spędza na hulankach i swawolach.

- Może i tak być, sir - odparł niepewnie Dickon. Najwyraźniej płacił dużo wyższą cenę za rozrywki poprzedniego wieczoru.

- Oczywiście, że tak jest, Dickon. - Morse opłukał twarz, wytarł starannie, po czym szelmowsko się uśmiechnął. Sam nie wiedział, skąd się wziął u niego ten nagły przypływ energii i dobrego humoru. Być może przyczynił się do tego radosny wieczór w towarzystwie Dickona. A może wczorajsze niespodziewane wakacje od lekcji?

A może...?

Twarz w lustrze uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Czyżby naprawdę wreszcie znalazł skuteczną broń do walki z panną Leonorą Freemantle?

Aż do wczoraj tylko ona dysponowała artylerią, nie wspominając już o uprzywilejowanej pozycji strategicznej. On mógł jedynie uparcie odmawiać kapitulacji. Nagle, gdy już prawie uznał się za pokonanego, odkrył swoją taktyczną przewagę - nieoczekiwaną reakcję Leonory na drobny, niewinny flirt.

To wreszcie wyrównało ich siły. Perspektywa równej walki wzburzyła krew Morse'a pierwszy raz od bitwy pod Bucaso.

Zlustrował strój wybrany przez Dickona.

- Czy nie znalazłbyś jakiejś odważniejszej w barwach kamizelki? Jeżeli człowiek ma być dżentelmenem, powinien na takiego wyglądać, co?

Dickon spojrział, jakby niepewny, czy aby rzeczywiście ma do czynienia z tym samym Morse'em Archerem, po czym zaczął przerzucać zawartość szafy i w końcu wyjął brokatową kamizelkę w kolorze ciepłej zieleni przeplatanej złotem.

Morse obejrzał się uważnie w lustrze i z uznaniem pokiwał głową. Ta odrobina zieleni w kamizelce przypominała mu mundur i zagrzewała do zbliżającej się bitwy.

Poprosił, by Dickon jeszcze raz przejechał szczotką po surducie, po czym radośnie zszedł po schodach - tak szybko, jak tylko pozwalała zraniona noga. Biblioteka była pusta i pogrążona w mroku. Morse zatarł ręce w oczekiwaniu na potyczkę.

Sir John Moore dobrze wbił do głowy wszystkim strzelcom, że zawsze powinni znaleźć się na polu bitwy przed przeciwnikiem. W ten sposób można było zająć lepsze pozycje i wykorzystać element zaskoczenia.

Morse zapalił kilka świec i chwycił za *Hudebrasu*, którego czytał poprzedniego dnia. Rozsiadł się na krześle i przybrał pozę człowieka pochłoniętego od dłuższego czasu pilnymi studiami.

Na szczęście nie musiał trwać w tej pozie zbyt długo, bo wkrótce rozległy się kroki Leonory.

Na ten odgłos coś w nim zadrżało. Musiał przyznać, że nie była to jedynie radość z psikusa, jakiego zamierzał spłatać surowej nauczycielce. Na wspomnienie pocałunku złożonego na jej dłoni poczuł nagłe pulsowanie warg.

Gdy drzwi się otworzyły, z trudnością zdołał zdusić uśmiech.

- Spóźniła się pani, panno Freemantle.

Leonora aż wstrzymała oddech z wrażenia na dźwięk głosu Morse'a Archera. W tej samej chwili przekląła się w duchu, że dała się zaskoczyć, i to drugi raz z rzędu.

- Biorąc pod uwagę, że to pierwszy poranek, gdy udało się panu zjawić na czas, sierżancie, podobna krytyka jest zdecydowanie nie na miejscu.

Niech go wszyscy diabli! Tego ranka zamierzała odzyskać autorytet, a tymczasem jemu już w punkcie startu udało się zepchnąć ją do defensywy.

Morse zamknął książkę. Czyżby rzeczywiście przeczytał aż tyle stron? Leonora szczerze w to wątpiła.

Rozpierając się na krześle, Archer posłał jej tak szczególne spojrzenie, że natychmiast poczuła gęsią skórkę na całym ciele.

- Źle mnie pani ocenia, panno Freemantle. - Ton jego głosu był zbyt kordialny jak na jej gust. - To w żadnym razie nie była krytyka, a jedynie proste stwierdzenie faktu. Jeżeli zamierza pani poświęcać kilka minut więcej na dobranie stroju i ułożenie fryzury, będę ostatnim, który zgłosi obiekcje. Doprawdy, dzisiejszego ranka wygląda pani wyjątkowo uroczo.

Serce zabiło jej mocniej i poczuła ściskanie w dołku. Jakim cudem odgadł, że poświęciła kilka minut więcej niż zazwyczaj na wybór sukni? I że wbrew wszelkiej logice zmarnowała kilka

następnych, cennych minut na nieco mniej surowe ściągnięcie włosów?

Miała ochotę natychmiast uciec, jednak ostatnim wysiłkiem woli zdołała się zmusić do pozostania w miejscu.

- Będę wdzięczna, jeżeli przestanie pan ze mnie szydzić, sierzancie. Doskonale zdaję sobie sprawę, że dzisiejszego ranka nie przedstawiam zbyt wdzięcznego widoku. - Nie wiedziała, jak mogłaby zatuszować cienie pod oczami, będące rezultatem bezsennej nocy. - Poza tym mój wygląd nie powinien pana w żaden sposób obchodzić. - Stanowczym krokiem podeszła do biurka. - Jestem tutaj, by pana uczyć, a nie stanowić obiekt obserwacji i ocen. Zrozumiano?

Spodziewała się typowej, zgryźliwej odpowiedzi, a tymczasem Morse oznajmił:

- Z każdym dniem rozumiem panią coraz lepiej, panno Freemantle.

Nie mogła się doszukać niczego niestosownego w jego słowach ani w głosie. Mimo to Leonora nic potrafiła oprzeć się wrażeniu, że na swój szczególny sposób Archer bawi się jej kosztem.

Postanowiła więc przejść na pewniejszy grunt i wskazała na otwartą książkę, którą trzymał w dłoni.

- Widzę, że wykazał się pan ambicją, gdy chodzi o lekturę. - Nauczycielska intuicja podszeptowała jej, że powinna mile połechtąć jego dumę, chwając tę czytelniczą inicjatywę. Jednak kobieca podejrzliwość przestrzegła, że to najprawdopodobniej jakiś kolejny fortel. - No i co pan sądzi o dotychczasowych przygodach pułkownika Hudebrasa?

Czekała na jego odpowiedź przekonana, że w końcu z pokorą przyzna, iż w rzeczywistości nie przeczytał ani słowa.

- Powiedziałbym, że to całkiem zajmująca lektura.

Jakże w stylu Archera był podobny blef!

Zanim jednak zdołała wymyślić pytanie demaskujące jego ignorancję, Morse oznajmił:

- Prawdę mówiąc, nie jestem najlepszego zdania o pułkowniku. Traktuje tego swojego szlachetkę w haniebny sposób. A kiedy zmusił Ralpa, by wziął za niego chłostę, miałem ochotę wskoczyć do środka książki i własnoręcznie udusić tego szubrawca.

Morse ściągnął brwi i zacisnął szczęki. Jego oburzenie było bez wątpienia szczere. Naprawdę przeczytał tekst, i do tego nie pozostał obojętny na jego treść.

To wzruszyło Leonorę.

Tymczasem oburzenie Morse'a w mgnieniu oka przerodziło się w melancholię.

- W swoim czasie poznałem wielu takich idiotów jak pułkownik Hudebras - oznajmił cicho. Po raz pierwszy tego ranka nie patrzył Leonorze prosto w oczy.

- Dla mnie ta postać jest równie nienawistna jak dla pana, sierżancie Archer - wyznała po chwili, siadając obok niego przy biurku. Doprowadzała ją do pasji wyrachowana pogoń Hudebrasa za pewną wdową, podjęta jedynie z powodu fortuny tej kobiety. Podobnie jak Morse, Leonora też poznała aż nazbyt wielu równie odrażających łajdaków. - Proszę czytać dalej, sierżancie, a dojdzie pan do miejsca, gdzie pułkownika spotyka zasłużona kara. Z pewnością spodoba się panu ten rozdział.

- Nie wątpię - odparł i zaczął kartkować książkę w poszukiwaniu wspomnianego miejsca.

- Czy zdziwiłby się pan, gdybym powiedziała, że dla autora postać Hudebrasa jest równie obmierzła jak dla pana i dla mnie? W zamierzeniu pana Butlera książka ta miała być satyrą na purytanów, którzy rządili Anglią po obaleniu króla Karola I.

Morse gwałtownie podniósł głowę znad książki.

- Czy chce pani powiedzieć, że swego czasu nie mieliśmy monarchy?

Wkrótce po tym pytaniu wywiązała się między nimi żywa dyskusja na temat angielskiej rewolucji, wojny domowej, protektoratu Cromwella i ostatecznej restauracji Stuartów. Potem przeszli do omówienia typowych cech satyry i jej źródeł w greckiej literaturze antycznej.

Leonora nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy Dickon - zapukawszy niepewnie do drzwi - wszedł do biblioteki, pytając, czy wraz z sierżantem zechcą w końcu spożyć śniadanie. Gdy spojrzała na zegar na kominku, ze zdumieniem spostrzegła, że dochodzi dziesiąta.

- Proszę mi W7baczyć. sierżancie Archer - wyjąkała. - Nie miałam pojęcia, że straciłam rachubę czasu. Musi pan umierać z głodu.

Morse zdawał się równie zdumiony.

- Rzeczywiście, jestem głodny - przyznał. - Chociaż, prawdę mówiąc, aż do tej chwili sam nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ma pani dar przekształcania suchej historii i rozwlekłych książek w fascynujące opowieści, panno Freemantle.

Popatrzył na nią z podziwem. Do niedawna uśpiona kobieca intuicja podpowiedziała Leonorze, że tym razem ten podziw jest jak najbardziej szczery.

W tym samym momencie zdała też sobie sprawę, że jego kolano przywiera do jej kolana. Jak długo siedzieli w ten sposób?! Nawet przez grubą tkaninę spódnicy i sukno spodni czuła ciepło jego ciała. A teraz fala tego ciepła ruszyła od kolana w górę uda.

Leonora niemal przewróciła krzesło, w pośpiechu odsuwając się na bezpieczną odległość.

- Czas najwyższy, byśmy udali się na śniadanie, zanim wszystko wystygnie lub spali się na węgiel - powiedziała, usi-

łując zapanować nad oddechem. - Obawiam się, że kucharka bardzo się na nas rozgniewa.

Umknęła do jadalni, zanim Archer zdołał cokolwiek na to odpowiedzieć. Gdy chwilę później pojawił się w jadalni, Leonora zdołała już częściowo odzyskać panowanie nad sobą. Była jednak wciąż zbyt wzburzona, by korygować jego manieri przy stole.

Kilka razy odezwał się z pełnymi ustami. Zjadł parę kęsów szynki wprost z noża. Przy kawie pochylił się nad stołem, opierając się na łokciach. Czy doprawdy nie zdołała go niczego nauczyć w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

Pomimo tych uchybień Leonora musiała przyznać, że to późne śniadanie było najprzyjemniejszym posiłkiem, jaki kiedykolwiek jadła w towarzystwie Morse'a.

Ścisłe rzecz biorąc, jaki jadła kiedykolwiek w życiu.

Morse Archer podjął wątek ich dyskusji i zasypywał ją mądrymi, trafnymi pytaniami na temat przyczyn wojny domowej i jej wpływu na szkocką rewolucję. Najwyraźniej z uwagą słuchał jej porannych wywodów i wiele zachował w pamięci. Co sprawiło, że lekcja tego dnia tak bardzo różniła się od wszystkich dotychczasowych?

Czy to może z powodu...?

Leonora nie mogła zaprzeczyć, że z najprawdziwszym skupieniem wsłuchiwał się w jej słowa. Od czasu do czasu patrzył na nią w szczególny, wnikliwy sposób. Czy to możliwe, że zainteresował się nią jako kobietą?

Gwałtownie ocknęła się ze swoich rojeń, gdy zdała sobie sprawę, że Morse coś do niej mówi. Doprawdy, od tej chwili będzie się musiała baczniej kontrolować.

- Pytałem, czy nie napiłaby się pani jeszcze odrobinę kawy. panno Leonoro.

- Ja... - W tym momencie nie zdołała wydusić z siebie ani

słowa więcej. Po raz pierwszy wypowiedział jej imię, a każda jego sylaba spływała z jego ust niczym najśłodszy, korzenny miód. Nigdy dotąd nie sądziła, że może brzmieć tak pięknie.

- Tak... po... poproszę - wykrztusiła w końcu, wbrew gwałtownym protestom drzemiącej w niej służbistej nauczycielki. Zaczęła pilnie poszukiwać jakiegoś lematu, który odwiódłby jej myśli od infantylnego zauroczenia Morse'em. Dobry Boże! Teraz już nazywała go po imieniu! - Mam nadzieję, że wuj Hugo nic odczuł boleśnie braku naszego towarzystwa przy śniadaniu - dodała, starając się nad sobą zapanować.

- Czyżby wuj nie poinformował pani o swoim wyjeździe do Londynu? Ach, oczywiście - nie zeszła pani wczoraj na kolację. Powiedział, że zabawi w stolicy kilka dni, aby pozajątwić pilne sprawy. Obawiam się więc, że do jego powrotu będzie pani skazana jedynie na moje towarzystwo.

Leonorę ogarnęła przedziwna lekkość -jakby była balonem zbyt szybko napełnionym helem. Próbowała jak najszybciej sprowadzić się na ziemię - jednak bez szczególnego sukcesu

- Sierzancie Archer, musimy natychmiast zabrać się do pracy. - Jakże nienawidziła tej błagalnej nuty w swoim głosie.

- Już nie mogę się doczekać. - Obszedł dookoła stół i odsunął jej krzesło.

Palcami musnął jej ramię. Czy zrobił to celowo, czy też stało się to przypadkiem? Tak czy owak, Leonora poczuła zawrót głowy i gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

Raz jeszcze zmusiła się do zapanowania nad sytuacją i własnymi zmysłami. Na całe jej dzieciństwo miały wpływ siły, których nie była w stanie kontrolować. Jednak przynajmniej mogła być wówczas panią własnych uczuć - chłodną i zdystansowaną - w odróżnieniu od swojej nierozsądnej i targanej namiętnościami matki.

Tymczasem teraz ten mężczyzna spojrzaniem, słowem czy dotykiem zagrażał tej jakże starannie wypracowanej równowadze i mógł cały jej świat postawić na głowie.

Gwałtownie wyrwała ramię z jego ręki.

- Musimy zająć się łaciną.

Kiedy powitał tę propozycję żalonym jękiem, wybuchnęła gniewem.

- Od samego początku ostrzegałam pana, że nie będzie to proste, sierzancie Archer! Pysznił się pan, że podoła zadaniu. Aż do dzisiejszego ranka nic na to nie wskazało. Jeżeli będzie pan przyswajał wiedzę w takim tempie, to zostaniemy wyśmiani w Bath. Pan nigdy nie ujrzy tej posiadłości w koloniach, ja zaś...

Szybko przygryzła wargi. To nie jego sprawa, jaką cenę będzie musiała zapłacić za własną nieudolność. Gdyby się dowiedział, z pewnością wykorzystałby władzę, jaką miał nad jej losem.

Na szczęście wypadł z jadalni, nie prosząc, by skończyła rozpoczęte zdanie. Najprawdopodobniej w ogóle go nie obchodziło, w jakiej sytuacji stawały ją warunki zakładu.

Zebrawszy w sobie dość odwagi, ruszyła sztywno w stronę biblioteki. Jak na jeden dzień poruszyli wystarczająco dużo sensacyjnych tematów. Pozostały czas poświęć na matematykę, martwe języki i takie przedmioty, które szybko zdławiają jej rosnące zainteresowanie Morse'em Archerem.

Poruszony bezlitosną krytyką, Morse do podwieczorku ucziwie koncentrował się na nauce. Ku własnemu zdziwieniu odkrył, że łacina opiera się na określonej logice. Natomiast z liczbami zawsze świetnie sobie radził, szczególnie gdy miały zastosowanie do rzeczywistych sytuacji.

Bez trudu umiał obliczyć, ile pocisków żołnierz może wy-

strzelić w określonym czasie i jak szybko musi maszerować kompania, by znaleźć się w danym miejscu o oznaczonej godzinie.

Tymczasem lekcje Leonory irytowały go głównie dlatego, że nie był w stanie zrozumieć, w jaki sposób mają w oczach świata uczynić z niego dżentelmena. Kilkakrotnie próbował jej to wytłumaczyć. Ona jednak za każdym razem wpadała w gniew, uznając, że w ten sposób Archer próbuje podważyć jej autorytet.

W tym względzie przypominała mu dwóch niekompetentnych oficerów, będących jego zwierzchnikami w Portugalii. Ich przerażająca głupota i uparte odmawianie przyjęcia rady od kogokolwiek niższego rangą w znacznym stopniu przyczyniły się do katastrofy, która zakończyła jego wojskową karierę.

I kosztowała życie porucznika Peverilla.

Morse podniósł głowę znad książki i ujrzał wpatrzone w siebie oczy Leonory. Świeżo wyrwany z myśli o młodym poruczniku, tym wyraźniej dostrzegł w jej twarzy niezwykle podobieństwo do kuzyna.

- Nigdy nie służyłem pod lepszym oficerem niż pani kuzyn.
- Zupełnie nie rozumiał, czemu wypowiedział te słowa.

Ku jego zdziwieniu Leonora nie kazała mu natychmiast zabierać się z powrotem do pracy. Nie spytała też, czemu akurat teraz wspomniał porucznika - a zrobił to po raz pierwszy od przyjazdu do Laurelwood.

- Kuzyn Wesley wspominał o panu w swoich listach. Myślę, że cieszyłyby się, iż jest pan teraz razem z nami.

Jej delikatna w rysunku broda zaczęła nieznacznie drżeć, a ukryte za binoklami oczy zasnuły się delikatną mgiełką.

Zazwyczaj Morse nie miał cierpliwości dla kobiecych łez i emocjonalnych wybuchów. Mimo to coś kazało mu zerwać się z krzesła i podejść do Leonory. Zaciśnął dłonie na jej ramionach.

- Proszę wybaczyć, że o nim wspomniałem. Doprawdy, nie chciałem pani zasmucić.

Najchętniej chwyciłby ją w objęcia, ale Leonora mu na to nie pozwoliła.

Wywinęła się spod jego dłoni, pomknęła na drugi koniec pokoju i zaczęła okazywać przesadne zainteresowanie widokami rozciągającymi się za oknem.

- Pracował pan dzisiaj bardzo pilnie, sierżancie. - Nie odwróciła się, by powiedzieć mu to prosto w oczy. - W nagrodę zwalnim pana z popołudniowych lekcji.

Jeszcze parę dni temu Morse powitałby podobną wieść wybuchem najszczęśliwszej radości. Teraz sklął się w duchu. To, co miało być nagrodą, zdało mu się nagle okrutnym wygnaniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Leonora słuchała oddalających się kroków Morse'a z uczuciem ulgi i żalu zarazem.

Gdyby poddała się ciepłemu dotykowi jego dłoni, gdyby natychmiast nie odprawiła go z pokoju, zapewne uległaby instynktowi. Pozwoliłaby chwycić się w ramiona i wypłakała na jego męskim, silnym ramieniu.

Myśl wydała się jej kusząca - przede wszystkim pobudziła jej ciekawość. Nie wiedziała, jakie to uczucie, gdy doznaje się pokrzepienia od innego człowieka. Jej matka zawsze sama tak bardzo potrzebowała wsparcia, że nie była w stanie udzielić go komukolwiek innemu. Leonora szybciej poddałaby się torturom, niż okazała najdrobniejszą słabość w obecności któregoś ze swoich znenawidzonych ojczymów. A kiedy zamieszkała w domu ciotki Harriet i wuja Hugona, była już zbyt dorosła, by okazywać słabość.

Jednak w zakamarkach pamięci majaczyło wspomnienie kojącego uścisku. Łączyło się z nikłym zapachem końskiej sierści i tytoniu. Dźwiękiem niskiego, ciepłego głosu. Delikatną szorstkością grubej tkaniny na jej policzku. Ten jeden, jedyny raz w życiu miała pełne poczucie bezpieczeństwa.

To wszystko zostało jej nagle zabrane, zanim zdołała zrozumieć dlaczego.

Od tamtej pory nauczyła się polegać jedynie na samej sobie, ale nie na wyglądzie - jak czyniły niektóre niemądre kobiety.

Z czasem najgładszą skórę pokryją zmarszczki. Najpiękniejsze oczy tracą blask. Najbardziej jedwabiste włosy przestaną być miękkie.

Inteligencja, determinacja i panowanie nad własnymi emocjami - takie walory zawsze wytrzymają próbę czasu. Nie są jedynie darami natury. Trzeba je w sobie wyrobić żmudną pracą i z dyscyplinowaniem.

Leonora porzuciła rozmyślenia i wówczas spostrzegła, że zaciska dłonie tak mocno, że aż paznokcie boleśnie wbijają się jej w skórę.

Miała szczerzy zamiar rozwijać te pożądane walory w innych młodych kobietach, którym los poskąpił uprzywilejowanej pozycji. W swojej szkole da im poczucie bezpieczeństwa, jakie niejasno pamiętała z lat wczesnego dzieciństwa.

Jak jednak kiedykolwiek zdoła otworzyć tę szkołę, jeśli nie uda się jej przekonać sierżanta Archera do bardziej wyteżonej pracy? Dzisiaj, co prawda, okazał pewną poprawę - przynajmniej w swoim nastawieniu. Ale czy to wystarczy?

- Och, Wes - wyszeptwała. Jeżeli duch jej kuzyna błąkał się jeszcze w świecie żywych, to jedynie tutaj, w Laurelwood. - Zdobyłeś jego przywiązanie i zrobiłeś z niego dobrego, zdyscyplinowanego żołnierza. Powiedz mi, gdzie popełniam błąd?

Oczywiście, nie oczekiwała żadnej odpowiedzi, bo była zbyt racjonalną osobą, by wierzyć w możliwość komunikacji ze zmarłymi. Mimo to miała niezachwiane przekonanie, że ze stylu dowodzenia swojego kuzyna Wesleya mogłaby się jeszcze wiele nauczyć. Czego jednak dokładnie - tego nie wiedziała.

- Znów tak wcześnie na nogach, sir? - zdziwił się Dickon, wręczając Morse'owi czajnik. - Jeśli wybaczy mi pan śmiałość, muszę przyznać, że to miła odmiana po tym, jak musiałem pana siłą ściągać z łóżka.

- Miła dla nas obu, Dickon - oznajmił Morse, po czym zabrał się za golenie, pogwizdując przy tym marszową melodię.

- Jeżeli mogę spytać, sir... - lokaj zanurkował do szafy w poszukiwaniu czystej bielizny dla Morse'a - ...co spowodowało taką zmianę?

Ręka z brzytwą znieruchomiła w pół gestu. Morse spojrział uważnie w lustro, jakby oczekiwał odpowiedzi od swojego odbicia.

Kiedy jednak mężczyzna w lustrze skopiował tylko jego własną, zdumioną minę, Morse wyjął:

- Hm... prawdę mówiąc... nie jestem pewien. - Szybko jednak odzyskał zimną krew i już różnym tonem dorzucił: - Pogodziłem się z nieuniknionym, jak sądzę. Zapewne też przywykłem do nowego rozkładu dnia. W szpitalu nie było sensu zrywać się wcześniej.

Dickon robił wrażenie usatysfakcjonowanego odpowiedzią - pokiwał głową i wrócił do swoich zajęć bez dalszych komentarzy.

Ponownie zabierając się za golenie, choć już mniej pewną ręką, Morse doszedł do wniosku, że sam nie jest przekonany takim wyjaśnieniem sprawy. Pogodzenie się z nieuniknionym nie mogło wyjaśniać szczególnie lekkiego kroku i radosnych melodii, które zaczął pogwizdywać pod nosem. Tej niewytłumaczalnej ochoty, z jaką zaczynał nowy dzień, nie dało się przypisać jedynie przyzwyczajeniu do nowego rozkładu dnia.

Nie przestał się nad tym zastanawiać w trakcie ubierania. Złapał się na tym, że walczą w nim dwa sprzeczne impulsy. Jeden kazał się spieszyć, bez namysłu wciągnąć ubranie i pędzić na dół najszybciej, jak to możliwe. Drugi doradzał cierpliwość. Niech Dickon raz jeszcze starannie wyglansuje mu buty, by na porannych lekcjach wyglądał najlepiej, jak się da.

Gdy wreszcie ruszył w stronę biblioteki, naszała go niepoko-

jąca myśl. Gdyby nie znał siebie lepiej, mógłby podejrzewać, że chce wyrzucić jak najkorzystniejsze wrażenie na Leonorze Freemantle.

Na szczęście wiedział, że to zupełna bzdura.

Po pierwsze, już od dawna przestał zabiegać o względy jakichkolwiek kobiet. Kobiety, które mu się podobały, przyciągał i zdobywał bez najmniejszego wysiłku.

Co prowadziło do kolejnego, logicznego wniosku: Leonora Freemantle nie należała do kobiet, w jakich gustował. Była zbyt uczona. nazbyt uparta.

Stanowiła szczególne wyzwanie.

Czy doprawdy pomyślał coś* podobnego? Gdy sobie to uświadomił, aż zatrzymał się na schodach. Do tej pory wyzwania i nowe przygody stanowiły siłę napędową jego życia. Jednak nie w przypadku kobiet!

A poza tym. jakim cudem panna Freemantle mogłaby się zainteresować takim mężczyzną jak on? Niewykształconym. Pochodzącym z niewłaściwej sfery.

Nawet gdyby ona przypadła mu do gustu - chociaż, oczywiście, w żadnym razie tak nie było - nie mógłby sobie pozwolić na romans z kobietą o wyższym statusie społecznym. Już nigdy więcej.

Takie rozważania snuł Morse jeszcze wtedy, gdy wchodził do biblioteki - wciąż niepewny, czy powinien podsycać w sobie nowo rozbudzony entuzjazm do nauki, czy też wręcz przeciwnie, jak najszybciej go zdusić.

- Tak wcześnie dwa dni z rzędu, sierżancie Archer? - Głos Leonory go zaskoczył. A może podniecił? - Czemu przypisać tak niezwykle rozwój sytuacji?

Morse poczuł, że pałą go policzki. Być może to podrażnienie mydłem do golenia.

Nie. Chyba jednak coś innego. Jak na godnego przeciwnika

przystało, Leonora sprytnie wykorzystała jego własną taktykę. Poprzedniego dnia przypuścił niespodziewany atak, wykorzystując przewagę osiągniętą wcześniejszym pojawieniem się na polu bitwy. Leonora nie zamierzała pozwolić mu na zajęcie tak dogodnych pozycji przez dwa dni i rządu.

Wbrew woli na ustach pojawił mu się uśmiech podziwu. Morse przypomniał sobie słowo, którego niekiedy używał porucznik Peverill, gdy przeciwnik okazał się bardziej przebiegły, niż można się było spodziewać. *Touche*

Touche, panno Freemantle. Doprawdy, *touche*.

Nieco zbyt późno Morse usiłował pokryć zmieszanie gniewnym spojrzeniem.

- Czemu jestem wcześniej? Może dlatego, że bardzo zależy mi na wygraniu tego zakładu z sir Hugonem. Czy wyobraża pani sobie, co dla człowieka takiego jak ja może oznaczać rozpoczęcie nowego życia w koloniach?

Leonora postąpiła parę kroków naprzód, tak że znalazła się w mdłym świetle pojedynczej świecy. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości: czekała, żeby go zaskoczyć. Jej uśmiech - tak rzadki i nieoczekiwany - natychmiast złagodził jego irytację.

- Myślę, że doskonale rozumiem, co to może oznaczać, sierżancie. Dlatego właśnie podsunęłam to rozwiązanie mojemu wujowi. Mam nadzieję, że wiedza i umiejętności, które zamierzam przekazywać dziewczętom w mojej szkole, otworzą przed nimi równie korzystne perspektywy.

Gdy do Morse'a w pełni dotarło znaczenie jej słów, miał wrażenie, że zaraz się zadławi.

- To pani zasugerowała sir Hugonowi, by oferował mi majątek w koloniach?

Skinęła głową.

- Ktoś musiał to zrobić. Wuj jest najhojniejszym człowie-

kiem na świecie, ale niekiedy bywa nieznośnie samolubny. Choć samolubny" nie jest tutaj dobrym słowem. Czasem brak mu po prostu wyobraźni, kiedy trzeba zrozumieć potrzeby innych. - Zniżyła głos do szeptu. - Nie może pojąć, czemu mieliby chcieć czegoś innego niż to, co sam dla nich umyślił.

A czegoż to sir Hugo mógł chcieć dla swojej wyzwolonej krewnej, czego ona sama sobie nie życzyła? Morse zaczął poważnie rozważać tę kwestię.

Leonora, która przez chwilę robiła wrażenie osoby pogrążonej we własnych myślach, nagle znów wróciła do rzeczywistości. Zarumieniła się gwałtownie i Morse zauważył tę różną poświęcę na jej policzkach mimo skąpego światła.

Dostrzegł też kilka innych szczegółów.

Na przykład tęskny błysk w szarzielonych oczach. A może to jedynie ciepły odcień zieleni sukni tak szczególnie podkreślał kolor oczu? Tego dnia po raz pierwszy widział ją w stroju innej barwy niż jakiś ciemnobure ponuractwo. Jasne odcienie o wiele lepiej pasowały do jej cery i kolorytu.

Czemu ta kobieta robiła wszystko, by wyglądać nieatrakcyjnie, podczas gdy w rzeczywistości...

- Sierzancie Archer'

Morse nagle zdał sobie sprawę, że wymówiła jego nazwisko już po raz drugi.

- Przepraszam. Zamyśliłem się. To zapewne z powodu tak wczesnej pory. Mówiła pani...

- Mówiłam, że chyba już najwyższy czas zabrać się do nauki. O ile. oczywiście, chcemy mieć jakiegokolwiek szanse na wygranie tego zakładu.

- Tak, oczywiście - odparł Morse, ogarnęło go jednak niemiłe wrażenie, że traci panowanie nad sytuacją i nad samym sobą. W tym momencie przypomniał sobie o swej tajnej broni.

Żwawym krokiem ruszył w stronę biurka, bardzo starając się

nie powłóczyć przy tym nogą. Z rozmachem odsunął krzesło Leonory i gestem zaprosił ją, by usiadła.

- Jeśli mam być szczerą, panno Leonoro, zakład z pani wujem nie jest jedynym powodem, dla którego z taką ochotą zabieram się tego ranka do pracy.

Rzuciła mu nieufne spojrzenie, ale zajęła wskazane miejsce.

- Doprawdy? A jakież są te inne powody?

Morse usiadł tam gdzie zwykle. Pochylił się w stronę Leonory i rzekł cichym, miękkim głosem, mającym sugerować pewną zażyłość:

- Czy naprawdę nie zgadujesz... Leonoro?

Lekkim sapnięciem zdradziła, że nie uszedł jej uwagi brak słowa „panna” przed imieniem i to, co owo pominięcie sugerowało.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Morse sam sobie odpowiedział:

- Tylko ostatni dureń by się nie cieszył na możliwość spędzenia dnia w towarzystwie tak porywającej dziewczyny.

Wewnętrzny głos ostrzegł Morse'a, że to pochlebstwo prawie ujawnia jego prawdziwe odczucia.

Jednak już następna myśl wyparła z głowy wszystkie pozostałe. Co zrobi, jeżeli Leonora zareaguje na tę uwagę tak jak na jego poprzednie wybryki - odeśle go bądź sama ucieknie?

Przecież na tym polegał jego pierwotny plan, czyż nie? No tak. ale teraz wolałby, żeby plan poniósł fiasko.

Na szczęście, ku jego ogromnej uldze, Leonora przyjęła te popisy kpiącym uniesieniem brwi i śmiałym potrząśnięciem głowy.

- Doprawdy, sierzancie, muszę nakazać panu więcej pracy ze słownikiem. Kobieta dwudziestosied... kobieta w moim wieku w żadnym razie nie może już uchodzić za dziewczynę.

Ponownie *touche*, Leonoro. *Touche*

- To może i racja. Jakiż jednak mężczyzna przy zdrowych zmysłach tęskniłby za towarzystwem nieopierzonej dzierlatki?

Morse szybko chwycił za podręcznik do łaciny, nagle tracąc ochotę na drażnienie tematu. Nie chciał znowu jej splotoszyć.

Dlaczego romantyczne zapędy mężczyzn wprawiały ją w zakłopotanie? Złość czy uraza byłyby zrozumiałe, natomiast ta przepełniona strachem reakcja zdumiewała go i intrygowała zarazem.

Podobnie jak ta kobieta.

Chociaż najwyraźniej nie w smak jej była ta rozmowa, Leonora Freemantle nie mogła się oprzeć chęci skomentowania jego wywodu.

- Z mojego doświadczenia wynika, że nieopierzona dzierlatka jest dokładnie tym, czego pożąda zdecydowana większość mężczyzn. Teraz jednak zrobiłby mi pan wielką przyjemność, gdyby zechciał otworzyć podręcznik na stronie czterdziestej trzeciej, sierżancie Archer. Może pokusimy się o drobne tłumaczenie Liwiusza.

Buntując się w duchu, że ostatnie słowo w kwestii męskich gustów miałyby należeć do Leonory. Morse mruknął pod nosem:

- Zdecydowana większość głupców.

Powiedział to takim tonem, jakby niemal sam w to wierzył.

Oczywiście Morse wcale tak nie myślał.

Leonora powtarzała sobie tę niezbitą prawdę kilkakrotnie, podczas gdy sierżant mozolnie borykał się z tłumaczeniem.

Mimo to cieszyła się, że powiedział coś podobnego, nawet jeżeli jego słowa nie były szczerze.

Ileż to razy w jej dziewczęcych latach matka powtarzała, by przestała wtykać nos w książkę, inaczej nigdy nie znajdzie sobie męża?

Za każdym razem Leonora zaciskała wargi, by nie wymknęła się jakąś niegrzeczna odpowiedź. Jeżeli ostatni mężowie matki byli reprezentatywni dla grupy mężczyzn, których mogłaby poślubić, wołałaby nigdy w życiu nie mieć z kimś podobnym do czynienia.

Matka nigdy się nie zorientowała, że Leonora przyjmowała jej przestrogi jak najcenniejsze rady. Jeżeli tylko przed czymś ją ostrzegała - czy to nietwarzowymi strojami, czy noszeniem binokli bądź czytaniem książek - Leonora natychmiast za to się zabierała. Za wszelką cenę pragnęła unikać w życiu zamążpójścia.

Mimo to niekiedy tęskniła za piękną suknią czy okazjonalnym tańcem w czasie balu. A nawet od czasu do czasu za pustym pochlebstwem wypowiedzianym przez przystojnego mężczyznę.

Ku własnemu niezadowoleniu złapała się na tym, że nachyla się nad szerokimi ramionami Morse'a i pomaga mu w tłumaczeniu, gdy się zacinał. Subtelny zapach mydła do golenia i głębokoci, ciepły ton jego głosu pobudzały zmysły.

Miała ochotę pochylić się jeszcze niżej i dotknąć jego gęstych, kasztanowych włosów. Może przejechać po nich dłonią, a może otrzeć się o policzek?

Jak by wówczas zareagował? Czym by jej odpłacił?

Niewątpliwie Morse Archer wykazał więcej zainteresowania jej osobą niż jakikolwiek inny mężczyzna. Jeszcze zanim to spostrzegła, zaczęła wprowadzać pewne poprawki do swojego wygłądu. Ostatecznie, pomijając szybko gojącą się ranę nogi, był to zdrowy, pełen energii i wigoru mężczyzna, na dodatek przez długi czas pozbawiony towarzystwa kobiety. Mężczyzna, którego wcale nie bałaby się poślubić.

Ta myśl zaparła jej dech w piersiach.

Przecież ostatecznie był to jeden z warunków zakładu z wu-

jem. Chciał pokonać jej niechęć do zamażpójścia. Jeżeli razem z Archcrem nie odniosą sukcesu, będzie musiała poślubić kogoś przygłupiego arystokratę, którego wybierze dla niej sir Hugo.

Zdjęta obrzydzeniem, próbowała zmienić bieg myśli. Na próżno. W tej sytuacji Leonora postanowiła pójść z samą sobą na kompromis.

Wuja Hugona nie będzie przez kilka następnych dni. Tak więc - pomijając służbę - razem z Morse'em będą mieli Laurelwood do swojej wyłącznej dyspozycji. Być może dziś wieczorem po obiedzie zaprosi go na kieliszek porto do salonu. Zamiast zajmować się nauką, po prostu porozmawiają. O jego życiu w szeregach armii, o planach na przyszłość. Leonora poczuła, że chciałaby się dowiedzieć wszystkiego o tym mężczyźnie.

Może zagra dla niego na fortepianie. Oczami wyobraźni ujrzała, jak Morse siada obok niej bądź pochyła się nad jej ramieniem, by czytać słowa pieśni ze śpiewnika.

Z jej ust wyrwało się głośne westchnienie.

- Czy coś nie w porządku? - zainteresował się Morse, unosząc głowę znad książki.

Leonora wiedziała, że natychmiast powinna się wyprostować. Odsunąć od niego. Postąpić w tył kilka kroków. Ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

Wciąż pochyłała się nad jego ramieniem. W takiej pozycji nie mogli wytrwać dłużej niż kilka sekund, ale Leonora zrozumiała to dopiero trochę później. W owej chwili, gdy Morse partrył jej prosto w oczy, musiała bardzo się pilnować, by nie przycisnąć warg do jego ust.

Nieśmiałe pukanie do drzwi zabrzmiało w jej uszach niczym kanonada

Zdjęta wstydem, odskoczyła od Morse'a i zawołała nienaturalnie wysokim głosem:

- Tak! O co chodzi?

Dickon uchylił drzwi i wetknął w nie głowę.

- Proszę wybaczyć, panienko, ale wydała mi pani polecenie, bym zapukał, jeśli pani i sierżant Morse nie pojawicie się na śniadaniu do dziewiątej.

Czy doprawdy powiedziała coś podobnego? Miała taki mętlik w głowie, że za nic nie mogłaby ręczyć.

- Dziękuję, Dickon - odparła. - Za moment zjawimy się w jadalni.

Morse podniósł się z krzesła i przeciągnął z całej siły. Gdy Leonora ujrzała, jak jego mięśnie prężą się pod obcisłą tkaniną spodni, poczuła suchość w ustach. Tak wielu rzeczy nie wiedziała na temat mężczyzn i aż do tego tygodnia wcale nie pragnęła ich poznać. Teraz natomiast jej rozbudzona ciekawość zdawała się nie mieć granic.

- Myślę, że doskonale zrobi pani pożywne śniadanie i filiżanka mocnej herbaty - oznajmił Morse, posyłając jej zatroskane spojrzenie. - Wydaje się pani jakaś nieswoja.

Niewiele brakowało, a głośno przyznałaby mu rację

Tego ranka rzeczywiście nie była sobą. W każdym razie nie tą osobą, którą pokazywała światu od ponad dwudziestu lat.

Kierując się śmiałym impulsem, dotknęła ramienia Morse'a.

- Czuję lekki zawrót głowy - oznajmiła i bynajmniej nie skłamała. - Czy byłby pan tak miły i służył mi ramieniem w drodze na śniadanie?

Ta prośba całkowicie go zaskoczyła.

- Oczywiście... nie widzę... najmniejszych przeszkód - rzucił w końcu.

- Musi pan zdecydowanie podszlifować swoje umiejętności konwersacji, sierżancie. Uprzejma odpowiedź na podobną sugestię damy powinna brzmieć: „Będę zaszczycony, panno Freemantle”.

Pełen zakłopotania uśmiech dodał mu chłopięcego uroku.

- Ja w rzeczy samej jestem zaszczycony, panno Leonoro. I z największą przyjemnością oddaję się do pani usług.

Leonora wybuchnęła śmiechem. Pierwszy raz od ilu to lat"

- Potrafisz być niezwykle bystrym uczniem, jeżeli tylko zechcesz. Morse.

Jego imię wymknęło się z jej ust. nim na dobre zdała sobie sprawę z tego, co mówi. Jednak zabrzmiało niezwykle swojsko.

Na szczęście sierżant Archer powstrzymał się od komentarza. Odsunął przed nią krzesło i upewnił się, że siedzi wygodnie, zanim sam zajął miejsce naprzeciwko.

Potem z apetytem zabrał się do jedzenia. Leonora natomiast zupełnie straciła ochotę na jedzenie. Być może to dziwne uczucie, którego doświadczała, było po prostu symptomem jakiegoś fizycznego niedomagania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wygląda pani... uroczo, panno Freemantle.

Patrząc na schodzącą po schodach Leonorę, Morse pogratulował sobie w duchu powściągliwości.

Miał ochotę uraczyć ją o wiele bardziej kwiecistym komplemencem. Powiedzieć, że różowy odcień sukni pięknie uwydatnia rumieńce na jej policzkach. Wspomnieć o tym, jak światło świec rozbłyśka złotem i miedzią na jej luźno upiętych lokach.

Coś jednak kazało mu się mieć na baczności. Tego wieczoru bardzo nie chciał jej spłoszyć.

- Miło mi to słyszeć, sierżancie Archer.

Czy jedynie mu się zdawało, czy rzeczywiście wyprostowała ramiona i uniosła wyżej głowę?

Obdarowała go uśmiechem i posłała przeciągłe spojrzenie spod długich, gęstych rzęs. W tym momencie każdą inną kobietę Morse natychmiast posądziłby o płochość lub niewieście fortele.

- Przypadłość, która trapiła mnie dzisiejszego ranka, bez wątpienia ustąpiła.

- Nic potrzebuje już pani mojego ramienia? - spytał Morse, wysuwając jednak w jej stronę zgięty łokieć.

- Rzeczywiście, nie potrzebuję - odparła z nutką wesołości w głosie. - Czy mimo to mogę się na nim oprzeć tylko dlatego, że mam ochotę?

Morse rozpromienił się w uśmiechu.

- To najlepszy powód na świecie.

Wkroczyli do jadalni, gdzie wielki, mahoniowy stół był tym razem nakryty zupełnie inaczej niż w czasie poprzednich posiłków. Zazwyczaj sir Hugo zajmował miejsce u szczytu stołu, a Leonora i Archer siadywali naprzeciwko siebie w połowie jego długości. Tego wieczoru nakrycia ustawiono po tej samej stronie, w pobliżu kominka.

Morse odstawił dla Leonory krzesło zwykle zajmowane przez sir Hugona.

- Ależ tu dziś przytulnie - zauważył.

Rozkładając serwetkę na kolanach, Leonora oznajmiła, nie podnosząc jednak głowy:

- Uznałam, że podczas nieobecności wuja możemy sobie pozwolić na pewną swobodę. Po dzisiejszej wytężonej pracy zasłużył pan na przyjemny wieczór.

Tłumiąc westchnienie satysfakcji, Morse zajął swoje miejsce. A więc ta płochliwa klaczka wreszcie ochoczo jadła mu z ręki.

- Nie wyobrażam sobie przyjemniejszego sposobu na spędzenie wieczoru niż w pani towarzystwie, panno Freemantle.

- Szlifuje pan swoje umiejętności konwersacyjne?

Morse uśmiechnął się szeroko.

- Powiedziała pani, że powinienem.

Spojrzał na ustawiony przed nim talerz z rybą, po czym zaczął niepewnie przebiegać wzrokiem po widelcach leżących obok nakrycia.

Z przesadną pieczołowitością Leonora uniosła jeden z nich.

- Proszę zawsze zaczynać od widelca położonego najdalej od talerza, a potem kolejno korzystać z następnych sztuczków. W razie wątpliwości może pan dyskretnie sprawdzić, co robią współbiesiadnicy. A teraz już dość nauki na dzisiejszy wieczór. Proszę opowiedzieć mi coś o sobie, sierżancie. Wiem jedynie, że służył pan pod komendą kuzyna Wesleya w Brygadzie

Strzelców z Somerset. Czy oznacza to, że urodził się pan i wychował w tych stronach ?

- A jakże... to znaczy, tak jest. panno Freemantle. Niedaleko Pocklington. Archerowie mieszkali w tych okolicach, od kiedy sięga pamięć ludzka. Pochodzę jednak z całkiem innej rodziny niż pani - nigdy nie mieszkaliśmy we wspaniałym dworcu. nie podróżowaliśmy do pięknych miast - do Londynu zimą czy do Bath na wiosnę. Tkwiłiśmy wciąż na tej ziemi. Ja pierwszy z całej rodziny opuściłem rodzinne strony.

- Proszę nie traktować zasiedziałości w jednym miejscu tak pogardliwie, sierzancie. Wielu ludzi mogłoby panu pozazdrościć, że istnieje miejsce, które może pan nazywać swoim gniazdem.

- Gdyby je ujrzeli na własne oczy, nigdy by mi go nie pozazdrościli.

Morse wypowiedział te słowa ze śmiechem, nie zdołał jednak ukryć nuty goryczy. Nędzne domostwo ubogich dzierżawców - przesiąknięte zapachem stechlizny i pełne przeciągów, które niewątpliwie przyczyniły się do śmierci jego trzech małych siostrzyczek - bez trudu zmieściłoby się w obszernej jadalni Laurelwood.

- Czy właśnie dlatego zaciągnął się pan do wojska? By znaleźć się jak najdalej od Somerset?

- Można tak powiedzieć. Była to dla mnie szansa uwolnienia się od przeszłości. Nie sądzę jednak, by pani mogła to zrozumieć, panno Freemantle.

Odłożyła widelec i czekała, aż służąca wymieni talerze, po czym powiedziała:

- Zapewne rozumiem lepiej, niż mógłby pan sobie wyobrazić. Osobiście zazdroszczę każdemu, kto nie ma ochoty uciec od własnej przeszłości.

Szerokim gestem dłoni Morse powiódł po draperiach z ada-

maszku, marmurowym kominku i wypolerowanych meblach ze szlachetnego drewna.

- Czemu ktoś chciałby uciekać od tego wszystkiego?

Posłała mu przeciągłe spojrzenie, którego wymowy nie umiał zinterpretować, po czym uśmiechnęła się przelotnie.

- Doprawdy czemu? Ale dość już o tym. Jeżeli nie ma pan ochoty rozwodzić się nad swoim dzieciństwem, sierżancie, może zechce mi pan opowiedzieć o służbie w Brygadzie Strzelców. Kiedy pan poznał mojego kuzyna, Wesleya?

Pragnąc jak najszybciej uwolnić się od bolesnych wspomnień, Morse ochoczo podchwycił pytanie.

- W Indiach - odparł. - Czyżby porucznik nigdy nie opowiadał pani tej historii?

O dziwo, rozmowa o przygodach, które przeżył wspólnie z porucznikiem w Indiach, nie sprawiała mu bólu. Może dlatego, że wówczas młody oficer był jeszcze pełen życia i miał przed sobą wiele pięknych lat. A może wynikało to z faktu, że - podobnie jak on - jego słuchaczka także darzyła swojego kuzyna głębokim uczuciem. Ciekawe, czy zdołałby ją nakłonić, by opowiedziała mu coś o ich wspólnym dzieciństwie.

Przysłała na to całkiem ochoczo.

W ten oto sposób minął jeden z najprzyjemniejszych posiłków, jakie Morse spożył w życiu. Opowiadał o wojskowych przygodach, a Leonora okazała się nawet dużo lepszą słuchaczką niż Dickon. Sposób, w jaki na niego patrzyła, jej inteligentne pytania i trafne komentarze sprawiały, że czuł się dumny ze swoich skromnych osiągnięć i drobnych zwycięstw.

Gdy opisywała dawno minione letnie miesiące spędzane na wsi w towarzystwie swojego kuzyna, niemal czuł się współuczestnikiem ich radosnych eskapad.

Z żalem więc patrzył, jak służąca sprząta ze stołu ostatnie talerze, bo oznaczało to, że ich uroczy posiłek dobiegła końca.

Leonora jakby czytała w jego myślach.

- Wiem, że jutro musimy wstać bardzo wcześnie, by kontynuować naukę. Gdyby jednak zechciał pan przejść ze mną do salonu, mogłabym zagrać coś dla pana na fortepianie. Ostatecznie dżentelmen powinien pogłębiać wiedzę muzyczną.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności.

Morse złapał się na tym, że znów wpatruje się w dłonie Leonory. Miało się tak zresztą zdarzyć jeszcze wiele razy w ciągu tego wieczoru.

Zawsze lubił miłe dla ucha melodie, ale nigdy wcześniej nie słyszał takiej muzyki. Szczupłe palce Leonory tańczyły na klawiszach z kości słoniowej, wydobywając bogate, harmoniczne dźwięki - niektóre smutne, niektóre upojne, wszystkie jednak chwytające Morse'a za serce. Niekiedy Leonora zdawała się całkiem nieświadoma jego obecności - jakby bez reszty zatopiła się w wypełnionym cudownym echem świecie własnej sztuki. Kiedyś przypuszczał, że Leonora jest całkiem pozbawiona namiętności - teraz wiedział już, że to nieprawda.

Gdy przebrzmiały ostatnie akordy, oboje jakby się przebudzili.

Leonora podniosła wzrok znad klawiatury, a policzki pokrył jej ciemny rumieniec.

- Obawiam się, że zanudziłam pana na śmierć, sierżancie.

- Ależ skąd - próbował znaleźć słowa, które choć w połowie oddawałyby podziw dla jej talentu, jednak na próżno. - W żadnym razie.

Ostatecznie był tylko prostym żołnierzem. Przynależał do innej sfery - zwykły sługa wyższej szarży. Jakże mógłby więc należycie docenić prawdziwe uroki tak wyrafinowanych przyjemności, jak nauka i sztuka?

Pochylając się nad pulpitem z nutami, Leonora oznajmiła przepaszającym tonem:

- Znam również bardziej skoczne melodie - stare ballady i tym podobne. Nie zechciałby pan spojrzeć, czy w tym śpiewniku nie ma czegoś dobrze panu znajomego? Moglibyśmy zaśpiewać w duecie.

Przesunęła się, by zrobić dla niego miejsce.

- Większość znanych mi melodii to piosenki wojskowe lub biesiadne. Rozdarty pomiędzy niechęcią a wielkim pragnieniem wspólnego muzykowania, Morse wstał jednak z fotela i dołączył do Leonory przy fortepianie.

- A co pan powie na to?

Wystarczyło, że zagrała kilka pierwszych nut, a Morse wykrzyknął radośnie:

- To Merry Milkmaids! Dobrze znam tę piosenkę.

Zaczął śpiewać, a po chwili przyłączyła się do niego Leonora. Gdy skończyli, zagrała kolejną popularną melodię, a potem jeszcze następną.

Większość z nich opowiadała o miłości, zauważył w duchu Morse, i nagle bardzo wyraziście uświadomił sobie, że jego noga silnie przywiera do nogi Leonory.

„Amarillis lubemu przykazywała, by w miłości był szczery, i nic nie udawał”.

Te słowa obudziły w nim wyrzuty sumienia, jednak Morse szybko je odrzucił. Nigdy nie twierdził, że kocha pannę Freemantle. Gdy zaś chodzi o jego fałszywe zaloty - ogarniało go przerażające przecucie, że zaczynają być one coraz bardziej szczerze.

- Amarillis lubemu przykazywała... - podśpiewywała Leonora radośnie, pospiesznie wracając do Laurelwood ze swoich środowych zajęć w wiosce. Miała wyrzuty sumienia, że tego wieczoru puściła dziewczęta dużo wcześniej niż zazwyczaj, doszła jednak do wniosku, że niczego by ich nie nauczyła, gdy jej myśli wciąż uciekały od tematu lekcji.

Jeżeli Morse jeszcze się nie położył, może dołączyłby do niej w salonie i znowu wspólnie by pomuzykowali. Albo może dla odmiany przeczytałaby mu angielski przekład *Don Kichota* czy też jedna, z tych zajmujących powieści autorstwa pana Scotta.

Poczuła, jak na myśl o dzieleniu z nim ławki przy fortepianie kulz szeszlonga. ogarnia ją fala gorąca. Przyspieszyła kroku.

Zeszły wieczór spędzili tak przyjemnie! W rezultacie dzisiejszego ranka Morse był o wiele bardziej skupiony i zaangażowany w czasie lekcji. Jej zaś tak bardzo zależało na wygrananiu zakładu, że była gotowa wykorzystać każdą nadarzącą się sposobność'. Nie wyłączając niebezpiecznie pociągającego, pochlebającego jej zachwyty okazywanego przez. Morse'a Archi

Leonora weszła przez boczne drzwi i położyła torbę z książkami na niewielkim stoliku w holu. Ściągnęła kapelusz i rękawiczki, nasłuchując przy tym dźwięków mogących jej zdradzić miejsce pobytu Morse'a.

Zajrzała do salonu, ale nie zastała tam nikogo. Biblioteka również okazała się pusta.

- Czy sierżant Archer udał się już na spoczynek? - zapytała w końcu pokojówkę Maudie.

- Nie wydaje mi się, panienko - odparła dziewczyna, wbijając wzrok w wyłożoną dywanem podłogę.

- Nie ma go nigdzie na parterze. Może więc wyszedł na przechadzkę?

- Nie, panienko. Jestem całkiem pewna, że nie opuszczał domu.

Czy ta dziewczyna przypadkiem nie próbowała czegoś ukryć?

- Nie ma go na dole. Nie poszedł do łóżka. Nie wychodził na dwór. Zdałaś mi dość dokładną relację z tego, gdzie nie ma sierżanta Archera. Maudie. Może teraz więc - dla odmiany - będziesz łaskawa zdradzić mi, gdzie on się znajduje - powiedziała Leonora o wiele ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

Pokojówka cofnęła się o krok i gwałtownie zamrugała.

- Cóż, panienko, może jest w zachodnim skrzydle razem z Dickonem. Niekiedy chadzają tam w te wieczory, gdy panienka bywa w wiosce.

- Doprawdy? - Będzie musiała powiedzieć kilka słów do słuchu Morse'owi na temat bratania się ze służbą. - Nie rozumiem, czemu nie powiedziałaś mi tego od razu. Dziękuję, Maudie.

- Bardzo proszę, panienko. - Dziewczyna dygnęła i szybko czmychnęła do kuchni, jakby w obawie przed dalszymi pytaniami.

Nie ściągając płaszcza. Leonora chwyciła lichtarz, by oświetlić sobie drogę do pogrążonego w ciemnościach i wilgoci zachodniego skrzydła. Większość pokoi w tej części domu nie była otwierana od dziesięciu lat, kiedy to w Laurelwood niepodzielnie królowała ciotka Harriet, raz po raz organizująca przyjęcia i spotkania towarzyskie.

Leonorze zdawało się, że jej ciche kroki niosą się głośnym echem.

Na końcu korytarza dojrzała w końcu światło wydobywające się zza półotwartych drzwi. Usłyszała też przytłumione, męskie głosy.

Zanim w ten sobotni wieczór Dickon wyciągnął go do zachodniego skrzydła, Morse snuł się z ponurą miną po Laurelwood. Ponieważ Leonora udała się na swoją cotygodniową tajemniczą wyprawę do wioski, był zmuszony zjeść obiad w samotności. Z jakiegoś powodu duszona wołowina zdawała mu się pozbawiona smaku. Nawet jego ulubiony, migdałowy pudding nie poprawił mu apetytu.

Po obiedzie zawędrował do salonu, gdzie zagrał kilka nut na fortepianie. Jednak bez Leonory nie było to przyjemne. Nerwowo zerknął na zegar na kominku, zastanawiając się, kiedy Leonora wróci wreszcie do domu.

Potem zaś westchnął głęboko. Czy z zadowolenia? Od kilku dni Laurełwood spełniało wszystkie marzenia, które snuł od chwili, gdy otrzymał propozycję sir Hugona.

A może poczuł żal, że - wcześniej czy później - będzie musiał się pożegnać z tym idyllicznym życiem?

- Ach, tu pan jest, sir. - Dickon wkroczył do salonu, trzymając pod pachą obiecująco wyglądający dzban, a w drugim ręku przykryty serwetką koszyk, z którego wydobywały się apetyczne aromaty. - Czyżby zapomniał pan, jaki mamy dziś dzień?

- W żadnym razie, Dickon. - Morse zmusił się do kordialnego tonu. Oczywiście, doskonale pamiętał, że była sobota. Tyle że całkiem zapomniał o spotkaniu z lokajem.

- Kucharka dała mi dwa znaczne placki z dziczyzną na nasze świętowanie. - Rumiana twarz Dickona aż pokraśniała z radości. - Ona to by panu z ręki jadła, sierżancie. Nigdy nie widziałem, by ktoś sobie lak świetnie radził z upartymi niewiastami, sir.

Bez wątpienia uważał, że obdarzył go wspaniałym komplemmentem. Tymczasem z jakiegoś powodu Morse poczuł się nieswojo.

- Masz coś odpowiedniego do popłukania gardła po tych plackach? - zagadał szybko.

Prawdę mówiąc, pijacki wieczór w towarzystwie Dickona nie wydawał mu się już tak atrakcyjny jak jeszcze kilka dni temu.

Chociaż nie mógł pojąć dlaczego.

- Mam znów ten tęgi cydr. sierżancie - Dickon spojrzał miłośnie na dzbanek. - Ostatnio wprawił pana w wyborny nastrój i wyleczył pana ze słabości do przydługiego snu.

- A więc to wyśmienite lekarstwo - odparł Morse. zmuszając się do śmiechu, gdy wchodzili obaj po schodach. Niech tam. Przynajmniej jakoś spędzi ten wieczór. Być może na dodatek cydr okaże się równie dobrym medykamentem na dziwną, nieznaną przypadłość, jaka nękała go w ostatnich dniach.

Rozsiedli się wygodnie w saloniku - niewiele większym od gospodarskiego schowka. Gdy Dickon zabrał się za rozpalanie w kominku, obaj raz po raz pociągali po łyku trunku, by się nieco rozgrzać. Niedługo potem ciepło rozlało się po ciele Morse'a, nie umiałby jednak powiedzieć, czy przyczynił się do tego kominek, czy raczej mocny alkohol. Ten cydr był rzeczywiście dobrze uleżały.

Dickon odchylił się na krzesło i pociągnął potężny haust z dzbanka.

- Och, doskonały napitek! Choć niektórzy gadają, że ciążu szkodzi, i przyznać muszę, że cydr mego własnego dziada w końcu zabił.

Zanim Morse zdołał wypowiedzieć słowa współczucia, młody lokaj poczęstował go potężną sójką pod żebra.

- Ale dopiero po dziewięćdziesięciu latach życia! - Podrzucił swoją wielką głową i wybuchnął głośnym śmiechem.

Morse mu zawtórował, chociaż, żebra wciąż go bolały. Zerknął w stronę okna, żałując, że nie wychodzi na podjazd i że nie będzie mógł zobaczyć powracającej Leonory.

Dickon przełamał placki z dziczyzną - doprawdy mistrzowski przykład kulinarnej sztuki. W czasie kampanii iberyjskiej porucznik Peverill często wygłaszał rozmarzonym głosem peany na ich cześć. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Morse czuł, że powinien teraz rozkoszować się tym wypiekiem ze względu na pamięć swego dowódcy, ale jakoś nie miał apetytu.

- A to co?! - wykrzyknął Dickon po pewnym czasie. - Nie może pan zmęczyć swego placka, sir? - Jego własna porcja pozostała już tylko wspomnieniem.

Morse skrzywił usta w przepraszającym grymasie.

- Chyba zjadłem zbyt dużo wołowiny na obiad. - To było wierutne kłamstwo. Z ledwością wmusił w siebie cienki plaste-

rek mięsa. - Jeśli ty masz jeszcze miejsce na resztę mojego przydziału, to nie krępuj się i zjadaj.

- Nie zniósłbym, gdyby się miało zmarnować - odparł Dickon i pochłonał placek Morse'a prawdopodobnie dlatego, by sierżant nie zdążył już zmienić zdania.

Potem znów zasiedli do cydru, aż w końcu dzbanek stał się zatrwająco lekki. Kiedy Dickon nalegał, by Morse opowiedział jeszcze trochę o swoich przygodach, sierżant w końcu się zgodził, ale już z o wiele mniejszym entuzjazmem niż przy poprzednich okazjach. Potem zaśpiewali piosenkę czy dwie, jednak głos Morse'a nie brzmiał równie ochotczo jak kiedyś.

- Wiesz co, Morse - oznajmił w końcu Dickon konfidencjonalnym tonem, przybierając pełną powagi minę. - Z początku to myślałem, żeś ją sobie owinął dookoła palca, ale teraz widzę, że sam jesteś w poważnym kłopotcie.

- Bzdury! - najeżył się Morse. - Zakonotuj to dobrze, że mam się jak najlepiej.

Dickon pokręcił ciężko swoją olbrzymią głową.

- Nieprawda. Żle z tobą. Nerwowy jesteś jak zmokły kot. Teraz nawet nie możesz upić się jak należy. Ja już wcześniej w życiu widziałem podobne oznaki i dobrze wiem, co się za nimi kryje.

- Głupiś! - oznajmił Morse, wysuszając dzban do ostatniej kropli. - Albo pijany.

Marny dowcip, mimo to przyprawił go o atak śmiechu. W głowie mu szumiało, a lędźwie paliły go z tęsknoty za kobietą. Chociaż w tym stanie zapewne nie byłby zdolny do szczególnych wyczynów.

Ale mógłby trzymać ją w ramionach. Albo złożyć głowę na jej piersi i zasnąć kołysany biciem jej serca i słodką muzyką jej głosu.

- Nie jestem aż tak pijany - zaprotestował Dickon - ani nie

jestem głupi. Dobrze widzę, co się święci. Przypadła ci do serca panna łxonora. Morsie Archerze. Nie wypieraj się tego po próżnicy. Widzę, jakie cielece robisz do niej oczy, gdy podsuwasz jej krzesło. Musi cię ona rozpałać, ot, co powiem.

- Dobrze wbij sobie moje słowa do swej tępej mózgownicy, Dickon. - Morse wyprostował się na krześle i czynił poważne wysiłki, by nie bełkotać. - Żadna Ważna-i-Wyniosła panna Fremantle nie przypadła mi do serca. Zachowuję się wobec niej uprzejmie, bo mam uchodzić za dżentelmena.

Dickon zbył jego słowa wybuchem śmiechu.

- Wymyśl coś lepszego, Morse! Ślinisz się do niej za każdym razem, gdy na nią spojrzysz. Założę się, żeś już ją i całował, co?

Morse otworzył usta, by zaprzeczyć, ale jakoś nie zdołał wykrztusić słowa. Z błogością natomiast zaczął sobie przypominać, jak całował dłoń Leonory, zastanawiając się przy tym, co by czuł, gdyby mógł całować ją i w inne miejsca.

- No proszę! Sam widzisz! - nalegał Dickon. - To żadna zbrodnia, Morse. Może tylko trochę śmieszne, bo przecież ona należy do dużo lepszych od ciebie.

Słowa Dickona rozpały Morse'a do białości. Zerwał się z krzesła, zatoczył, złapał za kant kominka, by zachować równowagę, po czym wbił gniewne spojrzenie w lokaja. Przecież Dickon z pewnością się mylił! Morse nie jest jakimś nieopierzonym wieśniakiem nieszczęśliwie zakochanym w kobiecie będącej poza jego zasięgiem.

Nie po raz kolejny.

- Niczego nie pojmujesz, matole - oświadczył w końcu. - Wcale nie cknij mi się do niej, bo i jaki chłop przy zdrowych zmysłach chciałby takiej kobiety? O, nie. Ja po prostu tylko z nią igram, tak jak ze starą kucharką, żeby od czasu do czasu zapomniała o tej pioruńskiej łacinie i rachunkach.

Dickon wybałuszył oczy i rozdziawił usta.

- A to dopiero!

- Dobrze, co? - Morse dopiero się rozgrzewał. To, co zamierzał powiedzieć za chwilę, na pewno wybiję Dickonowi z głowy przypuszczenie, że robi cięące oczy do panny Freemantle. - W rzeczy samej, gdy już mam po dziurki w nosie tych lekcji, wystarczy, że obejmę ją w talię albo lekko pocałuję w dłoń, a ona od razu umyka niczym spłoszony zając i na resztę dnia mam święty spokój.

Ledwo Morse wypowiedział te słowa, wydało mu się, że z korytarza dochodzi jakiś szmer.

Pewnie mysz. Co prawda, nic było ich wiele w Laurelwood, ale przynajmniej jedną kiedyś widział. Morse zatoczył się w stronę drzwi, by osobiście zbadać sprawę.

- Nieży z ciebie łajdak. - Podziw w głosie Dickona łagodził jego słowa. - Nawet mnie zdołałeś zwieść.

- To cię nauczy, że nigdy nie wolno nie doceniać strzelca.

Morse uchylił szerzej drzwi saloniku i rozejrzał się po korytarzu. Tuż za załomem dojrzał nieznaczny błysk światła, ale to było wszystko.

Wzruszając ramionami, zwrócił się w stronę Dickona.

W tym samym momencie gdzieś z oddali dobiegł go odgłos zatrząskiwanych drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Leonora trzasnęła drzwiami tak mocno, że aż zadrżały, po czym rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem.

To łotr! To ostatni łajdak!

A ona? Czyżby doprawdy nie wyciągnęła żadnych wniosków z doświadczeń matki? Wszyscy mężczyźni są tacy sami. A w każdym razie ci przystojni, uroczy szubrawcy, z taką ła-
twością podbijający kobiece serca.

Jak mogła być tak głupia, by uznać, że Morse Archer różni się od reszty tej dwulicowej zgrai?

I pomyśleć, że tego wieczoru wcześniej skończyła lekcje, by jak najszybciej znaleźć się w Laurelwood w jego towarzystwie! Nieobecność Morse'a w salonie i bibliotece od razu powinna jej uświadomić, że coś jest nie w porządku - jego nieobecność i ten nieszczęśliwy wyraz twarzy pokojówki.

Tymczasem Leonora odczuwała jedynie ciekawość, a nie zaniepokojenie.

Czemu jednak podkradła się pod salonik tak skrycie? Po-
wszechnie wiadomo, że gdy się podsłuchuje bliźnich, nie należy liczyć, że dowie się czegoś dobrego na swój temat. Tymczasem ona - wbrew starej mądrości - spodziewała się, że usłyszy sło-
wa cieszące serce: jakąś deklarację uczuć. Wprawdzie wygło-
szoną po pijanemu, mimo to całkiem szczerą.

No cóż. Ostatecznie usłyszała wyznanie, ze cynicznie ją uwodził, by wymigiwać się dzięki temu od nauki. Leonora nie

umiała zdecydować, co doprowadzało ją do większej furii - jego dwulicowość czy lenistwo.

Zaczęła okładać poduszkę pięściami, żałując, że nie jest to twarz Morse'a Archera.

Do pasji doprowadzał ją fakt, że tak łatwo dała się zwieść - naiwnie pozwoliła się ponieść infantylnemu zauroczeniu. Spośród wszystkich kobiet właśnie ona powinna wiedzieć najlepiej, że nie wolno ulegać urokowi atrakcyjnych, zajmujących łajdaków.

Powoli jej łkania słabły, jednak żal i uczucie słabości nie chciały jej opuścić.

A przecież wcale o tym nie marzyła, by Morse Archer zapalał do niej uczuciem.

W końcu podniosła się z łóżka, wzięła do porcelanowej miski miarkę zimnej wody, po czym zanurzyła w niej chusteczkę.

Zbyt wiele widziała w życiu, by wierzyć w istnienie romantycznej miłości. Poza tym Archer pogardzał jej światem i tym wszystkim, co dla niej było najważniejsze. Czy jednak fizyczny pociąg - naturalnie odczuwany przez mężczyznę wobec kobiety - to zbyt wygórowane oczekiwania?

W jej przypadku najwidoczniej tak właśnie było.

Leonora przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze i z nie smakiem wykrzywiła usta. Oczy miała przekrwione i podpuchnięte. Twarz poznaczoną białymi i krwistoczerwonymi plamami. Pasma ciemnych, jedwabistych włosów wymyknęły się z węzła i zwisały w wyjątkowo nietwarzowych strąkach. Doprawdy, czyż można było sądzić, że przypadnie do serca mężczyźnie w typie Morse'a?

Cóż za ironia losu - przez te wszystkie lata robiła wszystko, by wyglądać nieatrakcyjnie, a tymczasem okazuje się, że wcale nie musiała się aż tak wysilać. Nawet w najlepszej formie nie robiła na mężczyznach żadnego wrażenia.

Przycisnęła zimną, mokrą chusteczkę, do oczu w nadziei, że ustąpi ostre szczypanie - tylu łez naraz nie wylała jeszcze nigdy w życiu.

Kiedy zaczęła analizować wydarzenia tygodnia - teraz, gdy już знаła niecny plan Archera - jej ból zaczął się przeradzać we wściekłość. Jak śmiał tak bardzo nadużyć jej zaufania, i to po tym, gdy oferowała mu wspianą życiową szansę, a do tego włożyła tak wiele pracy, by pomóc mu osiągnąć cel?

Cóż, dość tego dobrego. Nadszedł czas, by skończyć z Morse'em Archerem.

Gdy tylko wuj wróci do domu, poinformuje go o podłym zachowaniu Archera i poprosi o anulowanie zakładu. Jeżeli wuj odmówi, to skapituluje i pokornie podda się karze. Nic nie mogło być gorszego od dalszego nauczania Morse'a Archera, gdy już wiedziała, co naprawdę o niej sądzi.

Jaka szkoda, że musi kontynuować te lekcje jeszcze do czasu powrotu wuja z Londynu.

Leonora zaczęła szykować się do spania, choć wiedziała, że Nzarne na sen ma niewielkie. Jednocześnie snuła ponure plany, jak powinna postępować w czasie tych ostatnich nienawistnych lekcji. Dopóki nie będzie mogła oficjalnie wyrzucić Archera z Laurelwood, postara się o to, by jego życie stało się prawdziwym piekłem.

A jeśli znów będzie próbował ją uwodzić?

O, wówczas niech ten strzelec lepiej szuka bezpiecznego okopu!

Co też opętało Leonorę? - zapytywał się Morse po raz setny w ciągu ostatnich dwóch dni. W niedzielę w ogóle jej nie widział. Chociaż akurat tego dnia nic byłby w stanie rozkoszować się jej towarzystwem, jak z zakłopotaniem przyznawał w duchu.

Za to w poniedziałek rano popędził do biblioteki, nie mogąc się już doczekać, kiedy zaczną lekcje. Okazało się, że zamiast przyjaznej Leonory z ubiegłego tygodnia czeka na niego nieugięta, skwaszona, przerażająco bezlitosna pani generał Freemantle.

- Łokcie ze stołu, jeżeli pan tak uprzejmy, sierzancie Archer. To nie kantyna. - Nawet poprzez całą długość biblioteki nie sposób było nie dojrzeć wyrazu pogardy w jej oczach - wyrazu, od którego nawet wojskowemu mułowi ścierpłaby skóra. - Bitwa pod Hastings nie zakończyła wojny Dwóch Róż. Była natomiast początkiem podboju normńskiego i miała miejsce dobre czterysta lat wcześniej. - Cierpki ton jej głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że nigdy wcześniej nie spotkała równie tępego półgłówka.

Gdyby nie brak namacalnych podstaw, byłby gotów przyjąć, że odgrywa się na nim za jakąś doznaną krzywdę. Ale przecież to absurdalne. Ostatnio robił wszystko, co w jego mocy, by pozostawać z nią w jak najlepszych stosunkach.

Chociaż Morse nie chciał tego przyznać - nawet przed samym sobą - ta nagła zmiana w zachowaniu Leonory zdumiewała go i jednocześnie zasmucała.

Czy uznała, że jest zbyt głupi i nieokrzesany, by przy jego pomocy mogła wygrać ten zakład? Czy poczuła się obrażona. Że się z nią spoufalił, chociaż znajdował się dużo niżej na drabinie społecznej?

Gdy nadeszło środowe południe, nie był już w stanie dłużej znosić generała Freemantle.

- Proszę z łaski swojej poprawić to tłumaczenie z Tacyta. - Zmięta kartkę z jego z trudem wykonaną pracą w kulę i wrzuciła do ognia na kominku, gdzie na jego własnych oczach szybko zamieniła się w popiół. - Nie mogę zrozumieć ani słowa z tych bazgrołów, które pan nazywa pismem.

Morse bezceremonialnie rozsiadł się na krześle i skrzyżował ramiona.

- Jeżeli chce pani inną kopię tego tłumaczenia, niech wykona je ktoś ze służby. - Mówiąc to, posłał jej spojrzenie, które każdego z jego podwładnych wprowadziłoby natychmiast w przerażenie.

Tymczasem Leonora odpowiedziała mu tym samym.

Po chwili zaś podeszła do małego sekretarzyka stojącego w rogu, wyjęła z niego czysty arkusz papieru i podetknęła Morse'owi pod nos.

- Zrobi pan raz jeszcze to tłumaczenie, sierżancie Archer. Poprawnie i czytelnie. Dopóki pan nie skończy, dopóty nie wyjdzie pan z tego pokoju. Jeżeli przeminie pora obiadu, sam będzie pan to sobie zawdzięczał.

Binokle zsunęły się jej z nosa, odsłaniając te cudowne, intrygujące oczy. Na policzkach pojawiły się różane rumieńce. Do diabła, ta klaczka -jeśli tylko chciała - potrafiła wyglądać wyjątkowo ponętnie. A do tego jaki miała temperament!

Jej oczywista pogarda bolała go bardzo, bo swego czasu bezmyślnie dopuścił do tego, by zaczęło mu zależeć na jej opinii. Sam dał jej do ręki broń przeciwko sobie, a ona teraz bezlitośnie to wykorzystywała.

Będzie więc musiał podjąć walkę.

Wykonując taki gest, jakby chciał wyrwać jej papier z dłoni, Morse objął Leonorę w tali i mocno pociągnął w swoją stronę. Tłumiąc w sobie gniew, posłał jej łobuzerski uśmiech.

- No cóż, mój piękny bakałarzu, jeżeli mamy już tkwić w bibliotece i przez to pożegnać się z obiadem, to niech przynajmniej czas nam upłynie na prawdziwych przyjemnościach.

Pochwycona zniecka, Leonora upadła Morse'owi na kolana. Prawdę mówiąc, jeszcze chwilę temu miał najszczerzą ochotę ją udusić. Gdy jednak znalazła się w jego ramionach, po-

czuł niezwykle podniecenie. Wprawnym ruchem, którego nie powstydziliby się zawodowy kieszonkowiec, ściągnął jej z nosa binokle i wyjął grzebień z włosów, po czym rzucił je na stół.

- Przez cały tydzień ciężko dla pani pracowałem, panno Freemantle. Myślę, że zasłużyłem na nagrodę.

Wydawała z siebie jakieś niezrozumiałe okrzyki protestu, ale on natychmiast zdusił je wargami.

Zastygła w jego objęciach, a potem na chwilę jej ciało stało się niemal całkiem bezwładne.

Morse tymczasem doszedł do wniosku, że już zbyt długo nie całował kobiety, a jeszcze nigdy równie niechętniej uściskom jak Leonora. Może właśnie ta nowość sprawiła, że poczuł niezwykle rozkosz.

Jej wargi były ciepłe i tak prowokacyjnie miękkie, że ogarnęło go zdumienie. W pierwszym momencie poddały się jego ustom. Rozchyliły. Zaprosiły do wnętrza.

Ogarnięty płomiennym pożądaniem. Morse ochoczo z tego zaproszenia skorzystał.

Wówczas, ruchem tak nagłym, że zaparło mu dech w piersiach, Leonora wyrwała się z jego ramion, po czym z całej siły dzieliła go w policzek.

- Jak pan śmie. Morsie Archerze?!

Zerwała się na równe nogi, pochwyciła ze stołu binokle i wcisnęła na nos z determinacją wojownika odzyskującego tarczę.

Nie znalazły się jednak na swoim miejscu na tyle szybko, by ukryć wilgotną mgłę, zasnuwającą jej oczy. Tymczasem policzek piekł Archera tak bardzo, że i jemu stanęły łzy w oczach.

- Jeżeli wyobraża pan sobie, że ten pokaz fatalnych manier zaoszczędzi panu ponownego tłumaczenia Tacyta, jest pan w błędzie. - Odsuwając się na bezpieczną odległość od biurka, zwijała włosy w ciasny węzeł. A potem wepchnęła

w nie grzebień z taką brutalnością, że Morse mimowolnie skrzywił usta.

- Byłam dość głupia, by już raz dać się zwieść pańską niecną grą. - Kiedy gwałtownie wciągnęła powietrze, Morse odniósł wrażenie, że powstrzymuje łkanie. - Zapewniłam pana jednak, że od tamtej pory zdążyłam zmądrzeć. A teraz proszę natychmiast zabierać się do pracy, jeżeli ma pan nadzieję na posiłek tego wieczoru! - Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kominka i wymownie odwróciła się do niego plecami.

Morse siedział jak skamieniały.

Jakim cudem go rozszyfrowała? Czyżby jego posunięcia były aż tak przejrzyste? Ta myśl poruszyła Morse'a, zdał bowiem sobie nagle sprawę, że jego romantyczna kampania wcale nie była blefem.

Zaraz po tym pojawił się wstyd. Leonora przedstawiła jego postęпки w taki sposób, że teraz ten sprytny plan wydał mu się przejawem tchórzostwa i braku honoru.

Porucznik Peverill z pewnością potępiłby podobne zachowanie.

Niemal wbrew własnej woli Morse zerwał się z krzesła i podszedł do Leonory.

- Leonoro, ja...

Musiała nie dosłyszeć jego kroków, bo drgnęła, gdy stanął obok. Wykazując się refleksem, jakiego mógłby jej pozazdrościć najlepszy ze strzelców, obróciła się na pięcie i strząsnęła jego dłonie z ramion.

- Proszę sobie nie wyobrażać, że odzyska pan moje zaufanie, odwołując się do tych samych obłudnych zachowań, sierżancie. I proszę mi oszczędzić tanich wymówek. - Chciała odsunąć się dalej od niego, ale nie pozwalał na to kominek. - Być może mój wzrok nie należy do najlepszych, za to cieszę się doskonałym słuchem. Nie umknęły mi więc przechwałki, które

wygłaszał pan przed swoim kompanem Dickonem, jak to dzięki urokowi osobistemu udaje się panu wymigać od nauki. Być może nadszedł już czas, by przekonał się pan, że urodziwa twarz i giętki język nie załatwią wszystkiego w życiu.

Zanim Morse zdołał ochłonąć i znaleźć jakieś wytłumaczenie dla swojego zachowania, w holu wybuchło wielkie zamieszanie.

Psy szczekały. Znajomy, dudniący głos niósł się echem po domu. Dochodziły odgłosy wciaganego do wewnątrz bagażu.

- Wuj nareszcie powrócił. Jeżeli nie ma pan ochoty, może pan nie poprawiać tego tłumaczenia, sierżancie Archer. Dla mnie ten zakład już nie istnieje. Nawet ja nie jestem w stanie uczyć kogoś tak opornego, że aby nie pracować, jest w stanie zniżyć się do igrania z uczuciami kobiety. Od tej chwili umyłam ręce od całej sprawy. - Przemknęła pod jego ramieniem i otworzyła drzwi biblioteki. - Witaj w domu, wuju Hugonie.

Do Morse'a praktycznie nie docierały słowa powitania i wymieniane nowiny. W głowie wciąż dźwięczały mu ostatnie, pełne potępienia słowa Leonory. A więc jego uroczy pobyt w Laurelwood dobiegał końca i Morse sam był winien tak ponuremu rozwojowi wypadków.

A czego będzie mu brakować najbardziej?

Morse zdał sobie nieoczekiwanie sprawę, że najbardziej będzie mu brakować towarzystwa Leonory.

Zatopiona w serdecznym uścisku wuja, Leonora z trudem powstrzymywała łzy.

Jakże będzie szczęśliwa, gdy Morse Archer na dobre zniknie z jej życia, a wraz z nim te wszystkie burzliwe emocje, które wzbudzała w niej jego osoba.

Gdyby tylko jej serce też chciało usłuchać głosu rozsądku.

- Jak mogłeś wyjechać do Londynu, nie mówiąc mi o tym

ani słowa? - Obrzuciła wują uważnym spojrzeniem. Prawdę mówiąc, wyglądał kwitnąco, a jego samozadowolenie zakrawało wręcz na zadufanie. - Mam nadzieję, że nie musiałeś odwiedzić doktora?

- Łapiducha? - Sir Hugo zdjął z głowy kapelusz, wicherząc przy tym pół tuzina długich włosów, które pieczołowicie zaczesał na łysinę. - Och nie, uchowaj Boże. Skąd ci w ogóle przyszedł do głowy tak przerażający pomysł? Przecież jestem zdrow jak ryba.

Apoplektyczna ryba, na dodatek nękana podagrą, pomyślała Leonora, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos.

- Pojechałem do miasta w interesach - oznajmił sir Hugo, rozplątując długi szal i rozpinając pelerynę. - Ale obowiązek szybko zmienił się w przyjemność. Zobacz tylko, kogo spotkałem!

Odstąpił w bok, odsłaniając postać stojącą za jego plecami.

Był to mężczyzna - tak jakby. Bardzo wysoki i chudy. Ubrany raczej krzykliwie. Postać owa odpowiedziała na jej spojrzenie szerokim, szczerym uśmiechem. Choć może „bezmysłnym” byłoby zdecydowanie trafniejszym określeniem.

Stanowczym ruchem wuj Hugo pchnął Leonorę w stronę gościa.

- Nie mów mi, moja droga, że nic pamiętasz kuzyna Algiego?

Kiedy odpowiedziała pustym spojrzeniem i nieznacznym wzruszeniem ramion, wuj uzupełnił prezentację.

- Jestem pewien, że nie zapomniałaś - to przecież Algie Blenkinsop, mój daleki kuzyn, przyjaciel Wesleya ze szkoły. Jest dziedzicem swojego dziadka, lorda Biggleswade'a, a pewnego dnia stanie się też panem na Laurelw<x>d dzięki łączącemu nas pokrewieństwu. Algie. ty zapewne pamiętasz moją krewną, pannę Freemantle

- Pan Blenkinsop. Oczywiście. - Leonora jak przez mgłę kojarzyła to nazwisko. Zdaje się, że Wes strawił wiele czasu w szkole na wybawianiu nieboraka z rozmaitych tarapatów. A więc ten człowiek miał odziedziczyć Laurelwood w zastępstwie Wesleya.

Algie Blenkinsop chwycił dłoń, którą mu podała, po czym zaczął nią potrząsać tak silnie i entuzjastycznie, że wprawił w drżenie całe jej ciało.

- Panna Freemantle, naturalnie, że panią pamiętam. Kiedyś przyjechałem z Wesleyem do Laurelwood na wakacje. Ograła mnie pani wówczas w szachy i wista. A także w backgammona. Czy nadal jest pani równie mądra jak wtedy?

Leonora zaniemówiła, nagle bowiem ogarnęła ją panika.

Promieniejąca radością, rumiana twarz wuja Hugona. Ustanowienie dziedzica na Laurelwood. Algie Blenkinsop spoglądający na nią z tępym uwielbieniem na podobieństwo przerośniętego charta. W tym momencie Leonora nie miała już żadnych wątpliwości - jeśli przegra zakład, Blenkinsop będzie człowiekiem, którego wuj wybierze dla niej na męża.

Obaj mężczyźni wbijali w nią wzrok w oczekiwaniu na odpowiedź, podczas gdy Leonora najchętniej rzuciłaby się na podłogę i zaczęła głośno wyc.

- Witamy w domu, sir Hugonie. - Głos Morse'a Archera dobiegający od drzwi biblioteki dał jej trochę czasu, by się opamiętać.

Przez ten krótki moment Leonora czuła wobec niego taką wdzięczność, że byłaby skłonna wszystko mu przebaczyć. Zaraz jednak przypomniała sobie, jak wiele będzie ją kosztować lenistwo Morse'a.

I pomyślała o nim z jeszcze większą zaciętością.

- Archer, mój chłopcze! - Sir Hugo skinieniem ręki dał znak, by się przybliżył. - Algie, to jest Morse Archer. Był jed-

nym z towarzyszy broni Wesa w kampanii przeciwko Bonapartemu. Musisz wiedzieć, że to doskonały żołnierz Brygady Strzelców. Przebywa u nas na rekonwalescencji od czasu, gdy został zwolniony z wojska.

Algie głośno oznajmił, jak wielką przyjemność sprawia mu poznanie Morse'a, po czym zaczął potrząsać jego ręką równie energicznie jak uprzednio ręką Leonory.

- Sir Hugo obiecał, że nie będę się uskarżać na brak doskonałej kompanii, jeżeli wpadnę z wizytą na kilka tygodni. Już teraz jestem pewien, że wspólnie spędzimy wiele radosnych chwil.

Leonora z ponurą satysfakcją patrzyła na znużoną minę Morse'a. Zaraz też pomyślała o radosnych chwilach, których przyjdzie jej doświadczyć w roli lady Biggleswade, i w tym momencie zrozumiała ogrom desperacji, która doprowadza dzikie zwierzę do odgryzienia własnej łapy, byle tylko wyzwolić się z potrzasku.

Tyle że Leonora wpadła w pułapkę, którą sama na siebie zawiązała.

Gdyby tylko Morse nie okazał się tak przerażająco nieznoszny. I gdyby jakimś cudem udało jej się odkryć, jak zyskać jego lojalność.

- Muszę iść zawiadomić kucharkę, że wróciłeś do domu i... przywiozłeś gościa, wuju Hugonie.

Była to aż nadto przejrzysta wymówka, by zniknąć z pola widzenia, bo do tej pory z pewnością wszyscy obecni w domu już wiedzieli, że sir Hugo powrócił z Londynu. Leonorze było jednak wszystko jedno. Nic miała ochoty zostać ani chwili dłużej w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy jakby sprzysięgli się, by zrujnować jej życie.

Wuj Hugo - wiedziony szlachetnym pragnieniem, by szczęśliwie wyszła za mąż i w przyszłości została panią w jego ukochanej posiadłości - Laurelwood. Morse Archer - nie potrafią-

cy przemóc swojej niechęci do nauki. I do tego pan Blenkinsop... głupiec o cofniętym podbródku, który zapewne z zięchwytem poślubiłby każdą kobietę, która tylko wyraziłaby na to zgodę.

- Dobrze, moje dziecko. - Wuj Hugo wymienił znaczące spojrzenie ze swoim gościem. - Leonora doskonale potrafi ogarnąć wszystkie drobiazgi niezbędne do sprawnego funkcjonowania domu.

- To fantastycznie! - wykrzyknął Algje, potrząsając głową. Czy ten idiotyczny uśmiech nigdy nie schodził mu z ust? - Nic mogę się już doczekać, by w czasie mojej wizyty odnowić naszą znajomość, panno Freemantle.

Ponieważ Leonora nie była w stanie zdobyć się na nic więcej jak tylko błądy uśmiech, wuj Hugo postanowił wyręczyć ją w odpowiedzi.

- Och, jestem pewien, że bardzo blisko zaprzyjaźnisz się z Leonora, Algje. Nie mam wątpliwości, że wy dwoje szybko przypadniecie sobie do gustu.

Gdyby Leonora nie była przekonana, że wuj żywi wobec niej jedynie tklive uczucia, mogłaby w tym momencie pomyśleć, że czerpie przyjemność z dręczenia jej duszy. Nie chcąc skompromitować się całkowicie i wybuchnąć gwałtownym płaczem, odwróciła się szybko i pomknęła w stronę kuchni.

Morse'a gnębiło niepokojące wrażenie, że za tym powitaniem nowo przybyłego gościa kryło się coś więcej, niż zdawało się na pierwszy rzut oka. Za żadne skarby świata nie był jednak w stanie zrozumieć, o co chodzi.

Leonora miała jeszcze bardziej zdesperowaną minę niż wtedy, gdy przemawiała mu do rozumu w bibliotece. Zwyczajowa serdeczność sir Hugona była podbarwiona jakąś błogą satysfakcją. Co też mogło go wprawić w podobny nastrój?

Gdy zaś chodzi o Algiego Blenkinsopa - najwyraźniej należał do tych arystokratycznych bęcwałów, jakimi Morse od dawna serdecznie pogardzał. Wszystko w życiu dostawali na srebrnej tacy. Od kolebki uczono ich, że niżej urodzeni powinni im się kłaniać w pas. Do tego byli zbyt aroganccy, by ogarnąć rozmiar własnej głupoty - a to często kosztowało życie lepszych i zdolniejszych od nich ludzi.

Na wieść, że Blenkinsop odziedziczy Laurelwood zamiast porucznika Peverilla, Morse poczuł dławienie w gardle.

Może to i lepiej, że wkrótce będzie musiał się wynosić z tego domu. Choć przyszłość rysowała się bardzo niepewnie, przynajmniej nie będzie musiał cierpieć towarzystwa Algiego Blenkinsopa.

Przy najbliższej sposobności Morse wymówił się grzecznie od towarzystwa i powrócił do biblioteki, gdzie pilnie ślezczał nad tłumaczeniem z łaciny aż do chwili, gdy pociemniało mu w oczach, a palce trzymające pióro złapał bolesny skurcz.

Zostawił skończone ćwiczenie na wierzchu w nadziei, że rano znajdzie je Leonora i zrozumie, iż każde starannie wykalfografowane słowo jest formą jego przeprosin.

W jakiś czas potem, gdy przebierał się do obiadu, zaczął się zastanawiać, czy sir Hugo pozwoli mu zatrzymać te wszystkie wspaniałe stroje, które dla niego zakupił. Przed zejściem do jadalni usiłował również zmyć z palców plamy atramentu, one jednak skutecznie opierały się wszelkim zabiegom.

Przez cały czas powtarzał też w myślach przykazania Leonory dotyczące manier przy stole. Miał nadzieję, że tego wieczoru zachowa się bez zarzutu, tym bardziej że mógł to być już jego ostatni posiłek w Laurelwood. Przynajmniej pokaże Leonorze, że jednak czegoś się od niej nauczył. Choć zapewne zbyt mało i za późno.

Jednak ku jego zdumieniu i rozczarowaniu Leonora nie po-

jawiała się na obiedzie - nawet nie było dla niej na stole nakrycia. Morse zastanawiał się, czy nie przyszła dlatego, że już nie mogła scierpieć jego towarzystwa. Po chwili jednak uświadomił sobie, że to środowy wieczór.

Cóż to za tajemnicze sprawy miała do załatwienia w wiosce dwa razy w tygodniu? Nigdy mu tego nic powiedziała, a Morse był zbyt zadowolony z przerwy w nauce, by kusić licho. Teraz, gdy jego czas w Laurelwood dobiegał końca, odkrycie tego sekretu wydało mu się nagle bardzo ważne.

Gdy więc tylko pozwoliły na to wymogi grzeczności, przeprosił sir Hugona i jego gościa i odszedł od stołu. Szybko włożył grubą pelerynę i czapę z bobrowego futra, pożyczył sobie jedną z lasek sir Hugona, po czym wyruszył w stronę wioski

Zaskakująco łagodna aura zwiastowała już nadejście wiosny. Morse wciągnął w płuca potężny haust wilgotnego powietrza pachnącego żyzną ziemią i obietnicą nowego życia. To był doskonały czas, by zacząć w szystko od nowa, a jednak jego serce przygniatał smutek.

Być może poczuje się lepiej, kiedy porozmawia z Leonora.

Był jej winien najszczerze przeprosiny.

A przede wszystkim był jej winien wyznanie prawdy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Leonora rozejrzała się po ciasnym pokoiku w zakrystii, gdzie siedziało dwanaście dziewcząt uczęszczających na jej zajęcia.

- Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale obawiam się, że tego wieczoru muszę znowu skończyć nasze zajęcia przed czasem.

Dziewczęta, zgromadzone przy dwóch sfatygowanych stolikach, spojrzały tylko na nią w milczeniu i natychmiast zamknęły książki. Najszczęszy żal na ich twarzach pochlebiał Leonorze, ale jednocześnie wzbudzał w niej wyrzuty sumienia. Już w sobotę wysłała je wcześniej do domu, bo spieszyło się jej do Laurelwood i do Morse'a Archera.

Jakże mogła być tak głupia!

W odróżnieniu od nauczania upartego, nieznosnego strzelca przekazywanie wiedzy tym dziewczętom było prawdziwą radością. Skwapliwie chłoneły wiedzę, doceniały perspektywy, jakie mogły się przed nimi otworzyć dzięki jej naukom. Dzisiaj jednak nie mogła się skoncentrować na lekcji, mimo że bardzo się starała. Wciąż rozpraszały ją troski i pytania dotyczące własnej przyszłości.

Swego czasu miała nadzieję, że niektóre z tych dziewcząt będą mogły chodzić do jej szkoły z prawdziwego zdarzenia, gdy już uda się ją zorganizować. Skoro to marzenie legło w gruzach, mogła jedynie się zastanawiać, czy pan Blenkinsop wyrazi zgodę, by przynajmniej uczyła tu, w wiosce, dwa wieczory w tygodniu - jak dotychczas.

Jej nastrój niewątpliwie udzielił się uczennicom, bo wciągały

wierzchnie okrycia w przygnębiającym milczeniu. Ponieważ mogło być to jedno z ich ostatnich spotkań, Leonora szczerze żałowała, że musi skończyć zajęcia wcześniej niż zazwyczaj.

- Czy mogę z panią zamienić kilka słów?

Do niewielkiego stolika służącego Leonorze za biurko podeszła Elsie Taylor. Ta najstarsza i najzdolniejsza z jej uczennic była drobną dziewczyną o wielkich, ciemnych oczach. Jej starannie nicowane i cerowane sukienki wskazywały na wrodzony gust i wyrafinowanie.

- Oczywiście, Elsie. - Leonora zmusiła się do uśmiechu i zadbała, by natychmiast nie zniknął z jej twarzy. - Dziewczęta! - zawołała w stronę reszty klasy. - Nie zapomnijcie przeczytać na sobotę dwóch następnych rozdziałów z *Wędrowki pielgrzyma* i bądźcie gotowe do dyskusji na temat znaczenia przygód na Targowisku Próżności i na Wzgórzu Radości. Czytając, pamiętajcie, co mówiłam wam o alegorii, i zastanówcie się, jak we własnym życiu realizujecie drogę cnotliwego chrześcijanina.

Uczennice zabrały ze stołów dwupensowe wydania Bunyuna, które Leonora zakupiła dla nich z własnych, skromnych zasobów. Jeżeli sama nie będzie mogła ich uczyć, może uda jej się znaleźć kogoś, kto zajmie jej miejsce. A jeśli pan Blenkinsop okaże się dość bogaty, być może pozwoli, by przynajmniej zakupiła książki i inne potrzebne pomoce dla tych dziewcząt.

Kiedy już ostatnia z uczennic wyszła, pożegnawszy ją smętnym tonem, Leonora zwróciła się do swojej prymuski.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Elsie? Czy przeczytałaś już *Wędrowkę pielgrzyma* i chciałabyś zacząć jakąś bardziej ambitną lekturę? Mogę ci pożyczyć swój własny egzemplarz *Przygód Guliwera*, jeśli tylko obiecasz, że będziesz dbać o tę książkę. To ostatni prezent gwiazdkowy, jaki otrzymałam od mojego kuzyna.

Dziewczyna stanowczo pokręciła głową.

- Nie o to chodzi, panno Freemantle, niemniej bardzo dziękuję za propozycję. Jestem pewna, że to wspaniała powieść. - Wyciągnęła przed siebie egzemplarz Bunyana. - Ta zresztą też bardzo mi się podobała. Rzeczywiście ją przeczytałam, jednak już nie mogę pożyczyć nic nowego.

Gdy Leonora posłała jej zdumione spojrzenie, Elsie oznajmiła:

- Widzi pani. moja ciotka znalazła mi pracę w dużej posiadłości na zachodzie, gdzie sama jest główną pokojową. Mam za cząć jako pomywaczka, ale jeżeli się sprawdzę, będę mogła awansować. W sobotę przyjdę tu po raz ostatni, ponieważ w niedzielę muszę już wyjechać. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, żebym przyszła jeszcze ten jeden raz? Mimo że nie będę kontynuować nauki?

- Ależ skądże, Elsie. Przyjdź koniecznie. - Leonora usiłowała ukryć rozczarowanie, by jeszcze bardziej nie przygnębiać swojej uczennicy. Mimo że Elsie starała się mówić beznamietnym tonem, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie cieszy jej perspektywa wyjazdu.

- Zachowaj, proszę, swój egzemplarz *Wędrowki pielgrzyma*. Niech to będzie pożegnalny prezent ode mnie. Z własnego doświadczenia mogę ci powiedzieć, że za każdym czytaniem coraz wyżej ceni się tę lekturę. Dziękuję, że zawiadomiłaś mnie z wyprzedzeniem o swoim wyjeździe. Będzie nam wszystkim bardzo cię brakowało. Mam tylko nadzieję, że spodoba ci się nowe życie.

Choć na to raczej trudno liczyć, dorzuciła Leonora w duchu. Elsie tymczasem podziękowała jej za książkę i wyszła. Pomywaczka to najbrudniejsza, najbardziej niewdzięczna i męcząca praca w każdym domu. Trzeba wstawać na długo przed świtem, by rozpałić pod kuchnią, a do łóżka można pójść dopiero wtedy.

gdy ostatni rondel po kolacji zostanie wyszorowany na błysk. Biedna dziewczyna nie będzie miała okazji kontynuować nauki, nawet jeśli bardzo by tego chciała.

Gdyby tylko Elsie mogła zostać przez kilka następnych miesięcy! Wówczas napisany przez Lconorę list polecający mógłby jej zapewnić pracę w charakterze pomocy nauczycielskiej w jakiejś charytatywnej szkółce. Nie była to dobrze płatna praca, ale zapewne sprawiałaby przyjemność Elsie i zaspokoila jej ambicję.

Pakując książki do torby, w nastroju jeszcze w iekszego przygnębienia niz na początku zajęć, Leonora wciąż bolała nad przegraną zakładu. I to w równym stopniu z przyczyn osobistych, jak i ze względu na swoje uczennice.

Zanim Morse odkrył, gdzie podziewa się Leonora - w małej salce na zakrystii - dziewczęta już opuszczały budynek, pojedynczo lub parami.

Kiedy czekał na Lconorę przed kościołem, w blasku księżycy odnalazł grób porucznika Peverilla i stanął nad nim, z szacunkiem zdejmując czapkę z głowy. Powiew wiatru zmierzwił mu włosy.

Nic zwracając na niego najmniejszej uwagi, dziewczęta siały chwilę w gromadce przed zakrystią, rozmawiając o swoich zajęciach i nauczycielce. Wszystkie były rozczarowane, że lekcje skończyły się wcześniej niż zazwyczaj.

Morse poczuł nagłe wyrzuty sumienia, bo przypomniał sobie, jak zawsze go cieszyło, kiedy jego zajęcia kończyły się przed czasem. On wymyślał, co mógł. by się od nich wymigać, a tymczasem inni byli złaźnieni wiedzy, na którą tak bezmyślnie kręcił nosem.

Przysłuchując się dziewczętom, szybko się zorientował, że były córkami miejscowych dzierżawców i drobnych handlarzy

- zwykłych, prostych ludzi, którzy zazwyczaj nie mogli sobie pozwolić na wykształcenie synów, nie wspominając już o córkach. Jego własne siostry, gdyby dożyły tego wieku, mogły wyrosnąć na podobne panny.

Co kazało Leonorze Freemantle chodzić dwa razy w tygodniu do wioski, bez względu na pogodę, rezygnować przy tym z doskonałego, gorącego obiadu, gdy w tym czasie mogłaby siedzieć w ciepłe i luksusie Laurelwood? Czemu zmagła się z takim tępakiem jak on tylko po to, by zdobyć fundusze na szkołę dla ubogich dziewcząt? Przecież w zamian mogłaby się rozkoszować przyjęciami i balami lub wyjechać do Bath i tam złowić bogatego męża.

Najwyraźniej nie docenił Leonory, tak jak swego czasu nie docenił pewnego chłopięcego z wyglądu porucznika przydzielonego do 4. Brygady Strzelców z Somerset.

Wreszcie Leonora wyszła z zakrystii, starannie zamykając za sobą drzwi. Była równie nieświadoma obecności Morse'a jak wcześniej jej uczennice. Jej sylwetkę oświetlał blask księżycy i złocista poświata świec, ustawionych w oknie sanktuarium.

Leonora zwiesiła ciężko ramiona - z powodu zmęczenia albo raczej zniechęcenia. Ruszyła przed siebie wolnym, niemal niepewnym krokiem, jakby chciała jak najbardziej odwlec moment powrotu do Laurelwood.

Morse poczuł dławienie w gardle, gdy uświadomił sobie, jak walnie przyczynił się do jej fatalnego nastroju.

Podkradając się do niej od tyłu, zabrał jej z ręki torbę.

- Czy mogę ponieść panience książki?

Przestraszona, przycisnęła dłoń do serca.

- Morse Archer! Co pan tu robi, na Boga?! Śmiertelnie mnie pan przeraził.

- Pani nie można łatwo przestraszyć, panno Freemantle. - Starał się, jak mógł dotrzymać jej kroku. - Przed wyjazdem

z Laurelwood musiałem się dowiedzieć, gdzie spędza pani wszystkie środowe i sobotnie wieczory. Już niemal nabrałem przekonania, że ma pani w wiosce tajemniczego adoratora.

Zatrzymała się i zwróciła w jego stronę. Jednak światło dobiegające od przydrożnych domów było zbyt nikłe, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy.

- Proszę nie kpić ze mnie, sierżancie.

Kiedyś niewątpliwie wypowiedziałyby te słowa tonem nieznośnym sprzeciwu. Dzisiejszego wieczoru zabrzmiały jak płacząca prośba. Morse'a ogarnął wstyd.

- To był tylko niewinny żarcik - próbował zaprotestować. Leonora znowu ruszyła przed siebie.

- Niezbyt fortunny, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Czy mogłaby pani zwolnić nieco kroku? Moja noga diabło mi doskwiera. - Morse nie przyznałby się do tego nikomu na świecie. Czemu akurat ta kobieta stanowiła wyjątek?

- To pan wyraził ochotę dotrzymania mi towarzystwa, sierżancie, a nie odwrotnie. - Jej ton odzyskał nieco z dawnej ostrości, ale szła wyraźnie wolniej.

- Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że bardzo panią przepraszam?

Zawahała się przez, moment.

- Za co właściwie? Za ten żart na temat adoratora?

- Za to też - Morse zaczerpnął oddechu. Nadszedł czas. by okazał więcej pokory. - I za to, że w Laurelwood udawałem, że jestem pani adoratorem. To nie był postępek godny dżentelmena, przyznaję to z ręką na sercu. Od początku wiedziała pani, że nie jestem dżentelmenem.

Jej odpowiedź całkowicie go zaskoczyła.

- Myślę, że mógłby pan nim zostać, sierżancie, i to właśnie tak bardzo mnie w tym wszystkim zasmuca. Jestem przekonana, że mógłby pan nim zostać, gdyby pan tylko zechciał.

Te słowa wypowiedziane z wielkim żalem i tonem pełnym zawiedzionych nadziei, ugodziły go niczym bagnet w trzewia.

Pancerz, za którym się chronił, rozpadł się nagle w proch i z ust potoczyły się zwierzenia.

- To już teraz niczego nie zmieni, ale chciałbym, żeby pani poznała prawdę. Moje umizgi nie były tylko czystym fortelem. Jedynie z początku wszystko wyglądało tak, jak powiedziałem Dickonowi. Potem, gdy już pani przestała być taka wyniosła i zachowywała się przyjaźnie, przebywanie w pani towarzystwie sprawiało mi wielką przyjemność, panno Freemantle. Tak wielką, że już nie mogłem się doczekać naszych porannych lekcji i dyskusji przy obiedzie.

Szli teraz wąską drogą prowadzącą do Laurelwood. Wioska została daleko w tyle. Leonora milczała. Ciężką ciszę maćił jedynie odgłos ich kroków odbijających od zamarzniętej ziemi i szept lodowatej bryzy w bezlistnych konarach drzew.

- Będzie mi tego bardzo brakowało - dorzucił po chwili.

Znowu cisza. I dudnienie kroków. I ostry świst wiatru. A do tego - tłumiony szloch, wyolbrzymiony otaczającą ich ciszą.

Nie pamiętając już, jak Leonora odpychała go za każdym razem, gdy próbował ją pocieszyć, Morse chwycił ją w ramiona, choć w jednym ręku trzymał laskę, a w drugim - torbę z książkami. O dziwo - przyłgnęła do niego całym ciałem.

Oparł brodę o budkę jej kapelusza.

- No już, moja droga. Doprawdy nie warto wylewać łez z powodu takiego łajdaka jak ja.

Ledwo wypowiedział te słowa, Leonora oderwała się od niego gwałtownie i zaczęła walić go pięściami w pierś.

- Jak ty? Dobry Boże, rzeczywiście jesteś łajdakiem. Morsie Archerze! Czy doprawdy sądzisz, że wszystkie myśli kobiet cały czas krążą tylko wokół twojej osoby? Ach, ty zarozumiały, nadęty, próżny mężczyzno! Wbij sobie dobrze do głowy, że

mam o wiele poważniejsze powody do płaczu niż to, czy cię pociągam, czy nie!

Morse stał spokojnie w miejscu, pozwalając, by waliła w niego jak w bęben. Jeżeli to miałyby jej pomóc, czemu nie? Nie wiedział jednak, czy powinien czuć ulgę, czy też urazę, że nie płakała z jego powodu.

- Chodzi o tę szkołę, tak?

Teraz, gdy podsłuchiwał rozmowy jej uczennic, Morse ze względu na nie żałował przegranej zakładu. Wciąż jednak nie mógł zrozumieć, czemu miało to tak wielkie znaczenie dla Leonory.

Grad ciosów wreszcie ustał.

Morse spodziewał się, że Leonora odwróci się do niego plecami, ale tego nie zrobiła. Stała przed nim w bezruchu, a za moment jej dłonie - niczym spóźnione paki - zaczęły rozwijać się z pięści, by po chwili spocząć na jego piersi.

- Chodzi o całe moje życie, Morse. - Jej głos był tak przepełniony rozpaczą, że znów miał ochotę ją utulić. - Czy nigdy nic zastanawiał się pan. jaką będę musiała zapłacić cenę, gdy przegram ten zakład?

Nie był w stanie jasno myśleć, bo rozpraszała go bliskość jej ciała.

- Cóż, w najgorszym wypadku nie dostanie pani tej szkoły, której tak bardzo pragnie - wyjąkał w końcu.

Dźwięk, który wydarł się z jej ust, był czymś pomiędzy sarkastycznym śmiechem a łkaniem.

- To byłby dość jednostronny zakład, nie sądzi pan? Jeżeli wygram, dostaję swoją szkołę, gdy przegram - mogę się z nią pożegnać. Co jednak zyskiwałby mój wuj w takim przypadku?

Morse nigdy przedtem nie rozpatrywał ich zakładu w tych kategoriach.

- Co w takim razie ma zyskać? - Już gdy zadawał to pytanie, zrozumiał, że odpowiedź może mu bardzo nie przypaść do gustu.

- Jedynie swobodę rozporządzania moim losem i wszystkim, co jest dla mnie ważne.

Morse zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie bardzo pojmuję.

Sir Hugo niewątpliwie kochał Leonorę. Morse nie mógł więc sobie wyobrazić, by mógł nałożyć na nią jakąś szczególnie dotkliwą karę.

- To w gruncie rzeczy bardzo proste. Gdybym wygrała, dostałabym odpowiednie fundusze na szkołę i wystarczającą pensję, bym nie musiała wychodzić za męża. Jeżeli natomiast przegram zakład, będę musiała poślubić mężczyznę, którego wybierze dla mnie wuj, i zrezygnować z własnej niezależności.

„Poślubić mężczyznę, którego wybierze dla mnie wuj”. Te słowa odbiły się głośnym echem w głowie Morse'a - niczym armatnia kula wystrzelona ze zbyt bliskiego dystansu.

- Blenkinsop! - zawołał. - Czy jego właśnie sir Hugo przeznaczył pani na męża?

- Nieżyły z pana logik, sierżancie. Och, oczywiście, wuj nie powiedział tego wprost, jednak nietrudno przejrzeć jego intencje. Ostatecznie nigdy nic ukrywał, że chciałby, bym wreszcie wyszła za męża, ustatkowała się i dała mu gromadkę wnuków, które mógłby rozpieszczać do woli. Teraz jeszcze posunął się o krok dalej: postarał się, bym nigdy nie musiała opuszczać Laurelwood. Niewątpliwie sądzi, że w ten sposób wyświadcza mi najwspanialszą przysługę.

- Wszystko to byłbym w stanie zrozumieć, ale... Blenkinsop? - Morse wykrzywił usta na sam dźwięk tego nazwiska.

- Bez wątpienia pan Blenkinsop odznacza się wieloma przymiotami czyniącymi z niego doskonałego małżonka przynaj-

mniej w oczach mojego wuja. Na pewno jest to człowiek niezdolny do gwałtownych porywów.

Morse od razu przypomniał sobie żywy błysk w oczach Leonory, gdy musiała kruszyć z nim kopie. Natychmiast doszedł do wniosku, że ta kobieta potrzebuje mężczyzny zdolnego bez wahania stawić jej czoło.

- Niewątpliwie nie jest to mężczyzna, który byłby gotów strwonić fortunę na gry hazardowe, pijaństwo czy kochanki - dorzuciła Leonora. W jej ustach te cechy miały wymowę wyjątkowych przymiotów.

- Nie ulega też wątpliwości, że byłby wyjątkowo dobrym ojcem.

Na myśl o tym, że Leonora mogłaby urodzić dzieci temu przygłupiemu arystokracie, Morse poczuł przypływ żółci. Do tej pory usłyszał już dość pochwał o Algiem Blenkinsopie bez względu na to, jak były one skromne.

- To bardzo pięknie - rzekł, by nie wysłuchiwać więcej panów na cześć tego arystokratycznego bubka. - Niemniej uważam, że on nie jest dla pani odpowiednim mężczyzną. Bez wątpienia zasługuje pani na kogoś znacznie lepszego.

Te słowa wstrząsnęły Leonora. Gorące przekonanie, z jakim je wypowiedział, przyspieszyło bicie jej serca i zabarwiło policzki gorącym rumieńcem.

- Jeżeli o mnie chodzi, nie życzę sobie żadnego męża. - Rzuciwszy to gorzkie wyznanie, Leonora odwróciła się i ruszyła przed siebie. - Ta dyskusja jest już jednak bezprzedmiotowa. Przegrałam zakład. Chodźmy do domu, zanim się przeziębimy.

Morse usiłował za nią nadażyć. Nagle zdała sobie sprawę, że piesza wyprawa do wioski musiała być dla niego prawdziwym wyzwaniem. A jednak podjął je tylko po to, by ją przeprosić.

Niechętnie zwolniła kroku.

Wiatr bezlitośnie pędził chmury po nocnym niebie i teraz jedną z nich zagnał przed tarczę księżycą. Podświetlona srebrnym blaskiem, zdawała się wydętym żaglem jakiegoś statku widma.

Morse wreszcie zdołał do niej dołączyć.

- Czy pani zakład naprawdę jest już przegrany? To znaczy, czy powiedziała pani sir Hugonowi, że przyznaje się do porażki?

Leonora przez chwilę milczała. Na samą myśl o konsekwencjach takiego obrotu sprawy poczuła mdłości.

- Prawdę mówiąc, nic miałam okazji - odparła. - Wraz z panem Blenkinsopem przyjechali wtedy, gdy musiałam już wyruszać do wioski.

- Czy w takim razie nie moglibyśmy jeszcze raz zabrać się do pracy? Oboje wiemy, że wcześniej nie przykładałem się jak należy. Jeżeli da mi pani jeszcze jedną szansę, przysięgam, że całe serce i duszę włożę w to, by wygrać ten zakład dla pani, panno Freemantle. Teraz wiem, o co toczy się gra.

Propozycja Morse'a w równej mierze pociągała ją, jak i niepokoiła. Czy doprawdy będzie w stanie nadal z nim pracować po tym, jak zrobił z niej idiotkę? Czy może sobie pozwolić na rozbudzenie nowych nadziei, które znów mogłyby lec w grużach, gdyby przegrali zakład? Z trzech miesięcy, jakie mieli przed sobą, jeden już został stracony. Czy możliwe, by nadrobili ten czas. nawet gdyby Morse pracował bardzo ciężko?

- No i co pani powie na moją propozycję? - spytał zniecierpliwiony, gdy mijały minuty, a Leonora nie dawała odpowiedzi.

- Właśnie się zastanawiam!

Pokonali kolejny zakręt i oczom ich ukazało się Laurelwood. Światła z okien domu zapraszały do wnętrza. Niespodziewanie Leonora zdała sobie sprawę, jak bardzo puste będzie to miejsce, gdy zabraknie w nim Morse'a Archera.

- Dobrze. - Zatrzymała się i zwróciła ku niemu. - Dam pa-

nu jeszcze jedną szansę. Lojalnie jednak uprzedzam, że poważnie wątpię, czy uda się nam osiągnąć cel.

- Przyjmuję - odparł Morse ochoczo - ale pod jednym warunkiem.

Warunkiem?! Ależ ten człowiek ma tupet! Najpierw błaga o następną szansę, a potem próbuje wprowadzać ograniczenia.

- Czy doprawdy muszę przypominać panu. sierżancie, że to pan poprosił mnie o jeszcze jedną okazję udowodnienia swoich zdolności? To nie stawia pana w pozycji osoby mogącej dyktować jakiegokolwiek warunki.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Poświata księżycy odbiła się w jego ciemnych oczach, przydając im łobuzerskiego błysku. - Chciałbym wygrać dla pani ten zakład, a sądzę, że pani źle się do tego zabiera.

Leonora zachnęła się i już zamierzała stanowczo zaprotestować, ale nie pozwolił jej dojść do głosu.

- Problemy, które mieliśmy przedtem, brały się z tego, że nie najlepiej reaguję na wszelkie rozkazy.

- Delikatnie rzecz ujmując.

- Proszę posłuchać, panno Freemantle. Gdyby wychowywała się pani w rodzinie biednego dzierzawcy, tak jak ja, i musiała być na każde skinienie lepszych od siebie, też irytowałyby panią wszelkie rozkazy.

Ilekcroć wspominał dzieciństwo, w jego tonie pojawiała się głęboka gorycz. Leonora złapała się na tym, że miałyby ochotę zasypać go setką pytań na temat okresu jego dorastania. Prawdopodobnie był równie trudny jak jej własne młode lata.

Leonora wstrząsnął dreszcz.

- Porozmawiamy o tym, gdy już znajdziemy się w ciepłym domu - oznajmiła i ruszyła brukowanym podjazdem.

Zza pleców dobiegły ją jednak zaskakujące słowa Morse'a.

- Czy kiedykolwiek jeździła pani konno, panno Freemantle?

- Swego czata dość często.

- Zdaje pani sobie sprawę, że niektóre konie nie znoszą, gdy powoduje się nimi zbyt gorliwie. - Morse zrównał się z nią krokiem. - W takich sytuacjach albo stają dęba, albo pędzą na oślep przed siebie. Takie konie najlepiej skierować w odpowiednią stronę, a potem pozwolić im samym biec do celu. Dowiozą panią bez najmniejszych problemów, i to o wiele szybciej niż niejedno uległe zwierzę.

- Chce mi pan powiedzieć, że Morse Archer ma w sobie coś I nieujarzmionego ogiera? - To porównanie mocno ją poruszyło.

- Mniej więcej.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, po czym natychmiast umknęła wzrokiem.

- Uważa pan, że przyswajałby wiedzę szybciej, gdyby miał więcej swobody?

- Jeżeli przez to rozumie pani, że mógłbym mieć coś do powiedzenia w sprawie przedmiotu naszych zajęć, to odpowiedź brzmi „tak”.

Leonora czuła irytację na myśl, że miałyby przyznać się do błędu. Jednak Archer szczerze przedstawił swoje przewiny.

- Pan nienawidzi rozkazów, sierżancie, mnie natomiast ciężko powstrzymać się od ich wydawania. Przez wiele lat moje życie było bardzo nieuporządkowane - nawet nie wyobraża pan sobie, jakie to przerażające dla dziecka. Gdy już dorosłam na tyle, by wprowadzić nieco ładu w ten chaos, zabrałam się do tego całym sercem i duszą. Może rzeczywiście nadszedł czas, bym postępowała bardziej elastycznie

Kilka ostatnich kroków pokonywali wyjątkowo wolno, jakby każde z nich niechętnie rozstawało się ze swobodą oferowaną przez ciemność i otwartą przestrzeń.

- Ogłaszamy więc rozejm, sierżancie?

Zadumał się chwilę nad jej słowami, po czym powiedział:

- Rozejm to zawieszenie ognia pomiędzy wrogami, panno Freemantle. - W ciepłym blasku wiszącej nad drzwiami latarni spojrzął jej pytająco w oczy. - Mam nadzieję, że nigdy nie uważała mnie pani za wroga, a jedynie za rywala sprawdzającego pani potencjał.

- Czyżby uznał mnie pan za godną siebie oponentkę? - Ta myśl całkiem przypadła jej do gustu.

- A jakże - uśmiechnął się ciepło. - Chociaż często wytacza pani baterię armat w sytuacji, gdy wystarczyłby jeden muszkiet.

Leonora z trudem stłumiła śmiech.

- Pan tymczasem gustuje w zdradzieckim ataku od tyłu. - Musiała jednak przyznać, że potyczki z Morse'em Archerem działały na nią niezwykle stymulujące.

Morse roześmiał się szelmowsko.

- Talent do podstępów i forteli może się okazać bardzo przydatny w czekającej nas batalii, panno Freemantle. Proszę wierzyć doświadczonemu żołnierzowi - połączenie różnych taktyk i stylów walki często prowadzi do najlepszych aliansów.

Aliansów? Leonora przez chwilę zadumała się nad tym sformułowaniem. Jego znaczenie było bardzo bliskie słowu „partnerstwo”. A tymczasem już dawno temu Leonora przywykła do działania w samotności.

- Niech więc będzie - powiedziała w końcu. - A teraz jak najszybciej powinniśmy znaleźć spokojny ką, by omówić naszą strategię na nadchodzące tygodnie. Może także wznieść toasi za nasz nowy sojusz

Morse pchnął ciężkie drzwi i przepuścił przed sobą Leonorę. Znaleźli się w ciepłym holu.

- Będzie to dla mnie zaszczytem i niekłamaną przyjemnością, panno Freemantle.

Po wejściu do ciepłego wnętrza szkła jej binokli pokryły się parą, Leonora zsunęła je więc z nosa i ponad soczewkami spojrziała na Morse'a. Być może to właśnie krótkowzroczność nadawała jej spojrzeniu tę wzruszającą miękkość.

- Muszę przyznać, sierżancie, że już w tej chwili o wiele bardziej przypomina pan dżentelmena.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co więc według pana robię nic tak jak należy, sierżancie? - spytała Leonora gdy wraz z Morse'em usadowili się w wyściełanych fotelach przed kominkiem w bibliotece, by wypić po kieliszku porto.

Wszystko się w niej buntowało na myśl, że musi prosić mężczyznę o radę, nie mówiąc już o wcielaniu jej w życie. Jednak obiecała Morse'owi, że będzie miał coś do powiedzenia w sprawie ich zajęć, nie wypadało więc łamać raz danego słowa.

Tym razem wszystko będzie wyglądać inaczej. Przede wszystkim Morse już nie będzie się do niej fałszywie umizgał. Ciekawe czemu - gdy sobie to uświadomiła - ogarnęło ją uczucie żalu?

Morse wolno pociągał trunek, jakby starannie obmyślał odpowiedź.

- Uznałbym, że robi pani wszystko jak należy, gdybyśmy na przygotowania mieli dwa lata, a nie dwa miesiące. Widzę, że stara się pani przekształcić bezkształtną kamienną grudę w najprawdziwszy brylant, a tymczasem potrzeba pani jedynie wypozerowanego szkiełka, które przy powierzchniowej inspekcji będzie mogło uchodzić za szlachetny kamień

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, do czego pan zmierza. - Przyznanie się do ignorancji przed mężczyzną było równie bolesne jak prośenie o radę. Mimo to żałowała bardzo, że nic mają przed sobą dwóch lat, a jedynie marne dwa miesiące.

Siedzący w fotelu obok Morse pochylił się, opierając łokcie

na kolanach. Błyski ognia z kominka odbiły się od jego kieliszka, nadając porto rubinowy odcień. Ciepłe światło zatańczyło na twarzy Morse'a, podkreślając jego wyraziste rysy w tak szczególny sposób, że Leonora westchnęła z zachwytu.

Morse Archer to bez wątpienia niezwykle przystojny mężczyzna. Jak mogła być tak głupia i uwierzyć, że zainteresowałby się równic nieatrakcyjnym mołem książkowym jak ona?

- Weźmy dla przykładu nasze lekcje łaciny - ciągnął Morse.
- Czy kiedykolwiek spotkała pani dżentelmena recytującego wszystkie koniugacje czasowników czy odmieniającego rzeczowniki przez przypadki dla rozbawienia dam? - Na jej twarzy musiał pojawić się błysk zrozumienia, bo zaśmiał się cicho pod nosem. - Ja w każdym razie nigdy takiego nie spotkałem i nie sądzę, bym kiedykolwiek miał okazję spotkać. Często zdarza się natomiast, że ktoś rzuca łacińskim cytatem zdradzającym staranną edukację. Wystarczy więc, że nauczy mnie pani kilku takich błyskotliwych sentencji odpowiednich na różne okazje.

- Czegoś w rodzaju: *aut disce aut discede*?

Morse zmarszczył brwi.

- Albo... się ucz albo... odejść? - Uśmiechnął się szeroko i mrugnął do niej szelmowsko. - *Touche*. panno Freemantle. Jakże trafny cytat. W pełni potwierdza pani erudycję.

Jakaś sentencja Owidiusza lub Platona bez wątpienia pozwoliłaby jej celnie skomentować głupotę tych, którzy dają wiarę pochlebcom, ale w tej właśnie chwili akurat nic nie przychodziło Leonorze do głowy.

- Nie mam też czasu, by przeczytać te wszystkie grube tomy przed wyjazdem do Bath. - Mówiąc to, Morse wskazał ręką na półki wypełnione książkami, u znoszące się od podłogi do sufitu. - Choć teraz, gdy odkryła pani przede mną uroki lektury, być może będę miał ochotę poczytać je w wolnym czasie dla przyjemności. Na razie jednak wystarczy, że opowie mi pani ich

treść i wskaże, co powinien o nich wiedzieć wykształcony mężczyzna.

Leonora zaczynała pojmować tok jego rozumowania.

- Bardzo pięknie. Ale co z historią i... arytmetyką?

Morse posłał jej tak oszałamiający uśmiech, że zaparło jej dech w piersiach.

- Nie stanowią żadnego problemu. Znam się dość dobrze na rachunkach, by nie mieć poważniejszych kłopotów, obawiam się jednak, że nigdy nie będę miał głowy do historii. Jestem jednak pewien, że po tym świecie chodzi wielu dżentelmenów, bardzo poważanych w towarzystwie, którzy mogliby to samo powiedzieć o sobie.

Leonora uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jak, na przykład, MSZ pan Blenkinsop, o ile intuicja mnie nie zawodzi. Dobrze, zrezygnujemy z książek do historii. - Westchnęła ciężko. - Nawet nie wyobraża pan sobie, jak wiele traci.

- Może więc opowie mi pani o najważniejszych wydarzeniach? Potraktujemy historię tak samo jak literaturę. Zawsze o wiele lepiej zapamiętuję to, co usłyszę, niż to, co przeczytam w książkach.

Sącząc resztki porto, Leonora rozważała słowa Morse'a. Coś podobnego dostrzegła wśród swoich uczennic. Niektóre bez problemu uczyły się z książek, jak Elsie Taylor. Inne przyswajały wiedzę dużo lepiej, słuchając pogadanek i prowadząc dyskusje. Jeszcze inne niczego nie mogły zapamiętać, póki kilkakrotnie tego nie przepisały.

Zawsze kierowała się zasadą, by dziewczęta uczyć w taki sposób, jaki najbardziej odpowiadał ich osobowości. Niewątpliwie tę filozofię mogłaby zastosować również do Morse'a Archera.

- Przy tak okrojonym programie nauki nie będziemy mieli wiele do roboty w ciągu tych dwóch miesięcy, sierżancie.

Energicznie pokręcił głową.

- I tu się pani myli. Muszę nauczyć się wielu rzeczy, którymi zazwyczaj zajmują się dżentelmeni, jak gry karciane, polowanie, taniec czy bilard. Ignorancja w tej materii zdemastruje mnie o wiele szybciej niż niedociągnięcia w łacinie czy historii.

- O mój Boże - wyszeptała Leonora z pobladłą twarzą. - Nie wzięłam tego pod uwagę. Nic nie wiem na temat kart.

Poza tym, że ich nienawidziła. Drugi z kolei ojczym przetracił przy stoliku większość niewielkiej fortuny jej matki. Ileż razy musieli wówczas w pośpiechu zmieniać adres, by umknąć przed wierzycielami. A każdy z nowych domów był bardziej obskurny od poprzedniego, z mniejszą ilością służby, prowadzony coraz gorzej.

Leonora zgodziła się założyć z wujem tylko dlatego, że zmusiły ją do tego okoliczności. Nie była w stanie pojąć, jak ktoś mógł uprawiać hazard dla rozrywki.

- Polowanie to dla mnie również tajemnica - dorzuciła po chwili, odrywając się od ponurych wspomnień. - A i moje umiejętności taneczne nie są szczególne, gdy już o tym mowa.

Dla dziewczyny pragnącej uniknąć zamażpójścia lekcje tańca nie miały żadnego sensu.

Nagle wpadł jej do głowy błyskotliwy pomysł. Wyprostowała się na krześle i strzeliła palcami.

- Zatrudnimy pana Blenkinsopa do pomocy! Nie jest może ideałem dżentelmena, ale niewątpliwie urodzonym arystokratą. Zdziwiłby się pan, jak wielu rzeczy mógłby się pan od niego nauczyć.

Morse zrobił taką minę, że wybuchnęła śmiechem.

- Czyż dobry żołnierz nie powinien skwapliwie wykorzystywać każdej nadarzającej się okazji, by osiągnąć swój strategiczny cel?

- No już dobrze - mruknął zrzędlawie. - Mogę wykorzystać Blenkinsopa do naszych celów, ale nie musi mi się to podobać.

Leonora ponownie się roześmiała, a zaraz potem ziewnęła szeroko. Zakrywając szybko dłonią usta, zerknęła na zegar stojący na kominku.

- Chyba już najwyższy czas iść spać, jeżeli od rana mamy zacząć naszą batalię.

To był długi dzień pełen różnych wrażeń. Najpierw ogarnęła ją gniew na Morse'a w czasie ich konfrontacji w bibliotece, potem upadła na duchu, kiedy wuj Hugo przywiózł ze sobą pana Blenkinsopa. A w końcu wstąpiła w nią otucha, gdy Morse poprosił o jeszcze jedną szansę.

Gdy teraz szedł za nią po schodach, Leonora czuła na sobie jego wzrok i przez ciało przebiegał jej dziwny dreszcz

Czy życzenie, by życie wróciło wreszcie do normy, było do prawdy zbyt wygórowane?

Zgodnie ze swoim postanowieniem, Leonora postanowiła bez zwłoki poprosić Algiego Blenkinsopa o pomoc. Tak więc, gdy tylko następnego ranka wszyscy razem zasiedli do śniadania, natychmiast zabrała się do działania.

- Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał nam pan udzielić pomocy, panie Blenkinsop.

- Ależ proszę koniecznie mówić do mnie Algie - wtrącił z entuzjazmem w głosie, posyłając Leonorze promienne spojrzenie, za co Morse natychmiast serdecznie go znienawidził - Jesteśmy przecież kuzynami, choć bardzo dalekimi, a mam też nadzieję, że wkrótce staniemy się bliskimi przyjaciółmi.

Zaciskając zęby na kromce chleba. Morse po raz kolejny poprzysiągł sobie, że nie dopuści, by Blenkinsop stał się kiedykolwiek dla Leonory kimś więcej niż przyjacielem.

- Algie. Oczywiście. - Leonora wodziła po talerzu widel-

cem. niewątpliwie świadoma ukrytego znaczenia jego słów. - Wuj zapewne wspomniał panu, że udzielam sierżantowi Archerowi wskazówek, jak... hm... to znaczy, chcę, żeby mógł... no cóż.

- Tak. Sir Hugo rzeczywiście mi o tym opowiadał - odparł Algie, posyłając starszemu panu radosny uśmiech.

Leonora pobladła gwałtownie, Morse natomiast miał wrażenia, że żołądek podjechał mu do gardła.

- Nie masz żadnego powodu do zażenowania, przyjacielu - rzucił Algie w stronę Archera.

Morse poczuł, jak czerwienieje mu twarz. Nie były to jednak rumieńce wstydu, ale gniewu. Miał ochotę chwycić za talerz Algiego i wepchnąć mu jego zawartość do gardła.

- Wielu mężczyzn cierpiących na niedobór gotówki próbuje złowić bogatą żonę. - Algie wsunął do ust kopistą porcję jajeczniczy, nic przestając jednak przy tym mówić. - Dzięki Bogu, że sam nie jestem w takiej sytuacji. Już z kieszeniami pełnymi złota mam problemy ze znalezieniem panny, która chętnie powiedziałyby „tak” na propozycję zostania panią Blenkinsopową. A i moje oczekiwania są niewygórowane. Gdybym zaś był bez grosza, bez wątpienia do końca swoich dni byłbym skazany na kawalerski stan. Cha, cha!

Drobiny jajka wypadły mu z ust.

Leonora patrzyła na Algiego z niedowierzaniem i w tym momencie Morse zdał sobie sprawę, że robi to samo. Rozdarty między zdumieniem wywołanym historyjką wymyśloną przez sir Hugona a wściekłością na Algiego za jego wyraźne zainteresowanie osobą Leonory, nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Za to ty, Archer!

Morse bardzo pragnął znienawidzić tego bubka, nie potrafił jednak pozostać obojętnym na ton szczerzego podziwu w jego głosie.

- Wszystkie kobiety - i stare, i młode, oszaleją na twoim punkcie, możesz być tego pewien. Mimo to, gdy człek zaczyna polować na żonę, nie zaszkodzi popracować pilniej nad przynętą, he? To bardzo miło ze strony panny Freemantle, że postanowiła ci w tym pomóc.

Gdyby chciał być utrzymankiem bogatej kobiety, mógł nim zostać już dawno temu. i to bez niczyjej pomocy. Morse wiedział jednak, że nie ośmieli się o tym głośno wspomnieć. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że coś powinien powiedzieć, wydusił więc w końcu:

- Nie udzielałem się zbyt wiele towarzysko. Najpierw uczęszczałem do małej, prowincjonalnej szkoły. Potem wstąpiłem do strzelców. A nie chciałem się publicznie zblamaować.

- I nic zblamujesz się już ja się o to postaram. - Mówiąc to, Algje posłał Leonorze szczególne spojrzenie, jakby błagając o słowo aprobaty. Niczym zbyt wyrosnięty szczeniak, na dodatek mocno się śliniący. - Tylko powiedz, w czym mógłbym ci pomóc, a z największą chęcią włączę się do dzieła

Choć Morse doskonale zdawał sobie sprawę, iż to rozsądna propozycja, zrywał się na myśl, że Algje zakłóci prywatność jego lekcji z Leonora. Za żadne koloniańskie plantacje świata nie był teraz w stanie odwzajemnić naiwnego, głupawego uśmiechu Algiego. Wszystko na co go było stać to powstrzymanie się od gniewnego ryku.

- To niezwykle miło z pana... hm... z twojej strony, Algje - rzuciła Leonora, również, nie robiąca wrażenia szczególnie uradowanej wizją uczestnictwa Algiego w ich zajęciach. Ta jej widoczna niechęć w pewnym stopniu złagodziła irytację Morse'a.

- Może mógłbyś na początek nauczyć sierżanta Archera...

- A niech to wszyscy diabli! Jeżeli jego może pani nazywać Algje. to i do mnie. do stu piorunów, może się pani zwracać po imieniu!

- Morse! - wykrzyknęła Leonora, najwyraźniej zgorzozona.
- Wspaniale, chłopie! - wykrzyknął Algie. - Najlepiej gdy od razu wszyscy pocujemy się jak w rodzinie.

Morse zatrzymał dla siebie uwagę, że doprawdy wszystko mu jedno, jak do niego będzie się zwracać Algie. Jednocześnie pokraśniał z zadowolenia, gdy usłyszał swoje imię z ust Leonory. Nie dbał o to, że zostało wypowiedziane w gniewie.

W tym samym momencie, ze szczytu stołu, sir Hugo obrzucił go uważnym spojrzeniem, bez wątpienia pełnym satysfakcji. Obserwując ostatni wybuch Morse'a, starszy pan zapewne uznał, że jego wygrana w tym zakładzie jest już tylko kwestia czasu.

Jeszcze nie pora, by zamawiać tort weselny, sir Hugonie, za-uważył w duchu Morse, po czym posłał starszemu panu wyzy-wające spojrzenie, zdecydowany wygrać za wszelką cenę.

Gdy nadeszło sobotnie popołudnie, Leonora poczuła, że mo-że z odrobiną optymizmu spojrzeć w przyszłość.

Morse rzucił się w wir nauki w sposób po prostu zadziwia-jący. Czy były to sentencje łacińskie, europejskie stolice, czy też zawiłości bilardu - do każdego z tych zadań podchodził nie-zwykle skoncentrowany, jakby całe jego życie zależało od zdo-bycia wiedzy na ich temat.

Tymczasem Leonorze nikt nie musiałby przypominać, że to akurat o jej przyszłość toczyła się gra, a przynajmniej o spokój jej umysłu. A wysiłek, jaki Morse wkładał w swoje zajęcia, po-chlebiał jej daleko bardziej niż fałszywe umizgi.

A mimo to...

Czekając, aż wszystkie uczennice zdejmą okrycia i usiądą za stołami, nie mogła opanować tęsknoty za znaczącymi spojrze-niami, które w rzeczywistości niczego nie wyrażały, za przy-padkowymi muśnięciami dłoni, które tak naprawdę były zamie-

rzony, czy spontanicznym pocałunkiem, w gruncie rzeczy na zimno wykalkulowanym.

W ciągu ostatnich trzech dni Morse Archer mógł uchodzić za ucieleśnienie wszelkich cnót - niech to wszyscy diabli!

Tego wieczoru dziewczęta były bardzo przygnębione - prawdopodobnie z powodu wyjazdu Elsie Taylor. Leonora robiła, co mogła, by poprawić im nastrój i rozproszyć smutne myśli. Gdy dyskusja odbiegła nieco od książki, którą właśnie omawiały, Leonora pozwoliła im na swobodne prowadzenie rozmowy, wtrącając niekiedy jakieś słowo, by pobudzić ich myślenie, dbając, żeby każda z uczennic mogła się wypowiedzieć.

W pewnym momencie Leonora złapała się na tym, że nieustannie wraca myślami do Elsie: zastanawia się, w jaki sposób mogłaby zatrzymać ją na miejscu nieco dłużej, przynajmniej do czasu, aż zorganizuje swoją wymarzoną szkołę.

A tu niespodziewanie niewinna uwaga wypowiedziana przez jedną z dziewcząt podsunęła Leonorze wspaniałe rozwiązanie. Nagle tak bardzo zapragnęła podzielić się tą nowiną z Elsie, że z ledwością się powstrzymała, by znów nie skończyć zajęć przed czasem. Aby utrzymać swą niecierpliwość na wodzy, zaczęła rozważać wszelkie możliwe problemy związane ze swoim pomysłem i sposoby ich rozwiązania.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, Elsie.

Inne dziewczęta musiały wyczuć ożywienie w jej tonie, bo zęgały się z nią z błyskiem zaciekawienia w oku.

Gdy tylko ostatnia z nich zniknęła za drzwiami, Leonora przystąpiła do rzeczy.

- Elsie, czy twoja ciotka byłaby bardzo rozczarowana, gdybyś znalazła inną posadę, bliżej domu?

- Jedna z moich kuzynek bardzo chętnie przyjęłaby tę pracę, panno Freemantle. - Dziewczyna najwyraźniej starała się nie

rozbudzać w sobie płonnych nadziei. - Jednak nikt nie zaferował mi pracy bliżej domu, a moja mama twierdzi...

Leonora nigdy się nie dowiedziała, co w tej sprawie miała do powiedzenia pani Taylor.

- Właśnie składam ci taką ofertę, Elsie. Mój wuj od dłuższego czasu nalega, bym miała pokojówkę z prawdziwego zdarzenia. Do tej pory nie odczuwałam takiej potrzeby, bo niemal cały czas przebywałam tutaj, na prowincji. Na wiosnę planujemy jednak wyjazd do Bath, więc przydałoby mi się nieco nowej garderoby. Umiesz szyc?

- A juści, to znaczy, oczywiście, panienko. Tę sukienkę uszyłam sobie sama. - Elsie coraz szybciej wyrzucała z siebie słowa. - Obszyłam też własnoręcznie ten kapelusz. Potrafię również układać rozmaite fryzury.

- Zatem masz u mnie pracę! - wykrzyknęła Leonora. - W ramach swoich obowiązków będziesz mi też pomagać w prowadzeniu tych zajęć, ale nie wolno ci pisać ani słowa na ten temat mojemu wujowi. Będziesz miała pół dnia wolnego w tygodniu i będziesz mogła mieszkać albo w Laurelwood, albo w domu - jak zechcesz. Otrzymasz pensję o cztery pensy wyższą niż to, co oferowano ci w poprzednim miejscu - a nawet jeszcze większą, jeżeli zdecydujesz się mieszkać w swoim domu.

- Naprawdę, panienko? - spytała Elsie, otwierając szeroko pełne łez oczy. - O cztery pensy? Coś podobnego! Wiem, że moja mama i tato... to znaczy, moi rodzice, będą zadowoleni, że zostanę tutaj. A i ja też będę bardzo, bardzo szczęśliwa.

Czemu podobne rozwiązanie nie przyszło jej wcześniej do głowy, zastanawiała się Leonora, uszczęśliwiona rozwojem wypadków niemal tak samo jak Elsie. Może po prostu nigdy nie widziała siebie w roli damy wymagającej pomocy pokojówki?

- Będę najlepszą pokojówką, jaką kiedykolwiek pani miała! Obietnica nietrudna do spełnienia, jako że Elsie będzie jej pierwszą, pomyślała Leonora, na głos powiedziała jednak:

- Jestem pewna, że oddaję się w dobre ręce, Elsie. Czekam więc na ciebie w poniedziałek o świcie.

- Tak jest, panienko. Dziękuję bardzo, panienko'

Elsie niemal unosiła się nad ziemią, gdy wybiegała z małej salki. Zapewne jak najszybciej chciała podzielić się dobrą nowiną z przyjaciółkami.

Bardzo zadowolona z siebie, Leonora podśpiewywała pod nosem, pakując do torby książki.

- Pani okrycie, panno Freemantle.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Morse'a. Serce natychmiast zaczęło jej bić żywszym rytmem. Z zaskoczenia, oczywiście.

- Musisz się wyzbyc tego zwyczaju podchodzenia ludzi z nienacka od tyłu, sierzancie. Rozumiem, że to umiejętność potrzebna żołnierzowi, nie przystoi ona jednak dżentelmanowi. A właściwie co cię tu sprowadza? Sądziłam, że dzisiejszego wieczoru Algie miał cię uczyć grać w faraona.

Okręciła się na pięcie i pozwoliła, by Morse podał jej płaszcz. Miała zamiar upomnieć go, gdyby jego dłonie spoczęły na jej ramionach dłużej, niż to konieczne. Czy gdyby posunął się jeszcze dalej i próbował pochwycić ją w objęcia.

Morse jednak zachował się jak na dżentelmena przystało. Co wcale nie ucieszyło Leonory tak bardzo, jak powinno.

- W faraona i makao - odparł Morse radosnym tonem. - Ustaliliśmy określoną nagrodę. Zwycięzca miał pojechać po ciebie do wioski faetonem sir Hugona.

Leonora zaczęła bardzo starannie i powoli zawiązywać pod brodą wstążki kapelusza, by ukryć czający się na jej ustach uśmiech. Najprawdopodobniej to Algie wymyślił tę nagrodę. Li-

czył, że przy braku doświadczenia Morse'a wygra bez najmniejszego problemu.

A Morse? Cóż, musiała mu się trafić dobra karta. A może nawet postarał się wygrać. Tylko po to, oczywiście, żeby okazać się lepszym od Algicgo. Okazja przejechania się faetonem mogła być też dodatkową zachętą.

A jednak Morse powiedział to w taki sposób, jakby właśnie ona miała być tą wymarzoną nagrodą. Na tę myśl Leonora wstrząsnął rozkoszny dreszcz.

- Blenkinsop będzie musiał mnie nauczyć, jak sprawnie obchodzić się z tym diabelstwem - wyznał Morse, prowadząc Leonorę do faetonu.

Być może Algie z rozmysłem przegrał w nadziei, że przez nieumiejętne powożenie faetonem Morse straci w *oczach* Leonory, pomyślał Archer, ale już po chwili aż pokiwał głową z politowania nad własną głupotą. Algie Blenkinsop był zbyt tępy, by uknuć równie przebiegłą intrygę. Poza tym, z jakiego powodu miałyby sądzić, że są rywalami w ubieganiu się o względy Leonory?

Pomógł jej wsiąść, opanowując pokusę, by przytrzymać jej dłoń trochę dłużej niż to konieczne. Podobne zachowanie niewątpliwie doprowadziłoby go do natychmiastowego wydalenia z Laurelwood. Niemniej, Morse'owi z trudem przychodziło wyzbycie się określonego nawyku.

- Bez wątpienia to diablo zdradliwy pojazd. - Chwycił za lejce i niemal zwałił się z kozła, gdy dwa dobrane maścią ogiery ruszyły naprzód. - Z powodu swojej wysokości i lekkości.

Ciszę mroźnej nocy przerwał radosny śmiech Leonory.

- Pozowanie na dżentelmena jest jednak dużo trudniejsze, niż sądziłeś, prawda, Morse?

Bał się choćby na moment oderwać wzrok od pogrążonego

w mroku traktu. Zapewne wyszło mu to na zdrowie, bo widok twarzy Leonory w blasku księżycy mógł być zbyt wielkim wyzwaniem dla jego silnej woli.

- A juści - bez zastanowienia przemówił językiem swej młodości. - Chciałem powiedzieć - co racja, to racja. Jednak nie ma rzeczy, której nic mógłbym się nauczyć, jeżeli tylko nad tym popracuję. Tym bardziej że zawsze pociągały mnie wyzwania.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi. - Coś w sposobie, jakim wypowiedziała tę uwagę, sprawiło, że Morse mimowolnie wypiął do przodu pierś tak dumnie, że niewiele brakowało, a rozprysłyby się guziki jego płaszcza.

W tym też momencie jedno z kół wpadło w głęboką kałużę, powodując dość niebezpieczny przechył pojazdu. Morse szybko zabalansował ciałem i pognał konie do nieco szybszego biegu. Dzięki temu manewrowi wyszli cało z opresji.

Przeklinając się w duchu za nieuwagę, Morse wpatrywał się w drogę aż do chwili, gdy znaleźli się na brukowanym podjeździe Laurelwood.

Już on pokaże Algemu Blenkinsopowi!

I żeby utwierdzić się w tym przekonaniu, na wypadek gdyby Algie obserwował ich z któregoś z okien, Morse z niezwykłą starannością, zsadził z faetonu Leonorę.

Ku jego ogromnemu zdumieniu, przywierała do niego nieco dłużej, niż to było konieczne.

- Chciałabym wykorzystać tę ostatnią chwilę prywatności - oznajmiła.

Morse poczuł podniecenie, zastanawiając się, w jaki sposób Leonora mogłaby chcieć ten moment wykorzystać.

- Muszę ci powiedzieć, że jestem bardzo zadowolona z twoich postępów.

Nie były to dokładnie słowa, jakich oczekiwał, mimo to za-

wróciły mu w głowie. A może zeskoczył zbyt gwałtownie z niezwykle wysokiego kozła factonu.

- Obiecałem przecież, że zrobię wszystko, co w mojej mocy i zamierzam dotrzymać słowa, Leonoro.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem, jak gdyby wciąż jeszcze zdumiona, że zwraca się do niej w tak bezceremonialny sposób. Jednak w kącikach jej ust majaczył drobny uśmiech, sugerujący, że nie ma nic przeciwko podobnej formie.

- Rzeczywiście, obiecałeś... Morse, i doceniam twoje wysiłki o wiele bardziej, niż potrafię to wyrazić. Popełniłam błąd, nie słuchając twoich porad dotyczących naszych zajęć.

To wyznanie całkiem go rozbroiło. Umykając wzrokiem przed jej spojrzeniem, wymamrotał:

- Nic złego się nie stało. - Miał wrażenie, że fular za chwilę go zadławi. - A teraz czas, żebyś wreszcie weszła do środka.

Gdy odprowadzał konie do stajni, doszedł do wniosku, że gdyby jeszcze trochę postali w ciemnościach, nie oparłby się pokusie pocałowania Leonory Freemantle.

I do diabła z konsekwencjami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Co by zrobiła, gdyby pocałował ją przed domem, w świetle księżyca?

To pytanie nie dawało jej spokoju przez cały następny tydzień, w czasie którego Morse wkładał jeszcze więcej wysiłku w swoje zajęcia. Bezlitośnie skoncentrowany i zasadniczy, w niczym nie przypominał uroczego łotra, który wcześniej umizgami usiłował wykręcić się od pracy.

Co prawda, jego manieri przy stole poprawiały się powoli - w dużej części z winy Algiego, który w tym względzie nie mógł stanowić wzoru do naśladowania. Dobrze, że Morse był na tyle bystry, by przyglądać się współbiesiadnikom i chwytac za odpowiednie sztucce.

Algie oznajmił, że Morse ma naturalny talent do kart. co raczej nic uradowało Leonory. Oznaczało jednak, że sierżantowi wystarczyło wyłożyć reguły i rozegrać z nim kilka partijek, by doskonale opanował większość popularnych gier. Jego sukcesy, szczególnie w faraonie, uświadomiły też Leonorze, że Archer doskonale radzi sobie z zastosowaniem arytmetyki w praktyce.

Coraz lepiej grał także w bilard dzięki wieczornym rozgrywkom z Algim i sir Hugonem. Pewnym problem okazały się natomiast tańce.

- Z powodu swojej nogi musisz zapomnieć o grzesznym walcowaniu, mój drogi przyjacielu - powiedział Algie takim to-

nem, jakby ogłaszał wyrok śmierci. - A szkoda. Przyciśnięcie panny na parkiecie posunęłoby cię dalej w tym „polowaniu na dziedziczkę” niż wszystkie karty i bilardy świata.

- Kontuzja Morse'a może okazać się bardzo korzystna w naszej sytuacji, Algie - oznajmiła Leonora, prowadząc obu mężczyzn oraz Elsie Taylor do pokoju muzycznego na pierwszą lekcję tańca. Wcześniej zapewniła sobie usługi łowczego uchodzącego za całkiem dobrego skrzypka. - Zamiast na nauce modnych tańców skoncentrujemy się na kilku prostszych i wolnych. Jeżeli na balu okaże się, że czegoś nie umie zatańczyć, po prostu wymówi się bólem nogi.

- Na Jowisza! Aleś ty mądra, Leonoro! - wykrzyknął Algie.
- Czyż nie, Morse?

Niekłamanym zachwytem w brązowych, okrągłych oczach Algiego zaskoczył Leonorę. Szczerze go polubiła, chociaż nie grzeszył inteligencją. Jakże ktoś mógłby nie polubić człowieka nieustannie tryskającego humorem, życzliwego i chętnego do każdej pomocy?

W Algii nie było ani krzty zła czy podłości. Mimo to nie mogła pogodzić się z myślą, że miałaby zostać jej mężem.

- Byłaby doskonałym generałem - przytaknął Morse.

Leonora zastanawiała się tymczasem, dlaczego w oczach Morse'a pojawiają się gniewne błyski. Miał tak grobową minę, że postanowiła lekko z niego zażartować.

- Powinieneś popracować nad bardziej romantycznymi komplementami, Morse, jeżeli chcesz, by kobiety łągły do ciebie w Bath.

Algie zaśmiał się głośno, a Elsie Taylor pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Morse natomiast posłał Leonorze wyzywające spojrzenie, a potem łobuzerski uśmiech, którym przyznał, że pokonała go w tej rundzie.

O dziwo, własne słowa nie wydały się Leonorze ani trochę

zabawne, gdy tylko je wypowiedziała. Nagle przed oczami stanęły jej tłumy kobiet oblegające Morse'a.

I tak niewątpliwie będzie. Bez względu na kontuzjowaną nogę, niewyszukane komplementy czy niewczesne żarty.

Piękne, elokwentne. bogate kobiety. Kobiety nie mogące się już doczekać, by dać mu coś, czego pragnie każdy mężczyzna; kobiety, którym nie będzie przeszkadzać brak błogosławieństwa sakramentu.

Tak naprawdę wcale nie powinno jej to obchodzić. Jednak nagłe ściskanie w dołku, klucie w piersi i uczucie pustki uświadomiły jej, że ją obchodzi. I to zdecydowanie za bardzo.

- Słuchaj, Morse. - Algie precyzyjnie ustawił kij parę cali od bili, po czym przymierzył się do strzału. - Czy zauważyłeś, jakie zmiany zaszły w naszej Leonorze od czasu, gdy zatrudniła pannę Taylor w charakterze swojej pokojówki?

Czerwona bila wpadła do łoży.

- Zmiany! - warknął Morse, zjeżony, że Algie użył określenia „nasza Leonora”. Jakim cudem ma się skoncentrować na uderzeniu, gdy Blenkinsop wciąż bezmyślnie miele ozorem? - Niczego nie zauważyłem.

To było oczywiście kłamstwo, ale Morse nie zamierzał się nad owymi zmianami zastanawiać, a już na pewno nie miał ochoty omawiać tego tematu z kimś takim jak Algie Blenkinsop. Tak naprawdę od razu spostrzegł różnice w wyglądzie Leonory, choć na początku były one bardzo subtelne. Mimo to diablo go dekoncentrowały.

Nawet drobna wzmianka Algiego wystarczyła, by nie mógł się skupić na partii bilardu. Uderzył bilę zbyt mocno, wprawiając ją w dziwną trajektorię, przez co wyśladowała po niechcianej stronie stołu. Co gorsza, tym strzałem bardzo ułatwił rozgrywkę przeciwnikowi.

Teraz już Algie w ogóle nie musiał koncentrować się na grze, mógł więc swobodnie kontynuować pogawędkę.

- Nie zauważyłeś? Taki bystry chłop jak ty? Jestem pewien, że to niemożliwe. Zazwyczaj trzeba mi rozbić butelkę na głowie, żeby coś zwróciło moją uwagę, a tymczasem to dostrzegłem od razu.

Gdyby jesionowy kij w jego ręku był strzelbą, Morse pewnie by się nie opanował - wystrzeliłby i w ten sposób wysłał Algiego Blenkinsopa do królestwa niebieskiego. Już nie dość, że ten arystokratyczny bubek śmiał obserwować Leonorę, to na dodatek miał czelność rzucać to Morse'owi w twarz.

Pociągnął potężny łyk brandy, żeby zdusić gniew.

- Masz na myśli jej nowe stroje? - Był zły, że zadał to pytanie, bo w ten sposób zachęcał Algiego do kontynuowania tematu, nie chciał jednak wyjść na tępego półgłówka. - Ostatnio stały się bardziej kolorowe.

Natychmiast złożył się do uderzenia w nadziei, że to powstrzyma Blenkinsopa od komentarza.

- Uhm. Weź dla przykładu tę suknię, którą miała na sobie dzisiaj. Piękna zieleń. Niczym niedojrzałe jabłko.

Morse zerknął na Algiego i natychmiast zauważył jego pełen rozmarzenia wzrok. Algie tymczasem westchnął głęboko i dodał:

- Wspaniale podkreślała barwę jej oczu.

Morse także to zauważył. Gdy sobie to uświadomił, poczuł się tak, jakby nagle wróg przypuścił niespodziewany atak od tyłu. Nie przyznałby się jednak do tego nawet na torturach. Jego bila znów powędrowała nie tam, gdzie trzeba.

Algie bystrym okiem obrzucił układ bil na stole, po czym cmoknął zatroskany.

- Nie masz dziś szczęścia, przyjacielu. Jakoś nie idzie ci gra, co?

Z pełną gracji oszczędnością ruchów, której nieco brakowało mu na parkiecie, Algie wsunął kij pomiędzy palce i złożył się do uderzenia. Bila potoczyła się precyzyjnym łukiem i uderzyła dokładnie tam, gdzie tego oczekiwał.

- Punkty dla mnie! - wykrzyknął.

Na domiar złego jego uderzenie ustawiło bilę Morse'a w bardzo niedogodnej pozycji, niemal uniemożliwiając mu wykonanie kolejnego ruchu.

Podczas gdy Morse zastanawiał się, jak wybrnąć z ciężkiego położenia. Algie powrócił do pełnej uwielbienia kontemplacji osoby Leonory.

- A jakże wdzięczny ma krok. Tego pewnie też nic spostrzegłeś, Morse. U rzadko której dziewczyny można ujrzeć równie pięknie rzeźbioną kostkę. Mój zachwyt wzbudził też ten nowy sposób, w jaki panna Taylor układa jej włosy.

Nowa fryzura również, nie umknęła uwagi Morse'a. Ta drobna wiejska dziewczyna przekonała swoją panią, by nie ściągać wszystkich włosów do tyłu, ale obciąć je nieco z przodu. I teraz jedwabiste, czarne pasma wiły się miękko wokół twarzy Leonory, uwydatniając delikatność jej rysów i niezwykle piękno oczu.

Gdyby tylko mógł potrzymać tę kobietę w objęciach i przycisnąć policzek do jej loków!

- Oczywiście każdy, kto dostałby ją za żonę, mógłby się uważać za największego szczęściarza, nawet gdyby przypominała różgową miotłę - oświadczył Algie, błogo nieświadomy najwyższej irytacji Morse'a.

Jeszcze parę tego typu uwag, a Blenkinsop będzie mógł się uważać za szczęśliwca, jeśli Archer nie roztrzaska mu kija na tej jajowatej głowie.

Tymczasem jednak przyłożył się do jeszcze jednego uderzenia, chociaż teraz było mu już wszystko jedno. Chciał jedynie.

by rozgrywka wreszcie się skończyła i by do następnego dnia nie musiał patrzeć na tego durnego pajaca.

- Uroda pociąga na początku, nie przeczę. - Chociaż Algie zdawał się koncentrować na grze jeszcze mniej od Morse'a, bez trudu zdobył kolejne punkty. - Człowiek musi pamiętać, że gdy się ożeni, o wiele dłużej będzie miał u boku kobietę starszą niż młodą. A dziewczyna taka jak Leonora zadba o swego mężczyznę i dopilnuje, by nie wpadł w żadne tarapaty. Na dodatek zawsze będzie miała coś interesującego do powiedzenia.

Morse nigdy wcześniej nie myślał o kobietach w podobny sposób. Jednak teraz - choć z wielką niechęcią - musiał przyznać Algiemu Blenkinsopowi rację. Leonora była typem kobiety, z jaką mądry mężczyzna chciałby się zestarzeć.

Zaciskając usta i ściskając kij bilardowy tak mocno, że aż pobielały mu kłykcie, Morse zdołał wreszcie zdobyć jakieś punkty.

Pomijając tę jedną zdumiewająco błyskotliwą myśl, Algie nie należał do mądrych mężczyzn. Morse więc poprzysiągł sobie po raz już nie wiadomo który, że zrobi wszystko co w jego mocy. by pozbawić Algiego szansy wspólnego starzenia się z Leonora. A udowodni to już tą bilardową rozgrywką.

I tak - zanim wielki zegar w holu wybił północ - Morse zdołał pokonać Algiego Blenkinsopa dwoma punktami.

- Zdażyłaś już uszyć kolejną suknię, Elsie? - Leonora potrząsnęła głową zaskoczona, patrząc na żółty muslin, pełna podziwu dla talentu swojej pokojówki. - Muszę przyznać, że jesteś istnym wzorem pracowitości. Żałuję, że nie miałam dość rozumu, by wcześniej skorzystać z twoich usług.

Elsie aż pokraśniała z zadowolenia, po czym szybko spuściła wzrok na robótkę.

- Ta suknia jeszcze nie jest całkiem skończona, panienko,

ale na pewno zdołam się z nią uporać do kolacji. To znaczy jeżeli nie będzie mnie pani potrzebować do lekcji tańca sierżanta Archera.

- Już niecały miesiąc pozostał do naszego wyjazdu do Bath, czas więc, byś nabrała nawyku nazywania go kapitanem Archibaldem.

Leonora i Morse wspólnie zdecydowali, że Maurice Archibald miło przypomina brzmieniem jego własne nazwisko, a przy tym wydaje się nieco bardziej arystokratyczne.

- Postaram się zapamiętać, panienko.

- W ciągu ostatnich trzech tygodni zapewne wszyscy już przywyknęli do tego nowego imienia - powiedziała Leonora, po czym zamilkła gwałtownie, gdyż ogarnął ją żal na myśl, że jej wspólny czas z Morsc'em dobiega końca.

A może była to jedynie obawa, że Morse nie poradzi sobie w Bath?

- Mam nadzieję, że zdążymy na czas - oznajmiła, zdradzając swe myśli.

- Czy to naprawdę w porządku, że sierżant szykuje się do usidlenia bogatej kobiety w tak zdrażliwy sposób, panno Freemantle? - spytała Elsie.

Leonora usłyszała w głosie dziewczyny nutę dezaprobaty oraz subtelnej krytyki, że jej pani przyczynia się do tak niecnego dzieła.

- Nie potępiaj tak pochopnie sierżanta... to znaczy, kapitana Archibalda. moja droga. Od jego sukcesu zależy bowiem dużo więcej, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Prawdę mówiąc, niewykluczone, że pewnego dnia sama będziesz musiała mu podziękować za jego wysiłki.

- Jeśli pani tak twierdzi... - Dziewczyna ponownie skupiła się na szyciu. - Trzeba przyznać, że w pani i panu Blenkinsopie ma najlepszych nauczycieli, jakich mógłby sobie wymarzyć.

- W Algiem? - Leonora spytała zdumiona. - Może jednak rzeczywiście masz rację. W pewnym sensie okazał się nadzwyczaj pomocny; wykształcił Morse'a we wszystkich rozrywkach cenionych przez dżentelmenów.

- Sam jest najprawdziwszym dżentelmenem. Sierza... kapitan Archibald mógł się bardzo wiele nauczyć, już tylko go obserwując.

- Doprawdy, Elsie. - Leonora lekkim krokiem podeszła do okna i spojrzała na obu mężczyzn ćwiczących na dziedzińcu powożenie faetonem. - Morse jest pod każdym względem o wiele wspanialszym mężczyzną od Algiego, bez względu na różnicę w majątku i pozycji społecznej.

- Och, nie jestem tego pewna, panienko. - O ile Leonora dobrze pamiętała. Bisie nigdy wcześniej nic wypowiadała się równie otwarcie. - Pan Blenkinsop nie jest tak przystojny i zapewne nie jest tak inteligentny, ale ja myślę, że pogodne usposobienie i dobre serce znaczą dużo więcej od urody i giętkiego języka.

- Elsie Taylor! - Leonora popatrzyła na swoją pupilkę. - Nie mów mi, że żywisz uczucia do Algiego Blenkinsopa!'

- Oczywiście, że nie, panienko! - Elsie z wojowniczą gwałtownością wbiła igłę w muślin, a jej policzki przybrały barwę dojrzałych wiśni. - Nigdy podobna myśl nie powstałaby mi w głowie. Szczególnie że wszyscy widzą, jak bardzo jest on w pani zakochany. Nigdy nic słyszałam, by jakiś mężczyzna wyrażał się w podobny sposób o kobiecie!

Leonora nie mogła zaprzeczyć tym słowom.

- Poza tym on jest dużo inteligentniejszy, niż pani sędzi - dorzuciła Elsie pod nosem.

Odwracając się, by ukryć uśmiech, Leonora potrząsnęła głową. Być może Algie był inteligentniejszy, niż sądziła, mimo to trudno by go uznać za geniusza.

- Nie kłopotcz się kończeniem tej sukni na dzisiejszy wieczór, Elsie. Tak czy owak, jest zbyt strojna na obiad w domu. Być może zachowam ją na Bath albo... - Pewna myśl, która od jakiegoś czasu niejasno majaczyła jej w głowie, w końcu się skryształowała. - Twoja pomoc w lekcji tańca będzie dzisiaj bardzo pożądana, Elsie. Może więc oderwiemy mężczyzn od powożenia i zaprzęgniemy do szlifowania tanecznych umiejętności?

- Och, oczywiście, panienko! Pomogę z największą przyjemnością! - Elsie poderwała się z krzesła tak gwałtownie, że szcicie spłynęło kaskadą na podłogę niczym rzeka stopionego masła.

- Mam nadzieję, że mój uczeń przyjmie tę propozycję z równym entuzjazmem - oznajmiła Leonora ze śmiechem.

Gdy schodziły po schodach, Leonora dostrzegła wuja w głównym holu.

- Znowu wychodzisz, wuju - podbiegła, zapięła górny guzik jego grubego płaszcza, po czym starannie zamotała mu szal na szyi. - Chyba potajemnie nie uderzasz w konkury do siostry pułkownika Morrisona?

Sir Hugo udawał święte oburzenie, ale Leonora widziała wyraźnie, że bawi go podobna myśl.

- Nonsens. Konkury w moim wieku? Nonsens! Cieszę się, że w Laurelwood znów króluje radość i młodość. Nie chcę więc, by taki stary przyk jak ja, plątał się wam pod nogami.

Leonora nie była pewna, czy powinna wybuchnąć śmiechem, czy westchnąć w desperacji. Wuj Hugo celowo usuwał się ze sceny, by Algie całkiem swobodnie mógł ją adorować. Być może żywił jeszcze jakąś nadzieję, że ten nieszczęśnik zdobędzie w końcu jej serce, nawet jeżeli wraz z Morse'em wygrają zakład.

Nie było sensu tłumaczyć wujowi, że nawet gdyby udał się

w rejs po Morzach Południowych, nie miałyby to najmniejszego wpływu na jej uczucia do Algiego Blenkinsopa. A raczej - brak jej uczuć. Jeżeli wujowi mówiło się coś, czego nie miał ochoty słuchać, wszelkie argumenty puszczał zawsze mimo uszu.

- Wcale nie jesteś stary - powiedziała więc tylko. - A poza tym wszyscy uwielbiamy twoje towarzystwo. Nie ma więc powodu, byś kusił przeziębienie tymi niekończącymi się wizytami 0 sąsiadów. - Leonora nagle przypomniała sobie, czemu w ogóle zeszła na dół. - Elsie, bądź tak miła i sprowadź pana Blenkinsopa oraz sierż... kapitana Archibalda na lekcję tańca, do brze? Na zachętę obiecay im po filizance gorącej czekolady na rozgrzewkę.

Gdy dziewczyna żwawo ruszyła po Morsc'a i Algiego, Leonora krzyknęła za nią:

- A gdyby to ich nie skusiło, zaoferuj brandy.

Sir Hugo roześmiał się pod nosem.

- Wiesz, jak obchodzić się z mężczyznami, trzeba ci to przyznać.

Leonora zdjęła jakąś zbłąkaną nitkę z przodu jego płaszcza.

- Kiedy po raz pierwszy próbowałam nakłonić Morse'a do udziału w naszym zakładzie, oznajmiłeś, że nie mam pojęcia o podejściu do mężczyzn.

- Cóż, a więc zdążyłaś się tego nauczyć. - Sir Hugo nasadził na głowę kapelusz. - Widać te twoje lekcje działają w obie strony.

Słyszac to, Leonora zdrętwiała. A potem musiała przyznać, że rzeczywiście nauczyła się czegoś od Morse'a Archera: niektóre lekcje były wyjątkowo trudne, inne upojnie rozkoszne.

Sir Hugo ruszył w stronę drzwi, Leonora złapała go jednak za rękaw.

- Jeżeli rzeczywiście mam taki talent do naginania męż-

czyżn do własnej woli, czy zdołam cię namówić, byśmy za mniej więcej dwa tygodnie wyprawili przyjęcie w Laurelwood? Powiemy, że chcemy pożegnać się z sąsiadami przed wyjazdem do Bath. Morse robi szybkie i wyraźne postępy, ale chciałabym, żeby mógł się sprawdzić przed większym audytorium, nie będącym jednocześnie zbyt krytycznie nastawionym.

- Fenomenalny pomysł! Kapitalny! - zagrział sir Hugo. - Zupełnie nie rozumiem, jakim cudem sam na to wcześniej nie wpadłem. Zaprosimy panny Maperton i siostrzenice pułkownika Morrisona. A także tego młodego bratanka Pewseya, który obecnie mieszka w jego domu. Ty, moja droga, wypisz zaproszenia, a ja z odpowiednim wyprzedzeniem powiadomię naszych sąsiadów, że nadejdą. A teraz muszę się już zbierać, bo za chwilę roztopię się w tym płaszczu i szalu.

- Dziękuję, wuju. - Leonora pożegnała go gorącym całusem w policzek z uczuciem satysfakcji, że przynajmniej z jednym mężczyzną umie sobie doskonale radzić.

- Wiem, że już późno i że cały dzień ciężko pracowałeś. - Leonora posłała Morse'owi błagalne spojrzenie, któremu nie potrafił się oprzeć. - Do przyjęcia zostały nam zaledwie dwa dni, a potem już tylko tydzień na doszlifowanie formy przed wyjazdem do Bath. Chciałabym się upewnić, że dobrze zapamiętałeś historię swojego życia.

Morse ze znużeniem skinął głową.

- A więc do dzieła.

W głowie kłębiło mu się od łacińskich sentencji, francuskich powiedzonek, nie wspominając o streszczeniach wszystkich sztuk Szekspira. Po męczącym powożeniu faetonem, po którym ćwiczył taniec tak długo, na ile pozwalała kontuzjowana noga, teraz już miał tylko ochotę na kieliszek czegoś mocniejszego i odpoczynek.

Jednak za żadne skarby nie chciał zawieść Leonory.

Szczególnie w sytuacji, gdy bez wątpienia dostrzegała i doceniała jego wysiłek i ciężką pracę. Poza tym, ich wspólny czas dobiegał końca. Morse przyłapał się na tym, że wykorzystuje każdą możliwość, by spędzić z nią kilka chwil sam na sam, bez względu na to, jak nużący miał być przedmiot ich nauki.

Kiedy opowiadała mu o podboju Galii przez Cezara czy intrygach obu stron w wojnie Dwóch Róż, widział w nich najbardziej fascynujące przygody. Gdy czytała mu wiersze wielkich poetów, coś ścisnęło Morse'a za serce. Nawet łacina brzmiała całkiem przyjemnie dla ucha, kiedy wychodziła z tak ponętnych ust.

- To nie potrwa długo, obiecuję - oznajmiła, uroczym przechylając głowę. W jej oczach dostrzegł błysk zachęty. - Zamiast jednak recytować fakty bezdusznie z pamięci, przećwiczmy wszystko w bardziej naturalny sposób - jakbyśmy byli na balu czy przyjęciu. Załóżmy więc, że jestem damą, którą właśnie ci przedstawiono.

Morse od razu poczuł się mniej zmęczony. Posłał Leonorze zabójczy uśmiech, po czym wyprostował się na szeszlunku. Zabawa w teatr pobudziła jego zainteresowanie. Bez dwóch zdań, Leonora była świetną nauczycielką - stymulującą... towarzyszką. Będzie mu jej bardzo brakować - zapewne o wiele bardziej, niż podejrzewał.

- Jakże miło pana poznać, kapitanie Archibald. - Leonora wyciągnęła ku niemu dłoń i zatrzepotała rzesami jak najprawdziwsza debiutantka. - Cóż sprowadza pana do Bath?

Morse przygryzł wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Chwytał doń Leonory tak delikatnie, jakby była to najcenniejsza porcelana, po czym musnął ją wargami.

- *Enchante, mademoiselle.* - Morse strawił wiele godzin na opanowaniu kilku francuskich fraz. równie dobrze mógł więc z nich korzystać przy każdej nadarzającej się sposobności. Posłał

jej swoje szczególne spojrzenie, które ćwiczył latami, a które dawało do zrozumienia kobiecie, że jest najpiękniejszą istotą na ziemi. - Można powiedzieć, że przyjechałem, by podziwiać widoki. - Jego wzrok i intonacja głosu nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że to rzeczona dama była warta dalekiej podróży. Choć Morse naśladował arystokratyczną wymowę pewnego oficera, którego serdecznie nie znosił, pochlebstwo było jego własnego autorstwa.

Jeżeli wcześniej mógł się obawiać, czy w ten sposób zbyt się nie odkryje, chichot Leonory rozwiał wszelkie jego wątpliwości - a jednocześnie bardzo go zirytował.

- Och, kapitanie! - Uniosła dłoń, jakby zakrywała zarumienione policzki. - Pan jest zbyt uprzejmy.

- Żadną miarą, panno Husbandhunter*. - Morse przyglądał się Leonorze usiłującej powstrzymać śmiech na dźwięk nazwiska, jakie dla niej wymyślił. - W rzeczy samej, przyjechałem tu za namową przyjaciół. Sir Hugo Peverill - być może pani o nim słyszała? - przekonał mnie, że tutejsze źródła mogą się okazać zbawienne dla mojej kontuzjowanej nogi.

- Pana nogi? O, mój Boże. Czy został pan raniony w walce?

- Niestety tak. W ten sposób moje życie w armii dobiegło końca. Wydobrałem na tyle, że mogę swobodnie chodzić... a nawet tańczyć, byle nic zbyt skoczego. Jednak już nigdy nie podołam trudom wojennych kampanii.

- Jaka szkoda! Mój brat służy właśnie pod pułkownikiem Ebbetem. A pan, gdzie służył?

- W Czwartej Brygadzie Strzelców z Somerset.

Nikt, kto usłyszał, z jaką dumą wypowiadał te słowa, nie mógłby wątpić w ich szczerłość.

- Strzelec! Jak wspaniale! - Szczególny błysk w oku Leo-

husband - ang. *mąż*; hunter - • ang. *myśliwy* (przyp. red.).

nory uświadomił Morse'owi, że ten zachwyty nie był udawany.

- Mam krewnych w całym Somerset: z jakiej części hrabstwa się pan wywodzi?

- Rodzina mojej matki pochodziła z Somerset, ja jednak dorastałem w Indiach, gdzie mój ojciec pracował dla gubernatora. Ale, doprawdy, moje życie nic należy do szczególnie interesujących. Natomiast nie mogę się już doczekać, by opowiedziała mi pani coś o sobie, panno Husbandhunier. - Ujął jej dłoń. - Czy często przyjeżdża pani do Bath? W jakich stronach leży pani rodzinny dom? W jakiej części Portugalii stacjonuje obecnie pułk pani brata?

- To nie fair, Morse... to znaczy, Maurice. - Leonora wyrywała palce z jego uścisku. - Jak mogę przeciwzyć z tobą twój zyciorys, gdy tak podstępnie odwracasz role?

Morse rozparł się wygodniej na szezlongu.

- Bo tak właśnie będę postępował, Leonoro. Jeśli jakaś geś zacznie mnie przepytować tak jak ty przed chwilą, od razu w taki sposób pokieruję rozmową, by zaczęła mówić o sobie. Ostatecznie dla większości ludzi to ulubiony temat.

- Muszę przyznać ci rację - oznajmiła z uśmiechem. - Dzięki Bogu, że jesteś tak bystry, Morse. Wątpię, czy w Bath spotkamy kogoś dość sprytnego, by cię zdemaskować.

Dziwne ciepło rozlało mu się po ciele, jakby nagle wychylił łyk mocnego trunku.

- Strzelec musi być zawsze gotów do przejęcia inicjatywy - zbył jej komplement, cytując jedno z przykazań sir Johna Moore'a. - Nie martw się, Leonoro. Wygram dla ciebie ten zakład, bez względu na to, co będę musiał zrobić.

Jakimś dziwnym trafem ich dłonie się splotły. Morse ścisnął rękę Leonory - dla dodania jej otuchy.

Ku jego zdumieniu, nie zabrała dłoni. W zamian przykryła jego rękę drugą dłonią.

- Wierzę w to głęboko. Morse - odparła, jednak w tych peł-

nych przekonania słowach zabrzmiała melancholijna nuta. - Gdybym zdawała sobie sprawę, jak wiele pracy wymaga lakie zudanie, dużo poważniej bym się zastanawiała przed przyjęciem propozycji wuja. Wątpię, czy ktokolwiek inny podołałby temu wyzwaniu. Teraz rozumiem, czemu kuzyn Wes miał do ciebie tak duże zaufanie.

Gdyby przypięła mu do piersi order czy przyozdobiła skroń laurem, nie czułby się bardziej dumny. Gdyby cięła go szablą, nie czułby większego bólu.

Odwrócił twarz od Leonory, nie chcąc, by dojrzała jakże niemęski wyraz żalu na jego twarzy.

- Zapewne to zaufanie było zbyt duże. Nie zdołałem go przecież ocalić.

Morse chciał dodać coś jeszcze, ale bał się, że zdradzi go własny głos.

Inna kobieta pewnie udałaby, że nie dostrzega jego wielkiej żałości, ale nie Leonora.

Zanim się zorientował, co się dzieje, ujęła w dłonie jego twarz.

- Posłuchaj mnie uważnie. Morsie Archerze - powiedziała z pełnym przekonaniem. - Nie ty ponosisz odpowiedzialność za śmierć Wesleya. Wuj ma znajomości w Ministerstwie Wojny i dowiedział się, co zaszło. Wiele osób zawiniło w tej sprawie, to pewne, lecz ty do nich nie należysz.

Nie mógł spojrzeć jej w oczy, choć czuł na sobie jej przenikliwy wzrok. Mimo to te słowa podziały na niego kojąco.

- Gdyby Wesley był teraz tutaj... - Coś w jej głosie zmusiło Morse'a, by na nią popatrzył.

W jej oczach połyskiwała wilgotna mgła - niczym perłowy opar świtu zasnuwający zielone, letnie łąki.

Leonora nie wstydziła się swego żalu. Nie pozwoliła też, by napływające do oczu łzy przerwały wątek.

- Gdyby Wesley był teraz tutaj, pierwszy wbiłby to do two-

jej przepełnionej dumą mózgownicy. Nie powinienes więc czy-
nić sobie żadnych wyrzutów.

Od owego tragicznego dnia pod Bucaso Morse Archer miał
wrażenie, że wokół jego piersi zacisnęła się szeroka, żelazna ob-
ręcz. Nie była dość ciasna, by go zadusić, nie pozwalała jednak
na luksus swobodnego oddechu.

Teraz poczuł się tak, jakby nagle silny kowal roztrzaskał
kłódkę trzymającą obręcz na piersi. Jego serce mogło znów bić
tak mocno, jak tylko chciało. A on mógł się śmiać lub płakać
z całą drzemiącą w nim pasją.

I znów mógł normalnie oddychać.

Nagle spostrzegł, że twarz Leonory jest coraz bliżej jego
twarzy. Czy to ona przyciągała go do siebie, czy może on zbliżał
się do niej wbrew jej woli?

Nie umiał na to odpowiedzieć.

Wiedział jedynie, że wielka wdzięczność, jaka go w tej
chwili ogarnęła, oraz sto innych niezrozumiałych, ale potężnych
emocji mogą znaleźć ujście tylko wtedy, gdy jego usta zetkną
się z wargami Leonory. Dopiero gdy ich dotknął - gorących,
wilgotnych, niewypowiedzianie słodkich - i gdy objął Leonorę
ramionami, dopadły go wątpliwości.

Czy Leonora odepchnie go, jak to robiła przedtem? Czy uzna
ten pocałunek za kolejną egoistyczną próbę manipulowania jej
uczuciami?

Jej dłoń wciąż wciąż dotykała jego twarzy - to dodało mu
otuchy. Prawdę mówiąc, delikatnie, ale stanowczo zaczęła prze-
chyłać jego głowę w swoją stronę. Drżenie jej warg i różowy
koniuszek języka podnieciły go o wiele bardziej niż najbardziej
wymyślne preludia miłosne innych kobiet.

Morse nie zastanawiał się, co to w gruncie rzeczy znaczy.
Czuł jedynie, że bardzo pragnie tej kobiety i że nic chce, by kie-
dykolwiek zniknęła z jego życia.

Ośmielony jej niewinną żarliwością, całował ją coraz mocniej; jedną ręką pieścił włosy i szyję, drugą zaczął wodzić po jej ciele - po tych delikatnych, kuszących kragłościach.

Być może wcześniej rozległo się pukanie do drzwi. Jednak był tak zaabsorbowany, że nie dochodziły do niego żadne odgłosy z zewnątrz.

Nie był jednak aż tak ogarnięty żądzą, by zignorować Elsie Taylor, która otworzyła na oścież drzwi i wykrzyknęła:

- Przepraszam, panienko, ale zdaje mi się, że zostawiłam tu mój koszyk z szyciem!

Morse i Leonora odskoczyli od siebie gwałtownie - nerwowymi ruchami zaczęli przyglądać ubranie, kierując wzrok wszędzie, tylko nie na siebie nawzajem.

- Zdaje się, że jest na sofie pod oknem - pisnęła Leonora. podrywając się z szeslonga. - Poszukam go razem z tobą.

Morse posłał pannie Taylor mordercze spojrzenie. Po co, u diabła, był jej potrzebny koszyk z szyciem o takiej godzinie?

Ku jego wielkiemu zdumieniu odpowiedziała mu równie gniewnym spojrzeniem, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że wtargnęła do pokoju celowo.

Morse od tak dawna próbował stłumić w sobie pożądanie, że zupełnie nie był w stanie jasno myśleć. Teraz dotarło do niego, że gdy tylko Elsie Taylor znajdzie ten swój przeklęty koszyk i wyniesie się z bawialni, będzie musiał się jakoś wytłumaczyć przed Leonora. Przeprosiny też pewnie byłyby jak najbardziej na miejscu.

- Mój Boże, jak późno! - zawołała Leonora, nie odstępując na krok Elsie, gdy ta zabierała swój koszyk. - Najwyższy czas, bym położyła się do łóżka. Przecież wszyscy musimy dobrze wypocząć przed przyjęciem wydawanym przez wuja. - Ruszyła za Elsie, ani razu nie spoglądając w stronę Morse'a. - Dobrej nocy, kapitanie Archibald. Proszę nie siedzieć zbyt długo.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Morse zerwał się na równe nogi i z całej siły kopnął w szezlong.

Przeklął szpetnie pod nosem, a tymczasem ból rozlewał mu się po całej nodze. Przynajmniej dzięki temu oderwał myśli od tego, co przeżył, trzymając w ramionach Leonorę.

W końcu zdołał zapanować nad sobą na tyle, by udać się na poszukiwania Algiego i karafki z brandy. Godzina radosnej, banalnej pogawędki i hojna porcja trunku sir Hugona może pozwoli mu przespać nieprzerwanie kilka godzin.

Choć w głębi duszy Morse szczerze w to wątpił.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dobrze wypocząć przed przyjęciem?

Leonora zapewne zaśmiałyby się w głos na tę myśl, gdyby nic była tak bardzo rozemocjonowana. Przewracając się na łóżku, od czasu do czasu waliła pięścią w poduszki, żałując, że jakimś cudem nie mogą przemienić się w Morse'a Archera.

Do czego doszłoby w salonie, gdyby nie Elsie Taylor? Nie mogła też zdecydować, czy miałyby ochotę podnieść Elsie pensję, czy może raczej wydalić ją ze służby bez referencji.

A co myśli o niej teraz Morse Archer? Wykorzystała jego rozpacz, by wciągnąć go w intymną sytuację. Po tym, jak rzuciła się na niego tak gwałtownie, musi pogardzać nią jako żalną, zdesperowaną, złąknioną mężczyzny starą panną.

Czy myśląc tak, doprawdy bardzo by się mylił?

Leonora aż jęknęła, gdy przypomniała sobie, jak łatwo uwierzyła w jego udawane zaloty. Tym razem to ona sprowokowała ich pocałunek - przywiodło ją do tego fizyczne pożądanie, które tak długo w sobie tłumiła.

Co prawda, on jej nie odepchnął.

Po ciele wciąż rozlewało jej się ciepło emanujące z miejsc, których dotykał. Gdy wracała pamięcią do tych ważnych, choć przelotnych chwil, czuła w sobie wielkie pragnienie i bała się myśleć, co musiałyby zrobić, by je zaspokoić.

Leonora z jękiem wyskoczyła z łóżka i zapaliła świecę. Zdarła z siebie koszulę i nalała pełną miskę lodowatej wody.

Oblewała się nią tak długo, aż skóra pokryła się gęsią skórką i przybrała sinobiałą odcień zbieranego mleka.

Gdyby nie Morse Archer, nie zwątpiłaby w swoją starannie zaplanowaną przyszłość. Nie tęskniłaby za tym, na co wcześniej nie było miejsca w jej życiu.

Za pożądaniem. I za miłością.

Przyjęcie u sir Hugona właśnie miało się zacząć, Morse poprosił jednak Dickona, by raz jeszcze zawiązał mu fular, starając się przy tym poluzować wysoki kołnierz eleganckiej koszuli. To prawda. Wyglądał jak rasowy dżentelmen. Do tej pory nauczył się już jednak, że bycie dżentelmenem to dużo więcej niż tylko wygląd.

Morse miał pełną świadomość własnych niedostatków.

Niemal przez całe życie pogardzał lepszymi od siebie, zdecydowany, by na każdym kroku pomniejszać ich wartość w swoich oczach. Pogardzał tymi, co nim rządili. Ale tak naprawdę nie miał racji. Większość z nich bowiem to nie byli wcale dżentelmeni, pomimo bogactwa i wysokiego urodzenia.

Prawdziwy dżentelmen kierował się kodeksem honorowym i szczególnie filozofią życia. Wesley Peverill był dżentelmenem. Pomimo bezmyślnego gadulstwa oraz dobrodusznej naiwności najprawdziwszym dżentelmenem był także Algie Blenkinsop. Morse nie był jednak pewien, czy umiałby zdefiniować ten szczególny wyróżnik czyniący z nich dżentelmenów, a co dopiero ich naśladować.

Gnębiło go przerażające przeświadczenie, że nawet drobna szlachta wiejskiego Wiltshire przejrzy jego mamą grę w jednej chwili.

Gdyby tylko mógł zamienić kilka słów z Leonora! Morse czuł, że Leonora znalazłaby właściwe słowa, by go podtrzymać na duchu i ukoić jego nerwy. Jednak po ubiegłym wieczorze przez cały dzień unikała pozostania z nim sam na sam.

On tymczasem bardzo chciał się wytłumaczyć, dowiedzieć, jak się czuła po tym, co między nimi zaszło. Czy była na niego zła? Czy złościła się na samą siebie? Czy w ogóle miało to dla niej jakiegokolwiek znaczenie, czy może kierował nią jedynie czysty impuls zrodzony z namiętności chwili?

Na dźwięk dyskretnego pukania do drzwi odsunął się od Dickona, który właśnie zawiązał mu fular, a teraz zabrał się za szcztokowanie surduta.

- Ach, to ty, Algie. Wchodź, proszę.

- Aleś ty elegancki! - Algie podszedł leniwym krokiem do toaletki, po czym zmierzył Morse'a uważnie od stóp po czubek głowy. - Jakże bym chciał mieć twoją figurę, przyjacielu, zamiast być tak przekłętą tyką. Najkosztowniejszy krawiec z Bond Street nie mógłby sprawić, bym wyglądał tak zabójczo jak ty dzisiaj wieczoru.

Morse zastanawiał się tymczasem, jak Algie mógł przyznać coś podobnego bez cienia zawiści w głosie. Jak gdyby akceptował swoje własne niedostatki z całkowitą pogodą ducha i tylko odrobiną żalu, a jednocześnie radował się cudzym szczęściem.

Mimo to Morse uważał, że Algie i Leonora nie są dla siebie stworzeni. Zastanawiał się przy tym, czy to przekonanie nie wynika przypadkiem z egoizmu. Gdy jednak uczciwie zajrzał w głąb serca, uznał, że tak nie jest.

- Daj spokój. Algie. - Morse uśmiechnął się blado, wciskając palec za kołnierzyk. - Zupełnie nie czuję się zabójczo, wierz mi. Wątpię, czy uda mi się zrobić odpowiednie wrażenie na choćby jednym z dzisiejszych gości sir Hugona. Nie mówiąc już o śmietance towarzyskiej w Bath.

- Nonsense! - Mówiąc to, Algie wetknął końce fularu Morse'a za poły kamizelki. - Założę się o swój cały miesięczny dochód, że będziesz królową balu. - Rżąc z własnego dowcipu. Algie objął Morse'a pałąkowatym ramieniem. - Pod warun-

kiem, oczywiście, że przez cały wieczór nie będziesz się chował w swej sypialni. Chodźże więc wreszcie, pomożemy sir Hugonowi witać gości. A jeżeli w trakcie wieczoru osaczy cię jakaś nieznośna niewiasta, tylko daj mi znać wzrokiem, a przybędę ci na odsiecz i poproszę ją do tańca.

Morse na szczęście nie przyjął zakładu Algiego, ponieważ debiut kapitana Archibalda w towarzystwie przerodził się w prawdziwy triumf.

Być może przyczyniło się do tego moralne wsparcie Algiego. A może fakt, że na przyjęciu było znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Zapewne też dużą rolę odegrała jego determinacja, by nie zawieść Leonory.

Jakakolwiek była tego przyczyna, Morse wkrótce został otoczony wielbicielkami - urodzonymi damami - które uwodził nieco bardziej wyrafinowaną wersją dawnych gestów i pochlebstw skutecznie działających na barmanki i markietanki.

W końcu, po kilku wymownych aluzjach, zaprosił kilka z pań na parkiet, choć z początku bardzo się denerwował, że nie podoła zadaniu. Okazało się, że niepotrzebnie się przejmował. Wszystkie partnerki każde potknięcie natychmiast przypisywały jego niefortunnej kontuzji lub długiej nieobecności w kołach towarzyskich, spowodowanej służbą wojskową.

Im większy odnosił triumf, tym swobodniej i pewniej czuł się wśród zaproszonych gości. Im większą okazywał pewność siebie, tym więcej osób garnęło się do jego towarzystwa. Po godzinie od rozpoczęcia przyjęcia Morse pomyślał, że przepowiednia Algiego rzeczywiście się spełni.

Kilkakrotnie próbował zwrócić na siebie uwagę Leonory - oczekiwał na uśmiech czy spojrzenie potwierdzające jego sukces. Ona jednak ani razu nie zerknęła w jego stronę. Zdawała się bez reszty pochłonięta grupą dziewcząt, w których Morse po pewnym czasie rozpoznał jej uczennice z wioski.

Próbował zignorować dziecinny odruch zazdrości i rozczarowania. Przecież nie potrzebował jej aprobaty, by cieszyć się z własnego, autentycznego triumfu.

A jednak tego mu właśnie brakowało.

Dopiero gdy usłyszał uwagę poczynioną przez młodziana o bladej twarzy - uwagę bez wątpienia wypowiedzianą po to, by została usłyszana - Morse zrozumiał, czemu Leonora matkuje tym dziewczętom.

- Co też ten stary Peverill sobie wyobraża? - pogardliwym tonem rzucił wyrostek, machając niedbale dłonią. - Przecież jedna z tych panien to córka naszego ogrodnika. I ja miałbym zaprosić takie nic do tańca - ja, bratanek baroneta?

Niektóre dziewczęta zapewne nie dosłyszały jego uwagi, usłyszała ją jednak Elsie Taylor oraz jeszcze jedna panna - właśnie ta będąca przedmiotem kpin. Morse nie miał co do tego żadnych wątpliwości, gdy ujrzał, jak obie pochyłają głowy, a ich policzki pokrywa ciemny rumieniec.

Ręce aż go świerzbiły, by chwycić za gardło tego zarozumiałca, jednak opanował się ze względu na Leonorę.

Szybko też uwolnił się od towarzystwa starszej z siostrzenic pułkownika Morrisona i podszedł do uczennic Leonory. Nie mógł całkiem się przemóc i wybaczyć Elsie Taylor, że tak bezceremonialnie wtargnęła do salonu poprzedniego wieczoru, wyciągnął więc ramię w kierunku spłonionej córki ogrodnika.

- Panna... Yates, prawda? - Morse miał nadzieję, że nie pomylił jej nazwiska, bo byli sobie jedynie przedstawieni.

Spojrzała na niego oczami młodego zwierzęcia schwytanego w potrzask.

- Czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną? Obawiam się tylko, że będzie mi pani musiała wybaczyć pewne niedociągnięcia - a to z powodu mojej kontuzjowanej nogi.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie, po czym posłała bla-

dolicemu młodzianowi spojrzenie tak pełne pogardy, że Morse miał ochotę bić brawo.

- Dziękuję, kapitanie Archibald. - Wypowiedziała te słowa w taki sposób, jakby była urodzoną hrabiną. - Z wielką przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie.

Dumnie uniosła podbródek i oparta na ramieniu Morse'a wyszła na parkiet, gdzie bardzo wdzięcznie zaprezentowała się w tańcu.

Kątem oka Morse spostrzegł, że Algie podchodzi do panny Taylor i oferuje jej swoje ramię.

W ciągu następnych trzech kwadransów obaj się postarali, by każda z uczennic Leonory zatańczyła przynajmniej raz. Inni panowie poszli w ich ślady, natomiast kilka dam oferowało dziewczętom poncz i wciągnęło je do rozmowy.

Tymczasem odrażający bratanek baroneta przez cały czas podpierał ściany, bo wszystkie jego zaproszenia do tańca spotykały się z grzecznymi, ale stanowczymi odmowami pod byle pretekstem.

Kiedy Morse uznał, że dopełnił już obowiązku, noga bardzo mu dokuczała. Szepnął słówko Dickonowi i w ten sposób dostał kubek o wiele mocniejszego ponczu niż ten, którym raczyła się reszta towarzystwa. Potem pokuśtykał w stronę fotela stojącego w ocienionej niszy w holu. opadł nań ciężko, a bolącą nogę ułożył na stołku.

Pociągnął kilka łyków ze szklaneczki, po czym zamknął oczy, czekając, by alkohol złagodził ból. I chociaż usłyszał lekki szelest kobiecej sukni i poczuł aromat delikatnego, kwiatowego zapachu, którego nie umiał zidentyfikować - nie otworzył oczu. Nie chciał, by w tej chwili zawracała mu głowę jakaś nieustannie chichocząca niewiasta.

- Dziękuję, Morse - dobiegł go ciepły, pełen uznania głos Leonory.

Uniósł powieki i zaczął napawać się jej widokiem. Miała na sobie suknię o głębokiej barwie wina. Dodawała blasku jej cerze i podkreślała czerní włosów. Stanik był skromnego kroju, zgodnie z panującą modą. Za to miękka tkanina opływała jej kształty z uwodzicielską elegancją.

Morse pragnął tej kobiety zupełnie inaczej, niż do tej pory pragnął innych kobiet - za wyjątkiem jednej. I nie mógł się zdecydować, czy to go przeraża, czy wręcz przeciwnie - szalenie pociąga.

- Chciałaś powiedzieć „Maurice” - wyszeptał. - Osobiście nie znam nikogo o imieniu Morse.

Rzuciła okiem w stronę reszty towarzystwa, jakby szacując, czy ktoś zdoła ich usłyszeć pomimo radosnego zgiełku. A potem przykłęka obok fotela i pochyliła się ku Morse'owi.

- Ja natomiast znam kogoś o tym imieniu - oznajmiła cichym głosem. - To wyjątkowo dobry człowiek. Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jestem z niego dumna dzisiajszego wieczoru.

Być może w jego żyłach zaczął już krążyć mocny trunek, bo następne słowa, jakie wypowiedział, zdumiały nawet jego samego.

- Bardzo chcę, żebyś była ze mnie dumna. Leonoro. Zależy mi na tym daleko bardziej niż na wszystkich zamorskich plantacjach. Niż na czymkolwiek innym w życiu.

Morse zdawał sobie sprawę, że to ostatnie zdanie mija się z prawdą. Było coś, czego pragnął jeszcze bardziej, ale bał się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

Ach, ten mężczyzna! Miał dar wypowiedzania dokładnie takich słów, jakie pragnęła usłyszeć. Kusiło ją, by zbyć jego komplement jakimś krytycznym wobec siebie zdaniem. Nie zrobiła tego, na wypadek gdyby jakimś nieprawdopodobnym cudem jego słowa były jednak szczerze.

Zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co by mogła w owej chwili powiedzieć, a tymczasem muzyczne trio, zaangażowane na ten wieczór przez sir Hugona, zaczęło grać znaną melodię.

Morse wyprostował się w fotelu i uśmiechnął radośnie.

- *Pewnego letniego dnia!* Nie po to ćwiczyliśmy tak wytrwale przez ostatnie tygodnie, by teraz przesiedzieć ten taniec. - Dźwignął się w górę, po czym skrzywił mimowolnie, gdy przeniósł ciężar na kontuzjowaną nogę. - Czy uczyni mi pani ten honor i zatańczysz ze mną, panno Freemantle?

Choć bardzo pragnęła znaleźć się na parkiecie w objęciach Morse'a, Leonora pokręciła przecząco głową.

- Dzisiejszego wieczoru już i tak tańczyłeś dużo więcej, niż powinieneś.

Chwycił ją za rękę i unióś z podłogi, jakby nie ważyła więcej od motyla.

- Ależ ja nalegam.

Nachylając się ku niej, dorzucił szeptem:

- Do tej pory tańczyłem z obowiązku. Przecież nie odmówisz mi jednego tańca dla mojej własnej przyjemności.

Leonora pewnie by mu odmówiła, gdyby tylko zdołała wykrztusić choć słowo i gdyby nie zaciskała dłoni na ramieniu Morse'a, a nogi same nie niosły jej na parkiet.

Ćwiczyli ten popularny taniec po wielokroć, był bowiem często grywany na balach i prywatnych przyjęciach. Chociaż odznaczał się żwawą melodią, nie wymagał od tancerzy zbyt energicznych kroków. Wykonywało się go w układach po trzy pary. Morse i Leonora, Algie i Elsie oraz Dickon z córką łowczego ćwiczyli go tak długo, że teraz wszyscy mogliby bez wątpienia wykonać ten taniec z zawiązanymi oczami.

- Widzę, że wpadłeś na ten sam pomysł - rzucił rozradowany Algie, prowadząc pannę Taylor.

Jako trzecia para dołączył do nich sir Hugo z owdowiałą siostrą pułkownika Morrisona. Gdy schodzili się i rozchodzili w tańcu, Leonora z niepokojem doszukiwała się na twarzy Morse'a oznak, że noga dokucza mu coraz bardziej. Jednak - czy to z powodu chwili wypoczynku, czy też trunku, który wysączył - sprawiał wrażenie zrelaksowanego i nawet ani razu się nie skrzywił.

Ona także się rozluźniła i zaczęła rozkoszować się ciepłem jego dłoni.

Tymczasem Algie i sir Hugo unieśli ręce i utworzyli z nich łuk. podobnie jak Elsie i partnerka sir Hugona. Morse i Leonora kroczyli środkiem, po czym się rozdzielili: on przeszedł pod łukiem utworzonym przez mężczyzn, ona - pod łukiem utworzonym przez kobiety.

Leonora spostrzegła nagle, że owa taneczna figura stanowi doskonałą metaforę ich przyszłości.

Przez ostatnie kilka tygodni pracowali razem, by osiągnąć wspólny cel. Jednak gdy już wygrają zakład, ich drogi będą musiały się rozejść. Morse uda się do męskiego świata kolonii. Ona zamknie się w czymś na kształt żeńskiego klasztoru - poświęci się całkowicie swojej szkole. Jakże jednak będzie do niego tęsknić!

Pomimo ciężkiej pracy i nieustających starć w ciągu tych ostatnich miesięcy przywykła do Morse'a. Pozostawi po sobie wielką pustkę, której nawet wymarzona szkoła nie zdoła całkiem wypełnić.

Słowa tej często śpiewanej pieśni, będącej podkładem melodycznym tańca, również mówiły o dramatycznej przyszłości. Był to dialog pomiędzy młodą damą a jej ukochanym ruszającym na wojnę. Leonora zawsze sceptycznie traktowała koniec tej rozmowy - dziewczyna deklarowała, że woli rzucić się wraz z nim w wir walki, niż umierać w domu ze zgryzoty i tęsknoty.

Przecież żadna rozsądna kobieta nie mogłaby tak po prostu porzucić swego życia, by podążyć za mężczyzną.

A może jednak to prawdopodobne?

Gdy ich dłonie znów się połączyły w finałowej figurze, Morse pochylił się w jej stronę i wyszeptał:

- Wróć wreszcie na ziemię, Leonoro. Gdzieś wędrowała myślami przez ten cały czas? Bo z pewnością nie koncentrowałaś SIĘ na tańcu.

Uśmiechnęła się do niego przepraszająco.

- Myślałam o tym, co nas jeszcze czeka. Przepraszam, jeśli popsułam ci taniec. Nie zrobiłam tego rozmyślnie.

Odprowadził ją do niszy, kulejąc teraz o wiele bardziej niż w ciągu ostatnich kilku dni. Czy wcześniej ukrywał cierpienie? Czy teraz je wyolbrzymiał, by ostudzić gorące spojrzenia posyłane w jego stronę przez pannę Bonnell i młodszą z panien Morrison?

- Nie mogę ci mieć tego za złe - powiedział cichym głosem.
- Mnie samego wciąż pochłaniają różne pytania, a poza tym nie potrafię przestać myśleć o tym, co zaszło między nami wczorajszego wieczoru.

Leonora poczuła ściskanie w dołku, a jej oddech stał się nagle szybki i płytki.

- Mówisz o pocałunku - zniżyła głos do szeptu, niemal jakby obawiała się wypowiedzieć te słowa.

Morse chwycił ją gwałtownie za ramię, opadając jednocześnie na fotel. Swoim ciężarem pociągnął Leonorę, tak że w końcu poczuła ciepło jego oddechu na swym dekolcie.

- Pocałunek - oświadczył cicho - a także wszystko, co się za nim kryło.

- To była pomyłka. - Te słowa przyszły jej z trudem. Czy kiedykolwiek nauczy się przyznawać do porażki lub błędów, nie czując się przy tym przerażająco niepewnie? - W żadnym razie nie powinnam tak się na ciebie rzucać.

- Osobiście nie zauważyłem żadnego „rzucania” - roześmiał się Morse. - Odniosłem natomiast wrażenie, że nie mieliśmy żadnego wyboru; musieliśmy poddać się tej szczególnie ekscytującej chwili.

Leonora stanowczo pokręciła głową.

- Ludzie zapewne nie mogą kontrolować swoich uczuć, powinni natomiast w pełni kontrolować własne zachowanie. - Nie mogła żyć bez przekonania, że panuje nad swym życiem i że tylko niekiedy z rozmysłem ulega impulsom. - Chciałam cię pocałować, więc to zrobiłam. Zapewne powodowała mnie czysta ciekawość.

Pomimo cienia zalegającego niszę dojrzała przekorę w oczach Morse'a. Półuśmieszek zatańczył w kąciku jego ust.

- Czy jest jeszcze coś, co pobudza twoją ciekawość, Leonoro?

Stała nad nim, zwrócona plecami do reszty towarzystwa. Zapewne nikt z gości nie mógł zobaczyć, jak Morse wyciąga rękę i przejeżdża palcami po staniku jej sukni. Jednak gdy wrażliwe koniuszki jej piersi stwardniały gwałtownie, a pomiędzy udami rozlała się fala wilgotnego gorąca, miała wrażenie, że wszyscy wbijają w nią wzrok. I że każdy może odczytać grzeszne myśli przebiegające jej przez głowę.

Odsunęła się od Morse'a na bezpieczną odległość kilku kroków. Gdyby jeszcze raz dotknął jej w podobny sposób, niewykluczone, że poddałaby się instynktowi; rzuciła na niebezpieczne wody pożądania i braku skromności.

- Nie zamierzam narażać na szwank całej swojej przyszłości tylko po to, by zaspokoić próżną ciekawość.

Była dwudziestosiedmioletnią dziewczicą i o ile nie przegra zakładu z wujem Hugonem - dziewczicą pozostanie. Przecież nie mogłaby prowadzić szkoły, jednocześnie wychowując nieślubne dziecko. A może Morse sugerował, że wzięłaby na siebie od-

powiedzialność i uczynił z niej uczciwą kobietę, gdyby zaszła taka potrzeba?

Po raz pierwszy w życiu myśli o małżeństwie i macierzyństwie wydała się Leonorze kusząca.

- Nie ma potrzeby narażać czegokolwiek na szwank.

Jak mogła być tak głupia, by sądzić, że Morse zdecyduje się na coś równie ryzykownego jak małżeństwo?

- Istnieją rozmaite sposoby, by dać kobiecie rozkosz, nie narażając jej jednocześnie... - szukał właściwego słowa - ...na przykre konsekwencje.

- Doprawdy? - zdołała wykrztusić, choć w gardle czuła suchość.

Morse rozparł się wygodniej w fotelu, po czym z wolna pokiwiał głową. Jego grzeszny uśmiech i spojrzenie dały jej do zrozumienia, jakie to mogły być sposoby.

W tym momencie Leonora zrozumiała, co musiała czuć Ewa kuszona przez węża. A czy ona odważy się skosztować zakazanego owocu oferowanego przez Morse'a?

- Zaczynam odnosić wrażenie, że mamy duże szanse na wygranie zakładu z twym wujem - oznajmił Morse. - Jeżeli sądzisz, że powinnaś wieść życie w stanie błogosławionego panieństwa, myślę, że powinienem umożliwić ci dokonanie w pełni świadomego wyboru. Jakże możesz postanowić, że chcesz obywać się bez mężczyzny, jeżeli nie wiesz, co tracisz?

Och, sierżancie Morse z Brygady Strzelców, jesteś jeszcze gorszy od węża!

Leonora zdołała się w końcu zebrać w sobie na tyle, by powiedzieć:

- Niezły z pana logik, sir.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- W głębi serca pozostanę na zawsze łotrem i żadne szlifowanie manier już tego nie zmieni.

Być może te słowa miały ją zniechęcić do jego osoby, tymczasem wywołały wręcz odwrotny efekt. Leonora niemal fizycznie czuła, jak dwie przeciwstawne siły ciągną ją w zupełnie różne strony.

Rozum i silna wola wymagały od niej jednego. I był to silny nakaz, te dwie wartości bowiem przez większość czasu rządziły jej życiem.

Być może jednak straciły nieco ze swej mocy z braku konkurencji, bo teraz jej ciało i serce buntowały się przeciw ich dominacji zapewne dlatego, że tak długo nie były słuchane.

- No i co ty na to? - zapytał w końcu Morse. - Do wyjazdu zostały dwa tygodnie. Czy zamienimy się na ten czas rolami? Czy zechcesz, bym został twym nauczycielem?

- Leonoro, moje drogie dziecko! - dobiegł ich dudniący głos sir Hugona.

Wbrew własnej woli Leonora drgnęła, czując się winna, zdołała się jednak opanować na tyle, by się odwrócić i posłać wujowi serdeczny uśmiech.

- Tak?

- Morrisonowie właśnie wychodzą. Musisz pożegnać ich ze mną przy wyjściu i życzyć im dobrej nocy.

- Oczywiście, wuju. Byli dziś wyjątkowo miłymi gośćmi. Chcę z całego serca podziękować im za przybycie.

Była niewymownie wdzięczna losowi za to nieoczekiwane wybawienie. Zyskała czas, by obudować obronę i wzmocnić siłę ewentualnego rażenia, choćby przypominając sobie wydarzenia z niedalekiej przeszłości.

Gdy jednak ruszyła za wujem, dobiegł ją głos Morse'a.

- No więc jak, Leonoro? Nie pozostawiaj mnie w niepewności. Czy jesteś gotowa przyjąć moją propozycję?

Kierując się rozsądkiem, próbowała przeciwstawić się temu

niespodziewanemu atakowi, jednak jej język okazał się zdrajcą, podobnie jak jej serce.

- Tak, jestem.

Dwa drobne słowa. Czyżby właśnie od nich miała zależeć cała jej przyszłość?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czy jesteś gotowa przyjąć moją propozycję?

Na wspomnienie owych słów Morse czuł wielkie podniecenie, choć jednocześnie aż kulił się w sobie na myśl o własnym tupecie. Co też go opętało ostatniego wieczoru?

Czy był to mocny trunek, który ochoczo wychylił, by stępić ból w nodze? Czy raczej uderzył mu do głowy pierwszy towarzyski triumf? A może porwała go namiętność do Leonory, którą tak skrętnie skrywał od kilku tygodni?

Gdy zastanawiał się nad jej odpowiedzią, rozpalał się coraz bardziej. Leonora podjęła wyzwanie, zmuszając go do działania.

Tymczasem jakiś cichy, wewnętrzny głos doradzał mu daleko posuniętą ostrożność.

Ta historia w najmniejszym stopniu nie przypominała przełotnych romansów, na jakie pozwalał sobie w czasie zamorskich kampanii. Chociaż zawsze starał się zapewnić swoim wybranym maksimum satysfakcji, przede wszystkim miał na względzie własną rozkosz. To, co poprzedniego wieczoru oferował Leonorze, nie przypominało nauki, a raczej uniżone usługi.

W swoim czasie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego działo. Był tak naiwny i zakochany, że wierzył, iż w łóżku kobieta i mężczyzna stają się równymi partnerami bez względu na to, jaka jest ich pozycja w świecie. Był też na tyle głupi, by sądzić, że równość w łóżku przekłada się na równość w życiu.

Mimo że od tamtej pory minęło ponad dziesięć lat, wciąż nie potrafił zapomnieć. Co prawda, teraz już sam nie wiedział, co doskwierało mu bardziej - zdrada lady Pameli czy też własne upokorzenie.

Był lokajem w Granville Manor, nie lubiącym siebie w tej roli, kiedy wpadł w oko młodej żonie starego chlebobdawcy. Początkowo udawało mu się trzymać od lady Pameli z daleka, chociaż pożerało go pożądanie.

Gdy jednak jego pan dokonał żywota, Morse poddał się namiętności.

Dla nieopierzonego młodzieńca ta pierwsza miłosna przygoda była czymś bardzo szczególnym. Mógł się sycić niezwykle piękną kobietą, kilka lat od niego starszą i nieskończenie bardziej doświadczoną, Euforia pierwszej miłości, zmieszana z urokiem zakazanego owocu, okazała się upojnym eliksirem.

Tajemne schadzki. Sekretne gesty i spojrzenia.

W pewnym momencie zaczął jej pożądać równie niepomowianie jak alkoholik dżinu. Był gotów udać się wszędzie i o każdej porze, byle tylko być z nią razem. Wierząc, że odwzajemnia jego uczucia, zaczął marzyć o wspólnej przyszłości.

Jakimz okazał się durniem!

Nigdy nie był zainteresowany jej pieniędzmi, uznał więc, że okoliczności są wymarzone. Lady Pamela nic miała dzieci ani własnego majątku ziemskiego, natomiast po wejściu w życie testamentu męża miała otrzymywać skromną wdowią rentę. Nic wielkiego - jednak wystarczająco dużo, by kupić wygodny domek i pozwolić Morse'owi na rozwinięcie drobnego, acz dochodowego interesu.

Miał jednak dość taktu, by nie prosić jej o rękę w czasie pierwszych dni żałoby, a kiedy w końcu uznał, że już może to zrobić - roześmiała mu się prosto w twarz.

- Ależ mój drogi, chyba sobie żartujesz! Ja miałabym osiąść w jakiejś zapomnianej przez Boga wiosce jako żona wozaka czy piwowara?

Choć kipiał z gniewu i upokorzenia, wciąż próbował ją przekonać do swych racji.

- Przecież o wiele lepiej cieszyć się własnym, przytulnym kątem i wspólnie kłaść do łóżka, kiedykolwiek przyjdzie nam na to ochota, niż samotnie snuć się po wielkim, pełnym przeciągów dworze.

Pamela tylko uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Archer, mój skarbie, o wiele bardziej odpowiada mi sekretny romans. To mnie wyjątkowo podnieca. Przestań więc opowiadać bzdury i wreszcie mnie pocałuj.

Morse rzeczywiście ją pocałował, wciąż jeszcze pełen nadziei, że jednak uda mu się przekonać tę kobietę, iż miłość jest o wiele więcej warta niż stan posiadania czy status społeczny.

- Przecież i tak za miesiąc będziesz musiała opuścić Granville Manor - przekonywał, gdy oderwali się od siebie, by zaczerpnąć oddechu. - Jeżeli tak czy owak zaczniesz prowadzić skromniejsze życie, czemu nie chcesz go dzielić ze mną?

- Ponieważ, mój słodki wieśniaku, już obiecałam rękę komuś innemu i w związku z tym nie zacznę prowadzić skromniejszego życia. Co prawda, mój nowy mąż nie cieszy się tak wielkim poważaniem w towarzystwie jak poprzedni, lecz bez wątpienia zrekompensuje mi to zasobność jego sakiewki. A teraz bądź tak dobry i przekręć klucz w drzwiach. Zamierzam korzystać ze swobody tak długo, jak to możliwe.

- Nie wierzę, że tak naprawdę myślisz. Po prostu nie wierzę! Kocham cię, Pamelo, i najbardziej na świecie pragnę, byś została moją żoną.

- Zaczynasz mnie nużyć, Archer. Jeżeli sam nie jesteś w sta-

nie pojąć, czemu małżeństwo z tobą w ogóle nie wchodzi w grę, to nic, co powiem, nie zdoła ci tego wyjaśnić.

Rozpięła mu żakiet, kamizelkę i koszulę, po czym przejechała dłonią po jego nagim torsie. Jednak jej dotyk nie rozpałił go tak jak poprzedniego dnia.

- Przecież nie musimy się rozstawać, więc nie masz się co przejmować. Pan Hill zapewnił mnie, że będę mogła zachować całą służbę z Granville Manor, jeżeli tylko takie będzie moje życzenie. Oczywiście, ciebie będę rekomendować jak najgoręcej. Między nami nic się nie zmieni.

Morse nagle poczuł się lak, jakby z całej siły go spoliczkowała. W tym samym momencie zrozumiał, że nigdy nie będzie dla niej kimś więcej niż sługą. Sługą do specjalnych, intymnych poruczeń, oczywiście. Ocenianym tak jak kucharka na podstawie przyrządzanych deserów czy ogrodnik - ze względu na umiejętność odpowiedniego przycięcia żywopłotu. W żadnym razie nic mógł liczyć na to, że' zostanie uznany za osobę mającą własne potrzeby, marzenia czy troski.

Tymczasem jego kochanka podała mu usta do pocałunku.

Tym razem jednak jej nie pocałował. Natomiast zaczął ją pieścić, aż zaczęła pojękiwać z pożądania. Gdy uznał, że jest już na granicy rozkoszy - przerwał pieszczotę. Zaprotestowała gwałtownie, a on wykrzyknął:

- Niech cię diabli porwą, lady Granville!

Jeszcze tego samego dnia porzucił służbę, by zaciągnąć się do Brygady Strzelców. Przyrzekł sobie jednocześnie, że już nigdy w życiu nie będzie zadawać się z kobietami stojącymi wyżej od niego w hierarchii społecznej. Dotrzymał tej obietnicy aż do chwili, gdy przybył do Laurelwood.

Czy odważy się ją złamać dla Leonory Freemantle?

Leonora zacisnęła zbielełe palce na filiżance z kawą, by ukryć ich drżenie. Wodziła widelcem po śniadaniowym talerzu i tylko jednym uchem słuchała ożywionych komentarzy Algiego i wuja Hugona na temat przyjęcia.

Minionej nocy leżała w ciemnościach, na próżno usiłując usnąć, żałując słów wypowiedzianych do Morse'a. Wreszcie, znękana bezsennością, zaczęła marzyć o dniu, w którym w końcu Morse zniknie z jej życia, a ona wreszcie się wyśpi. Jednak tylko przez moment.

Jeżeli już teraz nie może znieść myśli, że Morse Archer kiedyś odejdzie, to jak będzie się czuła, gdy zbliży się do niego jeszcze bardziej?

Czy jednak mogłaby pozwolić mu zniknąć, nie zaspokoiwszy ciekawości? Jeżeli do tego dopuści, to przez resztę życia nie przestanie o nim myśleć i wciąż będzie dręczyć ją niepewność.

- Przepraszam za spóźnienie. - Morse zajął swoje miejsce przy stole, kulejąc o wiele bardziej niż w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Na wspomnienie tego, co zrobił dla Dorothy Yates i innych jej uczennic, Leonorze zrobiło się ciepło na sercu.

- To normalne, że zaspąłeś dzisiejszego ranka, przyjacielu - oznajmił Algie z pełnymi ustami, zajadając smażone śledzie i grzanki. - Po takiej porcji tańców i ponczu ja też spałem jak zabity. Wspaniałe przyjęcie, sir Hugonie - powtórzył po raz dziesiąty tego ranka.

Bogu dzięki, że Morse najprawdopodobniej wygra dla niej ten zakład! Polubiła Algiego, jednak była pewna, że nie zdołaby znieść tak wielkiej dozy dobrego humoru od samego rana. Po tygodniu zapewne zaczęłaby rozbijać mu gotowane jajka na głowie!

- Miło mi słyszeć, że się wspaniał. - Morse zabrał się za

śniadanie, wykazując się o wiele lepszymi manierami niż Algie.

- Ja miałem fatalną noc.

Czy to tylko przywidzenie, czy Morse rzeczywiście posłał jej znaczące spojrzenie?

- Za dużo tańców jak na możliwości mojej nogi - ocenił Morse.

- Musisz bardziej nad nią pracować - oznajmił Algie, spoglądając w stronę sir Hugona, oczekując potwierdzenia.

- Bez wątplenia - oświadczył starszy pan. - Teraz, gdy aura stała się bardziej sprzyjająca, powinieneś codziennie zażywać spacerów. Leonora może chodzić z tobą i nauczać cię w tym czasie, by nie ucierpiała na tym edukacja.

- To fantastyczny pomysł - stwierdził Morse, posyłając Leonorze spojrzenie wyrażające rozbawienie. A może to było wyzwanie?

Nie odwróciła wzroku, nie była jednak zdolna wypowiedzieć słowa.

Spacer. Oddalenie od Laurelwood. Szansa na odrobinę prywatności.

- Zaraz po śniadaniu poproszę o palto i laskę - oznajmił Morse, jedząc coraz żwawiej.

- To zapewne sensowna decyzja - rzekła w końcu Leonora. Chwilę później odsunęła talerz i wstała od stołu. - Pójdę po płaszcz i kapelusz, po czym zaraz do ciebie dołączę. - Nie odważyła się spojrzeć Morse'owi w oczy, by nie dostrzec w nich błysku triumfu.

W ciągu następnych dziesięciu minut kilkakrotnie wkładała i zdejmowała wierzchnie okrycie. Oczywiście, uda się na przechadzkę z Morse'em. Czy mogło to doprowadzić do gorszej sytuacji niż ta w której już się znalazła?

Na pewno mogło. Morse i tak znaczył dla niej zbyt wiele.

Nie powinna więc dopuszczać do tego, by zatracić się w tych uczuciach.

Chociaż, gdy spojrzało się na to chłodno, zaprosił ją jedynie na przechadzkę, a nie na miłosne igraszki.

Biła się z myślami, tak że po chwili miała w głowie zamęt. Kiedy jednak zeszła po schodach i ujrzała, jak oczy Morse'a rozbłyskują na jej widok, nabrała przekonania, że dokonała dobrego wyboru.

Wyciągnął ku niej ramię.

- Już zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmieniłaś zdania.

- Zmieniałam - przyznała szczerze. - A potem zmieniałam raz jeszcze. A potem znowu. Kto wie? Może zmienię je ponownie, gdy tylko przejdziemy sto metrów.

Morse roześmiał się i wyprowadził ją na dziedziniec zalany bladym słońcem przedwiośnia.

- W takim razie będę musiał cię przekonać, byś została, albo wszelkimi możliwymi sposobami skusić, żebyś nie odchodziła.

Przycisnął do boku ramię, na którym Leonora trzymała dłoń. Ten prosty, niewinny gest sympatii obudził w Leonorze całą falę ciepłych uczuć. Były jak promienie słoneczne pieszczące zmarniętą ziemię, pobudzające ją do wydania na świat nowego życia.

Przejął ją również obawa, bo czułość rozbrajała, niweczyła ochronę przed zranieniem. Leonora już nie panowała nad sytuacją. Jednak ta obawa nie przygasiła w niej gorącej namiętności do Morse'a Archera, a tylko jeszcze bardziej ją roznieciła.

Tymczasem w odpowiedzi na gest Morse'a zacisnęła mocniej palce na jego ramieniu. Wiedziała, że poczuł jej uścisk i zrozumiał jego wymowę - być może lepiej, niż ona sama ją pojmowała. W kącikach ust zamajaczył mu nieśmiały uśmiech.

- Czy teraz zaczniemy szlifować moje maniery, którymi

mam oczarować dziedziczki fortuny w Bath? - zapytał po chwili. - Kapitan Archibald rusza na podbój. Tego właśnie oczekuje ode mnie Algie. Udzielił mi nawet w tej kwestii kilku bardzo cennych wskazówek.

- Tylko nie to, błagam. Nieważne, jaki werdykt wydadzą damy w Bath, ja zdecydowanie przedkładałam sierżanta Archera nad kapitana Archibalda.

Morse milczał, prowadząc ją powolnym krokiem wzdłuż ogrodowych ścieżek. Wśród nagich jeszcze gałęzi szczebiotały ptaki, jakby przywoływały do życia pierwsze zielone pąki. Ostre powietrze zimy ustępowało miejsca żywym aromatom rodzącej się wiosny.

W końcu Morse przerwał milczenie.

- To najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem z ust kobiety.

Zaczął rozglądać się wokół - Leonora w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć dlaczego, ale szybko pojęła jego intencje. Morse sprawdzał, czy wciąż jeszcze byli widoczni z okien Laurelwood.

Kiedy zdała sobie sprawę, że całkowicie zakrywają ich pokryte gęstym igliwem gałęzie, Leonora poczuła szybsze bicie serca.

Morse zwrócił się w jej stronę. Wciąż opierając się z całej siły na lasce, drugą ręką przygarnął ją do siebie i pochylił się, by ją pocałować.

Nie chcąc całkowicie oddawać się w jego władanie, Leonora ujęła w dłonie jego twarz. W ten sposób będzie mogła go odepchnąć, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ale ta myśl natychmiast zniknęła, gdy dotknął wargami jej ust. Odwzajemniła pocałunek z namiętnością rekompensującą brak wprawy. A potem zaczęła ściągać rękawiczki. Gdy już uwolniła palce, jedną ręką zaczęła wodzić po jego świeżo

ogolonym policzku, drugą zaś zatopiła w gęstych, krótkich włosach.

Niezwykłe, radosne uniesienie stłumiło jej wszelkie obawy i lęki. Leonora nie panowała już nad sobą. Zatraciła się całkowicie w pocałunku, w bliskości mężczyzny.

Sycili się swymi ustami i dłońmi. A kiedy ręka Morse'a powędrowała wzdłuż jej ciała i zatrzymała się na pośladku. Leonora jęknęła.

- Leonoro?! - radosny krzyk Algiego podrażnił jej pobudzone zmysły, niczym początkujący skrzypek torturujący struny instrumentu. - Morse?! Hop, hop! Gdzie się podzicwacie?!

Odskoczyli od siebie gwałtownie. Leonora poczuła się tak, jakby ktoś brutalnie zerwał jej plaster ze świeżej, zaognionej rany. Tyle że tą raną było teraz całe jej ciało.

Drżała i miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

- Ach, tu jesteście! - Algie był już teraz bardzo blisko.

Leonora zaczęła wciągać rękawiczki, ostatnim wysiłkiem woli powstrzymując się, by nie trzasnąć pięścią Algiego w odstające ucho.

- Pomyślałem, że się do was przyłączę; pogoda dzisiaj taka piękna. - Jeżeli Algie nawet zauważył coś dziwnego w gorączkowych ruchach ich dłoni czy pełnym zażenowania milczeniu, nie dał nic po sobie poznać. Nie przejął się też wcale raczej chłodnym powitaniem. - Martwiłem się o kontuzjowaną nogę Morse'a. Gdyby mu zaczęła poważnie dokuczać, potrzebowałby silniejszego ramienia niż twoje. Leonoro.

- W rzeczy samej, czuję szczególne świerzbienie - oznajmił na to Morse.

Zaintrygowana chrapliwością jego tonu, Leonora posłała mu ukradkowe spojrzenie. Niezwykły, złocisty błysk w jego orzechowych oczach powiedział jej, że tego świerzbieńca zdecyd-

wanie nie czuł w nodze. Szybko zasłoniła ręką usta, by stłumić wybuch śmiechu.

- Właśnie postanowiliśmy już wracać - rzucił Morse.

- Zatem dobrze, że się zjawiłem. - Algie wsunął rękę pod ramię Morse'a i skierował go w stronę Laurelwood, papląc nieprzerwanie, co bardzo działało na nerwy Leonorze.

Nie mając innego wyjścia, ruszyła za mężczyznami i napawała się Morse'em w jedyny możliwy teraz sposób - pożerała go wzrokiem. Zastanawiała się, kiedy znów będą mieli okazję zostać sam na sam i jak teraz będą wyglądały ich lekcje.

Zrozumiała, że nie może się już tego doczekać.

Choć Morse robił, co mógł, musiały minąć pełne trzy dni i trzy noce, zanim znowu zdołał wziąć Leonorę w ramiona.

Za każdym razem, gdy tego próbował, albo Algie, albo sir Hugo czy też Elsie Taylor - zakłócali ich sam na sam. Pozostawali przy tym zupełnie ślepi na dość wyraźne oznaki, że ich obecność nie jest mile widziana.

Morse mógł więc wyrażać swoje uwielbienie jedynie oczami i głosem. I tylko słuchem i wzrokiem mógł odbierać oznaki zainteresowania ze strony Leonory.

Jej śmiech, ostatnio coraz częstszy i cieplejszy w tonie, sprawiał, że krew o wiele szybciej zaczynała mu krążyć w żyłach. Urocze wygięcie szyi czy wdzięczny ruch kremowego ramienia, gdy grała na fortepianie, porażały go swoim niezwykłym pięknem.

Gdy spozjrzała na niego nieoczekiwanie tymi nieprawdopodobnymi oczami, z uśmiechem jeszcze błakającym się na ustach, był wniebowzięty.

W nocy widział ją we snach, a kiedy spotykali się w ciągu dnia, czuł, że jest spragniona jego dotyku równie niepohamowanie, jak on jej bliskości. Ilekroć ich dłonie musnęły się przy-

padkowo - gdy na przykład sięgali po pieczywo przy śniadaniu - policzki zaczynały jej płońać, a oddech się urywał - podobnie jak jemu.

W końcu, gdy już desperacko poszukiwał możliwości spędzenia choćby minuty sam na sam z Leonora, usłyszał, jak sir Hugo każe kamerdynerowi przynieść z piwniczki butelkę wina do obiadu.

- Oszczędzę ci fatygi - rzucił Morse służącemu, wiedząc dobrze, że biedny Bramshaw ma pełne ręce roboty w związku z ich wyjazdem do Bath.

Rozejrzał się wokół i przekonał, że bogini Fortuna postanowiła być dla niego łaskawa. Leonora właśnie schodziła ze schodów.

- Jeżeli tylko panna Freemantle zechce mi łaskawie wskazać drogę do piwniczki - dodał.

Odruchowym gestem uniosła dłoń i poprawiła włosy. Doskonale wiedziała, co mu chodziło po głowie - cóż za intuicja! Chwilę później dorzuciła półgłosem:

- Będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Zaopatrzyli się w klucz, po czym Leonora poprowadziła go do wejścia pod schodami, a on tymczasem podziwiał jej elegancko kołyszący się krok. Delikatny zapach lawendy rozsielany przez jej włosy upajał go bardziej, niż mogłyby to uczynić najwspanialsze trunki z zapasów sir Hugona.

- Jesteśmy na miejscu.

Czy mu się zdawało, czy jej głos rzeczywiście drżał, a dłonie nie były w stanie przekrócić klucza w zamku?

- Pamiętasz, o jaki rocznik prosił wuj? - Wchodząc przez niskie drzwi, uniosła świecę, by dokładnie oświetlić drogę.

Morse szybko zatrasnął drzwi, wyjął jej lichtarz z dłoni i postawił na wysokiej półce, w zasięgu ręki.

- Nie, nie pamiętam, o jaki rocznik mu chodziło.

Chciał ją chwycić w objęcia, okazało się jednak, że nie musi tego czynić, Leonora bowiem obróciła się na pięcie i rzuciła wprost w jego ramiona.

- W tym momencie z ledwością przypominam sobie, jak mi na imię - wyszeptał, po czym przywarł ustami do jej warg.

Nie kłamał. Przez ostatnie parę dni wszystkie niepokoje związane z zakładem, pozycją społeczną i niestałością kobiecych uczuć zupełnie wyleciały mu z głowy. Był w stanie myśleć jedynie o Leonorze i o tym, jak bardzo jej pożąda.

Bezwładny ciężar jej ciała zachwiał jego równowagę i Morse poleciał do tyłu. Na szczęście niski antałek uchronił go od upadku. Poczuł w nodze przejmujący ból, gdy opadł na dębowe drewno, ale już chwilę później przeszył go namiętny dreszcz, gdy Leonora znalazła się na jego kolanach.

Morse natychmiast zapomniał, że miał wyświadczyć jej przysługę - wprowadzić w tajniki zmysłowych rozkoszy. Zawiądnęły nim prymitywne, zwierzęce instynkty równie odwieczne jak kamienne kręgi na Nizinie Salisbury.

Pragnął posiadać tę kobietę i oddać się jej jednocześnie. Chciał napawać się jej ciałem, póki nie nasyci wszystkich zmysłów. Czuć, jak na przemian mdleje i sztywnieje pod jego dotykiem. Nie był w tej chwili mężczyzną swojej epoki - epoki nowoczesnej i racjonalnej. Był jak człowiek prehistoryczny.

Owładnięty pożądaniem, gwałtownie przywarł do jej ust, ona jednak nie próbowała umykać. Wręcz przeciwnie - odpowiadała równie namiętnie, podsycając jego podniecenie, tak że niewiele brakowało, a Morse całkiem by się zapomniał.

W końcu oderwał wargi od jej ust i wędrował nimi coraz niżej - aż do ramienia Leonory, która wdzięcznie poddała się pieścizocie.

Musnął ręką stanik sukni i poczuł, jak twardnieją jej piersi. Wargami wędrował coraz niżej, aż w końcu przywarł do jej de-

koltu. Drugą ręką sięgnął do rąbka sukni i zaczął ją unosić - ponad łydki, w górę ud.

W chłodnej wilgoci piwniczki pojedyncza świeca rzucała tajemnicze cienie na pokryte kurzem, leżące na półkach butelki. Zapach piwnicznego wnętrza mieszał się z wonią dojrzałych winogron i subtelnym, piżmowym aromatem podnieconych ciał. Kamienne ściany odbijały nikłym echem ich gorączkowe szepty i ciche ponaglenia.

Ciężkie kroki i podniesiony głos Algiego zagłuszyły całkowicie te dźwięki.

- Sądzicie, że ktoś ich tam przez pomyłkę zamknął? Hop, hop! Morse! Leonoro! Gdzie to wino, he?

Gdy Leonora podrywała się z kolan Morse'a, usłyszał dziwny, gardłowy dźwięk - jakby zdusiła w sobie krzyk desperacji. W pewnym sensie świadomość, że dla niej to też niemiłe przeżycie, pozwoliło mu znieść lepiej własną irytację.

Algie tymczasem walczył ze skoblem, po czym otworzył drzwi - tuż po tym, jak Morse zdążył chwycić w rękę świecę.

- Na Boga, co was tu zatrzymało? Jak łak dalej pójdzie, wasze wino będziemy pić do śniadania, cha, cha!

- Nie mogliśmy zdecydować, o jaki rocznik prosił wuj. - Głos Leonory zabrzmiał ostro. Jeżeli Algie nie będzie miał się na baczności, niewykluczone, że rozbije mu jedną z tych butelek na głowie. - Posprzeczaaliśmy się o to z Morse'em.

Algie sięgnął ponad Jej ramieniem i szybkim ruchem wyciągnął jedną z pokrytych kurzem butelek.

- Cały czas mieliście to wino tuż pod nosem. A teraz chodźmy już szybko, zanim obiad całkiem ostygnie lub sir Hugo wybuchnie gniewem.

Gdy Morse ruszył za Algiem, Leonora przelotnie uściśnęła mu dłoń. Ten drobny gest wyrażał tak wiele.

Wkrótce wyjadą z Laurelwood. Potem miesiąc w Bath -

może dwa - i będzie musiał opuścić Leonorę. Opuścić ją już na zawsze.

Na myśl o tej przerażającej perspektywie ogarnął go taki żal, że Morse ledwie nad sobą panował. Jednocześnie gdzieś w głębi duszy rozbłysła iskierka nadziei. Czy jednak będzie chciał ją rozniecić?

Czy się na to odważy?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bath.

Leonora poczuła ściskanie w gardle, gdy ich powóz wjechał na szczyt wzgórza, z którego rozpościerała się panorama okazałego kurortu.

Od wielu tygodni ciężko pracowała, by dojść do tego celu, a tymczasem teraz, gdy jej plany miały się urzeczywistnić, najchętniej natychmiast by zawróciła i schroniła się w wiejskim, bezpiecznym świecie Laurelwood. Spoglądając na ganki eleganckich w proporcjach domów z kamienia stojących wśród drzew, próbowała zdusić własne niepokoje logicznymi argumentami.

To naturalne, że przyjazd do Bath wzbudzał w niej wiele obaw. Przecież tak wiele zależało od tego, czy Morse odniesie tutaj towarzyski sukces. Jeżeli podoła zadaniu, Leonora będzie mogła ze spokojem spojrzeć w przyszłość. Wołała jednak nie myśleć o tym, co by ją spotkało, gdyby Morse przegrał zakład.

Sir Hugo, siedzący tuż obok, przebudził się z drzemki. Odśuwając wielką, bobrową czapę z czoła, przetarł głęboko osadzone oczy, po czym ziewnął szeroko.

- Już jesteśmy na miejscu? Bogu dzięki. - Posłał pełen rozczulenia uśmiech trójce swych młodych przyjaciół. - Do Bath należy zawsze przyjeżdżać z własną kompanią, zapamiętajcie moje słowa. Zeszłej wiosny Leonora nie chciała się ze mną wybrać i byłem bardzo nieszczęśliwy. Choć muszę przyznać, że tujejsze wody bardzo pomogły na moją podagrę.

Algie skrzywił się.

- Jeśli o mnie chodzi - żadnych wód. Gdy byłem dzieckiem, babcia przywoziła mnie tutaj każdej wiosny i wlewała je we mnie całymi litrami. Sądziła, że przybiorę na wadze, ale w rzeczywistości nigdy nie wyszło mi to na zdrowie. Prawdę mówiąc, te wody pozbawiły mnie apetytu. - Zwrócił się w stronę Morse'a, siedzącego w milczeniu, z nietypowo dla niego grobową miną. - Za to kąpiele w tutejszych wodach mogą zba-
wiennie wpłynąć na twoją nogę, przyjacielu. Oczywiście, jeżeli uszczkniesz trochę czasu z polowania na bogatą żonę.

Morse odpowiedział Algiemu tępym skinieniem głowy. Czy ten dzień był tak pochmurny, czy też jego policzki naprawdę pokrywała niezwykła bladość? Leonora zauważyła, jak zaciska usta i marszczy brwi. Czyżby ten waleczny człowiek, który ryzykował własne życie, by wyciągnąć jej kuzyna z morza francuskich bagnów, czuł strach na myśl o szacownym towarzys-
twie tłumnie ciągnącym do Bath?

Ta myśl uczyniła go jeszcze bliższym jej sercu. Miała ochotę chwycić jego dłoń i zapewnić, że wszystko świetnie się ułoży. Pragnęła uściskać go z całej siły w podziękowaniu za ciężką pracę, której się podjął, by wygrać dla niej zakład. Chciała znaleźć się w jego objęciach i nasycić tym doznaniem - by miała co pieścić w pamięci w ciągu długich pustych lat, jakie ją czekały w przyszłości.

Do oczu zaczęły jej napływać łzy. Czemu chciało jej się płakać w momencie, gdy zakład z wujem mogła niemal uznać za wygrany? To przecież pozwoli jej wieść niezależne, pożyteczne życie. Bezpieczne życie - nad którym będzie miała pełną kontrolę.

A jeśli kiedykolwiek zaczęłaby podejrzewać, że w takim życiu czegoś jej brakuje - czegoś równie niezbędnego jak chleb, woda czy powietrze - będzie musiała natychmiast zdusić w so-

bie tak podstępne rojenia. I zrobić wszystko, co w jej mocy, by nie zaprzepaścić swej przyszłości.

Morse miał nerwy napięte jak struny.

Zatrzymał się na środku salonu, usiłując połuźnić fular. Tego wieczoru Dickon fatalnie go zawiązał. Choć w dużej mierze z winy Morse'a, który nie był w stanie ustać spokojnie w miejscu. Cały czas przestępował z nogi na nogę. Kręcił się. Bawił dewizką do zegarka lub guzikami kamizelki. To w zasadzie prawdziwy cud, że Dickon oparł się pokusie i nie zadusił go tym przeklętym fularem.

W ostatnim desperackim odruchu Morse wsunął palce za kołnierzyk i pociągnął z całej siły. po czym dał za wygraną i zaczął chodzić tam i z powrotem po perskim dywanie w salonie wynajętego, eleganckiego domu przy Laura Place. Po kilku spokojnych dniach - gdy się zadomowili i przyjęli grzecznościowe, powitalne wizyty - tego wieczoru po raz pierwszy mieli się zetknąć ze śmietanką towarzyską Bath. Morse przed żadną z bitew nie był tak zdenerwowany.

Czuł, jak wilgotnieją mu dłonie, a serce bije tak, jakby przebiegł co najmniej kilometr. Ścisnęło go w dołku, a w głowie miał gonitwę myśli. Najchętniej podwinąłby pod siebie ogon i w te pędy wrócił do zacisza Laurelwood, nie bacząc na niesławę.

Drzwi salonu otworzyły się cicho i w progu stanęła Leonora. Gdy Morse sycił oczy jej widokiem, natychmiast zapomniał o wszystkich strachach. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w szpitalu - jakże wydawała mu się wówczas mała pociągająca!

Czy doprawdy aż tak bardzo się zmieniła?

W pewien sposób na pewno. Jej fryzury stały się o wiele swobodniejsze. Dzisiejszego wieczoru, na przykład, miała wło-

sy ułożone w koronę miękkich, czarnych loków, podtrzymanych jedynie prostu wstążką w srebrzystym odcieniu - identycznym z jej suknią.

A ta suknia! Pomimo antypatii do Elsie Taylor Morse musiał przyznać, że jest znakomitą krawcową. Krój wszystkich wykonanych przez nią sukien wspaniale podkreślał wdzięczną smukłość ciała Leonory, a ich kolory rozświetlały jej karnację lub - jak w tym przypadku - podkreślały niezwykłą barwę oczu.

Te zmiany były jednak tylko powierzchowne. Największa różnica zaszła w postawie i sposobie bycia Leonory. Przestała teraz trzymać się tak sztywno i wyniośle, jakby nieustannie oczekiwała ataku ze strony brutalnego świata. W ciągu ostatnich kilku tygodni Leonora stała się o wiele bardziej przystępna, a Morse korzystał z każdej sposobności, by mieć do niej dostęp.

Nawet jeżeli z tymi sposobnościami wiązały się duże niedogodności.

- Szybko się pan wyszykował, kapitanie Archibald. - Uśmiechnęła się ciepło, czego w dawnych czasach nigdy nie robiła. - Mężczyźni narzekają, że kobiety zbyt długo się stroją, a tymczasem moje doświadczenia są zgoła odmienne w tym względzie. Algie i wuj Hugo będą potrzebować jeszcze dużo czasu. zanim uznają, że są już gotowi. - Spojrzała na niego badawczo i zamarła, gdy jej wzrok padł na jego fular. Zmarszczyła brwi. - Podobna niezdarność jest zupełnie niepodobna do Dickona. Pochyl się, proszę, spróbuję jakoś to naprawić. Podczas debiutu musisz przecież, wyglądać nienagannie.

Morse podszedł do niej i pochylił się, jak mu kazała. Obecność Leonory działała na niego kojąco - choćby dlatego, że odrywała go od własnych obaw. Tętno nieco mu opadło, a w piersiach nie czuł już tak dojmującego ucisku.

- To moja wina, że fular jest tak nieudolnie zawiązany - wyznał, gdy Leonora rozplatała niezgrabny węzeł. - Nie mogłem

usiać spokojnie w miejscu i bardzo utrudniałem zadanie biednemu Dickonowi.

Palce Leonory, trzymające końce fulara, znieruchomiały.

- Morsie Archerze, chyba nic żywisz żadnych obaw w związku z dzisiejszym wieczorem?

Kiedy posłał jej pełen zakłopotania uśmiech i umknął wzrokiem, wybuchnęła śmiechem.

- Natychmiast wybij sobie podobne myśli z głowy. Teraz bardzo się cieszę, że wuj przyciągnął tu z nami Algiego. Trzymaj się go, a od razu - przez kontrast - zostaniesz uznany za bardzo uczonego dżentelmena.

Wypowiadając te słowa, zręcznymi ruchami zawiązywała mu fular. Był to tak intymny, pełen ciepła gest, że Morse'a ogarnęło wzruszenie.

- Miej się na baczności w towarzystwie mężczyzn - ciągnęła tymczasem Leonora. - Jesteś najbystrzejszym mężczyzną, jakiego znam, ale staraj się trzymać język na wodzy. I nie zbliżaj się do misy z ponczem.

Morse zasalutował służbiście.

- Tak jest, generale Freemantle. Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś rozkazy, sir?

- Nie. Jedynie pewną radę. - Baczny spojrzeniem oceniła efekt swojej pracy, po czym jeszcze raz wygładziła fular. - Jak najwięcej przebywaj wśród kobiet. Po kilku twoich uroczych komplementach będzie im już wszystko jedno, czy jesteś śmieciarzem czy arcybiskupem Canterbury.

Zanim Morse zdał sobie sprawę z tego, co robi, z ust wyrwały mu się słowa:

- Wyjdiesz za mnie, Leonoro?

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Słu... słucham?

- Czy zechcesz zostać moją żoną? - Morse powtórzył lek-

kim, żartobliwym tonem, sam już niepewny, czy tylko żartuje, czy jest w tej chwili śmiertelnie poważny. - To znaczy, gdy już wygramy nasz zakład. Ja zostanę właścicielem wspaniałej plantacji w koloniach, a ty też będziesz całkiem niezależna. Wiem, że marzysz o założeniu szkoły, ale w krajach zamorskich szkoły są zapewne równie potrzebne jak tutaj, w Anglii. A może nawet jeszcze bardziej.

Rozchyliła usta, lecz nie wypowiedziała ani słowa. Wpatrywała się w niego w milczeniu, a za jej spojrzeniem kryło się wiele nieodgadnionych emocji.

Nagle Morse zdał sobie sprawę, jak niezmiernie mu zależy, by się zgodziła. Jak bardzo chciałby ułożyć sobie z nią przyszłość. Jakie przerażenie ogarniało go na myśl, że Leonora mogłaby zniknąć z jego życia. Jeszcze nigdy na niczym i nikim tak mu nie zależało. Poczul się nagle słaby i bezbronny.

- Ja... ja... pozwól, że to przemyślę.

Przynajmniej nie odrzuciła go bez zastanowienia. Morse zaczął gromadzić argumenty, dla których powinna przyjąć jego oświadczenia, gotów zarzucić nimi Leonorę niczym gradem pocisków. Zanim jednak zdążył wystrzelić choćby jeden, drzwi salonu otworzyły się z trzaskiem.

- Na Jowisza! - wykrzyknął sir Hugo. - Wyglądasz wspaniale, Archer... to znaczy, chciałem powiedzieć Archibald.

- W rzeczy samej - zawtórował mu Algie, sam prezentujący się całkiem okazale w nienagannie skrojonym surducie. - Załóż się, przyjacielu, że w bogatych dziedziczkach będziesz mógł przebierać jak w ulegawkach.

W odpowiedzi Morse jedynie uśmiechnął się szeroko, po czym rzucił nieśmiałe spojrzenie w stronę Leonory. Zapewne istniały na świecie piękniejsze kobiety, żadna jednak nie wydawała mu się bardziej godna pożądania.

Rozkoszował się myślą, że inny mężczyzna nie doceni tak

jak on jej wyrafinowanych zalet. Jej niezwyklej inteligencji, siły woli, chęci niesienia pomocy bliźnim. Nawet najbogatsza panna w Bath nie mogłaby go pociągać równie mocno jak Leonora. Nie zdołałaby tego dokonać nawet cała armia zamożnych dziewczeczek.

Po kilku minutach nic nie znaczącej rozmowy, całym towarzystwem udali się do Wielkiej Sali Balowej na środowy koncert. Niepewny, czy milczenie Leonory powinno podnosić go na duchu, czy wręcz przeciwnie, Morse poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by oczarować wpływową kręg w Bath.

Niech Leonora zobaczy, że jest godnym jej adoratorem.

Mimo najszczerzych wysiłków Leonora nie była w stanie skupić się na programie koncertu. W jej umyśle wszystkie nuty zlewały się w jeden monotony dźwięk, układający się w propozycję Morse'a.

„Czy wyjdiesz za mnie, Leonoro? Czy zechcesz zostać moją żoną?”

Czy rzeczywiście mówił poważnie? Jak na tak znaczącą propozycję, wygłosił ją raczej lekkim, niefrasobliwym tonem. Co go skłoniło do podjęcia tej kwestii właśnie w owej chwili - a nie wcześniej czy później?

Motywy Morse'a stanowiły dla niej zagadkę, jednak jeszcze bardziej wprawiały ją w zamęt własne odczucia. Początkowo ogarnęło ją zdumienie, że Morse'owi zaczęło zależeć na niej tak bardzo. Wówczas z całą siłą wróciły do niej wspomnienia niefortunnie przerywanych, upojnych spotkań sam na sam w Laurelwood - wywołując gorący rumieniec na jej twarzy.

Jak by to było, gdyby z czystym sumieniem i w obliczu prawa mogła ulec swemu pożądaniu? I poznać przy tym te wszystkie rozkoszne sekrety, w które obiecał ją wtajemniczyć.

Gdy dotarli na miejsce i - zgodnie z wcześniejszymi uzgod-

nieniami - Morse wcielił się w rolę kapitana Maurice'a Archibalda, Leonorę ogarnął bardziej minorowy nastrój. Bo przystojny kapitan Archibald stał się natychmiast ulubieńcem całej żeńskiej części audytorium. Kobiety tak bardzo lgnęły do niego, że Leonora została fizycznie wypchnięta poza otaczający go krąg wielbicieli.

Znalazły się wśród nich bardzo piękne kobiety. Kobiety bogate. Utytułowane damy. Czemu więc miałyby pożądać jej, Leonory, gdy mógł przebierać w nich wszystkich?

Leonora nigdy wcześniej nie widziała gromady kobiet tak porażonej urokiem jednego mężczyzny. Chłoneły każde jego słowo i rywalizowały o jego uśmiechy, które zresztą Morse rozdawał wyjątkowo hojnie. Wręcz rozrzutnie.

Uwaga wyszeptana na boku - dyskretnie, za rozłożonym wachlarzem. Wybuch najszczęśliwszego śmiechu po kolejnym, całkiem trywialnym dowcipie. Spojrzenie podchwyczone i podtrzymane uwodzicielskim uniesieniem brwi i cieniem tajemniczego uśmiechu.

Bez względu na to, jak często Leonora zapewniała się w duchu, że Morse robi jedynie to, w czym go wyćwiczyła - co musiał z siebie dać, by osiągnąć ich wspólny cel - nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej kogoś niezwykle przypomina.

Ostatniego i najgorszego z mężów matki.

Zanim wrócili do domu, tuż przed północą, Leonorę ogarnął rwący ból głowy, uniemożliwiający podjęcie jakiegokolwiek ważkiej, życiowej decyzji. Podczas gdy mężczyźni raczyli się kieliszkiem brandy, Leonora wyśliznęła się do sypialni, zanim Morse zdążył zażądać od niej odpowiedzi na zasadnicze pytanie.

- Nie robi pani wrażenia zadowolonej z koncertu - zauważyła Elsie Taylor, zarzucając na parawan koszulę nocną Leonory.

Leonora przebrała się niespiesznie, po czym okryła ramiona wełnianą mantylką. Usiadła przy toalecie i zaczęła szczotkować

włosy. Za każdym pociągnięciem szczotki ból głowy przybierał na sile, jednak starała SIĘ nie zwracać na to uwagi.

- Koncert był bardzo przyjemny, Elsie - oznajmiła po chwili. - Przynajmniej... tak mi się zdawało. - Ręka ze szczotką opadła na kolana. - Chociaż nie. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie ani jednego z granych utworów.

Elsie starannie odwiesiła suknie Leonory do szafy.

- Czy stało się coś złego, panienko? Robi panienka wrażenie pochłoniętej jakimiś ważnymi myślami - i to wcale nie radosnymi.

Leonora wiedziała, że powinna trzymać język za zębami. Czuła się jednak tak bezradna i zagubiona, że w końcu musiała się komuś zwierzyć. Elsie Taylor była przecież dyskretną i rozsądną panną.

- Sierżant Archer poprosił mnie o rękę, Elsie. Zupełnie nie wiem, co powinnam zrobić.

Dziewczyna zniknęła za parawanem, by zabrać halkę i pończochy Leonory.

- Osobiście kazałabym mu iść do wszystkich diabłów - wymamrotała pod nosem.

Leonora wybuchnęła śmiechem.

- Elsie Taylor! Nigdy nie spodziewałabym się podobnych słów z twoich ust!

- Przepraszam, panienko. - Elsie starannie składała bieliznę Leonory. - Nie prosiła mnie pani o opinię, nie powinnam jej więc wygłaszać.

- Czy rzeczywiście takie są twoje odczucia? - O dziwo, niespodziewanie ostry komentarz Elsie przywrócił Leonorze panowanie nad sobą. - Wiem, że od początku nie darzyłaś sympatią sierżanta Archera. Mam nadzieję, że w żaden sposób nie uraził cię czy nie skrzywdził?

- Nie, w żadnym razie, panienko. Nigdy nie zwracał na mnie

najmniejszej uwagi - ciągnęła Elsie. - To całkiem zrozumiałe, prawda? Ostatecznie postanowił znaleźć sobie bogatą żonę. Nie jestem tylko w stanie zrozumieć, czemu pani. sir Hugo i pan Blenkinsop macie tak wysokie o nim mniemanie. Dla mnie sierżant Archer jest jedynie godnym pogardy łowcą fortuny.

Wyrzuciła te słowa z siebie niemal buńczucznie, jakby dusiła je przez dłuższy czas, aż - niczym zleżałe wino - sfermentowały i rozsadziły korek.

- Chyba nie sądzisz, że sierżant Archer jest zainteresowany moją osobą ze względów finansowych? - spytała ostro Leonora. Ta myśl wydała się jej równie niedorzeczna jak niechęć Elsie do nieszczęsnego Morse'a. - Przecież w zasadzie nie mam ani funta, którego mogłabym nazwać własnym!

Ta sytuacja ulegnie jednak diametralnej zmianie, gdy razem z Morse'em wygrają zakład. Wówczas otrzyma dostateczne środki, by założyć szkołę i wieść niezależne życie. I choć bardzo chciała wierzyć w czystość intencji Morse'a - nic całkiem jej się to udało.

- Być może on nie ma pojęcia, że pani nie dysponuje własnym majątkiem, panno Freemantle. Ja nigdy bym na to nie wpadła. Pomijając też obecną sytuację, czy nie spodziewa się pani znacznych zapisów ze strony wuja?

Leonora stanowczo pokręciła głową.

- Niczego takiego, co w istotny sposób mogłoby wpłynąć na moją sytuację. - Pomijając warunki zakładu, oczy w iście, ale te były doskonale znane Morse'owi. - Cóż, Elsie. Prawdę mówiąc, zupełnie nic pojmuję, czemu prowadzę z tobą tę dyskusję. To bezsensowne.

- Oczywiście, panienko. - Elsie dygnęła głęboko. - Nie powinienam wygłaszać swoich opinii nieproszona.

Leonora poczuła wyrzuty sumienia. Jak mogła mieć za złe swojej pokojówce zastrzeżenia, które sama żywiła?

- Nie wygłaszałaś ich nieproszona. Zwróciłam się do ciebie o opinię, a ty ją wyraziłaś w jasnych słowach, mając na względzie mój najlepiej pojęty interes.

- Przysięgam, że chciałabym jedynie szczęścia panienki. Choćby za to, co uczyniła pani dla mnie i innych dziewcząt z wioski. - Twarz dziewczyny wyrażała szczerość, jak gdyby powodował ją jedynie wzgląd na dobro Leonory. - Obawiam się, że panienka nie byłaby... z nim szczęśliwa. W każdym razie nic na dłuższą metę. Pani zasługuje na męża, który będzie ją kochał dla jej prawdziwych przymiotów.

- Szczerze mówiąc, nie życzę sobie żadnego męża - odpowiedziała niemal mechanicznie, z przyzwyczajenia.

Nie skłamała. Jak do tej pory żaden mężczyzna nie obudził w niej chęci zamążpójścia. Za wyjątkiem Morse'a Archera.

Elsie skinęła głową.

- Jestem pewna, że wnikliwie przemyśli pani całą sprawę i podejmie właściwą decyzję. Proszę tylko nie zapomnieć o moich słowach. Gdy kobieta czuje pociąg do mężczyzny, często zapomina o prawdziwych cechach jego charakteru. - Rozejrzała się po pokoju. - Czy mogłabym coś jeszcze dla pani zrobić, zanim uda się pani na spoczynek?

Leonora odprawiła Elsie skinieniem ręki i uśmiechem pełnym wdzięczności za odwagę i troskę. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Leonora zwróciła się do swego odbicia w lustrze z głębokim westchnieniem.

- No i co powinnam mu odpowiedzieć?!

Wróciła myślami do koncertu i sensacji, jaką wśród kobiet wzbudził Morse. Tyle piękności rzucało się ochoczo w jego ramiona. Czemu więc, u diabła, miałby proponować małżeństwo nieszczególnie urodziwemu, apodyktycznemu molowi książkowemu, takiemu jak ona?

Chyba że...

Nagle poczuła pogardę wobec samej siebie, że tak nisko ocenia Morse'a. Przecież poznała jego zalety lepiej niż ktokolwiek inny. Niemniej, nie ona jedna żywiła pewne podejrzenia. Nie mogła też przymykać oczu na fakt, że już raz zdołał ją zwieść, udając zaangażowanie. Gdy w grę wchodziła tak wysoka stawka, nie mogła pozostawać ślepa na pewne fakty. Bez względu na głębię własnych uczuć.

Dawno temu poprzysięgła sobie, że nie powtórzy błędów matki. Teraz niewiele brakowało, by właśnie do tego się posunęła.

Czy istniał sposób, by sprawdzić szczerłość jego uczuć i intencji?

Nagle zrozumiała, jak mogłaby się przekonać, czy Morse pożąda jej dla własnych przymiotów, czy jedynie dla pieniędzy wuja Hugona. Prześladowana złymi przeczuciami i strachem, Leonora praktycznie nie zmrużyła oka tej nocy.

Gdyby tylko mogła mieć pewność, że Morse zda jej egzamin!

Pierwszą przeszkodę pokonał bez najmniejszych trudności.

Morse odetchnął z ulgą, czekając w salonie na Leonorę. Sukces jego towarzyskiego debiutu był dobrą wróżbą na cały sezon i obiecywał wygraną zakładu. O ile tylko zdoła trzymać język na wodzy i nie da się ponieść samozadowoleniu - urzeczywistni marzenie życia.

Skorzysta z szansy. Udowodni, że jest coś wart. Że może osiągnąć wszystko, gdy tylko będzie mu towarzyszyć kobieta pełna wiary w jego możliwości.

Ta ostatnia myśl wywołała u Morse'a chwilę refleksji. Ostatecznie Leonora akceptowała go w całej rozciągłości, czyż nie? Szczególnie po tym, jak zrobił wszystko, co w jego mocy, by oszczędzić jej ślubu z Algim Blenkinsopem. I po tym, jak po-

zwolił jej zbliżyć się do siebie - pomimo tych wszystkich lat, które strawił na budowanie muru obronnego wokół własnej osoby.

Miał nadzieję, że teraz Leonora przezwycięży awersję do zamążpójścia.

W gruncie rzeczy Morse nie miał pojęcia, co pchnęło go do złożenia małżeńskiej propozycji. Teraz jednak, gdy się na nią zdobył, pragnął jedynie, by Leonora ją przyjęła.

Kiedy usłyszał trzask przekręcanej gałki w drzwiach - pode-rwał się na równe nogi.

Leonora weszła do pokoju, obdarzając go niepewnym, ale pełnym oczekiwania uśmiechem. W tym momencie nie mógł się oprzeć impulsowi - rzucił się przez całą długość salonu i pochwycił ją w ramiona.

Gdy odwzajemniała jego pocałunek, nie było w niej ani śladu wahania, za to wiele niespełnionych nadziei.

Całowali się już na tyle często, by ich odruchy nabrały swoistego automatyzmu - niczym w ulubionym tańcu. Morse musiał się pochylić, L e o n o r a zaś wspiąć się na palce, by ich usta spotkały się w pół drogi. Morse musiał przechylić głowę pod takim, a nie innym kątem. Ona - pod nieco innym. Ich usta powinny rozchylić się równocześnie i nieznacznie, po czym się połączyć.

Morse nie mógł się już doczekać, by to męczące przedstawienie w Bath dobiegło końca, żeby wreszcie mogli pogрузić się w idylli prywatnego życia. Wówczas dopełniłby jej miłosnej edukacji. I inoże sam mógłby się czegoś nauczyć?

W owej chwili jednak nic nie byłoby w stanie odwieść Morse" a od pocałunku. Chyba że Leonora chciałaby w zamian wyznać, jak bardzo do niego tęskniła. Niechętnie więc oderwał wargi od jej ust i zaczął się sycić pięknem jej twarzy.

W zapamiętaniu potracił jej binokle, tak że teraz tkwiły na

jej nosie pod zabawnym kątem. Wcześniej jeszcze zburzył jej fryzurę i wywołał żywy rumieniec na policzkach. Dzięki temu wyglądała o wiele bardziej pociągająco.

W tym momencie Morse już przestał nad sobą panować.

- Zdecydowałaś się poślubić mnie Leonoro, prawda? Na Boga, moja najdroższa, uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

- Będę dzielić z tobą życie, Morse - mówiąc to, poprawiła binokle - jeżeli tylko mnie zechcesz.

Jeżeli? Usta rozciągnął mu pełen satysfakcji uśmiech - tak szeroki, że Morse zaczął się zastanawiać, czy nie rozerwie mu warg.

- Zamieszkać z tobą od jednym dachem i będę... dzielić z tobą łóżko.

Leonora zaczerpnęła oddechu i spojrzała mu w oczy wyzywająco, a jednocześnie... błagalnie?

- Nie złożę słów małżeńskiej przysięgi ani nic podpiszę żadnego certyfikatu, Morse. Nigdy nie chciałam wyjść za mąż i w tym względzie nie zmieniłam zdania.

Morse bardzo chciał przyjąć tę deklarację obojętnie, mimo to skurczył się w sobie, jakby otrzymał potężny cios w podbrzusze kolbą muszkietu.

Leonora zapewne niczego nie spostrzegła, ciągnęła bowiem pełnym zaangażowania głosem:

- Jeżeli tylko wygramy zakład, a ty wciąż będziesz mnie chciał, jednak na moich warunkach - będę twoja.

Morse usilnie starał się coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Obawiał się, że jeżeli nawet udałoby mu się wydobyć jakiś dźwięk - zabrzmiałoby jak u nieopierzonego nastolatka, tak bowiem czuł się w owym momencie. Znowu był jedynie niedoświadczonym żółtodziobem, oferującym swe nazwisko i serce kobiecie, która pogardziła i jednym, i drugim - chciała bowiem

jedynie jego ciała i usług. Jak mógł być takim głupcem i oczekiwać czegoś więcej?

Morse nie dał po sobie poznać, jak bardzo zaboląły go słowa Leonory.

Leonora musiała wyczuć tę zmianę, bo chwyciła go za rękę i posłała mu niepewny i błagalny uśmiech.

- No już, Morse. Pocałuj mnie wreszcie i powiedz, że się zgadzasz.

Morse przypomniał sobie słowa Pameli Granville, wypowiedziane w czasie ich ostatniego spotkania. „Przestań opowiadać bzdury i wreszcie mnie pocałuj”.

Miał niejasne wrażenie, że między odrzuceniem go przez lady Granville a propozycją Leonory istnieją zasadnicze różnice. Był jednak zbyt zraniony, nazbyt upokorzony i wściekły na samego siebie, by rozważać takie subtelności.

Jak oślepiiony ruszył w stronę drzwi.

- Idź do diabła, Leonoro Freementle! - rzucił.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jeszcze przez kilka minut po tym, jak Morse wypadł z salonu, Leonora tkwiła w miejscu, zdruzgotana.

Uważała go za człowieka honoru, różniącego się od innych mężczyzn, których znała. Tymczasem swoimi słowami udowodnił, że jest jeszcze jednym uroczym, polującym na cudzy majątek szubrawcem.

Gdyby mu na niej zależało, tak jak twierdził - szczerze i bezinteresownie - przyjąłby jej propozycję bez mrugnięcia okiem. Byłby szczęśliwy, że jest z nim, i nie dbałby o to, na jakich warunkach. On natomiast ją odtrącił. Bez legalnych praw do jej pieniędzy Leonora nic dla niego nie znaczyła.

Poczuła napływające łzy, zdołała jednak je zdusić. Wobec Morse'a Archera wykazała się wyjątkową głupotą. Nie będzie więc więcej płakać z powodu kogoś tak bezwartościowego.

Mimo to, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi, serce Leonory zaczęło bić z zawrotną szybkością. Czyżby Morse zmienił zdanie? Opamiętał się i przyszedł ją przeprosić?

Podbiegła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość.

- Goście, panno Freemantle. - Kamerdyner wysunął przed siebie srebrną tacę, na której leżało kilka rytowanych wizytówek.

Leonora pochwyciła jedną, udając, że ją czyta. Tak naprawdę teraz koncentrowała się tylko na tym, by opanować drżenie dłoni.

Choć z jednej strony pragnęła ciszy i spokoju, z drugiej -

poszukiwała czegoś, co mogłoby stanowić odskocznnię dla myśli. Co pozwoliłoby choć na moment zapomnieć o dojmującym bólu.

- Wprowadź gości, Bramshaw, a potem bądź tak miły i podaj napoje.

- Tak jest, proszę pani. Czy mam sprowadzić tu także pana Blenkinsopa i... hm... kapitana Archibalda? Z tego, co mówiły te młode damy, wywnioskowałem, że chciałyby odnowić z nim znajomość zawartą wczorajszego wieczoru.

- Oczywiście. Sprowadź tu ich obu - usłyszała Leonora własne słowa.

Najodpowiedniejszą pokutą za jej głupotę będzie konieczność przyglądania się, jak Morse uwodzi inne kobiety. Okrutna to kara, bezsprzecznie, ale z pewnością wyleczy ją z tęsknoty czającej się gdzieś podstępnie w jej naiwnym sercu.

- Kapitanie Archibald? - odezwał się cicho kamerdyner tuż po tym, jak zapukał do drzwi sypialni Morse'a.

- Idź do diabła! - wrzasnął Morse. To samo powiedział przed chwilą Leonorze Freemantle. Teraz najchętniej cały świat wyekspediowałby w czeluście ognia piekielnego.

Bramshaw jednak nic dawał za wygraną.

- Panna Freemantle kazała mi sprowadzić pana do salonu, sir.

Pomimo najgorętszego postanowienia, że nic ruszy się z miejsca, Morse podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość, zanim Bramshaw zdołał skończyć swą przemowę.

Kamerdyner drgnął nieco przestraszony, zaraz jednak odzyskał zimną krew.

- Właśnie przybyło z wizytą kilka młodych panien. Panna Freemantle prosi, by pan wraz z panem Blenkinsopem przyłączył się do nich w salonie.

Cokolwiek Morse spodziewał się usłyszeć - choć sam nie potrafiłby tego zdefiniować - na pewno nie były to te słowa. Ostatnim wysiłkiem woli zdusił w sobie pokusę, by ponownie wysłać nieszczęsnego sługę sir Hugona do wszystkich diabłów, wraz z całą resztą domowników i gości.

Bramshaw uniósł nieznacznie brew i spojrzął znacząco na Morse'a

- O ile się nie mylę, sir, owe damy przyszły *zobaczyć* się właśnie z panem.

- Doprawdy? - Ich nieklamany zachwyt mógł się okazać idealnym antidotum na odrzucenie, jakiego zaznał od Leonory.

Poza tym musiał wygrać zakład - choć teraz już tylko po to, by zapewnić sobie godziwą przyszłość. W tym momencie zaczął myśleć z wielkim sentymentem o wyjeździe do kolonii - do miejsca, gdzie człowieka ocenia się na podstawie własnych dokonań, a nie pochodzenia. Zanim jednak do tego dojdzie, udowodni wszystkim, nie wykluczając panny Leonory Hipokrytki Freemantle, że jest równy każdemu, nawet najbardziej wyrafinowanemu dżentelmenowi w Bath.

- W takim razie nie mogę sprawić tym damom zawodu, prawda? Proszę im przekazać, że wkrótce do nich dołączę.

- Tak jest, sir. - Kamerdyner odmaszerował z godnością, najprawdopodobniej, by zawiadomić o gościach Algiego.

Zmieniając surdut, Morse odetchnął kilka razy głęboko, by usunąć z twarzy wszelkie oznaki wzburzenia. Potem przywołał na usta czarujący uśmiech i postarał się, by już nie zszedł mu z warg. Jeszcze kilka głębokich oddechów i był gotów wziąć udział w przedstawieniu.

Na schodach spotkał Algiego.

- Czyż nie mówiłem, że damy będą ciągnąć do ciebie jak pszczoły do miodu? - Algie zrobił tak zabawną minę, że wbrew sobie Morse wybuchnął śmiechem.

Jego przyjazne uczucia dla Algiego wzmożyły się dziesięciokrotnie. Jakkolwiek patrzeć, teraz obaj należeli do bractwa mężczyzn, których Leonora Freemantle nie życzyła sobie poślubić. Tyle tylko, że Algie o tym nie wiedział.

Leonora wprowadziła ich do salonu, chłodna i opanowana. Zaczynając od wypolerowanych kinkietów na ścianie, a na przytulnym ustawieniu sofy i foteli kończąc - pokój wyglądał dokładnie tak samo jak w momencie, gdy Morse wypadał z niego w wielkim wzburzeniu. Któż by odgadł, że zaledwie pół godziny temu, w tym właśnie salonie, Leonora odrzuciła jego propozycję małżeństwa. W zamian zaś zaproponowała mu układ, który niewymownie zbulwersowałby wszystkie zgromadzone tu damy. Gdyby się o nim dowiedziały, zaniemówiłyby z wrażenia.

- Panie Blenkinsop. kapitanie Archibald, jestem pewna, że pamiętacie panowie naszych miłych gości. Spotkaliście się wczoraj na koncercie w Wielkiej Sali Balowej. - Zaczęła po kolei wskazywać na przybyłe. - Panna Osgoode, panna Compton, panna Hill wraz ze swoją siostrą - lady Fitzwarren, panna Ditterage oraz madame Parmier. Kapitanie Archibald, wszystkim tym damom doskonale zapadł pan w pamięć.

- W rzeczy samej - wtrąciła panna Ditterage o twarzy rozkosznego bobasa. - Nic przypominam sobie, by kiedykolwiek do Bath przyjechał równie wspaniały mężczyzna. To bardzo nieładnie ze strony generała Wellingtona, że zabiera wszystkich przystojnych mężczyzn na półwysep. - Mówiąc to, wyduła dolną wargę, co jeszcze bardziej upodobniło ją do przerośniętego niemowlaka.

Morse a korciło, by poinformować tę pustą kozę, iż generał ma o wiele poważniejsze problemy niż zastanawianie się, czy przypadkiem nie pozbawia debiutantek w Bath odpowiednich partnerów do tańca.

Gdy pozostałe damy zaczęły głośno okazywać swą solidarność z opinią panny Ditterage, Algie schylił się w stronę Morse, a i wyszeptał:

- Jej ciotka jest owdowiałą markizą z wielką fortuną. Kiedy wyda ostatni dech, ta pannica otrzyma kilka tysięcy rocznego dochodu.

Żadne złoto nie starczy, by osłodzić pigułkę równie gorzką jak ta dzierlatka, pomyślał Morse, szczęśliwie jednak zdołał powstrzymać język na wodzy.

- Obawiam się, że nic jestem dość godnym reprezentantem mych towarzyszy broni, panno Ditterage. - Poklepał swą zranioną nogę. - Francuzi już się ze mną zdążyli rozprawiać.

- Och, tak. Pańska... rana.

W tym momencie wszystkie przybyłe podjęły dyskusję.

- Jeżeli nie są to dla pana zbyt bolesne wspomnienia... - zaczęła najatrakcyjniejsza z nich, panna Hill (a przynajmniej Morse miał wrażenie, że tak właśnie brzmiało jej nazwisko) - .. może zechce nam pan opowiedzieć, jak doszło do pańskiego zranienia. Jestem pewna, że to porywająca opowieść.

Wbrew sobie Morse zerknął w stronę Leonory. W masakrze pod Bucaso nie było nic porywającego. Nic heroicznego. Leonora doskonale to rozumiała, natomiast te płocze dzierlatki nigdy tego nie pojmą. Leonora była jedyną osobą, przed którą mógł odsłonić wstyd i ból.

- Nie ma o czym mówić - rzekł w końcu zrzędliwie. - Bagnet. Kula z muszkietu. Odłamek pocisku armatniego. Cóż to w gruncie rzeczy za różnica? Mężczyźni odnoszą rany w walce każdego dnia. Ja w tym względzie nie różnię się od innych.

Jednak panna Hill nie dała się tak łatwo zbyć.

- Bagnet? Jakże to straszne! Proszę usiąść obok mnie - nie powinien pan nadwierać nogi tak długim staniem.

Algie niemal siłą pchnął Morse'a w stronę sof, zdążył mu jednak przedtem szepnąć:

- To najbogatsza panna, jaka tego roku zjechała do Bath. Pewnego dnia, na spółkę z siostrą, będą otrzymywać - najskromniej licząc - trzydzieści tysięcy funtów rocznie

Morse opadł na sofę tuż obok dziewczyny, tymczasem Algie postanowił wygłosić przemowę do zgromadzonych dam.

- Mój przyjaciel jest aż nadto skromny. Nie będę więc go wpędzać w zakłopotanie, wyłuszczając szczegóły. Musicie jednak panie wiedzieć jedno - nigdy nie zostałby ranny, gdyby nie ruszył na odsiecz swym towarzyszom. I dlatego wedle mojej opinii zasłużył co najmniej na medal za swe bohaterskie czyny.

Wszystkie kobiety ochoczo wyraziły poparcie w tej sprawie, natomiast Morse posłał Algiemu pełne desperacji spojrzenie. Chcąc za wszelką cenę uniknąć tematu wojny i własnych obrażeń, zapytał, jak panie odebrały koncert.

- Przynaję, że muzyka mnie zbyt nie poruszyła - oświadczyła panna Hill, unosząc okrytą rękawiczką dłoń do ust, by stłumić chichot. - Te wszystkie melodie brzmią dla mnie tak samo - szczególnie włoskie. Czy panu coś wpadło w ucho, kapitanie?

- W rzeczy samej - przytaknął. Przynajmniej jeden z utworów rozpoznał bez trudu dzięki muzycznej edukacji Leonory. - Uważam, że adagio Viottiego zostało wykonane wyjątkowo pięknie.

- Podzielim pana zdanie - oznajmiła bladolica, pulchna panna Osgoode. - To był ten najwolniejszy utwór, prawda?

Morse jedynie skinął głową. Bał się, że gdyby spróbował coś powiedzieć, musiałyby najpierw porządnie się wyśmiać.

Wszystkie przybyłe kobiety natychmiast zgodziły się z opinią Morse'a po czym zaczęły wychwalać pod niebiosa jego doskonały muzyczny gust. Morse tymczasem zerknął na Leonorę

i doczekał się w odpowiedzi suchego, aprobującego skinienia głowy.

Zwracając się ku pannie Hill, Morse obdarzył ją uśmiechem, który swego czasu zauroczył setki innych, choć dużo niżej urodzonych kobiet.

- Przyznaję, że trudno było mi skoncentrować się na muzyce, gdy roztaczało się przede mną tak wiele atrakcyjnych widoków.

- Widoków? - Najwyraźniej jego komplement był zbyt subtelny jak na intelektualne możliwości owej panny.

Pokiwał żartobliwie palcem.

- Proszę nie udawać, że nie rozumie pani, co mam na myśli. Nawet gdybym nie spędził tak wielu lat w wojsku, piękność pań przybyłych do Bath wciąż stanowiłaby dla mnie nieodpartą pokusę. - Mówiąc to, spojrzał głęboko w oczy każdej z kobiet po kolei.

Zarumieniły się, uśmiechnęły i napuszyły - jedynie Leonora zachowała obojętność. Niech więc odgrywa gorgone, jeśli taka jej wola! On ostatecznie robił jedynie to, do czego został zobowiązany. A jeśli ją to irytowało - tym lepiej! Niech się przekona na własne oczy, że na świecie istnieje mnóstwo kobiet gotowych za wszelką cenę zdobyć to, co ona tak lekko odrzuciła.

Jednak natychmiast jego samozadowolenie przycisnęło chłopski zdrowy rozsądek. Mdłe pannice przybyłe do Bath podziwiały jedynie sztucznie stworzonego na ich użytek kapitana Maurice'a Archibalda i jego powierzchowną maskę ogłady. Każda z nich bez wahania pogardziłaby prostym strzelcem Archerem, synem ubogiego dzierżawcy.

Tymczasem Leonora doceniła prawdziwego Morse'a. Nie dość jednak, by wziąć go na małżonka - niech to wszyscy diabli!

Jak mogła w ogóle choćby przez chwilę rozważać możliwość poślubienia tego łotra Archera! Leonora - wciśnięta w zaciszny kąt Wielkiej Sali Balowej - wstrząsnął dreszcz na tę myśl.

Morse stał od niej w pewnym oddaleniu, jak zwykle otoczony tłumem wielbicielek. Ten zdrajca najwyraźniej rozkoszował się świadomością, że Leonora musi patrzeć na jego triumfy. Od czasu do czasu posyłał jej szczególne spojrzenie wraz z pełnym samozadowolenia uśmieszkiem.

Gdybyż tylko mogła zakopać się w pościeli i przespać ten cały czas, póki goście przybyli do Bath nie rozjadą się na lato do wiejskich posiadłości! Jeżeli nie wydarzy się katastrofa, bez wątpienia wraz z Morse'em wygrają zakład. Czy więc doprawdy musiała każdego dnia przekonywać się na nowo, że Morse nie dbał o nią bardziej niż o jakąkolwiek inną dziedziczkę fortuny, byle tylko wolnego stanu?

Niestety tak.

Choćby w imię pokuty za to, że była na tyle głupia, by darzyć go uczuciem. I jako bolesną lekcję, by nigdy w przyszłości nie zboczyć z wyznaczonej drogi.

- Na Boga, Leonoro! - Nieoczekiwanie tuż obok niej pojawił się Algie. - Czemu zaszyłaś się w kącie? Chodź, zatańcz ze mną. Obiecuję, że nie będę następować ci na palce - w każdym razie niezbyt często.

- No dobrze, Algie. - Zdusiła ciężkie westchnienie na wspomnienie uroczych chwil, jakie przeżyli w Laurelwood, ćwicząc taniec na podobne okazje jak dzisiejsza.

Algie wskazał głową Morse'a.

- Dokonałaś cudu, Leonoro. Jeśli tak dalej pójdzie, jeszcze przed upływem sezonu ożenimy go z prawdziwie posażną panną.

- A na dodatek wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują,

że będzie miał w czym wybierać. - Mimo najszczerzych chęci nie umiała ukryć goryczy. Na szczęście Algie nie rozeznawał się w podobnych subtelnosciach tonu. - Najlepiej więc wystawić go na aukcję i oddać za najwyższą możliwą cenę

- Cha, cha! Na aukcję. To dopiero paradne! Jesteś niezwykle błyskotliwa, moja droga. Przy tobie i Morse'ie nie sposób się nudzić.

Niewinne słowa Algiego poraziły ją niczym niespodziewany cios. Wspomnienia, które tak usilnie starała się wyrzucić z pamięci, nagle powróciły ze zdwojoną siłą. Ileż to razy wraz z Morse'em doprowadzali biednego Algiego do spazmatyczne go śmiechu nawet wtedy, gdy żartowali jego kosztem. Mój Boże, w ciągu ostatnich trzech miesięcy śmiała się dużo więcej niż przez resztę życia.

Więcej też płakała. Nie mogła temu zaprzeczyć. Zanim w jej życiu pojawił się Morse, bardziej kontrolowała własne uczucia. Nigdy nie poddawała się skrajnym emocjom. Nie była oszałamiająco szczęśliwa, ale nie miała także poczucia nieszczęścia. Żyła w spokoju. Niemal nic nie wytrącało jej z równowagi.

Żyła jedynie w połowie.

Leonora próbowała zdusić w sobie to przekonanie, gdy jednak ujrzała Morse'a prowadzącego na parkiet obsypaną biżuterią damę - dała za wygraną. Czy była to jedna z kobiet, które zjawiły się z wizytą następnego dnia po koncercie?

- Przyłącz się do nas, Archibald! - wykrzyknął Algie, kiwając na niego ręką. - Poczujemy się jak za dobrych czasów w Laurelwood.

Tylko wielkim wysiłkiem woli Leonora powstrzymała się od dzielenia Algiego wachlarzem.

Wraz ze swą partnerką do tańca. Morse ruszył w ich kierunku z wyraźną niechęcią. Chociaż nie kulał zbyt wyraźnie, Leonora złapała się na tym, że myśli, czy przypadkiem nie cierpi

z racji kontuzji. W każdym razie robił wrażenie spiętego i zdenerwowanego.

Cóż, już czas najwyższy, by przestał udawać, że czuje się urażony jej odmową, pomyślała Leonora, gdy ich ręce zetknęły się w tanecznej figurze. Przecież teraz miał przed sobą wyjątkowy wybór bogatych panien do wzięcia.

Robiła też wszystko, by koncentrować się na tańcu i ignorować denerwujące napady gorąca, gdy tylko jej dłoń zetknęła się z dłonią Archera. Podczas gdy Algie trzepał beztriosko językiem, a partnerka Morse'a co i rusz rzucała trywialne uwagi dotyczące balu i panującej pogody - Leonora i Archer pozostali milczący i spięci.

Gdy tylko przebrzmiały ostatnie dźwięki *Indiańskiej królowej*, Leonora ciężko nastąpiła na palce Algiego - i zrobiła to z pełnym rozmysłem. Nawet jednak w ten sposób nie zdołała dać upustu męczącym ją emocjom.

Tak bardzo chciała znaleźć SIĘ jak najdalej od Morse'a, że w ogóle nie zwróciła uwagi na mężczyznę, który poprosił do tańca jego ostatnią partnerkę. Gdy było już zbyt późno, rozpoznała głos młodzika. Był to ów nieznośny bratanek lorda Pewseya, który robił, co mógł, by zepsuć ich przyjęcie w Laurelwood. Jak się okazało, ten odrażający osobnik nie nabrał przez te kilka tygodni lepszych manier.

Gdy młoda panna odrzuciła jego zaproszenie, rzekł z przekąsem:

- Czyżby zmęczyła się pani jednym tańcem, panno Hill? Byłbym przysiągł, że latorośl wieśniaków z hrabstwa York wykaze się lepszą kondycją.

Panna Hill zasłoniła twarz wachlarzem.

Zanim jednak odrażający wyrostek zdążył nacieszyć się triumfem, Morse zastąpił mu drogę.

- Ja natomiast byłbym przysiągł, że bratanek baroneta od-

znaczą się dużo lepszymi manierami. - Jego głos nie był wiele głośniejszy od szeptu, pobrzmiwała w nim jednak niezwykła pogarda. - Albo natychmiast przeprosi pan tę damę, albo przyjmiesz ode mnie lekcję szacunku dla kobiet.

Młodociany gbur postąpił krok do tyłu, uniósł jednak brodę w wojowniczym geście, po czym posłał Morse'owi wyzywające spojrzenie.

- Kapitan Archibald, o ile się nie mylę? Od naszego spotkania w Wiltshirc rozpytywałem o pana tu i ówdzie. Okazało się, że nikt z moich znajomych nigdy nie słyszał ani o panu. ani o pana rodzinie.

Leonora poczuła pulsowanie w skroniach. Choć serce podeszło jej do gardła, weszła pomiędzy obu mężczyzn, posyłając Morse'owi gniewne spojrzenie, nakazujące trzymać język i temperament na wodzy.

Pan Nettlecombe, prawda? Cóż za miła niespodzianka. Kto by pomyślał, że spotkamy się ponownie w tak krótkim czasie. Czy byłby pan tak miły i przyniósł mi odrobinę ponczu? Taniec wywołuje pragnienie.

W tym momencie poczuła, że dobrze znajome dłonie chwytają ją za ramiona. Zanim Leonora zdążyła zaprotestować, Morse odsunął ją na bok i dzielił bezczelnego młodzika rękawiczką przez twarz.

- Znieważył pan mój honor i honor tej młodej damy, sir. Żądam satysfakcji.

Wszystkim, którzy słyszeli owe oświadczenie, zaparło dech z wrażenia.

Tymczasem Morse odwrócił się plecami do wyrostka, którego właśnie wyzwiał na pojedynek, po czym podał ramię młodej kobiecie.

- Czy wyświadczy mi pani ten honor i pozwoli odwiedzić się do domu, panno Hill ?

Skinęła jedynie głową i chwyciła podane ramię, po czym oboje, dumnie wyprostowani, wyszli z sali

- Do stu piorunów! - wymamrotał Algie, gdy towarzystwo zaczęło się rozchodzić, gorączkowo komentując wydarzenie. - Co za paskudna historia. Pojedynkowanie się zostało zabronione w Bath już w czasach Starego Nasha. Nawet jeśli Morse nie postrada życia, stanie się obiektem niezdrowych dociekań.

Leonora targały sprzeczne emocje. Wściekłość i żal w rozmaitych odcieniach, a nawet idiotyczny podziw, który jednak natychmiast w sobie zdusiła.

- Algie, bądź tak miły i sprowadź nasz powóz, dobrze? Nie chcę tu zostać ani minuty dłużej.

Kiedy już się rozprawi z Morse'em Archerem, ten zuchwalec nie będzie zdolny stanąć do pojedynku z owym tępym durniem. Nettlecomb'em. Czy też kimkolwiek innym, gdy już o tym mowa.

Morse wrócił do domu wynajętego przez sir Hugona późną nocą. Gdy już odprowadził pannę Hill, wstąpił do lokalu o dość podejrzanej reputacji w pobliżu Cross Bath. Zdecydował, że równie dobrze może spędzić kilka godzin w miejscu, do którego przynależał. Tym bardziej że przez swoją obrzydliwą dumę i popędliwą naturę wkrótce znajdzie się z powrotem na nizinach społecznych i już, nigdy nie zdoła się z nich podźwignąć.

Ściągnął buty, chwycił je w rękę i w samych skarpetach zaczął się skradać w górę schodów. Na niewiele się to jednak zdało, bo za plecami usłyszał skrzypienie zawiasów drzwi prowadzących do salonu.

- Nie tak szybko. Morsie Archerze. - Choć wypowiedziane cicho, słowa Leonory odbiły się echem po uśpionym domu. - Chcę zamienić z tobą kilka słów.

Prostując ramiona, odwrócił się i zszedł na dół. Wolałby

szturmować gniazdo francuskiej artylerii, zionącej pełnym ogniem, niż wkraczać w progi tego cichego pokoju.

Ledwo zamknął za sobą drzwi, Leonora dała upust furii.

- Jak mogłeś. Morse? Wyzywając tego młodego durnia. Nettlecombe'a, na pojedynek, praktycznie zaprzepałeś szansę na wygranie zakładu. Co oznacza, że pastor z kościoła Świętego Michała już w przyszłą niedzielę może ogłosić zapowiedzi mego ślubu z Algim.

- Co właściwie mam ci powiedzieć?! - wybuchnął Morse
- Że mi przykro? Że tego żałuję? Cóż, tak się składa, że nie żałuję tego wcale. Nettlecombe sam się o to prosił, obrażając w taki sposób pannę Hill. Co innego mi pozostało?

- Trzeba było trzymać język za zębami i pozwolić, by ktoś inny się z nim rozprawił. Poza tym, nie powiedział nic kłamliwego. Panna Hill byłaby nikim, gdyby jej ojciec nie dorobił się wielkich pieniędzy. Przyznaj, zrobiłeś to, by zemścić się na mnie za to, że odmówiłam ci ręki. Jak mogłam być równie głupia i ufać takiemu łotrowi jak ty?

Morse wysłuchiwał spokojnie reprimendy, ale w końcu nie mógł już dłużej znieść ostrych słów. Był gotów przyznać, że wyzywając młodego Nettlecombe'a, postąpił głupio i porywczo. Ale gdy chodziło o inne posądzenia...

- Doskonale wiesz, że to nonsens. Leonoro Freemantle. - Postąpił kilka kroków w jej stronę. Czy, by wzbudzić w niej strach, czy też z powodu idiotycznej tęsknoty, żeby znaleźć się obok niej? Nie umiał zdecydować. - Pracowałem bardzo ciężko, aby móc uchodzić za dżentelmena i wygrać dla ciebie zakład. Jeżeli jednak ma to oznaczać spokojne wysłuchiwanie, jak [akii wysoko urodzony łajdak obraża cnotliwą, młodą damę tylko dlatego, że jej dziadowie byli prostymi, ciężko pracującymi ludźmi, to wybac. - nie jestem w stanie temu podołać.

Spojrział na jej twarz. Miała zaczerwienione powieki, a pod

oczami głębokie cienie. Cierpiała. Była głęboko zraniona. Morse domyślał się, co było źródłem jej bólu. i wiedział, że sam odmówił jej tego, co mogłoby ją uleczyć. Chociaż gniewały go jej oskarżenia, nie mógł zaprzeczyć, że swym nieroztropnym postępowaniem zrujnował jej przyszłość.

Odrzucając dumę, chwycił ją za rękę.

- Nie zrobiłem tego, by cię zranić, Leonoro. Musisz w to uwierzyć. Pomimo tego... co zaszło. nie chcę, byś utraciła możliwość otwarcia szkoły.

Wbijając wzrok w ich splecione dłonie, unikając spojrzenia mu w oczy.

- Pomimo wszystko chciałabym ci uwierzyć.

Po chwili krępującego milczenia Leonora wyswobodziła swoją dłoń i ruszyła w stronę drzwi. Już w progu zatrzymała się na moment.

- Oczywiście postąpiłeś słusznie. Morse. Nie powinnam pozwolić, by zaślepiły mnie własne interesy i uprzedzenia.

Zanim zdołał odpowiedzieć, dorzuciła:

- Powinniśmy oboje udać się na spoczynek. Bez względu na to, co przyniesie jutro, musimy mieć świeży umysł i być gotowi na szybką reakcję.

Chociaż Morse wiedział, że nie zdoła zasnąć, kilka minut później znalazł się w łóżku, tak jak nakazała mu Leonora. O dziwo, zanim się obejrzał, uspiło go wypite w szynku tęgie piwo. Choć może byłoby dla niego lepiej, gdyby nie zasypiał.

Męczyły go senne koszmary, żywo stawiające przed oczy zbliżającą się hańbę. Jakże ochoczo wezmą go na języki przybyli do Bath próżniacy. Wciąż i wciąż widział we śnie mięsistą twarz Nettlecombe'a, wykrzywioną w grymasie triumfu.

Jednak sen, który przeraził go najbardziej, nie miał nic wspólnego z Nettlecombe'em. Morse stał w wielkim kościele, w którym duchowny właśnie błogosławił małżeństwu pana

i pani Blenkinsop. Gdy Morse usiłował przerwać ceremonię, sir Hugo złapał go za poję surduta i zaczął powtarzać w kółko: „Umowa jest umową, Archer. Przegrałeś przecież zakład”.

Morse usiadł gwałtownie na łóżku. Z czoła spływały mu krople potu, a serce waliło jak oszalałe.

Czy doprawdy nie może nic zrobić, by jeszcze uratować sytuację? Jeżeli ukorzy się przed Nettlecombe'em i cofnie wyzwanie, może ten bubek zgodzi się odwołać insynuacje na temat tożsamości kapitana Archibalda?

Mało prawdopodobne, warto jednak spróbować.

Szykując się na tę rozmowę, Morse ubrał się nad wyraz starannie, wciąż powtarzając w myślach słowa przeprosin. Nie wezwał powozu, ale na piechotę ruszył w stronę Domu Zdrojowego, by lepiej przygotować się do roli pokutnika.

Nie miał pojęcia, gdzie zatrzymał się Nettlecombe, ale ktoś z tam obecnych na pewno mu to powie. Niewykluczone, że spotka samego Nettlecombe'a. towarzystwo bowiem zjeżdżające się do Bath zazwyczaj tłumnie spędzało poranki właśnie w Domu Zdrojowym.

Z najwyższym wysiłkiem woli Morse stawiał nogę za nogą, wchodząc do tego najświętszego przybytku Bath. Wysokie sklepienia i potężne kolumny jeszcze pogłębiały jego kompleks niższości. Czy mu się jedynie zdawało, czy na jego widok ludzie zniżali głos? Z każdym jego krokiem w sali robiło się coraz ciszej, a w końcu nawet muzycy usadowieni na galerii przestali grać.

Ze swego cokołu Beau Nash zdawał się posyłać mu gniewne spojrzenie, jakby domagając się wyjaśnienia, z jakiej racji uzurpował sobie prawo do złamania obowiązującego od dziesięcioleci zakazu pojedynkowania się. Jedynie wielki zegar Tompiona niewzruszenie tykał, niepomny na rozgrywającą się właśnie scenę.

Morse odchrząknął.

- Czy ktoś z tu obecnych mógłby mi powiedzieć, gdzie zatrzymał się niejaki pan Nettlecombe? - W pograżonym w ciszy Domu Zdrojowym jego słowa zabrzmiały jak wystrzał z armaty.

Jego pytanie spotkało się ze złowieszczym milczeniem. Ostry zapach siarki wydobywający się z osławionych źródeł Bath przyprawiał Morse'a o mdłości.

W tym momencie wysforował się do przodu młody mężczyzna, trzymający w ręku szklanę z leczniczą wodą.

- Kapitan Archibald? Nazywam się Phineas Blount, jestem sekundantem pana Nettlecombe'a. Prosił, bym przekazał panu i pewnej młodej damie gorące przeprosiny za niefortunną uwagę, jaką wygłosił wczorajszego wieczoru.

Morse poczuł tak wielką ulgę, że niemal zwałił się z nóg. Był oszołomiony, nie mógł więc powiedzieć ani jednego słowa.

Młody Blount tymczasem pospieszył z dalszymi wyjaśnieniami.

- Proszę wyobrazić sobie żal pana Nettlecombe'a, gdy dowiedział się, iż jego własny wuj był dobrym znajomym pańskiego ojca. Żałuje więc gorąco z powodu całego nieporozumienia i wyraża nadzieję, że te przeprosiny będą stanowić dla pana wystarczające zadośćuczynienie.

Jak że to w stylu tego godnego pogardy tchórza - gdy tylko spotkał się z męskim wyzwaniem, natychmiast się wycofał. Nie miał nawet dość ambicji, by osobiście wygłosić przeprosiny. Morse'a korciło, by tego zażądać, ale w ostatniej chwili się pohamował. Nie należało kusić licha.

Skłonił się lekko przed sekundantem Nettlecombe'a.

- Zbyt pochopnie powziąłem urazę i uchybiłem dobremu smakowi, żądając pojedynku. Na swe usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że wiele lat w służbie Jego Królewskiej Mości wyrobiło we mnie skłonność do rozwiązywania konflik-

tów przy użyciu broni. Ze względu na pamięć Beau Nasha pokornie prosił o wybaczenie mieszkańców Bath za swe uchybienie.

Pomruk zadowolenia, z jakim spotkały się owe słowa, dodał Morse'owi odwagi

- *Errare humanum est* - oświadczył. - Błądzić jest rzeczą ludzką.

Któż wiedział o tym lepiej od niego?

Wygłoszona przez niego z taką swobodą łacińska sentencja wywołała głośny aplauz. Morse skłonił się wszystkim wokół, po czym wyszedł z Domu Zdrojowego. Dopiero gdy przebył połowę drogi do Laura Place, przestały mu drżeć kolana.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Na Jowisza, Leonoro, czyś już słyszała? - Sir Hugo wkroczył do salonu z siłą atlantyckiego huraganu. - Na Boga, w całym Bath aż wrze!

- Co się stało, wuju? Czy chodzi o Morse'a? Został ranny? Jak mogła być taką egoistką? Zastanawiała się tylko nad tym, jak pojedynek wpłynie na jej własną przyszłość. Ani przez moment nic pomyślała, że Morse może stracić życie.

- Ranny? - Sir Hugo pojrzał na nią tak, jakby nagle wyrosła jej broda czy trzecie oko. - Cóż za bzdury opowiadasz, dziewczyno? Niech zjem własne uszy, jeśli ten butny szczeniak Nettlecombe nie uciekł z piskiem i podwiniętym ogonem.

- No i kto tu opowiada bzdury? Nie rozumiem ani słowa z tej opowieści.

- Czyś nie słyszała, co powiedziałem? - Sir Hugo zaśmiał się rubasznie, po czym otarł twarz chusteczką. - Nettlecombe się wycofał i oferował przeprosiny. Przez wysłannika - ale przeprosił. Wobec wszystkich zgromadzonych w Domu Zdrojowym. Posunął się nawet do tego, że oświadczył, iż jego wuj był bliskim znajomym ojca kapitana Archibalda! Wyobrażam sobie? Teraz już żywa dusza w Bath nie podważy tożsamości Morse'a.

A więc jeszcze nie przegrała? Nie będzie musiała poślubić Algiego, zrezygnować ze swoich książek i nauczania?

- Ale czemu ciebie, wuju Hugonie, ta nowina wprawiła w tak doskonały nastrój? Przysięgam, nigdy w życiu nie wi-

działam mężczyzny równie zadowolonego z faktu, że najprawdopodobniej przegra zakład.

- Przegra? Kto tu mówi o przegrywaniu? Jak do tej pory jeszcze niczego nie przegrałem, nie radziłbym ci więc wpadać w zachwyty tylko dlatego, że Morse pokonał pierwszą przeszkodę. - Podeszedł do niewielkiego stolika i z karafki nalał sobie hojną porcję porto. - Prawdę mówiąc, ta nasza zabawa dostarcza mi wiele rozrywki, nie zamierzam więc uważać jej za zakończoną, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła.

Mimo najszczerzej chęci Leonora nie zdołała puścić tej uwagi mimo uszu.

- A więc jesteś jak kocur igrający z myszą, zanim ją połknie?

Rumieńce na policzkach sir Hugona nieco przybladły i starszy pan rozsiadł się w fotelu.

- Ależ, moja droga, nie bądź tak ostra w swych sądach. Jestem tylko starym człowiekiem, który zawsze chciał jedynie twego szczęścia.

Leonora natychmiast poczuła przyływ ciepłych uczuć do wuja. Choćby chciała, nie umiała się na niego gniewać. Nie zmieniało to jednak faktu, że póki nie spotkała Morse'a Archera, nie znała innego mężczyzny, który potrafiłby ją doprowadzić do takiej irytacji.

Przysiadła na poręczy fotela i chwyciła starszego pana za rękę.

- Przepraszam, wuju. Wiem, że chcesz dla mnie wszystkiego najlepszego.

Gdyby tylko zaufała jej na tyle, by pozwolić jej samej zdecydować, co dla niej najlepsze...

Sir Hugo uściśnął jej dłoń.

- Obiecuję, że nigdy o tym nie zapomnisz, bez względu na wynik naszego zakładu.

Teraz, gdy jej przyszłość znów wyglądała różowo, Leonora mogła się zdobyć na potaknicie głową.

Drzwi salonu uchyliły się odrobinę, po czym szybko zamknięto je z powrotem.

- Czy to ty, Morse? - zawołał sir Hugo. - Czemu wynosisz się tak chyłkiem, chłopcze? Chodźże do nas i zabaw opowieścią o swym triumfie!

Drzwi przez chwilę pozostawały w bezruchu, po czym zostały otwarte na całą szerokość. Morse wszedł do salonu zachęcony zaproszeniem sir Hugona, jednak zdaniem Leonory ani trochę nie wyglądał na triumfatora.

- Wypijmy za twój sukces! - Sir Hugo wzniosł w górę kieliszek z porto. - Słyszałem, że pokazałeś młodemu Nettlecombe'owi, gdzie jego miejsce, nie wyciągając broni.

Morse uniósł nieznacznie kącik ust. Czy był to jednak uśmiech samozadowolenia, czy może raczej ironiczny grymas?

- Był to jedynie niezasłużony, szczęśliwy traf. za który jestem wdzięczny losowi.

Wdzięczny z jakiego powodu? - zastanawiała się Leonora.

Sir Hugo jednak nie zamierzał pozwolić Morse'owi wykipić się tak łatwo.

- Traf? Cóż za bzdura! Mężczyźni czynu sami sobie zawdzięczają szczęśliwe trafy, wszystko to więc twoja zasługa. Dobrze wiedziałeś, że ten nędzny robak Nettlecombe podkuli ogon, gdy tylko ktoś zagrozi, że nauczy go manier.

Morse posłał Leonorze ukradkowe spojrzenie. Gdyby był w pokoju jedynie sam na sam z sir Hugonem, zapewne okazałby pewną chętność. Nie śmiał jednak próbować mydlić oczu Leonorze.

- Niczego takiego nie wiedziałem, sir Hugonie. Rzuciłem kości i fortuna okazała się dla mnie łaskawa. *Alea iacta est.* - Spojrzał Leonorze prosto w oczy i wówczas zrozumiała, że sło-

wa, które wypowie za moment, będą raczej zaadresowane do niej niż do wuja. - Czasami człowiek nie ma wyboru, gdy zostaje przyparty do muru.

Czy miał na myśli wydarzenia w Wielkiej Sali Balowej, czy odwrót w trakcie walk w Portugalii?

W tym momencie drzwi salonu otworzyły się ponownie - tym razem jednak zamaszycie, bez najmniejszych oznak wahania. Do pokoju wpadł Algie, o ile to możliwe jeszcze radośniej uśmiechnięty niż zazwyczaj. Podeszedł do kominka i objął ramieniem Morse'a.

- Wspaniale się spisałeś, przyjacielu. Jesteś na ustach całego miasta.

Sir Hugo znowu wzniosł kieliszek w stronę Morse'a, po czym przechylił go i wysączył porto do ostatniej kropli. Wraz z Algziem wybuchnęli gromkim śmiechem. Morse tymczasem w milczeniu znosił gorące wyrazy uznania i sympatii. Wiedział, że w chwili takiego rozentuzjzmowania Algiego jakiegokolwiek protesty nie miały najmniejszego sensu.

- Myślałem, że już nigdy nie dojdę do domu - oznajmił radośnie Algie. - Co i rusz ktoś zaczepiał mnie na ulicy, by wygłosić peany na twoją cześć. Nie miałem pojęcia, że bratanek starego Pewseya lak bardzo zdążył zaleźć wszystkim za skórę. Okrzyknięto cię bohaterem za to, że w końcu pokazałeś mu, gdzie jego miejsce, i prawdziwym dżentelmenem za przeprosiny, jakie wygłosiłeś w Domu Zdrojowym.

Morse wzruszył ramionami, zaczerwienił się i mruknął coś pod nosem, by jak najszybciej zakończyć temat.

Leonora podniosła się z fotela.

- Przeprosiny? O czym ty mówisz, Algie?

- Nie powiedział ci? Jesteś doprawdy zbyt skromny, przyjacielu! - Algie ponownie poklepał Morse'a po plecach. - Prosił o wybaczenie wszystkich mieszkańców Bath i ducha Starego

Nasha za wyzwanie Nettlecombe'a na pojedynek. Co prawda, niewiele osób miało mu to za złe. Jednak okazał szacunek dla tradycji i obudził stare sentymenty. A ta łacińska sentencja na zakończenie - to był istny majstersztyk!

Czy doprawdy aż tak zdołał powściągnąć swą dumę? Leonora zaczęła szukać w głowie właściwych słów, by wyrazić, jak chwalebnie postąpił. W tym samym momencie uderzyła ją pewna myśl. Co on właściwie robił w Domu Zdrojowym?

- Och, niemal bym zapomniał. - Algie zaczął przeszukiwać kieszenie surduta, by z jednej z nich wyciągnąć w końcu opatrzone pieczęcią liścik, który szerokim gestem przekażał Morse'owi.

Leonorę przez pół pokoju dobiegi aromat wody różanej. Czyżby papier został spryskany perfumami?

- Poproszono mnie, bym ci go dostarczył. - Algie wyglądał na zaszczyczonego powierzoną misją. - To od panny Hill - rzucił na użytek sir Hugona i Leonory, jakby sama już tego dawno nic odgadła.

Morse przebiegł wzrokiem notatkę.

- Jej siostra i szwagier wydają przyjęcie na moją cześć pod koniec tygodnia. Panna Hill prosi, bym przybył najszybciej, jak będę mógł, żeby osobiście mogła przekazać mi swoje podziękowania.

- Fantastycznie! - wykrzyknął Algie. - Trzeba mieć twoje szczęście, Morse, by wpaść do chlewu, a wylądować na łożu usłanym różami.

Ciężki zapach esencji różanej wydobywający się z listu panny Hill przyprawiał Leonorę o zawrót głowy.

- Ta młoda dama już wcześniej nie mogła oprzeć się twoim wdziękom - klepał nadal Algie. - Teraz jednak, gdy stanąłeś w jej obronie i pokonałeś Nettlecombe'a tak gładko, żaden inny mężczyzna w Bath nie będzie miał przy tobie szans.

Zaraz też zaczął wygłaszać nudną litanię zalet panny Hill jako przyszłej żony - a wszystkie były natury materialnej. Morse zdawał się nie zwracać na tę przemowę najmniejszej uwagi. Podniósł głowę znad listu i znacząco spojrzął na Leonorę.

Nie mogła jednak odczytać jego przesłania. Czy kryła się za nim prośba, czy wyzwanie? Czy Morse poszedł do Domu Zdrowego, by znaleźć Nettlecombe'a i pogodzić się z nim ze względu na jej przyszłość? Czy gdyby zmieniła zdanie i zgodziła się za niego wyjść, zapomniałby o Frederice Hill i jej wysokich oczekiwaniach? Silna nieufność w stosunku do mężczyzn i brak wiary w siebie powstrzymały jednak Leonorę od jakichkolwiek komentarzy, które poniewczasie mogłaby uznać za zbyt pochopne. Nie wytrzymała spojrzenia Morse'a i odwróciła wzrok.

Być może uznał to za swoistą odpowiedź. A może w jego wzroku tak naprawdę wcale nie kryło się żadne pytanie. Gdy Algie przestał się już unosić nad przyszłymi dochodami panny Hill. Morse wcisnął uperfumowany liścik do kieszeni.

- Wybaczcie mi, proszę. - Mówiąc to, spojrzął na sir Hugona, potem na Algiego, całkowicie zaś zignorował Leonorę. - Muszę złożyć pilną wizytę.

- Ależ naturalnie. - Algie niemal wypchnął go za drzwi. - Kuj żelazo, póki gorące.

Sir Hugo mu zawtórował, rzucając równie banalną uwagę, po czym Morse zniknął. Leonora miała wrażenie, że w tej atmosferze powszechnego zachwytu za chwilę się udusi.

- Muszę się położyć. - Ruszyła w stronę drzwi. - Okropnie rozboleła mnie głowa.

Gdy rzuciła przelotne spojrzenie sir Hugonowi i Algiemu, przekonała się, że nie przejęli się jej nagłą niedyspozycją. Jeżeli już, to wyglądali na niezwykle z siebie zadowolonych.

Leonora trzasnęła drzwiami głodniej, niż zamierzała. Doprawdy, mężczyźni to istoty całkiem pozbawione serca.

Czy ta kobieta miała w piersi nie serce, lecz kamień? Morse wypadł z furią na ulicę i ruszył w stronę Camden Place, gdzie rodzina panny Hill wynajęła dom na ten sezon.

Czy to z powodu własnego działania, czy szczęśliwego trafu, uratował jeszcze ten zakład. Na dodatek teraz ich szanse na wygraną zdawały się pewniejsze niż kiedykolwiek przedtem. On był gotów dla Leonory ukorzyć się przed tym odrażającym szlacheckim pomiotem, a ona nie podziękowała mu ani słowem czy choćby spojrzeniem.

Dobrze więc! Od tej chwili przestanie się nią w ogóle przejmować. Teraz będzie mieć na względzie jedynie swój najlepiej pojęty interes.

Droga do Camden Place zajęła mu wyjątkowo dużo czasu. Ludzie całkiem mu obcy wychylali się z powozów, by go pozdrowić. Ci, którzy kiedykolwiek zostali mu przedstawieni - choć zupełnie nie pamiętał ich nazwisk - zatrzymywali go na ulicy, by uścisnąć mu dłoń. Dzięki temu z minuty na minutę zapominał coraz bardziej o urażonej ambicji.

Kiedy wkroczył wreszcie do bogato zdobionego holu domu wynajmowanego przez Hillów, był już w o wiele lepszym nastroju niż w chwili, gdy opuszczał dom sir Hugona. A przyjęcie, jakie go spotkało ze strony panny Hill, jeszcze bardziej poprawiło mu humor. Na jego widok wpadła w zachwyty i natychmiast pociągnęła go na krzesło ustawione przy oknie. Spoglądając na rozciągającą się przed nim wspaniałą panoramę miasta, Morse nareszcie zrozumiał, czemu ceny najmu w Bath rosły wprost proporcjonalnie do wzniesienia terenu.

Lady Fitzwarren, chudsza, bledsza i bardziej flegmatyczna

wersja swej siostry, panny Hill, jedynie przez chwilę udawała, że pełni rolę przyzwoitki.

- Doprawdy, kapitanie, zachował się pan wczoraj jak rycerz w srebrnej zbroi, o którym czytałam kiedyś w pewnej powieści. - Z krzesła ustawionego naprzeciwko Frederica Hill posłała Morse'owi pełne podziwu i uwielbienia spojrzenie błękitnych oczu okolonych jasnymi rzęsami. - Gdyby ten straszny człowiek przebił mnie szpadą, nie czułabym się równic skonsternowana. Wiem, że pewni wyniośli ludzie w Bath mają takie mniemanie o mnie i mej rodzinie. Nikt jednak do tej pory nie był na tyle zuchwały, by rzec to publicznie - aż do wczorajszego wieczoru.

- Gdyby mój Eutace usłyszał te słowa - wtrąciła lady Fitzwarren - także zażądałby satysfakcji. Bez dwóch zdań. - Nie wygłosiła jednak tych słów ze szczerym przekonaniem.

Morse został przedstawiony owemu nerwowemu arystokracie, więc od razu serdecznie zwątpił w to, co usłyszał.

- Pomyśleć, że pan Nettlecombe był na tyle impertynencki, by obrazić również pana, kapitanie Archibald. - Panna Hill zrobiła w tym momencie minę jeszcze bardziej zgorzowaną niż wtedy, gdy mówiła o własnej krzywdzie. - Pan zapewne, w odróżnieniu ode mnie i Henrietty, nie jest przyzwyczajony do podobnych insynuacji. Bo gdy pochodzi się z tak wspaniałej rodziny...

Morse zdusił w sobie gorzki śmiech.

- Za wyjątkiem króla, wszyscy od czasu do czasu muszą ścierpieć towarzystwo ludzi zachowujących się butnie i wyniośle, chcących za w szelką cenę okazać, że należą do lepszych od nas.

Skubnął jedną z kanapek podanych do herbaty przez lady Fitzwarren.

- A więc rozumie mnie pan, kapitanie. Byłam pewna, że pan

wie, co to współczucie. A teraz proszę opowiedzieć mi o swej rodzinie. Panna Freemantle wspomniała, że pochodzi pan z północy. My wywodzimy się z hrabstwa York, choć tuż po śmierci matki ojciec wysłał mnie i Henriettę do szkoły w Londynie.

Po nieprzespanej nocy i obfitującym w niespodziewane wydarzenia dniu Morse nie miał najmniejszej ochoty na recytowanie wyuczonej z wielkim trudem biografii kapitana Maurice'a Archibalda. Szczęśliwie, gdy panna Hill wspomniała o szkolnych latach, dostrzegł, że spochmurniała.

- Były tam wyniosłe dziewczęta? - zapytał, bezpiecznie zmieniając temat rozmowy.

Skwapliwie skinęła głową.

- Niektóre niezwykle wyniosłe. Podobnie jak nauczycielki. Pewnego dnia wszystkie gorzko pożałują, że traktowały mnie z taką wyższością.

- Czemu więc nie poprosiła pani ojca, by wysłał ją do innego miejsca? - Morse poczuł nagle silny przypływ współczucia. Niespodziewanie też zaczął myśleć o wymarzonej szkole Leonory - zapewne byłoby to o wiele bardziej przyjazne miejsce.

Dziewczyna zadumała się smutno.

- Błagałyśmy go o to, ale nie chciał o niczym słyszeć. Powiedział, że jego córki muszą uczęszczać do najlepszej szkoły i nawiązać odpowiednie przyjaźnie, by pewnego dnia zająć odpowiednie miejsce w towarzystwie. - Westchnęła niemal płaczliwie, ale szybko odzyskała humor. - Dzięki pana galanterii, kapitanie, teraz otworzyły się dla nas kręgi, które wcześniej były zamknięte. Ojciec będzie tak bardzo szczęśliwy, gdy w przyszłym miesiącu zjedzie tu wraz z mą macochą. - Jej ton sugerował, że nie był to człowiek, którego można łatwo zadowolić.

Nakłaniana przez Morse'a, opowiedziała mu o letnim domu w dolinach hrabstwa York. O podróżach na kontynent, jakie odbyła z siostrą, i wrażeniom z wesela siostry z sir Eustace'em

Fitzwarrenem. Miss Hill nie należała do szczególnie interesujących kobiet, Morse musiał to przyznać. Jednak wpływała na niego kojąco, co było miłą odmianą po... Przczornie szybko porzucił tę myśl i usilnie starał się skoncentrować na planach przyjęcia na jego cześć, przedstawionych mu przez pannę Hill.

- Oczywiście, musimy zaprosić pańskich drogich przyjaciół: pana Blenkinsopa, pannę Freemantle i jej wuja.

Morse skinął głową. Nadzieja, że oczywiste uwielbienie panny Hill wzbudzi zazdrość w Leonorze, była raczej płonna.

On jednak żywił ją w głębi duszy - i już nie mógł się doczekać przyjęcia.

Leonora nienawidziła myśli o przyjęciu w domu Hillów od momentu, gdy o nim usłyszała. A kiedy już się na nim znalazła, rzeczywistość okazała się równie niemiła, jak przypuszczała.

- Na Jowisza, czyż nie tworzą pięknej pary? - Sir Hugo spoglądał przez całą długość stołu na Morse'a i Fredericę usadzonych obok siebie.

- W rzeczy samej - odparła Leonora, skubiąc widelcem gotowanego na parze łososia. Mogłaby oczywiście zaprzeczyć, tylko po co? Każdy, kto miał oczy i choć odrobinę zmysłu estetycznego, musiał przyznać, że uroda Morse'a - jego wydatne rysy, ciemne włosy i karnacja, wspaniale kontrastowały z urodą panny Hill - mdłej, delikatnej blondynki.

- Muszę przyznać, moja droga - sir Hugo zniżył głos - że zaczynam się niepokoić o wynik naszego zakładu.

Wbrew swoim słowom sir Hugo nie robił wrażenia zbyt zmartwionego.

- Dopiero teraz, wuju? - powiedziała Leonora miękkim głosem, pochylając się w stronę wuja. - Popatrz, trzy miesiące mojej nauki, a Morse Archer jest równy każdemu, nawet najbardziej wyrafinowanemu dandysowi w Bath.

W jej szepcie pobrzmiwała niekłamana duma. To ona, Leonora, była autorką owej przemiany. Ze zwykłego, ubogiego żołnierza zagrożonego sądem wojskowym uczyniła rozchwytywanego oficera dżentelmena, godnego najlepszego towarzystwa w tym mieście.

Rozchwytywanego. Ta świadomość przyćmiewała radość z jej osiągnięcia. Od czasu gdy Morse stanął w obronie panny Hill. ta młoda dama postanowiła go usidlić za wszelką cenę. A on? Albo był zbyt tępy, by to zauważyć, albo ją do tego zachęcał. Leonora знаła Morse'a zbyt dobrze, by uważać go za tępego.

- Rozkoszujesz się swym sukcesem? - zagadnął Algie. On także skinął głową w stronę Morsc'a i panny Hill.

Leonora wydała z siebie jakiś bliżej nieokreślony dźwięk, nie mogąc zmusić się do uśmiechu, skinięcia głową czy powiedzenia prostego „tak”. Zaczęła się czuć jak grzesznik zesłany do piekieł, którego szczerzące zęby demony ze wszystkich stron dźgają rozgrzany do czerwoności, ostrym żelastwem.

- Postanowiłaś uczynić z niego niezwykłą przynętę na bogate dziedziczki, i proszę! Właśnie złowił najbardziej pożądaną pannę w Bath.

Leonora uniosła kieliszek w geście będącym parodią toastu.

- Prawdziwy ze mnie Pigmalion w żeńskim wydaniu, czyż nie. Algie? - Pociągnęła potężny łyk wina. Wszystko było dobre, co mogło poprawić jej nastrój, choćby chwilowo.

- Cóż ty znowu opowiadasz. Leonoro. Uważam, że na Twój sposób jesteś równie piękna jak panna Hill.

Leonora w ostatniej chwili zdołała unieść serwetkę do ust - tuż przed tym, zanim nieelegancko parsknęła winem.

- Mówiłam o Pigmalionie, Algie. - Jakże przyjemnie było znów się śmiać, chociażby z samej siebie. - Musiałaś się o nim uczyć w czasie zajęć z literatury klasycznej. To mityczny, grecki rzeźbiarz, który stworzył posąg idealnie pięknej kobiety.

- Ach, Pigmalion, oczywiście! - Algie energicznie pokiwał głową. - Bądź tak miła i odśwież mą pamięć. Co się stało z tym rzeźbiarzem i jego wspaniałym posagiem?

Wbrew własnej woli Leonora ponownie powędrowała wzrokiem w stronę Morse'a.

- Biedaczek zakochał się w swym kamiennym dziele.

Algie cmoknął.

- A to pech!

- Och, ostatecznie nie było tak źle. Szczęśliwie dla Pigmaliона bogowie zlitowali się nad jego ciężkim losem i przemienili jego ukochany posąg w istotę z krwi i kości.

- W takim razie, w porządku. Podobają mi się historie, które dobrze się kończą.

Leonora machinalnie skinęła głową. Niestety, nie sądziła, że ją spotka podobny cud. Życie to nie moralitet, gdzie każdy dostaje, na co zasługuje. Posługując się książkami niczym dłutem, ukształtowała Morse'a na podobieństwo idealnego mężczyzny. Podobnie jak Pigmalion zapałała uczuciem do stworzonego wizerunku - zapominając, że za czarującą fasadą kryje się kamienne serce łowcy fortuny.

Po raz pierwszy w życiu zaczęła tracić wiarę w głoszoną przez siebie filozofię. Być może nie wystarczy rozwijać czyjejs inteligencji poprzez wiedzę. Nie wystarczy ubrać kogoś w eleganckie stroje, wyszlifować jego akcent i maniery, jeżeli dusza pozostanie nietknięta.

Jakaś przypadkowa uwaga szwagra panny Hill pobudziła Morse'a do śmiechu. Leonora przyglądała się, jak jego twarz rozjaśnia się w niczym nieskrępowanej wesołości, a w orzechowych, urokliwych oczach błyskają złociste iskierki rozbawienia.

Niczym uparty promyk słońca wdzierający się do zaciemnionej komnaty, wróciło do niej wspomnienie wszystkich dobrych cech charakteru Morse'a. Pilność, z jaką zabrał się za naukę,

gdy już zrozumiał, jak wiele znaczy dla niej wygrana. Uprzejmość wobec jej uczennic w czasie pożegnalnego przyjęcia w Laurelwood. Nawet porywcza obrona panny Hill, która mogła go kosztować tak wiele.

Im więcej o tym wszystkim myślała, do tym bardziej oczywistych dochodziła wniosków. Morse Archer nie zasługiwał na potępienie. Gdyby tylko zrozumiał, że nie należy kierować się względami materialnymi! Gdyby pojął, jak nieuczciwe jest wykorzystywanie władzy nad kobietami w imię zaspokojenia własnych, egoistycznych celów!

Nie mieszaj się do tego! - przestrzegał ją zdrowy rozsądek. Związek Morse'a z taką dziedziczką jak panna Hill gwarantował jej wygranie zakładu. Wuj Hugo praktycznie to przyznał. Poza tym, jeżeli sam Morse postanowił zdobyć pannę Hill, na pewno nie spodobałoby mu się, gdyby wtrącała się w jego sprawę. A gdyby odmówił współpracy, na pewno przegrałaby zakład.

Nie zważając więc na swoje uczucia, co przecież czyniła przez większość życia, Leonora pozwoliła, by zawładnęła nią zimna logika. I dlatego przy pierwszej sposobności ruszyła za panną Hill do gotowalni, gdzie wyliczyła jej wszystkie zalety i cnoty kapitana Archibalda.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Wybierzesz się z nami do Cross Bath, Morse? - spytał Algie, gdy samotnie, we dwóch, spożywali śniadanie. - Ja i sir Hugo tam właśnie zamierzamy spędzić ranek.

Morse skrzywił się. Już dostatecznie często wdychał odór leczniczych wód Bath, nie miał więc najmniejszego zamiaru ich kosztować, nie wspominając już o kąpieli.

- Nie dzisiaj, Algie. Obiecałem Frederice, że będę jej towarzyszył na Milsome Street.

Tym razem Algie skrzywił się z dezaprobatą.

- Mam nadzieję, że nie dożyję dnia, w którym będę musiał asystować kobiecie przy zakupach. Przecież to całkiem niegodne szanującego się dżentelmena! Noszenie za niewiasta zakupów niczym unізony lokaj - i to bez najdrobniejszego wynagrodzenia za fatygę!

Morse uśmiechnął się smętnie. Ostatecznie nie pierwszy raz miał wyruszyć na zakupy z Fredericą.

- Mam więc zażywać z tobą kąpieli, narażając się przy tym na gniew najlepszej partii w Bath? - zapytał. - Dziwna to porada z ust człowieka, który wpychał mnie w ramiona panny Hill praktycznie od momentu, gdy znaleźliśmy się w tym mieście.

Algie sięgnął po rogalik, po czym rozsmarował na nim dużą porcję masła.

- Cóż za idiota ci powiedział, że aby zyskać względy kobiety, należy chodzić za nią wszędzie, gdzie tylko sobie zażyczy? Ty już zaskarbiłeś sobie wszelkie względy panny Hill, możesz

to jednak szybko zaprzepaścić, jeżeli pozwolisz, by cię miała na każde zawołanie. Nikt nie pożąda dość mocno tego, co dostaje bez specjalnego wysiłku - a w mojej opinii ta zasada działa ze szczególną mocą w przypadku bogatych kobiet.

Ponieważ w pobliżu nie było Leonory zawsze dbałej o maniery przy stole, Morse chwycił za rogala i uderzył nim Algiego po głowie.

- A kto ci powiedział, że ja w ogóle chcę złowić tę dziewczynę? Doprawdy, Algie. gdyby cię ktoś posłuchał, mógłby pomyśleć, że panna Hill to piękny okaz pstraga.

Algie wyrwał rogala z ręki Morse'a i chciał mu już odpłacić pięknym za nadobne, gdy nagle w całej pełni dotarło do niego znaczenie żartu Morse'a.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie zamierasz prosić o rękę panny Hill? To byłby skandal po tym, jak pozwoliłeś, by sprawy zaszły tak daleko. Jestem pewien, że ta młoda dama oczekuje, iż się wkrótce zdeklarujesz; podobnie sądzi cała śmietanka Bath. Ja nie miałbym dość odwagi, by zawieść oczekiwania kórejkoľwiek z tych stron.

Morse popijał kawę, zasłoniwszy się poranną gazetą. Czy doprawdy pozwolił, by sprawy zaszły aż tak daleko? Po namyśle doszedł do wniosku, że tak. Po tym, jak odrzuciła go Leonora. niepewność siebie sprawiła, że ochoczo zaczął się pławić w oczywistym uwielbieniu Frederiki. Ona z kolei wynajdowała rozmaite powody, by wciąż go mieć przy sobie, aż w pewnej chwili stało się to naturalne. I kto tu właściwie na kogo zasta- wiał sidła? - zapytywał się w duchu Morse.

- W rzeczy samej, powinieneś się wybrać z nami - nalegał Algie. - Bez względu na pannę Hill. Kąpiele mogą świetnie zro- bić twej nodze.

Ku własnemu zdumieniu, Morse usłyszał swój głos, ochoczo przyjmujący propozycję Algiego. Zanim zaś zdołał zmienić zda-

nic. Algie już wysłał służącego na Camden Place z notką dla Frederiki.

Dzwony opactwa Bath wybijały dziesiątą, gdy Morse, Algie i sir Hugo znaleźli się w lektykach na moście Pulteney. Choć niebo było bardzo zachmurzone, aura wydawała się jeszcze łagodniejsza niż w poprzednich dniach. Co SIĘ dobrze składało, pomyślał Morse, swą podróż bowiem odbywali odziani jedynie w szlafroki kąpielowe.

To nowe doświadczenie okazało się o wiele przyjemniejsze, niż się spodziewał. Lektykarze zanieśli go wprost do przebieralni w Cross Bath, gdzie wdział kostium złożony z płóciennej kamizelki i takież spodni. Zanurzył się w gorącej, wydzielającej ostry zapach wodzie, po czym zaczął brodzić w kierunku sir Hugona i Algiego.

Nad wodą unosiły się obłoki pary, tak że głowy zanurzonych w niej mężczyzn robiły wrażenie odciętych od ciał. Od ścian echem odbijały się głosy, ale nie było ich zbyt wiele. Morse wkrótce pojął dlaczego. Gorąca kąpiel szybko pozbawiała człowieka energii, tak że nawet nie miało się ochoty na rozmowę.

- Cieszę się, że się do nas przyłączyłeś, mój chłopcze - powitał Morse'a sir Hugo. Trzeba by czegoś znacznie potężniejszego od wód Bath, by starszy pan zdołał długo utrzymać język za zębami. - Nie ma nic gorszego niż mężczyzna uczepiony spódnicy swej kochanki.

- Nie tak głośno, sir Hugonie! Panna Hill w żadnym razie nie jest moją kochanką!

Prawdę mówiąc, myśl o igraszkach w łóżu z panną Hill wcale nie wydawała się Morsc'owi nęcąca. Niech go diabli, jeśli wiedział dlaczego - ostatecznie panna Hill była ładna i całkiem miła.

- Chcesz, by pozostała uczciwą kobietą? - Głos sir Hugona

zagrzmiał jeszcze głośniejszym niż przed chwilą, a jego śmiech poniosł się echem po parującej wodzie.

- Tak - rzucił Morse. - A raczej nie. Prawdę mówiąc, aż do dzisiejszego ranka w ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

- Najwyższy czas, byś się zastanowił. - Algie nawiązał do ich rozmowy przy śniadaniu. - Nie możesz paradować po parkach w towarzystwie najbardziej pożądanego partii, chadzać z nią na koncerty do Wielkiej Sali Balowej, siadać w łóżu jej rodziny w Teatrze Królewskim, a potem w odpowiednim czasie nic poprosić o jej rękę. Poza tym, czyż nic w tym właśnie celu przyjechałeś do Bath? Nie możesz pozwolić, by radość pogoni za zwierzyną zaślepiła cię lak bardzo, że zapomnisz o konieczności jej ubicia.

- Nic dziwnego, że wciąż jeszcze jesteś kawalerem, Algie - zachnął się Morse. - Skoro o małżeństwie mówisz tak. jakby to było polowanie czy też łowienie ryb w strumieniu.

Jeżeli Algie poczuł się urażony, w ogóle nie dał tego po sobie poznać, za to wybuchnął śmiechem, słysząc ripostę Morsca.

Z zamkniętymi oczami i wyrazem błogostanu na twarzy sir Hugo też zabrał głos w sprawie, jednak z o wiele mniejszym wigorem niż zazwyczaj.

- Algie może nie ujął tego w najsubtelniejszy sposób, ale ma rację, mój chłopcze. Jeżeli kochasz tę pannę Knoll...

- Pannę Hill. sir Hugo. Fredericę Hill.

- Hill, oczywiście. Czyż nie tak ją nazwałem? A więc jeśli kochasz pannę Hill, powinienes jak najszybciej poprosić o jej rękę. Jeśli zaś nie - wówczas natychmiast ustap pola jakiemuś poważniejszemu adoratorowi.

Po tych słowach pograżyli się na godzinę w ospałym milczeniu. Podczas gdy ciało Morse'a cudownie się odprężyło, jego umysł pracował w zwielokrotnionym tempie. Czy kochał Fredericę Hill? Czemu więc doprowadził do takiej sytuacji, że teraz był praktycznie zmuszony prosić o jej rękę?

Po godzinie moczenia się w wodzie służący zdjął z Morse'a kąpielowy kostium i odział go z powrotem w jego własny szlafrok. Morse opadł na poduszki lektyki. Całe ciało miał wciąż rozgrzane i rozluźnione niczym rosnące ciasto chlebowe. Okazało się, że Algie miał rację, gdy mówił o jego nodze. Nigdy nie dokuczała mu mniej niż w tej chwili. Morse postanowił więc w duchu, że do końca pobytu będzie regularnie zażywać leczniczych kąpeli.

Po powrocie do domu przebrał się i ruszył do Frederiki. Musiał się przekonać, czy dziewczyna rzeczywiście oczekiwała propozycji małżeństwa.

Na Camden Place panowało zamieszanie - w holu stało wiele skrzyń i kufrów. Poczuł ogromną ulgę na myśl, że panna Hill wraz z rodziną wyjeżdża z Bath. Zaraz jednak się zorientował, że wszystkie bagaże wędrują jedynie do wewnątrz - wynoszone z ogromnego powozu stojącego przed bramą.

- Kapitanie Archibald! Jak to miło, że pan do nas zajrzał... nareszcie. - Zabiegana lady Fitzwarren nie robiła wrażenia zbyt uszczęśliwionej jego widokiem. - Ojciec wraz z macochą przyłączają się do nas w przyszłym tygodniu - oznajmiła, wskazując ręką na skrzynie.

- Proszę wybaczyć, widzę, że zjawiłem się w bardzo niedogodnym momencie. - Morse się skłonił i zaczął wycofywać, wpadając przy tym na spoconego lokaja objuczonego torbami. Po kilku kolejnych przeprosinach wygłoszonych do lady Fitzwarren, a także do lokaja, któremu nadepnął na nogę, Morse dorzucił: - Wróć, kiedy ten rozgardiasz się już skończy.

- W żadnym razie. Koniecznic musi pan zostać. - Lady Fitzwarren najwyraźniej miała ochotę złapać go za kłapy surduta i siłą wciągnąć do środka, gdyby zaszła taka potrzeba. - Frederica bardzo się ucieszy na pana widok. Razem z Eustace'em spożywają właśnie lunch w małej bawialni. Proszę się do nich przyłączyć.

Widząc, że jakiegokolwiek protesty na nic się zdadzą, Morse ruszył przez hol klucząc wśród skrzyń i kufrów. W bawialni zasiadł jedynie Fredericę, skubiącą kanapkę,

- Siostra pani nalegała, bym przyłączył się do pani i sir Eustace'a ale...

Spożywanie lunchu, choćby był to jedynie chleb z odrobiną rzeżuchy, sam na sam z młodą damą, wskazywało na pewną zażyłość, a to nagle wprawiło Morse'a w niemiłe zażenowanie.

- Eustace nic miał ochoty na posiłek - odparła, tłumacząc nieobecność szwagra.

Morse pomyślał, że sam także nie byłby w stanie nic przełknąć, gdyby poprzedniego wieczoru wypił tyle brandy co lord Fitzwarren.

- W takim razie może przyjdę o dogodniejszej porze - podjął próbę kolejnego, strategicznego odwrotu.

Frederica spojrzała na niego wzrokiem zranionej łani.

- Proszę koniecznie zostać. Jestem pewna, że moja siostra wkrótce się do nas przyłączy.

- Jeśli pani nalega... - Morse przysiadł na brzegu krzesła i przyjął z rąk Frederiki filiżankę herbaty.

W bawialni zapadła ciężka cisza. Morse popijał herbatę, czyniąc przy tym wysiłki, by uniknąć pełnego wyrzutu wzroku panny Hill. Każda sekunda milczenia zdawała się oskarżeniem pod jego adresem i Morse nienawidził tego uczucia.

Gdyby Leonora była na niego zagniewana, bez wahania wyraziłaby swe niezadowolenie w jasnych i oczywistych słowach. Doszłoby między nimi do wspaniałej utarczki. Atakowaliby się, bronili i kontratakowali z pasją, aż w końcu któreś z nich zadałoby decydujący cios. Zaraz potem zapomnieliby o całej sprawie, jeszcze bardziej zbliżeni szczerą wymianą poglądów.

- Czy dokonała pani satysfakcjonujących zakupów na Mil-

some Street? - zapytał w końcu. Czas najwyższy oczyścić atmosferę.

- Postanowiłam zrezygnować z. wyprawy - odparła Frederica z głębokim westchnieniem. - Zakupy w samotności nie są przyjemne.

Morse przygryzł wargi. Poddawanie się bez walki było oznaką tchórzostwa. Nie mógł jednak walczyć z milczącą reprimendą Frederiki - byłoby to niczym zmaganie się z cieniem.

- Proszę posłuchać. Przykro mi, że nie poszedłem tam z panią, chociaż obiecałem. - Zajrzał w jej błękitne oczy i od razu zrozumiał, że same przeprosiny nie wystarczą. Jej zranione, pełne wyczekiwania spojrzenie jasno dawało do zrozumienia, że musi znaleźć solidne usprawiedliwienie.

- Noga bardzo mi doskwierała. - Nie całkiem było to kłamstwo, ale również nie cała prawda. - Udałem się więc do Cross Bath w nadziei, że kąpiel złagodzi ból.

- Pańska rana. oczywiście. - Nagle wydała się uszczęśliwioną. - Mam nadzieję, że wody panu pomogły.

- Nicco pomogły.

- To wspaniale.

Ponownie zapadła cisza. Morse słyszał wyraźnie, że w holu służdy wciąż jeszcze pilnie się uwijają. Czyżby pan Hill przewoził cały dobytek z domu w Sheffield?

Frederica odchrząknęła. Morse spojrział na nią i wówczas ujrzał ciemny rumieniec na jej twarzy.

- Bo myślałam, że... to znaczy... martwiłam się, że może pan... cóż, Eustace powiedział, że na pewno adoruje pan inną kobietę i dlatego nie ma dla mnie czasu. - Mówiła coraz szybciej. - On potrafi być bardzo paskudny, kiedy... jest nie w sosie.

Choć zaniepokojony tokiem rozmowy, Morse próbował rozproszyc jej niepokój.

- W takim razie nie powinna pani zwracać na jego słowa uwagi.

- Łatwo panu mówić. - Sięgnęła za siebie i chwyciła mocno pomietą chusteczkę. Po lekko schrypniętym głosie i niebezpiecznym ściągnięciu brwi Morse zrozumiał, że panna Hill wkrótce będzie jej potrzebować.

- Eustace zawsze potrafi wymyślić coś, co rani najboleśniej - W tym momencie już pozwoliła, by zaczęły płynąć łzy. - Upierał się, że jest pan zakochany w krewnej sir Hugona Peve-rilla. Wyobraża pan sobie! Jak ktoś mógłby sądzić, że wolałby pan ode mnie tę szarą mysz!

- Byłbym wdzięczny, gdyby w mej obecności nie wygłasza-ła pani żadnych niepoehlebnych uwag pod adresem panny Free-mantle. - Słowa same wyrwały mu się z ust. - Okazała mi wielką życzliwość, gdy byłem gościem sir Hugona.

- A więc to jednak prawda! - Frederica zaniósła się szloch-em. - Eustace powiedział, że pan ją kocha, a mnie adonuje tylko dlatego, by obudzić w niej zazdrość.

Co mógł na to odpowiedzieć? Morse siedział całkowicie za-skoczony tą przemyślną pułapką. Na dodatek złośliwa uwaga Fit7warrena była niebezpiecznie bliska prawdy.

- Ojciec przyjeżdża w przyszłym tygodniu - wykrztusiła Frederica w przemoczoną chusteczkę. - Z pewnością się spodziewa, że mam już odpowiedniego adoratora.

Jej dalsze słowa utonęły w powodzi szlochów, ale Morse'owi wystarczyło już to, co usłyszał. Algje jednak miał rację. Pan-na Hill oczekiwała jego oświadczyn, podobnie jak, co jeszcze ważniejsze, jej ojciec.

Otworzył usta, jednak nie wypowiedział słowa, zarazem nie-pewny i przerażony.

W drzwiach pojawiło się dwóch lokajów dźwigających wielki obraz owinięty w płótno.

- Przepraszamy, panienko - powiedział jeden z nich. - Kazano nam przynieść tu to malowidło i bez zwłoki zawiesić.

Morse był tak wdzięczny za owo wtargnięcie, że najchętniej zaprosiłby obu mężczyzn na kufel mocnego piwa do najbliższego szynku.

Frederica Hill robiła także wrażenie zadowolonej. Podniosła się z krzesła i udawała, że wygląda przez okno.

- Powieście je więc. Przecież nie można dopuścić, by uległo jakiemuś uszkodzeniu - oznajmiła z przekąsem.

Morse rzucił okiem na przydźwigane przez lokajów płótno.

- Czy pani ojciec zawsze zabiera w podróż obrazy?

- Tylko ten jeden. - Choć stłumiony przez wcześniejsze szloch, jej głos wyraźnie pobrzmiwał goryczą. - Zapłacił wielką sumę panu Lawrence'owi za portret mojej macochy. Musi wisieć w każdym domu, w jakim akurat przebywają.

Lokaje wnieśli dwie drabiny i chwilę później zdjęli pejzaż znad kominka, by zrobić miejsce na portret pani Hill.

- Pani macocha musi być bardzo piękną kobietą - rzucił machinalnie Morse, obmyślając tymczasem jakąś wygodną wymówkę, by jak najszybciej wynieść się z tego domu.

- Była wdową po wicehrabim. Jej portret to dla mego ojca swoiste trofeum.

Służący odwinęli z płótna portret pani Hill i zaczęli wznosić go na honorowe miejsce nad kominkiem.

Morse rozdziawił usta. Miał tylko nadzieję, że Frederica nie odwróci się nagle od okna. Musiał bowiem zrobić zaskoczoną minę. Nie sposób było nie rozpoznać wyniosłej piękności zerkającej na niego z portretu.

Bojąc się, że zaraz z jego ust padną wysoce niewłaściwe słowa, Morse rzucił się do wyjścia.

Siedząc na sofie pod oknem, w domu przy Laura Place, Leonora zerknęła na ulicę po raz dziesiąty w ciągu godziny. Przez cały dzień nad miastem wisały niskie, ciężkie chmury, grożące deszczem. Jeżeli nad Bath miała przejść nawałnica, niech stanie się to od razu! Nie miała nic przeciwko ulewie, nie znosiła tylko poczucia niepewności.

Od strony mostu Pulteney nadchodził właśnie Morse. O ile Leonora dobrze widziała, opierał się na lasce dużo ciężiej niż zazwyczaj. Szkoda, że kąpiel w towarzystwie Algiego nie poprawiła jego kondycji. Nagle z poczuciem winy Leonora zdała sobie sprawę, że wcale tak naprawdę nie czekała na deszcz - była to jedynie wymówka, by wyglądać powrotu Morse'a.

Im bardziej się zbliżał, tym trudniej Leonorze było oderwać od niego oczy. Na próżno wmawiała sobie, że przecież dokonała już wyboru. Jedyne, racjonalnego wyboru, jaki zapewniał bezpieczne życie. Tymczasem jej serce wciąż wyrывało się do Mone'a Archera. Bezsensownie. Niebezpiecznie

Ale co to?

Morse minął drzwi domu wynajętego przez sir Hugona, prze-maszerował przez Laura Place i skręcił w Great Pulteney. Dokąd mógł zmierzać?

Zanim zdążyła pomyśleć, że właściwie nie powinno jej to obchodzić, już zarzuciła na ramiona szal, chwyciła parasolkę i wybiegła na ulicę. Utrzymywała się w dyskretnej odległości od Morse'a, nie tracąc go jednak z oczu. On tymczasem wszedł do Ogrodów Sydney.

Ten zaprojektowany na planie ośmiokąta park - pełen trawników, zagajników i miejsc widokowych - był ulubionym miejscem Leonory w Bath. Niemal każdego dnia przychodziła tu na spacer w towarzystwie Elsie. Najbardziej lubiła to miejsce w dni takie jak ten. gdy niesprzyjająca aura zatrzymywała w do-

mu modne damy i dżentelmenów, paradujących po alejkach w najlepszych strojach.

I rzeczywiście, park był niemal całkowicie opustoszały. Na moment Leonora zapomniała nawet o Morsie, urzeczona urokiem Ogrodów Sydney w pełnym wiosennym rozkwicie. Wilgotne, ciepłe powietrze przenikała słodycz aromatów kwitnących drzew owocowych. Żywa, zróżnicowana w odcieniach zieleń byłaby wyzwaniem dla palety najbardziej utalentowanego artysty.

Wkrótce jednak dostrzegła Morse'a siedzącego na niskiej, kamiennej ławce przy jednej ze ścieżek. Spoglądał w dół wzgórza Bathwick na rzekę Avon. Leonora kilka razy zbliżała się do niego i odchodziła, zanim zwróciła na siebie jego uwagę.

- O, dzień dobry - uśmiechnął się, ale w roztargnieniu, jakby wszystkie jego myśli skupiały się na czymś, czy może... na kimś bardzo odległym od tego miejsca. Potem spojrzał ponad jej ramieniem. - Nie ma z tobą panny Taylor?

- Nie. - Bez sensu byłoby udawać, że natknęła się na niego w trakcie jednej ze swoich wycieczek do parku. Nawet tak niekonwencjonalna osoba jak ona nie pozwalała sobie na samotne przechadzki po Ogradach Sydney. - Zobaczyłam, jak przechodzisz mimo domu. Przestraszyłam się, że stało się coś złego. - Ponieważ Morse był zbyt zatopiony w myślach, by poprosić, by usiadła, Leonora zrobiła to z własnej inicjatywy. - No więc? Czy rzeczywiście stało się coś złego? Wyzwałeś kolejnego osobnika na pojedynek? Czy może panna Hill odprawiła cię na rzecz adoratora o bardziej prominentnym pochodzeniu?

Morse w odpowiedzi pokręcił jedynie powoli głową, co nadal niczego nie tłumaczyło.

Duża, zimna kropla deszczu spadła jej na nos. A za nią następne. Leonora rozłożyła parasolkę, po czym przysunęła się do Morse'a. by i jego ochronić przed ulewą.

- Powinniśmy wracać do domu. Od rana zanosiło się na deszcz. Tak szybko nie ustąpi.

Pustym wzrokiem spojrzął jej w oczy.

- Mówiłaś coś?

Ciekawość Leonory przerodziła się w przerażenie.

- A jednak stało się coś złego, prawda, Morse? Musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Może zdołam ci pomóc.

Morse ponownie skierował wzrok na dolinę - nad rzeką snuły się gęste opary. W zasadzie wcale nie poruszył ustami. Być może słowa popłynęły prosto z serca.

- To była ona. Na tym obrazie była moja Pamela!

Owe słowa ogłuszyły Leonorę niczym obuch, wprawiły w osłupienie. Spodziewała się, że po tym oświadczeniu Morse poderwie się z ławki i odejdzie.

On jednak pozostał.

I jakby wyczerpany swym wybuchem, pochylił się w przód, opierając łokcie na klanach. Leonora nagle zdała sobie sprawę z fizycznego z nim kontaktu - od ud aż po stopy ich nogi ścisłe do siebie przylegały. Ręka trzymająca parasolkę zaczęła drżeć.

- Minęło już tyle lat. - Głos Morse'a był dziwnie przytłumiony.

Leonora próbowała zwalczyć w sobie niesamowite uczucie, że to nie Morse do niej mówi, lecz ona czyta w jego myślach.

- Tak dużo czasu. Gdy jednak spojrziałem na jej portret, zdało mi się, jakby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj.

Słowo po słowie zaczął snuć swą opowieść - początkowo chaotycznie, instynkt jednak podpowiadał Leonorze, że nie powinna zadawać jakichkolwiek pytań. I rzeczywiście, po pewnym czasie cała historia stała się dla niej oczywista.

Dowiedziała się w szczegółach, co zaszło pomiędzy lady Pamelą Granville a młodym lokajem Archerem. Mówił o łączącej ich intymności, nie cenzurując opisów. W tym momencie Leo-

nora poczuła gorąco rozlewające się po całym ciele, rozchodzące od miejsca, gdzie jej noga stykała się z nogą Morse'a.

Z inną kobietą robił rzeczy, na wspomnienie których Leonora będzie wic się i jęczeć w swym pustym łóżku - pożądam go jak nigdy dotąd. Gdy opisywał - a raczej uwalniał się od wspomnienia ich ostatniej rozmowy, Leonora w ogóle nie zwracała uwagi na gorycz jego głosu: była jedynie opętana wizją Morse'a doprowadzającego do ekstazy wyniosłą kochankę.

Jego gniew słabł, w miarę jak wyrzucał z siebie słowa, aż w końcu Morse wydał z siebie jedynie powolne ni to westchnienie, ni to sarkastyczne parsknięcie.

- I pomyśleć, że po tych wszystkich latach ścieżki naszego życia znów się krzyżują, i to w takich okolicznościach. Lady Pamela dostałaby za swoje, gdybym rzeczywiście poślubił jej pasierbicę.

Leonora w tym momencie nie wytrzymała. Zerwała się z ławki, opuszczając parasolkę, która zawisała między nimi niczym tarcza czy może szczególna broń.

- Jakże zepsutym jesteś człowiekiem, Morsie Archerze! Rozprawiasz beznamiętnie o poślubieniu tej dziewczyny tylko po to, by odegrać się na jej macosze. Jak mogłam przypuszczać, że zrobisz z ciebie dżentelmena? Żałuję, że cię spotkałam!

Bez sensu było tłumaczyć, że w rzeczywistości wcale tak nie myślał. Być może w jakimś mrocznym zakamarku jego duszy czaiła się zawziętość i potrzeba zemsty. Niech go diabli porwą, jeśli z pokorą przyjmie owo faryzeuszowskie oburzenie Leonory Freemantle.

Wstał z ławki i wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość, choć noga bolała go jak jeszcze nigdy dotąd od czasu Bucaso. Zwrócił się do niej gniewnie:

- Ja również żałuję tego gorąco, bo już nie mogę znieść pani hipokryzji, madame. Wprost się od niej duszę. - Gdzieś w od-

dali odezwał się grom, a deszcz lunął ze zdwojoną siłą.. Morse uniósł głos, by przekrzyknąć nawałnicę. - Przestań udawać, że masz tak wzniosłe skrupuły, bo dobrze cię przejrzałem. Dla ciebie nie jestem zbyt dobry na męża, ale jednocześnie nie możesz znieść myśli, że mógłbym znaleźć szczęście z inną kobietą. Zachowujesz się jak pies ogrodnika, ot co!

Uniosła dłoń, by odsunąć z czoła mokry kosmyk, ale wciąż trzymała opuszczoną parasolkę.

- To najbardziej bzdurne...

- Jeszcze nie skończyłem! Nie jesteś lepsza od Pameli Granville. Ale ona przynajmniej nie udawała, że jej nie zależy na pozycji społecznej czy majątku. Nie opowiadała pięknie brzmiących historyjek o wykształceniu i równości. - Ruszył przed siebie, nie zważając na ulewę i skierował się ku Great Pulteney swym najbardziej zawadiackim krokiem.

Za każdym stąpieniem zraniona noga buntowała się coraz gwałtowniej i nic ulegało wątpliwości, że nieźle da mu się we znaki w nadchodzących dniach. Duma Morse'a nie pozwalała jednak, by zwolnił. Nie da Leonorze Freemantle tej satysfakcji - nie okaże słabości.

O, tak. Te dwie dobrze urodzone damulki - które wzbudziły jego szalone pożądanie, po czym zdeptały jego dumę - były kubek w kubek do siebie podobne. I obie dostałyby nieźle po nosie, gdyby rzeczywiście poślubił najbardziej pożądaną partię w Bath!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Leonora nawet się nie obejrzała za odchodzącym Morse'em. Stała jak ogłuszona, pozwalając, by oblewały ją strugi deszczu. Zbyt zraniona i oburzona, by działać - nawet nie zadała sobie trudu uniesienia parasolki nad głowę.

„Pies ogrodnika”. Jak śmiał oskarżyć ją o podobną małostkowość?

W tym momencie jej logiczny, sprawny umysł okazał się potężnym zdracą. Zmusił ją do zadania sobie pytania, czy rzeczywiście chciałaby widzieć go szczęśliwym z inną kobietą. Przecież nie była w stanie spokojnie znieść myśli o jego przeszłych związkach.

Ale gdy chodzi o resztę - Morse się mylił.

Stwierdził, że Leonora go odrzuciła, a to nieprawda! Faktem jest, że nie podobała jej się rola, jaką Frederica zaczynała pełnić w jego życiu, i że była zazdrosna o jego przeszłość w ramionach Pameli. Ale tylko dlatego, że tak bardzo pragnęła znaleźć się na ich miejscu.

Jej ból był zbyt wielki, by mógł go ukoić nawet najbardziej ulewny deszcz. Leonora przebiegła przez Ogrody Sydney i ruszyła wzdłuż Great Pulteney.

Morse praktycznie nie pamiętał, jakim cudem znalazł się w strugach deszczu na ulicy prowadzącej do Camden Place. W jego umyśle Leonora Freemantle i Pamela Granville złąły się

w jedną osobę. Wznieciły w nim żądzę i miłość, ale chciały tylko tej pierwszej, całkowicie pogardzając drugą.

Gdyby choć przez chwilę pomyślał logicznie, nigdy nie znalazłby się na progu domu Frederiki, przemoczony do suchej nitki, niezdolny do następnego kroku. Nie umiałby powiedzieć, co go tu przyniosło. O tej godzinie panna Hill wraz z Fitzwarrenami zapewne znajduje się na koncercie lub jakimś prywatnym przyjęciu.

Służba знаła go jednak dobrze z widzenia. Może więc okażą mu życzliwość i pozwolą się ogrzać na krześle przy piecu w kuchni, póki nie zbierze sił, by powrócić do domu na Laura Place.

Morse zastukał głośno.

Drzwi się uchyliły, po czym kamerdyner obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Handlarze wchodzą kuchennymi drzwia... O, mój Boże, to naprawdę pan, kapitanie Archibald? Proszę do środka, sir, zanim pan przemoknie do reszty.

- Na to już za późno - odparł z uśmiechem Morse, wchodząc do holu. O dziwo, gdy znalazł się w ciepłym i suchym wnętrzu, poczuł się jeszcze bardziej zmarznięty i mokry.

Już miał przeprosić kamerdynera za tak nagłe wtargnięcie pod nieobecność rodziny, gdy ze szczytu schodów rozległ się głos Frederiki:

- Hardy, a któż to przybywa o tak późnej porze, i to w tak ponurą pogodę?

Zanim kamerdyner otworzył usta, Morse pospieszył z odpowiedzią.

- Sądziłem, że wszyscy państwo jesteście poza domem. Czy mógłbym zostać tu parę minut i się ogrzać?

- Maurice? - Frederica zbiegła szybko ze schodów odziana jedynie w szlafrok. - Henrietta i Eustace poszli na przyjęcie, ale

ja nie miałam... Wielkie nieba! Musimy natychmiast przebrać cię w suche ubranie.

- Doprawdy, to nie będzie ko...

- Idź i przynieś szlafrok lorda Fitzwarrena - zwróciła się do kamerdynera. - Nic innego nie będzie dość dużego rozmiaru.

Morse usiłował protestować, ona jednak zsunęła mu surdut z ramion i zmusiła, by usiadł, po czym ściągnęła mu buty. Zanim zdążył z powrotem poderwać się na nogi, zdjęła mu także z głowy kapelusz.

A chwilę później, zdając sobie zapewne sprawę, że pozabawianie go dalszych sztuk odzieży, byłoby bardzo niestosowne, oblała się ciemnym rumieńcem.

- Może jednak powinieneś przebrać się w gotowalni Eustace'a. Ja tymczasem sprawdzę, czy kucharka nie ma przypadkiem pod ręką nieco grzanego wina. Często przygotowuje je na takie deszczowe wieczory.

- Proszę, nie rób sobie kłopotu.

Na nic jednak zdały się jego protesty.

- Gdy już włożysz na siebie suche ubranie, zejdź proszę do salonu. Tam jest większy ogień na kominku niż w bawialni.

Morse ucieszył się, słysząc te słowa. Wolałby wybiec na deszcz - bez surduta, bez kapelusza i boso, niż siedzieć w pokoju, w którym wisiał portret lady Pameli.

Kiedy kwadrans później przykuśtykał do salonu, poczuł od na korzenny zapach grzanego wina i nieco dymny aromat rozżarzonych węgli. Poruszył ramionami, by swobodniej poczuć się w cudzym szlafroku: był piękny i ciepły - na chudym Fitzwarrenie musiał wisieć jak na wieszaku. Morse'a opinał natomiast niczym luksusowa kamizelka ratunkowa.

- Usiądź, proszę, przy ogniu, by się ogrzać. - Frederica przysiadła na stołku ustawionym obok potężnego fotela, który przysunęła w pobliże kominka.

Rozsiadając się z poczuciem wdzięczności w wyściełanym fotelu, Morse na moment zamknął oczy, by odpocząć i żeby uniknąć pytającego wzroku Frederiki. Nie mógł jednak udawać, że nie słyszy jej głosu.

- Cóż robiłeś na dworze w tak okropną pogodę?

- Spacerowałem.

- Wyszedłeś tak niespodziewanie... - W jej słowach kryło się pytanie.

- Przypomniałem sobie, że mam coś bardzo pilnego do załatwienia.

- Zastanawiałam się czy przypadkiem nie wystraszyłam cię rozmową o adoratorach i związkach.

Morse aż się skulił. W tym momencie czuł się jak złoczyńca na ławie oskarżonych.

Co powinien na to odpowiedzieć? Gdy powie „tak”, wyjdzie na tchórza i nikczemnika, kiedy „nie” - może wywołać wrazenie, że chciałby kontynuować temat.

- Ważna sprawa - odparł - i do tego bardzo pilna.

- Najważniejsze, że wróciłeś. - Najwyraźniej za wszelką cenę szukała czegoś, co dałoby jej pewność co do jego uczuć.

Kiedy Morse wciąż milczał, niespodziewanie zmieniła temat.

- Słyszałeś, że wkrótce pułkownik Maxwell zjeżdża do Bath'.

- Nie. A co go tu sprowadza?

- Prawdopodobnie to samo, co sprowadziło ciebie. Chce podreperować zdrowie.

Pułkownik sir Geoffery Maxwell, ciężko ranny podczas kampanii Wellingtona, cieszył się niemal tak wielką estymą jak generał, pod którym służył. Jego przybycie zelektryzuje całe towarzystwo. Morse wiedział natomiast, że będzie musiał trzymać się z daleka od swego bożyszcza i uprzedniego dowódcy, ponieważ pułkownik Maxwell bez trudu by go zidentyfikował.

- Miejmy nadzieję, że pułkownik wykaże więcej rozsądku

ode mnie i nie będzie wybierał się na spacer w ulewnym deszczu. - Morse roześmiał się wymuszenie ze swego marnego dowcipu. Napięcie zaczęło go powoli opuszczać. Grzane wino musiało być o wiele mocniejsze, niż przypuszczał.

- W Guildhall odbędzie się wielki bal na cześć pułkownika Maxwella - oznajmiła Frederica. - Na tę okazję na pewno zjedzie już do miasta mój ojciec wraz z macochą. To poprawi ojcu humor - jest wielbicielem pułkownika.

Potem jeszcze przez chwilę rozprawiała o balu. Co na siebie włoży. Jaka będzie muzyka. Jakie podadzą napoje. Jak obecność Morse'a otworzy przed nią i jej rodziną wszystkie drzwi. Jej paplanina go bawiła, a także, niczym gorące źródła Bath, koila i odprężała.

Być może właśnie taka kobieta była dla niego odpowiednia.

Ta myśl zakiełkowała w jego umyśle niczym zaszczepiona przez jakieś zewnętrzne siły. Padła jednak na podatny grunt - za sprawą burzliwych wydarzeń tego dnia i wina, które wypił zbyt szybko. Być może tego właśnie potrzebował od kobiety. Nie walki i zaangażowania, ale spokoju i ukojenia.

Frederica odzywała się coraz rzadziej, on bowiem nie podtrzymywał konwersacji. Nie zganiła go jednak za to, nie wypytywała też o sekretne myśli. Pochylała się coraz bardziej, aż w końcu jej głowa spoczęła na jego kolanach.

Odruchowo wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. Nie wzbudzała w nim ani krztyny pożądania, ale może tak właśnie było lepiej. W przeszłości już się sparzył na namiętności, więc letnie uczucia wydały mu się teraz całkiem atrakcyjne.

- Twój ojciec spodziewa się, że w tym sezonie znajdziesz odpowiedniego męża? - Jego głos nabrał teraz niskiego, czułego tonu.

Frederica ani drgnęła. Wciąż trzymając głowę na jego kolanach, zapatrzyła się w ogień.

- Co prawda, nie powiedział tego wprost, ale wiem, że takie właśnie są jego oczekiwania.

- A czy ja byłbym odpowiedni?

- Odpowiedni? - wyszeptała bardzo cicho.

- Jako jego zięć, to miałem na myśli - ciągnął Morse. - Choć właściwie powinienem zapytać, czy ty byś mnie zechciała na męża?

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy prosi mnie pan o rękę, kapitanie?

- Mam takie wrażenie. Czy spotka mnie rozczarowanie?

- Tak! - Rzuciła się na niego, obejmując go za szyję. Morse zastanawiał się, czy jej ekscytacja wynika z miłości, czy raczej uczucia ulgi. - To znaczy - nie! Nie, nie spotka cię rozczarowanie. Tak, zostanę twoją żoną.

Morse czuł się w tym momencie tak samo jak po wyjściu z leczniczej kąpieli gorących wód Bath - bezwładny i ociężały. Czy przypadkiem w tej chwili nie przypieczętował swojego pełnego błędów życia najpoważniejszym z nich? Gdyby jednak teraz spróbował się wycofać, Leonora z pewnością przegrałaby zakład z wujem.

Sir Hugo nie wyglądał dobrze. Fałdy na jego pomarszczonej twarzy obwisały bardziej niż zwykle. Wyglądał, jakby ktoś zdzielił go po głowie ciężkim narzędziem. Trzymał przed sobą otwartą gazetę, ale nie wodził oczami po tekście. Wbił wzrok w jeden punkt, gdzieś powyżej brzegu gazety, i wpatrywał się w niego pełnym zamyślenia wzrokiem.

- Co się dzieje, wuju Hugonie? - Leonora uklękła przy jego fotelu. - Czy nie powinnam wezwać lekarza?

Energicznie pokręcił głową i nagle zaczął wracać mu wigor.

- Żadnych łapiduchów. Po tych mineralnych wodach, których tu zażywam co dnia, czuję się jak nowo narodzony.

Leonora odetchnęła z ulgą. Sir Hugo natomiast zwinął gazetę, po czym oznajmił oskarżycielskim tonem.

- Przypuszczam, że dobrze się do tego przyczyniłaś.
- Do czego? Przysięgam, że byłam grzeczna.
- Chcesz powiedzieć, że nie masz nic wspólnego z tymi nonsensownymi zaręczynami Morse'a?
- Zaręczynami? Z panną Hill?

- A z kimże innym? Przyszedł do mnie dzisiejszego ranka i z całym tupetem poprosił, bym pożyczył mu pieniądze na poczet wygranej zakładu - bezczelny szczeniak! Oznajmił, że musi kupić pierścionek dla swej wybranki. No cóż, jak się wżeni w bogatą rodzinę, nic będzie już musiał zaczynać życia w koloniach.

Leonora podniosła się i odeszła na kilka kroków od sir Huga, by nie dojrzał na jej twarzy oznak smutku.

- I dałeś mu pieniądze?
- A co innego miałem zrobić? Przecież można uznać, że wygrałaś zakład praktycznie od chwili, gdy Morse wyzwał na pojedynek tego młokosa Nettlecombe'a. Na Jowisza, miałem wrażenie, że nie traktuje poważnie tej pannicy. Dlatego nabrałem przeświadczenia, że to ty go do tego namówiłaś.

- Ależ skąd.

W żadnym razie. Była zbyt zajęta odgrywaniem psa ogrodnika.

- Cóż, nie zamierzam udawać, że mi się to podoba. - Sir Hugo podniósł się z krzesła i pogroził jej gazetą.

Czy wuj naprawdę był przekonany, że Leonora pchnęła Morse'a do tego kroku? Choć może rzeczywiście to uczyniła...

Sir Hugo ruszył w stronę drzwi, mruczając pod nosem:

- Czymże ona może się poszczycić, poza majątkiem? Na Boga, w moich czasach ludzie nie żenili się tylko po to, by poprawić sobie...

Jego burczenie było już zbyt ciche, by Leonora usłyszała resztę wywodu. Z bezwładnością jesiennego liścia w bezwietrzny dzień osunęła się na fotel świeżo opuszczony przez wuja.

Zatem Morse jednak się na to zdecydował. Poprosił o rękę inną kobietę, i to ona, Leonora, go do tego sprowokowała. Wyłała na niego swą gorycz, rzucając oskarżenia, do których nie miała prawa. Tym bardziej że jej własne motywy były dalekie od szlachetnych.

Zdenerwowana zerwała się z fotela i podeszła do okna. Na zewnątrz świeciło majowe słońce, ogrzewając swym ciepłem miodowe w kolorze domy przy Laura Place. Tuż obok przetoczył się powóz, a grzywy ciągnącej go pary kasztanków powiewały radośnie w wiosennych podmuchach. Nawet mały sprzedawca w podskokach popychał taczkę, śpiewnie i pogodnie zachwalając swe towary. Całe Bath sprzysięgło się, by wykić zły nastrój Leonory.

Za jej plecami otworzyły się drzwi i rozległ głos Morse a

- Sir Hugonie, jeśli zechciałby pan rzucić okiem...

Robiąc wszystko, co w jej mocy. by oblec twarz w maskę spokoju, Leonora powoli się ku niemu zwróciła.

- Och, Leonora. Przepraszam, że tak wtargnąłem. - Schował do kieszeni małe puzderko i zaczął wycofywać się z pokoju.
- Powiedziano mi, że zastanę tu twojego wuja.

- Siedział w tym fotelu z gazetą jeszcze kilka minut temu.
- Uznała, że lepiej było przemilczeć, iż sir Hugo opuścił pokój, złorzeczając na głupotę decyzji Morse'a. - Proszę, zostań.

Morse się cofnął, zamykając za sobą drzwi. Na jego wyrazistej twarzy pojawiały się na zmianę wojowniczość i smutek. Zapewne spodziewał się, że Leonora wybuchnie gniewem.

- A więc już słyszałaś? - zapytał.

Jej opanowanie nic mogło być szczere.

- Wuj mi powiedział. - Przywołała na usta uśmiech, w du-

chu szczerze *życząc* mu wszystkiego najlepszego. - Moje gratulacje. Mam nadzieję, że będziecie z panną Hill bardzo szczęśliwi.

Morse najwyraźniej doszukiwał się w jej słowach kpiny.

- Nie chodzi o pieniądze - oznajmił.

Jakże Leonora chciałaby w to wierzyć! Czy to możliwe, że Morse tak dalece nic zdawał sobie sprawy z własnych motywów?

- Ani o zemstę - dodał pełnym goryczy głosem.

- Oczywiście. Nigdy nie powinnam była tego powiedzieć.

W tym momencie uderzyła ją pewna myśl. Nawet jeżeli Morse żenił się dla pieniędzy, to czy będzie miało to jakiegokolwiek znaczenie, jeśli pozostanie wiemy swej żonie, okaże jej szacunek i przywiązanie?

- Nie tylko ty wypowiedziałaś niestosowne słowa - przyznał z nieśmiałym uśmiechem na twarzy.

To miało być czymś na kształt przeprosin, pomyślała. Podobnie jak i ona zapewne wierzył w swoje oskarżenia.

- Wuj powiedział mi, że w ramach zaliczki oferował ci pieniądze na pierścionek.

Morse skinął głową.

- Tym samym niejako przyznał, że przegrał zakład. Musisz być szczęśliwa.

- Oczywiście.

Czemu więc nie była?

- Chciałabyś go zobaczyć? - Wyciągnął z kieszeni puzderko.

Leonora skinęła głową, czując się jak złoczyńca mający właśnie wysłuchać wyroku. Surowego, acz sprawiedliwego.

Spojrzała na leżący na aksamicie pierścionek. Przynajmniej nie będzie zazdrościć pannie Hill tego krzykliwego klejnotu na palcu.

Morse jakby czytał w jej myślach.

- Niezbyt skromny okaz jubilerskiej sztuki, prawda?
- Jest bardzo... - szukała słowa zbliżonego do prawdy, jednak nie obraźliwego - ...wielki.

- Taki wymarzyła sobie Frederica. Pokazała mi go pewnego dnia na wystawie jubilera przy Milsome Street.

Leonora odsunęła się o parę kroków.

- W takim razie wszystko w porządku.
- Cóż, pójdę poszukać sir Hugona, by mu pokazać pierścionek.

- Myślę, że w tej chwili nie byłoby to roztropne.

- Doprawdy?

- Twoje zaręczyny bardzo go przygnębiły. - Wzruszyła ramionami. - Nie rozumiem dlaczego. Może z powodu własnej przegranej.

Morse z chmurną miną schował pierścionek do kieszeni, ale już po chwili się rozpromienił.

- Poszukam więc Algiego.

Leonora skinęła głową.

- Na pewno bardzo się ucieszy.

Morse pomachał jej dłonią, po czym zniknął za drzwiami. Jednak nim zdążyła z powrotem usiąść w fotelu, ponownie pojawił się w pokoju.

- Chyba będę potrzebował twojej pomocy.

W odpowiedzi uniosła jedynie brew, bo bała się, że zdradzi ją własny głos.

- Muszę jeszcze poprosić pana Hilla o rękę Frederiki, a wolałbym nie napatoczyć się na jego żonę, póki nie zostaną załatwione wszystkie formalności.

- Jeżeli zamierzasz poślubić jej pasierbicę, wcześniej czy później będziesz musiał się z nią spotkać, Morse.

- Wiem. Chciałbym jednak trzymać się od niej z daleka

przynajmniej do czasu, aż pobierzemy się z Fredericą, a ty oficjalnie wygrasz z wujem.

- O mój Boże, że też wcześniej o tym nie pomyślałam. - Gdyby Pamela Hill rozpoznała Morse'a i ogłosiła wszem i wobec, kim jest naprawdę, wówczas na pewno przegrałaby zakład. - Jak mogłabym ci pomóc, Morse? Oboje pracowaliśmy zbyt ciężko, by na koniec nasz plan miał lec w gruzach.

Rozpromienił się w prawdziwie przyjacielskim uśmiechu.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Leonoro. Jeżeli oboje się postaramy, na pewno zdołamy uratować sytuację.

Widać było, że ma do niej pełne zaufanie. Gdyby tylko...

Leonora chciała pozbyć się natrętnej myśli - jednak na próżno.

Gdyby tylko i ona mogła mu zaufać tak bardzo, jak on bez wątpienia jej ufał.

- Trzymam kciuki za powodzenie twojej misji, przyjaciółko. Będę wyczekiwał na sygnał.

Cudownie było znowu działać wspólnie. Chociaż Morse nie mógłby znaleźć wielu przeciwników równie godnych siebie jak Leonora. zdecydowanie wolał, gdy byli sojusznikami. Wciąż jednak nie mógł zdusić w sobie pragnienia, by stali się najbliższymi sojusznikami z możliwych. Na zawsze, aż do śmierci.

Leonora obrzuciła niepewnym spojrzeniem siedzibę Hillów - trzecia od końca w rzędzie najelegantszych domów Bath.

- A jeśli coś pójdzie nic po naszej myśli? Przypuśćmy, że nie uda mi się zatrzymać kobiet w bawialni, albo pan Hill zdecyduje się przyłączyć do kompanii?

- Weź głęboki oddech. - Wyciągnął rękę, by poklepać ją po ramieniu, w ostatniej chwili jednak się zreфлектоваł. - Przemieniłaś nieokrzesanego żołnierza w niezgorszego dżentelmena. Jesteś zdolna pokonać wszelkie przeszkody, jakie pojawiają się na

twoj drodze, Leonoro Freemantle. Nigdy o tym nie zapominaj. Gdy tylko dasz mi znak z okna bawialni, wśliznę się do domu i porozmawiam z panem Hillem.

- Dobrze więc. - Zaczerpnęła powietrza, po czym wypuściła je powoli i dość niepewnie. - Gdy już będzie po wszystkim, spotkamy się w tym samym miejscu.

- Będę czekał.

Czemuż nie dał jej więcej czasu! Powinien był zrobić wszystko, by ją zdobyć. Morse to zrozumiał w pełni, gdy patrzył, jak Leonora podchodzi do drzwi domu Hillów. Z czasem może zdołałby ją do siebie przekonać. Tymczasem dopuścił, by jego rozdmuchana dumą i zbytnia porywczosć zapanowały nad rozumem. Teraz może tylko jeszcze ratować to, co możliwe w tej paskudnej sytuacji - szkołę Leonory i jej osobista, niezależność.

Wbił wzrok w okno bawialni, z każdą chwilą bardziej niepokojny. Wszystkie możliwości porażki wymienione przez Leonorę przemówiły ze zdwojoną siłą.

Po jakimś czasie dojrzał Leonorę w oknie - udającą, że podziwia piękny i niezmiernie kosztowny widok rozciągający się z okien Canulen Place - miejsca, na które mogli sobie pozwolić jedynie najbogatsi. Zatem przeszła pierwszy etap swej misji. Teraz nadeszła jego kolej.

Zapukał cicho i zaraz też kamerdyner otworzył drzwi.

- Przyszedł pan odwiedzić pannę Fredericę, sir?

- Nie - błyskawicznie zaprzeczył Morse. - Proszę jej pod żadnym pozorem nie przeszkadzać, dobrze, Hardy? To z panem Hillem chciałbym się dziś zobaczyć.

Wysunął z kieszeni puzderko z pierścionkiem na pewną odległość, by wyraźnie dać do zrozumienia, jaki jest cel tej wizyty.

Krzaczaste brwi kamerdynera uniosły się w wyrazie zdumienia.

- Pan Hill przyjmie pana z największą przyjemnością, sir.

Nie mam co do tego wątpliwości. - Jego głos zniżył się do konfidencjonalnego szeptu. - Czy jest pan całkiem pewien swej decyzji, sir?

Chociaż włosy zjeżyły mu się na karku, bo instykt strzelca od razu dał mu do zrozumienia, że pakuje się w kłopoty, zbył zawołowane ostrzeżenie kamerdynera śmiechem.

- Daj spokój, Hardy. Powinieneś mi raczej powiedzieć, że jestem szczęściarzem, jeśli udało mi się zdobyć rękę tak poważanej panny.

- Tak jest, sir. Oczywiście. - Twarz niskiego mężczyzny pobieliała. Proszę mi wybaczyć, że odezwałem się nieproszony.

- W żadnym razie nie poczułem się urażony, Hardy. Wiem, jak zatwardziali kawalerowie źle znoszą widok jednego z nich rejterujących z szeregu. Ja sam nieraz doradzałem ostrożność takiemu nieszczęśnikowi.

- W rzeczy samej, sir. - Hardy zdobył się na niepewny uśmiech. - Gdy mężczyzna wchodzi w bogatą rodzinę, ma na głowie więcej niż tylko własną damę. Zawsze wydawał mi się pan bardzo sympatycznym człowiekiem, sir, więc...

W tym momencie z trzaskiem otworzyły się drzwi biblioteki i do holu wkroczył pan Herbert Hill. Choć nawet nie średniego wzrostu, wypinał pierś, jakby w geście dumy bądź wyzwania. Miał na sobie surdut od najdroższego krawca, ale krzykliwe wzory na kamizelce zdradzały, że ma zdecydowanie więcej złota niż dobrego smaku. Jego twarz o ostrych rysach świadczyła o tym, że wiele czasu w życiu spędził na świeżym powietrzu.

Ruszył w stronę Morse'a z wyciągniętą ręką.

- Pan jest zapewne tym sławnym kapitanem Archibaldem, o którym już tak wiele słyszałem.

Z uśmiechem i lekkim wzruszeniem ramion Morse potrząsnął wyciągniętą dłońią.

- W rzeczy samej.

Pan Hill tymczasem posłał kamerdynerowi pełne gniewu spojrzenie.

- Czemu tak długo zajęło ci wprowadzenie kapitana Archibalda? Pewnie znowu mieliłeś ozorem. Kapitan to ważna persona. Nie ma czasu na wysłuchiwanie nic nieznaczących uwag o pogodzie z ust służącego, który zbyt brata się z gośćmi, co może się dla niego diablo źle skończyć!

Kamerdyner wysłuchał ostrej reprimendy ze spuszczoną głową.

- Tak jest, panie Hill. Oczywiście, sir. - Gdyby jego chlebobdawca wylał mu na głowę wiadro pomyj, biedny Hardy nie czułby się bardziej upokorzony.

- Niechże pan nie beszta swojego służącego za moją ochotę do pogawędki, panie Hill - wtrącił Morse jowialnie. - Rzecz w tym, że nie mogłem się powstrzymać, by nie pochwalić się celem mej wizyty. - Poklepał wymownie wybrzuszenie w swej kieszeni. - Czy mógłbym zamienić z panem słowo na osobności, sir?

Oburzenie pana Hilla na kamerdynera nagle gdzieś się ulotniło.

- Ależ naturalnie, kapitanie Archibald. Proszę tędy, sir. - Wprowadził Morse'a do biblioteki. - Myślę, że mnie pan źle nie zrozumie, jeśli powiem, że czekałem na tę rozmowę, kapitanie Archibald. Od chwili gdy zjechałem tu z Sheffield wraz z małżonką, nasza Frederica wciąż wychwala pana pod niebiosą.

A może pan Hill nie udzieli zgody na ślub? Ten promyk nadziei zelektryzował Morse'a. Nie mógł teraz porzucić Frederiki. nie wzbudzając towarzyskiego skandalu. Gdyby jednak pan Hill SIĘ sprzeciwił, nie naraziłoby to na szwank zakładu Leonory.

- Pańska córka jest bardzo uprzejma i zapewne nie dość

obiektywna - odparł Morse, siadając na krześle. - Zrozumiem więc całkowicie, jeśli nie zaakceptuje pan naszego związku.

Pan Hill uniósł w górę karafkę z brandy. Gdy Morse odmownie pokręcił głową, sam nalał sobie niewielką szklaneczkę.

- Czemu pan sądzi, że mógłbym mieć zastrzeżenia do pańskiej osoby, jeśli wybrało pana serce mojej córki.'

Morse zastanawiał się, jak sformułować swoje argumenty. Wbrew temu, co sądzili o nim inni, nie lubił kłamać prosto w oczy.

- Cóż, sir, choć najchętniej zapewniłbym wszelkie wygody pańskiej córce, jestem jedynie ułomnym żołnierzem pozbawionym świetlanych widoków na przyszłość.

- Nie zwracaj sobie głowy pieniędzmi, synu. - Pan Hill opadł na krzesło naprzeciwko Morse'a. - W przyszłości Frederica dostanie więcej niż potrzeba, byście oboje żyli na właściwej stopie. Jeśli dopełnisz swych obowiązków i dasz mi stadko krzepkich wnuków, niewykluczone, że większość fortuny zapiszę na ciebie osobiście. Każdy głupiec może dojść do pieniędzy. A ja chcę, by moje potomstwo zasiadało w Izbie Lordów i dowodziło Gwardią Jego Królewskiej Mości.

Czyżby dochrapanie się fortuny z niczego nie dało jeszcze panu Hillowi poczucia, że jest równy wszystkim parom Anglii? Najwyraźniej go to nie usatysfakcjonowało w pełni.

- Choć jestem dumny z mej rodziny - Morse starannie dobierał słowa - nie jesteśmy równie wysoko urodzeni jak pański zięć.

- Chodzi o bezużytecznego Eustace'a? - Pan Hill skrzywił się pogardliwie. - Na co komu tytuł, jeśli nie ma syna, któremu mógłby go przekazać? Poza tym, jest pan zbyt skromny. W moim mniemaniu skromność to szczególna ułomność dżentelmenów, nie chcę więcej o tym słyszeć. Jeśli o mnie chodzi, uważam pana i moją córkę za zaręczonych. - Ponownie wylew-

nym gestem wyciągnął swą mięsistą dłoń. - Witaj w rodzinie, mój synu. A teraz poszukajmy pań i wnieśmy toast za wasze szczęście.

Morse zerwał się na równe nogi.

- W tej chwili to... niemożliwe, sir. Mam do załatwienia pilne sprawy, nie chciałem jednak odkładać rozmowy z panem. Uczynił mnie pan... bardzo szczęśliwym człowiekiem. Zapewniam, że zrobię wszystko, by Fredericę też uczynić szczęśliwą.

Czując się jak okulawiona szkapę, którą pomyłkowo wzięto za ogiera Morse umknął z domu przy Camden Place i zatrzymał w umówionym miejscu, czekając na Leonorę. Jego wszystkie nadzieje zostały starte w proch butem stanowczego ojca Frederiki.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jeżeli Morse wkrótce nie wyjdzie. Leonora zapewne wydepcze ścieżkę w dywanie Hillów. prowadzącą od jej krzesła do okna. Dopiero gdy nabierze pewności, że opuścił ten dom. będzie mogła się pożegnać z panną Hill, jej siostrą i macochą.

Leonora gorączkowo poszukiwała wymówki, by po raz kolejny wyjrzeć przez okno. Nie mogła już dłużej unosić się nad widokiem. Robiła to dostatecznie często, żeby wszystkim uświadomić, jak roztropnie postąpił pan Hill, wynajmując tak kosztowną siedzibę. Nie mogła też ponownie sprawdzać stanu pogody. Klimat Bath bywał kapryśny, tego dnia jednak na niebie nie było ani jednej chmurki.

Co też tak długo zatrzymuje Morse'a?

- Jeszcze trochę herbaty, panno Freemantle? - spytała Frederica. Nie umiała już ukryć zniecierpliwienia wizytą Leonory i jej słowa zabrzmiały dość szorstko.

Leonora udała jednak, że tego nie dostrzega.

- Może odrobinę, jeśli pani tak miła. Cóż za przepiękny portret! - Poderwała się z krzesła i podeszła do kominka, by przyjrzeć się malowidłu. Droga tam i z powrotem pozwoli jej dwukrotnie przejść obok okna. - Pędzła pana Lawrencce'a, czyż nie?

Pani Hill nie zadała sobie trudu, by stłumić ziewnięcie.

- Mąż zamówił ten obraz na krótko przed naszym ślubem. Zabiera go w każdą podróż, mógłby więc z powodzeniem obywać się beze mnie. Prawdę mówiąc, nienawidzę tego portretu.

Zapewne nie było przyjemnie mieć wciąż przed oczami dowód na to, że młodość i uroda przemijają, pomyślała Leonora. Nawet najbardziej zagorzali admiratorzy lady Pameli nazwaliby ją teraz raczej interesującą czy przystojną, ale nie piękną. I właściwie nie był temu winien upływający czas. lecz raczej nieustający wyraz wyniosłego niezadowolenia na jej twarzy oraz desperacka batalia, by zatuszować wiek nadmierną ilością barwiczki i pudru.

Choć widok młodej lady Pameli obudził w niej na nowo z wysiłkiem stłumioną zazdrość, Leonora poczuła jednocześnie pewne współczucie dla tej kobiety za jej nieszczęśliwy wybór. Była głupia, odrzucając Morse'a na rzecz małżeństwa z rozsądku. I teraz najwyraźniej gorzko płaciła za własną głupotę.

Wyobraź sobie siebie w jej wieku, mówił wewnętrzny głos. Czy będziesz równie rozczarowana własnym życiem?

- Może więc powinnaś pozostać w Sheffield, matko? - Pełen irytacji głos lady Fitzwarrren wyrwał Leonorę z nieprzyjemnych myśli.

- Przyznaję, że zdecydowanie wolałabym pojechać do Londynu, Brighton czy równie eleganckiego miejsca - odparła ostro pani Hill. - Bath nic już nie jest jak kiedyś. Z sezonu na sezon staje się coraz bardziej nędzne i prowincjonalne.

- Niewątpliwie ty i to miasto macie wiele wspólnego - wypaliła panna Hill.

Leonora nie miała wątpliwości, że to jedynie drobna utarczka w długoletniej wojnie domowej. Jeżeli te kobiety prawily sobie podobne uprzejmości przy ludziach, aż strach pomyśleć, jak bezwzględne bitwy rozgrywały się w domowym zaciszu, przy obiadowym stole. W tym momencie nie zazdrościła Morse'owi. że wkrótce osobiście się o tym przekona.

- Czy równie wiele jak ty ze swoim najdroższym kapitanem Archibaldem? - Bez wątpienia pani Hill umiała stawić czoło

pasierbicom. - Nasza Frederica pokłada wielkie nadzieje w pani przyjacielu, kapitanie. Czy wiedziała pani o tym, panno Freemantle? Nie wątpię, że i on z oczywistych względów żywi nadzieje związane z jej osobą.

- Mój Boże, jakże już późno! - Leonora spostrzegła kątem oka, że Morse właśnie wyszedł i kieruje się na umówione miejsce nareszcie więc mogła uciec z tego domu. - Muszę jeszcze złożyć parę wizyt. Proszę wybaczyć, że tak nadużyłam gościnności pań.

Zanim zdążyła wyjść do holu, drzwi otwały się z impetem i do bawialni wkroczył pan Hill.

- Niech wino poleje się strumieniami. Mam dobrą nowinę, którą koniecznie musimy uczcić!

W tym momencie spostrzegł Leonorę.

- Proszę wybaczyć, madame. Nie wiedziałem, że moje panie mają gości.

- W żadnym razie proszę nie odwlekać niczego z mojego powodu. Już właśnie wychodziłam. - Leonora wreszcie zdołała się wymknąć mimo nalegań pana Hilla. by została.

Szybko przebiegła ulicę i wśliznęła się za żywopłot, gdzie już czekał na nią Morse.

- Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa, że wreszcie mogę opuścić czyjś dom.

Zadowolona z sukcesu ich planu pochwyciła Morse'a w spontaniczny, triumfalny uścisk. Jednak gdy chciała się od niego oderwać, on jej na to nie pozwolił.

- Morse - jej protest zabrzmiał bardziej jak błagalna prośba.

Nie miała jednak okazji skorygować swego tonu, bo Morse znalazł dla jej ust rozkoszne zajęcie. Zapewne jednak rozum natychmiast weźmie górę nad emocjami i każe jej wyzwolić się z ramion Morse'a.

Nic podobnego jednak się nie zdarzyło.

Zaczęli się całować. Pocałunek był słodki, choć zabarwiony żalem. W przeszłości całowali się już na tyle często, że teraz Leonora jakby powracała z dalekiej wyprawy do bezpiecznego portu. Jego ramiona były wprost stworzone do trzymania jej w objęciach. Ich usta poruszały się w zgodnym rytmie - niczym doskonale wyćwiczonym, ulubionym tańcu.

- Przepraszam, Leonoro. - Morse gwałtownie się odsunął. - To nie w porządku wobec ciebie i wobec Frederiki. Mam wyjątkowy dar robienia rzeczy, których nie należy robić.

Nie śmiała spojrzeć mu w oczy, by nie dostrzegł w nich wyrazu najszczerzego żalu. W zamian przygładziła włosy i poprawiła na nosie binokle.

- Musimy wracać do domu - powiedziała szybko. - O ile się nie mylę, dziś na obiedzie mamy gościć ciotkę Algiego.

W drodze powrotnej żadne z nich nie wypowiedziało słowa, a gdy spotykały się ich ukradkowe spojrzenia, oboje nerwowo odwracali wzrok.

Czemu Morse ją pocałował? Nad tym Leonora łamała sobie głowę przez całą drogę do Laura Place, a także gdy przebiegała się do obiadu. Nie mogło mieć to nic wspólnego z jej skromnym majątkiem, ponieważ teraz Morse'owi obiecano rękę prawdziwej fortuny. Gdyby ktoś przyłapał ich tak objętych, Morse mógłby stracić narzeczoną, a nawet przegrać ich zakład.

Dlaczego więc to zrobił?

Nie dla jej urody. To jedno było pewne. Choć Leonora sama zauważyła, jak korzystne zmiany zaszły w jej wyglądzie w ciągu ostatnich kilku miesięcy, to jednak Frederica Hill była o wiele bliższa współczesnemu ideałowi kobiecej piękności.

Zaręczony z bogatą i ładną panną Hill, Morse Archer nie miał żadnego powodu, by tulić i całować inną kobietę. Chyba że żywił wobec niej prawdziwe i szczerze uczucia.

Ta myśl nie dawała Leonorze spokoju, nawet gdy już zasiedli

do obiadu z ciotką Algiego - kłótniawą, owdowiałą arystokratką mającą wielką fortunę, o bystrym umyśle mogącym stanowić zagrożenie dla pomyślności ich zakładu. Gdy lady Jerrod zaczęła przepytywać Morse'a na okoliczność jego pochodzenia, Leonora przeżywała ciężkie chwile. Na szczęście Morse zdołał zażegnać niebezpieczeństwo, odwołując się do swego uroku osobistego. Wkrótce starsza pani wdzięczyła się do niego niczym młoda, niedoświadczona debiutantka.

Czyżbym doprawdy była aż tak głupia? - zastanawiała się Leonora. Jak mogła budować zamki na lodzie tylko dlatego, że Morse ją pocałował? Dla niego zapewne nie znaczyło to więcej niż owe płytkie komplementy, które bezustannie pawił ciotce Algiego. Jeżeli Morse'owi naprawdę na niej zależało, czemu odrzucił jej ofertę pozamałżeńskiego związku? I to z takim oburzeniem?

Oczywista odpowiedź uderzyła w nią niczym grom z jasnego nieba. Łyzeczka do sorbetu wysliznęła się z jej palców i z brzękiem spadła na talerzyk. Wszyscy zwrócili na Leonorę wzrok.

- Coś się stało? - spytał Algie.

- W żadnym razie. Proszę wybaczyć moją niezdarność.

- Pani chyba jednak nie domaga, panno Freemantle. - Lady Jerrod posłała jej pełne dezaprobaty spojrzenie znad swego patrycjuszowskiego nosa. - Jest pani wyjątkowo milcząca dzisiejszego wieczoru.

- Ależ milady - wtrącił Morse słodkim głosem - proszę być sprawiedliwą. Przyznaję, że to ja nieopatrznie zmonopolizowałem naszą rozmowę, ale i pani musi wziąć na siebie część odpowiedzialności. Gdyby nie snuła pani równie fascynujących opowieści, nie czułbym takiej wielkiej pokusy zasypywania pani pytaniami, nie pozwalając przy tym nikomu innemu włączyć się do rozmowy. Czy może pani winić pannę Freemantle tylko za to, że tak gorliwie spijała z pani ust każde słowo, że aż w zapa-

miętaniu upuściła łyżeczkę? Proszę teraz wyświadczyć mi ten zaszczyt i dokończyć swą opowieść. Skąd ma więc pani pewność, że pan Sheridan wzorował postać lady Teasel właśnie na pani?

Wprawiona znów w doskonały humor, lady Jerrod już do końca wieczoru zabawiała ich rozmaitymi historyjkami, nie zwracając więcej uwagi na milczenie Leonory.

Leonorze szczęśliwie udało się przebrnąć przez resztę posiłku bez upuszczania sztuczków czy innego uchybiania manierom, nie była jednak w stanie równie dobrze panować nad swymi myślami. Uparcie - niczym gołębie pocztowe - wracały one do Morse'a przy każdej okazji.

Przypomniała sobie wszystko, co opowiadał jej o romansie z lady Pamelą Granville - tym razem jednak nie koncentrowała się na swej głupiej zazdrości, lecz na uczuciach Morse'a. Kiedy oskarżył ją, iż zachowuje się jak pies ogrodnika, czyż nie powiedział jednocześnie, że Leonora nie uważa go za dość godnego, by mógł zostać jej mężem?

Czy Morse pomyślał, że mu odmówiła z powodu jego niskiego urodzenia? Choć bardzo starała się odrzucić tę koncepcję, powracała ze zwielokrotnioną siłą. Jej oferta, która miała jedynie stanowić sprawdzian jego motywów, musiała wydać mu się tak samo poniżająca, jak propozycja Pameli Granville - kobiety, która złamała mu serce.

Udało ci się uniknąć błędów swojej matki, gdzieś w umyśle Leonory rozległ się kpiący głos. Naiwność doprowadziła biedną Clarissę do nieszczęścia. Ciebie do tego samego doprowadzi nadmierna podejrzliwość.

- Morse, stało się coś złego? - Głos Leonory wdarł się w jego niespokojne myśli. Zniżając głos do szeptu, zapytała po chwili: - Czyżby pani Hill cię rozpoznała?

Spędzili wieczór poza domem w różnych miejscach, Ledwo Morse wrócił na Laura Place i zdjął płaszcz, w drzwiach pojawiła się Leonora wraz z. Algiem. Gdyby Morse nie polubił go tak bardzo w ciągu ostatnich miesięcy, zazdrościłby niewymownie Algiemu wieczoru w towarzystwie Leonory. Tak niewiele dni dzieliło ich już od chwili, kiedy będą musieli się rozstać.

Potrząsając głową w odpowiedzi na jej pytanie, jednocześnie zerknął znacząco w stronę drzwi do salonu, dając Leonorze do zrozumienia, że musi porozmawiać z nią w cztery oczy.

Gdy tylko Algie poszedł się położyć, Leonora spiesznie przyłączyła się do Morse'a.

- Wydarzyło się coś złego. Wiedziałam.

Skinął głową, po czym wychylił do dna kieliszek brandy.

- Do tej pory udało mi się trzymać z dala od Pameli, choć nie było to łatwe. Na szczęście Frederica nie ma podejrzliwej natury.

- To rzeczywiście fortunnie - odparła Leonora. jednak wyglądała przy tym, jakby ją uderzył.

Morse nic miał jednak głowy, by zastanawiać się, o co jej chodzi

- Wkrótce jednak znajdę się w poważnych opałach. Ojciec Frederiki uparł się, by ogłosić naszc zaręczyny w czasie balu na cześć pułkownika Maxwella. Oczywiście, będzie tam i Pamela. Osobiście nie jestem pewien, czy Maurice Archibald zdołałby wyjść obronną ręką ze spotkania z jedną osobą znającą Morse'a Archera. A co dopiero z dwiema.

- O Boże.

- Co więc zrobimy? - Morse właściwie nie umiał powiedzieć, czemu jest tak rozdygotany. Wiedział tylko, że nienawidzi tego ściskania w dołku i wilgotniejących dłoni -jak u żółtodzioba, który po raz, pierwszy miał wachać proch wroga.

W uspokajającym geście Leonora położyła dłoń na jego ramieniu.

- Głowa do góry, sierzancie. Bywałeś już w o wiele gorszych tarapatkach i umiałeś obrócić sytuację na swą korzyść. Podejdźmy do tego jak do bitwy, którą musimy wygrać, i zgodnie z tym założeniem planujemy naszą taktykę.

Morse ścisnął palce Leonory.

- Musze powtórzyć to raz jeszcze. Byłabyś doskonałym generałem, Leonoro Freemantle.

Zdołała skraść mu serce. Bez względu na to, kogo poślubi czy nie poślubi, ono zawsze będzie należało tylko do niej. Łatwiej, oczywiście, będzie mu to znieść, jeśli Leonora pozostanie wolna i nie posiadzie jej inny mężczyzna. I to z tego powodu, a nie dla pieniędzy czy innych osobistych korzyści Morse był zdeterminowany, by wygrać dla niej ten zakład.

- Nie przejmuj się, Morse. Jeszcze zdołamy wygrać. - Leonora obrzuciła go pełnym aprobaty spojrzeniem. Błogosławiła w duchu wuja Hugona, że postanowił, by ten krótki dystans do Guildhall pokonali pieszo, a nie w powozie. W ten sposób mogła spędzić kilka minut sam na sam z Morse'em.

Rozkoszowała się jego spojrzeniem. Dojrzała w nim ciepły błysk podziwu, sprawiający, że natychmiast nabrała pewności siebie.

- Już chyba się nie martwisz? - starała się, by jej głos brzmiał wiarą i przekonaniem w jego możliwości. - Powiedz, co robiłeś, by uspokoić nerwy przed bitwą?

Zamrugał gwałtownie, jakby jej pytanie wyrwało go z głębokiej zadumy.

- Koncentrowałem się na przygotowaniach, jak sędzę. Upewniałem się, że mam suchy proch. Odtwarzałem w myślach ukształtowanie terenu. - Zastanowił się przez chwilę. - Ale

przede wszystkim wiedziałem, że towarzysze będą osłaniać moje tyły.

Na myśl o militarnych działaniach w Guildhall Leonora wybuchnęła śmiechem, mimo że było jej ciężko na sercu.

- Będę osłaniać twoje tyły, Morse. Obiecuję. Ty jak najdłużej trzymaj swą narzeczoną na parkiecie, a ja postaram się trzymać od was z daleka panią Hill choćby siłą, gdy zajdzie taka potrzeba.

- A nie mówiłem? - wykrzyknął przez ramię sir Hugo, gdy przeszli przez most Pulteney. - Na ulicach jest tyle pojazdów, że praktycznie ruch zupełnie zamarł. Pieszko będziemy o wiele szybciej na miejscu, niż gdybyśmy wyruszyli powozem.

- Gratuluję roztropności, wuju. - Leonora nie mogła się powstrzymać, by mu delikatnie nie dociąć. - Nie możesz jednak powiedzieć, że musiałeś nas ciągnąć za sobą siłą. Algie, Morse i ja umiemy docenić dobry pomysł i z niego skorzystać. - Pochylając się w stronę Morse'a, zniżyła głos do szeptu. - Wczesne przybycie na bal, czyli nasze pole bitwy, pozwoli nam dobrze rozpoznać teren i znaleźć dla siebie najdogodniejszą pozycję, czyż nie, sierżancie Archer?

- Uhm. - Posłał jej przeciągłe spojrzenie, na widok którego miała ochotę śmiać się i śpiewać zarazem. - Chciałaś, oczywiście, powiedzieć „kapitanie Archibald”. Nie możemy tracić czujności, gdy jesteśmy już zaledwie o krok od zwycięstwa.

Leonora stłumiła westchnienie. Jakoś wcale nie czuła się zwycięsko.

Gdy znaleźli się w tłumie gości wkraczających do wspaniałego Guildhall, stanowczym ruchem rozłożyła wachlarz, niczym żołnierz szykujący do ataku muszkiet. Za jego zasłoną wyszeptowała do Morse'a:

- Idź na drugi koniec sali bankietowej i dołącz do dżentel-

menów zajętych konwersacją. Ja będę wypatrywać Hillów i dam ci znać, gdy tylko się pojawią.

- Wedle rozkazu, generale Freemantle.

Leonora szybko się odwróciła, by nie ujrzła zdradzieckiej łzy, która spłynęła jej z kącika oka. Gdyby tylko odważyła się wydać mu takie rozkazy, o których marzyła... Gdyby niewinny zakład wuja Hugona nie wpędził ich w taką pułapkę... Gdyby tylko miała dość odwagi, by przyjąć oświadczyzny Morse'a Archera w odpowiednim czasie...

Olbrzymie kandelabry rozsiewały ciepłe światło świec na zgromadzony tłum. Pastelowe odcienie kobiecych sukien oraz zapach esencji różanej i lawendowej przywodziły Leonorze na myśl wiosenny ogród. Tętniący życiem ogród, gdzie słowicze trele walczyły o lepsze z chórem rozplotkowanych srok!

W tym samym momencie Leonora dostrzegła Hillów - żaden z członków tej rodziny nie był jednak w radosnym nastroju. Pan Hill marszczył brwi. Pani Hill poruszała wachlarzem omdlewającym ruchem, jakby już była śmiertelnie znudzona. Frederica nerwowo przygryzała dolną wargę, natomiast lady Fitzwarren przeszywała morderczym w zrokiem to swego meza. to macochę.

Być może ich powóz utknął w korku i zaczęli się kłócić. Leonora wiedziała, jak wygląda życie w skłóconej rodzinie, współczuła więc Morse'owi, że skazał się na podobny koszmar. Cóż jednak mogła teraz zrobić?

Tłumiąc niechęć, przebiła się przez tłum i ciepło powitała Fredericę Hill.

- Znajdzie pani swego narzeczonego w głębi sali. zabawiającego innych panów opowieściami wojennymi - wyszeptła.

- Jakimś cudem pani zawsze wie, gdzie on się znajduje bez względu na porę dnia - odparła ze złością Frederica.

Zaszokowana tą niesympatyczną reakcją, Leonora śledziła

młoda dziedziczkę wzrokiem, gdy ta ruszyła wśród gości w poszukiwaniu narzeczonego. Chwilę później chwyciła panią Hill pod ramię i pociągnęła w odwrotnym kierunku.

- Jakże przyjemnie widzieć panią znowu! Może pójdziemy poszukać wazy z ponczem? Mój Boże, każdy, kto zjechał do Bath, zapewne znalazł się tu dzisiaj wieczoru.

Pamela Hill posłała jej spojrzenie pełne złośliwego rozbawienia.

- Dobry wieczór, panno Freemantle. Oczywiście, wynieśmy się z tego natłoku ludzkich ciał i poszukajmy czegoś do picia. Zrobmy to jak najszybciej, zanim mój mąż zacznie mnie wlec za sobą, by dokonać rozlicznych prezentacji - oto jego zdobycz, wdowa po wicehrabim. Jestem przekonana, że jeśli umrę przed nim, Herbert każe mnie wypchać i postawić na postumencie niczym dorodnego jelenia, by pokazywać swe trofeum gościom.

Leonora uśmiechnęła się grzecznie i przygryzła wargę, a w duchu skonstatowała: trzeba się było nad tym zastanowić, zanim wyszłaś za mąż dla pieniędzy.

W przepaścistej sali znalazły nieco spokojniejsze miejsce i zdołały nawet pochwycić dwie szklanki ponczu z tacy przechodzącego obok lokaja.

Po kilku złośliwych uwagach po adresem innych gości i odpowiedniej dawce soczystych plotek pani Hill obrzuciła Leonorę uważnym spojrzeniem.

- Ma pani dziś na sobie bardzo piękną suknię, panno Freemantle. Dziwię się, że jeszcze nie obstała panią hurma adoratorów. Czy wie pani, że moja pasierbica jest szaleńczo zazdrosna o pani przyjaźń z jej narzeczoną? Mam nadzieję, że ma po temu jak najbardziej uzasadnione powody. - Zanim Leonora zdążyła zaprotestować, dorzuciła: - Musi pani wyłowić w tłumie tego tajemniczego kapitana Archibalda i koniecznie mi go

przedstawić. Odnoszę wrażenie, że Frederica umyślnie trzyma go ode mnie z daleka, ale na niewiele jej się to zda.

W tej samej chwili przeszedł obok nich sir Eustace. Pani Hill wetknęła Leonorze w rękę swą pustą szklankę po ponczu, po czym złapała młodego człowieka za ramię.

- Bądź tak miły, mój synu, i zatańcz ze swoją najdroższą teściową.

Fitzwarren zarumienił się gwałtownie, a ostra czerwień policzków zderzyła się nieprzyjemnie z jasnorudą barwą jego włosów, zrobił jednak, jak mu kazano. Wyszukawszy w tłumie poszarzałą twarz lady Fitzwarren, Leonora nagle zrozumiała, czemu Frederica stała się nieświadomym sojusznikiem w ich kampanii mającej na celu ochronę Morse'a przed jej macochą.

Odstawiwszy szklanki lokajowi na tacę, Leonora pospieszyła na salę balową. Gdy tylko ucichła muzyka, podeszła do Morse'a i Frederiki.

- A więc udało się pani odnaleźć kapitana, panno Hill. Taniec tak bardzo wzbudza pragnienie. Może więc pójdziemy do przyległej sali na szklaneczkę ponczu?

Frederica silniej przywarła do ramienia Morse'a.

- Dziękujemy za troskę, panno Freemantle, chciałabym jednak jeszcze raz zatańczyć, zanim wraz z narzeczonym wypijemy coś dla ochłody.

- W takim razie... - Morse rozejrzał się wokół - ...muszę poszukać Algiego Blenkinsopa. by mnie zastąpił. Frederico, noga już się buntuje.

- Twoja noga? O nieba! Oczywiście. Powinnam o tym pamiętać, ale tańczyłeś dziś z taką lekkością. Maurice! Poszukajmy więc miejsca, gdzie mógłbyś swobodnie usiąść i nieco odpocząć. - Odwracając się plecami do Leonory, odciągnęła od niej narzeczonego na bezpieczną odległość.

Tymczasem przed Leonora pojawił się Algie.

- Zaryzykujesz ze mną rundkę na parkiecie, Leonoro?

Spojrzawszy tęsknym wzrokiem na Morse'a oddalającego się w kierunku sali bankietowej, Leonora chwyciła Algiego pod ramię. Ostatecznie powinna mieć oko na panią Hill.

- Algie, czy mi się zdawało, czy rzeczywiście mówiłeś Morse'owi, że znasz sir Eustace'a Fitzwarrena?

- Znamy się ze szkoły - odparł Algie, gdy rozległy się wolne dźwięki muzyki. - Teraz w Bath od czasu do czasu grywam z nim w karty. Za dawnych lat był całkiem przyzwoitym chłopem, ale ostatnio stał się zgorzkniały, a do tego pije dużo więcej, niż powinien.

Udało im się przebrnąć przez całego menueta, a Algie ani razu nie nadepnął jej na palce.

- Zrobisz coś dla mnie, Algie? - Leonora utkwiała wzrok w pani Hill. Kiedy następnym razem będziesz rozmawiał z Fitzwarrenem, mógłbyś się dowiedzieć, jak mu się układają stosunki z rodziną żony?

- Oczywiście. Ale czemu, na Boga...

Jednak Leonora odeszła od niego, zanim zdołał skończyć kwestię.

Przez następne dwie godziny udawało jej się trzymać Morse'a i panią Hill z dala od siebie. Niekiedy bardziej za sprawą trafu niż wytężonej pracy. Raz czy dwa jej czujność niebezpiecznie słabła, gdy wpatrywała się w Morse'a czy też bezsensownie fantazjowała, jak piękny byłby ten wieczór, gdyby to ona, a nie Frederica Hill przybyła tutaj w roli narzeczonej kapitana Archibalda.

Czy te rojenia rzeczywiście usuwały się same z siebie, nieproszone? Leonora zaczęła besztać się w duchu, przekazując Algiego w ramiona pani Hill. A może umyślnie sabotowała całą swoją przyszłość - a także przyszłość Morse'a?

Gdzieś z głębi sali dobiegł ją jego śmiech i poczuła rozlewa-

jące się po ciele ciepło. Tuż po tym wstrząsnął nią dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że już wkrótce nigdy więcej nie usłyszy tego śmiechu.

Kiedy rozejrzała się po sali balowej, nigdzie nie mogła dojrzeć Algiego i pani Hill. Muzycy wciąż grali, oni jednak najwyraźniej opuścili parkiet. Przemykając wśród gości, wypatrywała Algiego. Nagle tłum rozstał się przed nią niczym fale Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Zobaczyła, że Algie prowadzi panią Hill wprost do Morse'a i Frederiki.

- Oto nasz bohater! - wykrzyknął Algie radośnie. - Archibald, mój przyjacielu, ktoś już nie może się doczekać, by cię poznać.

Morse na ułamek sekundy zastygł w bezruchu. Podobnie jak Leonora; ona natomiast nie mogła oderwać wzroku od kobiety, która zagroziła całemu ich misternemu planowi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Archibald, mój przyjacielu, ktoś już się nie może doczekać, by cię poznać.

Te słowa zadźwięczały w uszach Morse'a głośno - ałe zarazem zdawały się niewyraźne i rozwleczone, jakby wraz z Algim znaleźli się nagle pod wodą.. Jego myśli i ruchy były również nienaturalnie spowolnione. Brnął przez te wody tak długo i desperacko, że właściwie teraz chciałby już zatonać i uwolnić się od wszystkiego. Problem w tym, że wraz z sobą pociągnąłby na dno Leonorę.

Na myśl o Leonorze przypomniał sobie wszystkie jej nauki. Wróciła też do niego brawura, zrodzona z poczucia, że nic ma nic do stracenia. Obdarzył swą dawną kochankę miłym, lecz pustym uśmiechem, jakby nigdy wcześniej jej nie spotkał.

- Pani Hill - zaćwierkał Algie. - Mam wielką przyjemność przedstawić pani mojego drogiego przyjaciela, kapitana Maurice'a Archibalda. Jestem pewien, że będzie dla Frederiki bardzo oddanym mężem.

Pamela Hill obrzuciła Morse'a taksującym spojrzeniem, w którym kryła się nadzieja, że Morse nie okaże się mężem zbyt oddanym jej pasierbicy. Mimo upływu lat wciąż była urodziwa i pociągająca, szczególnie w tej szkarłatnej sukni ze stanikiem wyciętym najniżej, jak pozwalała przyzwoitość, i w egzotycznym, złoto-szkarłatnym turbanie na głowie.

Gdy wpatrywał się w jej twarz. Pamela pytająco zmarszczyła

brwi, oo miało oznaczać: czy to możliwe, że już kiedyś się spotkaliśmy.'

Usiłując odzyskać zimną krew, Morse pochylił się bardzo nisko nad jej dłonią, by nie mogła zbyt długo zaglądać mu w twarz. Jego głos zmężniał znacznie od czasu ich ostatniego spotkania, a teraz celowo jeszcze bardziej go obniżył.

- Pani Hill, to naprawdę prawdziwa przyjemność. Mijaliśmy się tak często, że już zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem ktoś celowo nie usiłuje trzymać nas od siebie z daleka.

W tym momencie Pamela krzyknęła.

Obawiając się najgorszego, Morse podniósł na nią wzrok. To Leonora przybyła mu na pomoc - szturchnęła przechodzącego kelnera, tak że zawartość wszystkich kieliszków poleła się na wyzywającą, szkarłatną suknię pani Hill. Kilka kropel prysło także na suknię Frederiki.

Morse doskonale wiedział, że nie istnieje nawet cień sympatii pomiędzy jego narzeczoną a jej macochą. Jednak w obliczu wspólnego nieszczęścia odłożyły na bok animozje i obie ruszyły w stronę gotowalni dla pań.

On wraz z Leonora czmychnął w odwrotnym kierunku. W bezpiecznej odległości od reszty towarzystwa wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

- Gdy już zabierasz się do kontrataku, nie przebierasz u środkach, generale.

- Nie zawracam sobie głowy subtelnościami. - Posłała mu nieśmiały uśmiech. - Koncentruję się na skuteczności. To moja wina, że pani Hill wreszcie cię dopadła. Nie powinnam zostawiać jej sam na sam z Algiem. Poradziłeś sobie jednak bardzo dzielnie - myślisz, że cię rozpoznała?

Morse pokręcił głową.

- Najwyżej powzięła podejrzenie, że już kiedyś mnie widziała. Ponieważ jednak nie dopuściłaś do tego, by mogła pod-

jąc temat, myślę, że na razie jestem bezpieczny. Będę się bardziej starał trzymać od niej z daleka, dopóki zakład nic zostanie oficjalnie uznany za wygrany.

W głębi duszy zaś Morse zastanawiał się, czy czuł ulgę, czy urazę, że dawna kochanka go nie rozpoznała.

W końcu zdecydował, że jednak ulgę, i to z wielu względów. Przez tak wiele lat starał się zapomnieć o lady Pamelii Granville, a teraz spotkał się z nią twarzą w twarz. I odkrył, że dawna kochanka nie ma już nad nim żadnej władzy. Jak mógł być tak głupi i przyrównywać Leonorę do równie pustej, próżnej istoty?

Kapitan Archibald jest czarującym dżentelmenem - oznajmiła Leonora żartobliwym tonem, jednak w jej oczach malowała się całkowita szczerłość. - Biorąc jednak wszystko pod uwagę, wciąż zdecydowanie wolę sierżanta Archera.

W zatłoczonej sali bankietowej udało im się znaleźć dość cichy kącik. Teraz Morse ustawił się tak, by zasłonić plecami Leonorę, tworząc w ten sposób małą intymną przestrzeń. Chwylił jej dłoń i uściśnił delikatnie, jakby nie mógł znieść myśli, że będzie musiał ją puścić. Jakby chciał zatrzymać ją na zawsze.

- Jeżeli wolisz Morse'a Archera, czemu go odrzuciłaś?

Spojrzała mu prosto w oczy. Choć bardzo się starała, nie zdołała ukryć cierpienia i niepewności.

- Czy teraz ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Dla sierżanta Archera zasadnicze.

Westchnęła głęboko.

- Może powiem mu pewnego dnia. Teraz jednak ta wiedza nikomu by się nie przysłużyła.

A może po prostu nie mogła się zdobyć na to, by szczerze wyłuszczyć mu swe powody?

Morse z kolei pomyślał, że był zbyt pochłonięty własnym cierpieniem i żalem, by uwierzyć, że ludzie o wyższym statusie

społecznym mogą przeżywać podobne stany. Teraz jednak zmienił zdanie.

Nagle poczuł, że Leonora coraz mocniej ściska jego dłoni i coraz intensywniej wpatruje mu się w oczy.

- Chciałabym jednak, żebyś wiedział, jakie motywy z pewnością mną nie kierowały. - Wyraz zdumienia na jego twarzy musiał być komiczny, bo przez usta Leonory przewinęła się mimowolny uśmiech. - Poza tym, zdajesz się zapominać, że ja wcale cię nie odrzuciłam. To ty mnie odrzuciłeś, i to w dość gwałtownych słowach, o ile mnie pamięć nie myli. Teraz już rozumiem, czemu tak postąpiłeś, i z całego serca żałuję, że odpowiedziałam na twoją propozycję w tak bardzo obraźliwy sposób.

Czemu więc tak postąpiła? Gdyby nie był tak zaślepionym durniem, przecież od razu wpadłby na to, że Leonora nie należy do kobiet oferujących swe ciało mężczyźnie bez kościelnego błogosławieństwa. Był jednak zbyt zajęty sobą, żeby się nad tym zastanowić czy choćby zapytać ją, czemu tak bardzo opiera się małżeństwu.

- Musisz mi uwierzyć. - Jeszcze mocniej zacisnęła palce na jego dłoni. - Przysięgam na wszystko, co dla mnie drogie. Nie odrzuciłam małżeństwa z tobą ze względu na twoje pochodzenie czy dlatego że... - zawahała się przez moment - ..nie byłeś mi dość drogi, by się za ciebie wydać.

Morse zdawał sobie sprawę, jak wiele kosztowało ją to wyznanie.

Wargi jej drżały, a w oczach pojawiła się prośba o przebaczenie. Nigdy wcześniej nie pomyślałby, że ten niepokromiony generał mógł wyglądać tak krucho. I tak nieodparcie piękne. Zapominając, gdzie się znajdują, i o układzie z sir Hugonem, zapominając o wszystkim poza tym, jak ta kobieta jest droga jego sercu, Morse pochylił się i przywarł ustami do jej warg.

Silna ręka złapała go w tym momencie za rękaw, a natarczywy głos warknął:

- Kapitanie Archibald!

Ten głos boleśnie sprowadził Morse'a na ziemię. Niechętnie puścił rękę Leonory i zrezygnował z pocałunku, w którym tak bardzo chciał się zatopić.

Odwrócił się i spojrzał w twarz Herberta Hilla.

- Nie chowaj się po kątach, chłopcze. To przecież twój wieczór. Chodź, ktoś bardzo chciałby się z tobą spotkać.

Morse nagle zrozumiał, jak ten człowiek zdołał dojść do zawrotnej fortuny. Miał tak silną osobowość, że trudno było mu się oprzeć. Choć Morse starał się uwolnić z uścisku, pan Hill ciągnął go za sobą, aż w końcu stanęli przed sir Geoffreyem Maxwelllem.

Jedno spojrzenie rzucone na pełne powagi oblicze pułkownika wystarczyło, by Morse zrozumiał, że jego gra dobiegła końca. W odróżnieniu od lady Pamelii były dowódca widział go zaledwie przed kilkoma miesiącami. Pułkownika również nie zaślepił towarzyski blichtr, nie było mowy więc, by mimo gładkich manier i pięknego stroju kapitana Archibalda nie rozpoznał w nim prostego sierżanta Archera.

- Sir Geoffreyu, przypuszczam, że nie muszę panu przedstawiać tego młodzieńca, jako że był jednym z pana walecznych chłopców i przelewał krew za nasz kraj. Ludzie zbyt szybko zapominają, że tylko jedna armia zdołała się oprzeć Bonapartemu. Właśnie nasza.

Pułkownik Maxwell obrzucił Morse'a uważnym spojrzeniem.

- Proszę oddać sprawiedliwość Rosjanom. W ciągu ostatnich paru miesięcy udało im się zgnieść francuskie legiony.

- Ależ, sir, pan jest zbyt skromny - upierał się Herbert Hill. - Zawsze powtarzani kapitanowi Archibaldowi, że nie

wolno pomniejszać własnej wartości. Zmarznięta i zgłodniała armia nie jest w stanie walczyć, a poza tym, kto wic. co by było, gdyby Bonaparte wysłał na wschód wszystkie swoje legiony? Przez nas musiał zostawić ich tak wiele w Hiszpanii, by zabezpieczyć sobie tyły.

- W tym ostatnim przyznam panu rację, panie Hill. - Pułkownik stanął na szeroko rozstawionych nogach, prawdopodobnie by lepiej balansować na drewnianej protezie. - Ostatni powiedziałbym złe słowo o naszych wojskach walczących na półwyspie. Układ sił na kontynencie ulega zmianie i Anglia odegrała w tym wielką rolę dzięki bohaterstwu naszej armii. Czy zgodzi się pan ze mną, kapitanie Archibald?

Przez chwilę Morse nie był w stanie wydać z siebie głosu. Czyżby pułkownik Maxwell nie zamierzał go zdemaskować?

- Wielu żołnierzy walczyło bohatersko w tej wojnie, sir. - W tłumie otaczającym pułkownika Maxwella Morse wyłowił twarz sir Hugona. - Wielu z nich oddało swoje życie. Możliwość przebywania wśród nich była dla mnie prawdziwym zaszczytem.

Pułkownik Maxwell wyciągnął ku niemu dłoń.

- Miło cię znów widzieć, chłopcze, i to w tak dobrej formie. Jesteś chodzącym dowodem na lecznicze właściwości tutejszych wód. Mam nadzieję, że mnie również pomogą.

Morse zsalutował swemu dowódcy, po czym uściśnął mu dłoń.

- Dziękuję, sir. Mam taką nadzieję, sir.

W tym momencie wepchnął się między nich Herbert Hill - tak nadęty dumą, że jego kosztowny surdut nieomal pękał w szwach.

- Chłopak jest zdrow jak ryba. Pan też, sir Geoffreju, wkrótce wróci do najlepszej formy. Choć nic tylko wody miały tak zbawienny wpływ na naszego młodego kapitana. Śmiem twier-

dzić. że i eliksir, zwany miłością, odegrał tu pewną drobną rolę. Gdzie nasza Frederica?

- Tu jestem, ojcie. - Przemknęła się przez wianuszek otaczających ją wielbicieli. Jej różowa sukienka nie ucierpiała zbyt wiele w wyniku podstępu Leonory. Teraz przywarła do ramienia Morse'a co najmniej z taką siłą jak uprzednio jej ojciec

Pan Hill przedstawił córkę pułkownikowi.

- Sir Geoffrey i kapitan Archibald właśnie odnowili znajomość, moja droga. I co ty na to? Pułkownik dobrze pamięta twojego wybranka!

Morse nie wytrzymał dłużej.

- Jestem pewien, że pułkownik Maxwell doskonale pamięta wszystkich swych żołnierzy, nawet tych poniżej rangi kapitana. Dlatego właśnie wszyscy jego podwładni bez zastanowienia skoczyliby za nim w ogień.

- Jestem pewna, że każdy dowódca ciebie zapamiętałby natychmiast, mój drogi Maurice. - Leonora spojrzała na pułkownika Maxwella. - Kapitan Archibald jest chodzącą skromnością, gdy chodzi o własne dokonania na polu walki. Czy pan nie mógłby nam czegoś opowiedzieć o jego heroicznym wyczynach?

- Doprawdy, Frederico, jestem przekonany, że pułkownik wolałby...

Pułkownik Maxwell przerwał mu w pół słowa.

- Już, już, mój chłopcze. Przecież nie możemy zawieść tej uroczej młodej damy.

Chwilę później zaczął snuć porywającą opowieść o bohaterских dokonaniach Morse'a. Gdyby ktoś go uważnie posłuchał, musiałby się poważnie zastanowić, jakim cudem jeszcze jakiegokolwiek francuskie wojska zdołały przetrwać w Hiszpanii. Występ pułkownika napełnił Fredericę i jej ojca niewyobrażalną dumą.

Tymczasem policzki Morse'a płonęły ze wstydu. Jeszcze ja-

kiś czas temu byłby rozdrażniony, gdyby ktoś nie uznał jego zasług. Teraz czuł jedynie zażenowanie, gdy spływały na niego niezasłużone splendory.

Gdy wyczerpała się już inwencja pułkownika Maxwella, Herbert Hill postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

- Moje serce raduje się niewymownie, gdy słyszę te, co podejrzewałem już od dawna, sir Geoffreyu. Czcigodne damy i dżentelmeni Bath, niech wolno mi będzie dostąpić zaszczytu i ogłosić zaręczyny mej młodszej córki, Frederiki, z kapitanem Maurice'em Archibaldem!

Zerwał się ogólny aplauz, który pan Hill przyjął z taką miną, jakby sam zaaranżował ów związek - od początku do końca.

Frederica zaczęła błyskać swym pierścionkiem przed oczami wszystkich zainteresowanych. Raz po raz zerkała na narzeczonego wzrokiem pełnym uwielbienia. Morse świetnie wiedział, że nie zasłużył na uwielbienie, podobnie jak nie zasłużył na pochwały pułkownika dotyczące czynów, których nigdy nie dokonał. Tak naprawdę poprosił Fredericę o rękę głównie dlatego, że wiedział, iż mu nie odmówi. Po tym, jak odrzuciła go Leonora, chciał za wszelką cenę odzyskać poczucie własnej wartości. Teraz jednak w pełni zrozumiał, że obecna narzeczona wcale go nie zaakceptowała i nigdy by tego nie zrobiła. Ona zachwyciła się jedynie wyimaginowanym kapitanem Archibaldem.

Mężczyznę, którego Morse z każdą minutą nienawidził coraz bardziej.

Z końca sali Leonora obserwowała, jak Morse przekształca nieuchronną porażkę w swój triumf. Przepęłniała ją dumą, ale nie zagłuszyła żalu, że to nie ona jest szczęśliwą narzeczoną.

- Chciałbym ogłosić coś jeszcze. - Pan Hill podniósł głos, by wzbic się ponad zgiełk śpiących się zewsząd gratulacji. -

Ponieważ kapitan Archibald i moja córka spotkali się i przypadli sobie do serca właśnie tu, w Bath, chcę, by ich ślub stał się ukoronowaniem obecnego sezonu. Ponieważ większość towarzystwa wkrótce rozjedzie się na lato do swych posiadłości, proponuję, by ślub odbył się, gdy tylko państwo młodzi uzyskają specjalną zgodę na bezzwłoczne zaślubiny. W ten sposób i sir Geoffrey będzie mógł uczestniczyć w tej uroczystości jako nasz gość honorowy.

Leonora widziała już to wszystko oczami wyobraźni. Pełna przepychu ceremonia w opactwie Bath. Wystawne śniadanie weselne w Małej Sali Balowej. Podobna feta bardzo podreperuje finanse miasta.

A ona, Leonora?

Znajdzie jakąś wymówkę, by wcześniej opuścić Bath. Najprawdopodobniej powróci do Laurelwood i zacznie się rozglądać za miejscem odpowiednim na szkołę. Być może nawet rozpocznie budowę, by była gotowa już na jesień. Jej życie znów wpadnie w stare, dobrze znane koleiny - tym razem jednak z zapewnieniem całkowitej niezależności. Jednym słowem, spełni się wszystko, czego tak bardzo pragnęła, zanim los i wuj Hugo nie postawili na jej drodze Morse'a Archera.

Jakby ściągnięty myślami, sir Hugo wykrzyknął ponad jej ramieniem:

- Tyło popatrz! Z prostego żołnierza, zagrożonego sądem wojskowym, wyrósł na głównego bohatera Bath. Nigdy bym w coś podobnego nie uwierzył, gdybym nie ujrzał tego na własne oczy. - Zdziwienie w jego głosie natychmiast ustąpiło miejsca smutkowi. Sir Hugo wydal z siebie żałosne westchnienie. - Nie ulega wątpliwości, że wygrałaś nasz zakład, moja droga. Każę memu prawnikowi przygotować na jutro odpowiednie papiery.

Leonora mogłaby się wreszcie napawać zwycięstwem, a jed-

nak nie czuła radości. Ostatecznie sir Hugo zadał sobie wiele trudu, by - wedle własnego mniemania - uczynić ją szczęśliwą.

- Dziękuję, wuju - odparła, ale wcale nie miała na myśli ugody prawniczej.

Gdy przyglądała się, jak śmietanka towarzyska Bath toczy się, by złożyć gratulacje Morse'owi i pannie Hill, usiłowała zapanować nad rozgoryczeniem i zmusić się do radości. Ostatecznie osiągnęła wszystko, co zamierzała. Wkrótce będzie mogła zająć się swoją szkołą i żyć tak, jak będzie chciała.

Czemu więc miała uczucie, że pęka jej serce?

Morse obudził się zlany zimnym potem, zaplątany w prześcieradła. Jakby były kaftanem nakładanym na szaleńców. Nigdy - nawet przez wszystkie lata niebezpiecznej służby w wojsku - nie dręczyły go podobne sennie koszmary. Śniło mu się, że stoi na sali rozpraw, a sędzia właśnie wydaje na niego wyrok śmierci. A potem rzucają go na stos, by spłonął. Wyobrażenie to było tak żywe, że Morse obudził się z zapachem dymu w nozdrzach.

Dopiero gdy po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że był to jedynie sen, odetchnął z ulgą. W tym też momencie przypomniał sobie swój tak zwany triumf w Guildhall i zaczął zastanawiać się nad przyszłością. Znowu poczuł ciężar przygniatający mu piersi, jeszcze bardziej niż przedtem, bo teraz z pełną jasnością zrozumiał, że od tego. co go czekało, nie było już żadnej ucieczki.

Zaraz, zaraz. Chwileczkę! - buntował się zdrowy rozsądek. Cóż właściwie za koszmar wiązał się z przyszłością? Miał wziąć ślub z piękną, młodą dziedziczką fortuny i rozpocząć życie w luksusie, pozbawione trosk. Jedynym jego zmartwieniem będzie wybór odpowiedniego surduta czy liczenie dni do zakoń-

czenia sezonu polowań. Niewątpliwie tego typu trudy potrafi znieść każdy były strzelec.

Będzie jednak żyć w kłamstwie, podpowiadało sumienie. Udawać, że jest urodzonym dżentelmenem. Udawać, że kocha Frederice. Jakaś jego część marzyła o tym, by jak najszybciej dokonać odwrotu i odzyskać utraconą wolność. Niech ten cały bałagan związany z przeklętym zakładem znajdzie swe rozwiązanie bez jego udziału!

Kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi, miał wielką ochotę je zignorować. Jednakże dżentelmeński nawyk kazał mu wykrzyknąć:

- Proszę!

W drzwiach stanął Dickon, uśmiechnięty od ucha do ucha, jakby dopiero co wychylił miarkę tęgiego cydru.

- Dzień dobry, sir. I najszczerze gratulacje! Kamerdyner lorda Melbury'ego zdał mi pełną relację z pańskiego triumfu. Po ostatnim wieczorze jest pan na ustach całego Bath. Choć muszę przyznać, że będzie nam pana brakować w Laurelwood. Może zechce nas pan odwiedzić od czasu do czasu, co?

- Dziękuję. Dickon. To niewykluczone.

- Sir Hugo przesyła pozdrowienia, sir, i zapytuje, czy mógłby pan spotkać się z nim i panną Leonora za pół godziny w bibliotece.

O co mogło chodzić tym razem?

- Do tej pory przyszło już też kilka wiadomości od panny Hill. - Dickon wręczył mu liściki.

Ubierając się, przebiegał ich treść wzrokiem.

Musi niezwłocznie przybyć do Camden Place, by omówić ślubne plany. Ma natychmiast wysłać zawiadomienia swej rodzinie na wypadek, gdyby zechcieli uczestniczyć w ceremonii. Przede wszystkim zaś - musi natychmiast uzyskać specjalną zgodę na ślub, by mogli się pobrać bez zapowiedzi.

Przeczytawszy ostatnią z nich. Morse wrzucił je wszystkie do kominka. Niestety, o tej porze roku nie płonął tam ogień, który natychmiast by je strawił.

Pomimo panującej aury sir Hugo nakazał rozpalic porządny ogień w kominku biblioteki, gdzie czekał na Morse'a i Leonorę.

- Doskonale się spisałeś zeszłego wieczoru, Morse, muszę to przyznać. Usiądź, proszę, chłopcze. To nie potrwa długo - wiem, że masz wiele spraw do załatwienia w związku z nadchodzącym ślubem.

Ton starszego pana był całkowicie pozbawiony tak typowego dla niego wigoru. Prawdę mówiąc, sir Hugo cały jakby się nagle skurczył.

- No cóż. Ten zakład doprowadził w końcu do ślubu, choć nie takiego, o jakim marzyłem.

Morse zajął krzesło tuż obok Leonory, jednak nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Bardzo pragnął ją spytać, czy wic, dlaczego zostali tu wezwani.

Sir Hugo nie trzymał ich jednak długo w niepewności. Wyciągnął z biurka dwa arkusze papieru, po czym jeden z nich wręczył Leonorze, drugi zaś - Morse'owi. Do jego dokumentu dołączony był podpisany przez niego weksel na kwotę, którą pożyczył od sir Hugona na zakup pierścionka zaręczynowego dla Frederiki.

- Szczycę się tym, że jestem optymistą - oznajmił sir Hugo, potrząsając głową. - Widzę jednak, co się święci. Sezon tu, w Bath, potrwa jeszcze przez tydzień czy dwa, nic sędzę jednak, by do tego czasu coś zasadniczo uległo zmianie. Uznaję więc, że wygraliście ten zakład.

Morse nieustannie obracał weksel w dłoni.

- Wrzuć go do ognia, chłopcze. - Sir Hugo ponaglił Morse'a. - Ten pierścionek należy teraz do ciebie. Z moich wyliczeń wynika jednak, że ponadto jestem ci coś winien. Może

przydać ci się na tę specjalną zgodę - słyszałem, że jest nieprzyzwoicie kosztowna.

Morse wrzucił weksel do kominka, po czym patrzył, jak błyskawicznie zmienia się w połyskliwą garstkę popiołu.

- Leonoro - ciągnął tymczasem sir Hugo - ten dokument wyłuszcza szczegóły darowizny na twoją rzecz. Otrzymasz odpowiednie fundusze na wybudowanie i utrzymanie szkoły, a ponadto roczną pensję, która pozwoli ci zachować upragnioną niezależność. - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wydmuchał w nią nos. - Mam jedynie nadzieję, że zechcesz osiąść w pobliżu Laurelwood.

Leonora zerwała się z krzesła i objęła sir Hugona.

- Oczywiście, wuju. Poszukam takiego kawałka ziemi, z którego do Laurelwood będzie można dojść piechotą i będę składać ci codziennie wizyty.

Morse tymczasem usiłował opanować silne dławienie w gardle. Jego uwielbienie dla ojca porucznika Peverilla rośnie z każdym dniem. Teraz pojawił się także niezwykle szacunek.

Nic nie zobowiązywało sir Hugona do dotrzymania warunków zakładu - równie kosztownego dla jego uczuć jak i dla saskiewki. Mógł trzymać Leonorę na łaskawym chlebie, póki nie zmusiłby jej do poślubienia dziedzica Laurelwood. Jako dżentelmen dotrzymał danego słowa, bo uważał, że jest ono święte bez względu na koszty.

- No już, już, moja droga. - Sir Hugo poklepał Leonorę po ramieniu. - Nie ma powodu, byś płakała z powodu mej przegranej. W zamian uczcijmy wreszcie twoje zwycięstwo.

Wyciągnął z kredensu butelkę zmrożonego szampana i trzy kieliszki. Korek wystrzelił z wielkim hukiem. Sir Hugo nalał hojną porcję trunku do każdego kieliszka, po czym wznosił swój, by wygłosić toast.

- Za Leonorę i Morse' a. Oby wygłana w tym zakładzie

przyniosła im dużo szczęścia. - Mimo najszczerzych chęci sir Hugo nie umiał ukryć powątpiewania w głosie.

- Za nasz zakład - oznajmił Morse, zastanawiając się, czy ktoś kiedyś wychylał toast z mniejszą ochotą i radością.

Oczywiście rozumiał powody przygnębienia sir Hugona i swojego niezadowolenia. Czemu jednak Leonora miała tak nieszczęśliwą minę? Przecież wreszcie osiągnęła wymarzoną niezależność, zbuduje też swoją szkołę.

Dzięki własnym skromnym doświadczeniom edukacyjnym rozumiał, że owa szkoła będzie najcenniejszym rezultatem ich zakładu. Zrobiliby wszystko, by tylko nie zaprzepaścić tej szansy. A gdy już ożeni się z Fredericą, dopełni własnego wykształcenia, które zaczął zdobywać pod okiem Leonory.

Morse odważył się jeszcze raz spojrzeć na Leonorę, Wysoko na kościach policzkowych widniały gorące rumieńce, odcinające się ostro od bladej twarzy, a w oczach błyszczały łzy. Zdolała jednak zdobyć się na uśmiech i wyszeptać „dziękuję”.

Morse obiecał sobie w duchu, że stanie się prawdziwym dżentelmenem tylko po to, by Leonora mogła być z niego dumna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wkrótce po tym, jak Morse wyszedł z domu, by zająć się przygotowaniami do ślubu, nieogolony, wymęczony Algie złąpał za rękaw Leonorę.

- Nigdy w życiu nie wstydziałem się za siebie tak bardzo jak teraz. - Opadł na krzesło w salonie i schował twarz w dłoniach.

- Uspokój się, drogi Algie. - Leonora poklepała go po ramieniu. - Na pewno nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, nie ma w tobie krzty zła.

- Kierowałem się jak najlepszymi intencjami. - Od włosów i ubrania Algiego bił odór zatęchłego tytoniu i skwaśniałej brandy. W ogóle jego surdut wyglądał tak, jakby Algie położył się w nim do łóżka. - Wiesz jednak, co mawia się o dobrych chęciach i piekle.

Leonora z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie sądzę, by to powiedzenie miało taki sens, jaki próbujesz mu nadać, Algie. A teraz zdradź mi, co takiego właściwie zrobiłeś, i czy jesteś pewien, że nie da się tego odwrócić?

- Mam taką gorącą nadzieję. - Algie westchnął głęboko, a pełen przejęcia głos komicznie kontrastował z wyglądem najgorszego hulaki. - Dlatego postanowiłem ci się ze wszystkiego zwierzyć, Leonoro. Liczę na to, że pomożesz mi wymyślić jakiś plan, tak żeby udało nam się wszystko naprawić. Przecież jesteś nieprawdopodobnie mądra.

Jeżeli była tak bardzo mądra, to czemu mężczyzna, którego kochała całym sercem, miał wkrótce ożenić się z inną?

- Jest wiele ważniejszych rzeczy od bycia mądrym. Algie.

Aż do tej pory nigdy tak nie sądziła. Była dumna ze swej wiedzy i zdrowego rozsądku. Z chłodnego racjonalizmu, utrzymującego w karbach porywy serca.

- Doprawdy?

Leonora skinęła głową.

- Życzliwość. Wiara i zaufanie. Nawet urok osobisty nie jest zły, jeśli korzysta się z niego z umiarem. Powiedz mi jednak wreszcie, co się takiego stało. Podobno spowiedź oczyszcza duszę.

- Chodzi o Morse'a.

- A cóż ty mu zrobiłeś?

- Nic oprócz tego, że obiema rękami wepchnąłem go w małżeństwo, które z całą pewnością uczyni z niego głęboko nieszczęśliwego człowieka.

Biedny Algie nie wepchnął go w to małżeństwo ani w połowie z taką siłą, z jaką zrobiła to ona sama. Bez względu jednak na to, które z nich walniej się do tego przyczyniło, Leonora nie mogła znieść myśli, że Morse będzie „głęboko nieszczęśliwym człowiekiem”. Jednak z jej własnych obserwacji rodziny Frederiki wynikało, że tak właśnie może się stać. A może po prostu znowu zabawiała się w psa ogrodnika?

- Przecież cały czas sądziłeś, że to doskonały mariaż. - Leonora próbowała podnieść Algiego na duchu. Nie było to łatwe zadanie w chwili, gdy najchętniej razem z nim pograżyłaby się w smutku i poczuciu winy. - Panna Hill jest piękna, miła i nieprzyzwoicie bogata. Morse jest przystojny, miły i nie ma grosza przy duszy.

Algie powoli pokręcił głową, jakby bał się, że energiczniejsze ruchy bardzo mu zaszkodzą.

- Pamiętasz, jak wczorajszego wieczoru, w Guildhall, poprosiłaś, bym pociągnął za język Eustace'a Fitzwarrena?

- No i co? Czego się dowiedziałeś?

- Zaraz po zakończeniu balu z kilkoma przyjaciółmi poszliśmy na karty. - Algie aż skrzywił się na to wspomnienie. - Fitzwarren już wówczas miał nieźle w czubie, nie trzeba więc go nawet było zbytnio zachęcać do zwierzeń.

- Ach tak. - Leonora nie była pewna, czy ma ochotę usłyszeć to, co Algie zamierza jej powiedzieć.

- Z jego opowieści jasno wynikało, że panna Hill w zaciszu domu nie jest ani w połowie tak miła, jak się wszystkim wydaje.

Leonora widziała pierwsze tego oznaki. Jednak fakt, że zachowywała się niegrzecznie w stosunku do znieawidzonej macochy, wcale nie oznaczał, że tak samo będzie traktować męża.

- Gdy zaś chodzi o pieniądze - ciągnął Algie - pan Hill wciąż ma nadzieję, że jego obecna żona da mu syna, tak więc córki w zasadzie nie dysponują żadnym majątkiem. Tatuś trzyma je bardzo krótko i zaciska rzemyki sakiewki. Obawiam się też, że byłabyś całkiem zszokowana, gdybym powiedział ci, czego dopuszcza się pani Hill z mężem swej pasierbicy.

- Zapewne nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Algie.

Lady Pamela już raz chciała mieć Morse'a na swoje usługi i włączyć go do służby pana Hilla. Po ślubie z Fredericą nie udało mu się długo utrzymać swej prawdziwej tożsamości w sekrecie. Wówczas Morse będzie musiał się widać całkowicie we władzę tej kobiety.

- To moja wina. To wszystko moja wina - biadał Algie.

- Nie bądź głupi! - Czy w ten sposób próbowała uspokoić Algiego. czy samą siebie? - Nikt nie zmuszał Morse'a Archera do działania wbrew własnej woli. A gdy już mu powiesz

o wszystkim, czego się dowiedziałeś, Morse zapewne zerwie zaręczyny i cała sprawa znajdzie szczęśliwy koniec.

- Czy musisz uważać mnie za tak skończonego durnia? Algie posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie. - Myślisz, że zawracałbym ci głowę, gdyby rozmowa z Morse'em przyniosła pozytywny skutek.'

Leonora poczuła, że słabnie.

- Chcesz powiedzieć, że już z nim na ten temat rozmawiałeś?

- Czyżbym ci tego nie mówił?

- I powiedziałeś mu to wszystko co mnie!'

- Jeśli mam być szczerzy, dużo więcej. Rozumiesz, to była czysto męska rozmowa.

- I co on na to? - Leonora lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak Morse nienawidzi przyjmowania rozkazów i powodowania swoją osobą. Nie mogła więc sobie wyobrazić, by zgodził się wejść w rodzinę, w której panowały takie stosunki, jak opisał Algie.

- W tym cały problem. - Algie poderwał się z fotela i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Właściwie nic na to nie powiedział. Wysłuchał mnie uważnie, a potem kazał iść do łóżka i przespać się z tym problemem.

- I to wszystko?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam za dobrze naszej rozmowy - wyznał Algie. - Zarówno z powodu późnej godziny, jak i mojego żalostnego stanu upojenia alkoholowego. Jedno zrozumiałem jednak w pełni: Morse nie ma zamiaru się wycofać. Zdaje mi się, że powiedział coś takiego - bardziej zresztą do siebie niż do mnie - „że nic ma to większego znaczenia, bo i tak wie, co musi zrobić”.

- Podobnie jak ja - cicho oznajmiła Leonora, również bardziej do siebie niż do Algiego, którego też niezwłocznie odesła-

ła, by umył się i przebrał. Prawdę mówiąc, żaden błyskotliwy pomysł nie przyszedł jej do głowy, uznała jednak, że na początek spróbuje wlać nieco oleju do głowy pewnemu byłemu sierżantowi Brygady Strzelców.

Czuł się tak, jakby jakiś olbrzymi kowal wepchnął mu głowę pomiędzy młot a kowadło.

Morse wytoczył się z otwartego powozu, którym pan Hill przywiózł go do Laura Place. W czasie ich wspólnej przejażdżki czuł się jak łowieckie trofeum wystawione na pokaz. Co i rusz jacyś ludzie wykrzykiwali jego imię, on natomiast zmuszał się, by odpowiedzieć na ich pozdrowienia mdłym uśmiechem i skinięciem ręki. Niekończąca się dyskusja na temat ślubnych planów przyprawiła go o mdłości. W dodatku po raz pierwszy poważnie pokłócił się z Fredericą.

Do łez wściekłości doprowadziła ją plotka, że tuż przed ogłoszeniem ich zaręczyn Morse żartował i rozmawiał na osobności z inną kobietą. On starał się ją ułagodzić.

Okazało się to wyjątkowo trudnym zadaniem. Morse w żadnym razie nie mógł się zdobyć na oświadczenie, że Leonora nic dla niego nie znaczy. Przecież była jedynym powodem, dla którego zerwał tego narzeczerstwa. Fredericą miała pewne zalety i Morse obiecał sobie, że postara się być dla niej dobrym mężem. Nie mogła jednak wymagać od niego, by ją pokochał.

Gdy tylko wszedł w progi domu wynajmowanego przez sir Hugona, wybiegła mu naprzeciw Leonora wraz z Algiem i panną Taylor. Gdyby Morse nie znał jej lepiej, pomyślałby, że się na niego zaczęła.

- Czy źle się czujesz, Morse? - spytała z troską w głosie Leonora. - Doprawdy, bardzo mamie wyglądasz.

Usiłował zbagatelizować całą sprawę.

- To jedynie drobny ból głowy.

- To chyba zaraźliwe - oznajmiła Leonora, wskazując na Algiego. - Twój przyjaciel cierpi na podobną dolegliwość. Wraz z Elsie zdecydowałyśmy, że krótki spacer przed obiadem może okazać się doskonałym dla was lekarstwem. Wybieramy się więc do Ogrodów Sydney. Czy zechcesz się do nas przyłączyć?

Morse serdecznie wątpił, czy Ogrody Sydney to dobry lek na jego ból głowy. Chyba że spacerowanie tak nadweryży jego nogę, że to cierpienie wyprze inne. Wszyscy troje robili jednak wrażenie spragnionych jego towarzystwa - nawet panna Taylor. Morse pomyślał nagle, że być może to ostatnia szansa, by spotkali się w takim samym składzie jak niegdyś w Laurelwood. Uznał więc, że powinien pójść, nie zważając na pulsowanie w skroniach.

Wzruszył ramionami, oznajmiając bezwarunkową kapitulację.

- W mojej sytuacji zapewne wszystkiego warto spróbować. Tym bardziej że powietrze Ogrodów Sydney odpowiada mi daleko bardziej niż smak tutejszych wód.

Chwilę później Leonora i panna Taylor rozłożyły parasolki i całą czwórką ruszyli wzdłuż Great Pulteney. Ku wielkiemu zdziwieniu Morse'a, ledwie uszli kilka kroków, a ból głowy zaczął ustępować. Nie czuł też już takiego napięcia w karku i ramionach i ogólnie humor znacznie mu się poprawił.

Majowe słońce wyłączało barwy natury, upodabiając wszystkie obrazy do witraży opactwa Bath. Nigdy przedtem niebo nie miało równie intensywnej, niebieskiej barwy, a obłoki nie były tak śnieżnobiałe. Trawa i drzewa oblekły się szczególnie, żywą zielenią. Morse zastanawiał się nawet, czy jeszcze kiedykolwiek świat wyda mu się równie piękny. Szybko jednak odrzucił tę myśl, by nie zakłócała owej szczególnej chwili.

Rozmowę głównie podtrzymywał Algie i panna Taylor, jed-

nak odległość między obiema parami stawała się coraz większa. Morse szedł bardzo powolnym krokiem, by nie nadwerężyć no gi. A przynajmniej tak właśnie się usprawiedliwiał przed samym sobą.

Leonora też nie usiłowała dogonić współtowarzyszy. W końcu Morse dowiedział się dlaczego.

Odezwała się bez żadnego wstępnego chrząkania czy uwag na temat pogody. Nawet nie odwróciła się w jego stronę.

- Zdaje się, że Algie powiedział ci o swej rozmowie z sir Eustace'em Fitzwarrenem.

Morse poczuł, jak ból głowy grozi nagłym, ostrym nawrotem.

- Proszę cię. nic zaczynaj tego tematu, Leonoro. Pozwól mi cieszyć się naszym spacerem.

Wciąż patrzyła wprost przed siebie, na plecy Algiego i Elsie. Mówiła cicho i spokojnie, jakby nie chciała, by ktokolwiek inny usłyszał ich rozmowę.

- Przecież to niczego nie załatwi, dobrze wiesz. Kiedy byłam dzieckiem, naciągałam kapelusz na twarz, bo sądziłam, że jeżeli ja nikogo nie widzę, nikt nie dostrzeże mnie.

- A przed czym wówczas się chroniłaś, Leonoro? - W pewnym sensie zadał jej to pytanie, by szybko zmienić temat, ale tak naprawdę szczerze pragnął poznać odpowiedź. Chciał zrozumieć, czemu myślała i zachowywała się w taki, a nie inny sposób.

- O, nie. sierzancie Archer. Nie dam się nabrać na ten manewr. Pozorujesz atak z prawej flanki, by ochronić swoje centrum. Przecież dobrze wiesz, że nie możesz wziąć ślubu z panną Hill, gdy już się dowiedziałeś, co dzieje się w tej rodzinie.

Niemal pod ich stopami przebiegła przez ścieżkę wiewiórka. Jakaś buntownicza część duszy Morse'a nakłaniała go, by natychmiast uciekł z Bath, jak najdalej od Frederiki Hill i tego za-

kładu. Nie chciał więc. by jeszcze Leonora podsycać tę wielką ochotę.

- Co według ciebie powinienem robić? - zapytał gorzkim tonem. - Zerwać zaręczyny? Przecież wiadomo, jak w tym momencie zareagowałby pan Hill. Zrobiłby wszystko, by zrujnować reputację kapitana Archibalda. A gdyby odkrył, że został wykorzystany przez parweniusza, który na dodatek był kiedyś lokajem jego żony... - Morse urwał, zdając sobie nagle sprawę, że mówi podniesionym głosem. Po chwili podjął wątek, tyle że już w bardziej stonowany sposób. - Możemy spokojnie uznać, że moja prawdziwa tożsamość stałaby się wiadoma dla każdego w Bath w ciągu godziny. Wówczas przegrałabyś swój zakład.

- Ale przecież wuj już uznał naszą wygraną.

Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo go korciło, by podeprzeć się tym właśnie argumentem!

Morse się wahał. Szybko jednak odrzucił pokusę i potrząsnął głową.

- Z racji swej hojności i wielkoduszności sir Hugo zdecydował się na wcześniejsze uregulowanie długu. Zrobił to jednak z pełnym przekonaniem, że nadal będę się zachowywać jak na dżentelmena przystało - aż do końca sezonu. Mógł przecież próbować się z tego wywinąć, bo najwyraźniej przegrana go nie ucieszyła. Nie mogę się teraz wycofać tylko dlatego, że nagle przestały mi odpowiadać określone warunki.

- A niech diabli porwą twoją dumę i poczucie honoru, Morcie Archerze! - Leonora zdawała się nie zwracać już najmniejszej uwagi na to, czy ktoś ich posłyszy. - To ja zrobiłam z ciebie dżentelmena, a ty teraz obracasz to przeciwko mnie. Czy doprawdy kochasz pannę Hill tak bardzo, że nie chcesz widzieć, jak wiele będzie cię kosztować to małżeństwo? Czy może pociąga cię myśl, że wraz z panią Hill zaczniecie od punktu, w którym skończyliście dziesięć lat temu?!

Jeszcze tydzień temu podobna insynuacja sprowokowałaby go do jakiegoś głupiego działania. Teraz jednak Morse się zatrzymał i spojrzał wprost w oczy Leonory.

- Czy chcesz mnie tak bardzo rozgniewać, bym celowo doprowadził do przegranej w naszym zakładzie?

Uśmiechnęła się nieśmiało i wytrzymała jego spojrzenie.

- A czy mogłoby to w czymś pomóc?

- Przykro mi, ale wcale.

- Tego właśnie się obawiałam.

Morse uniósł dłoń i bardzo delikatnie przesunął palcem po podbródku Leonory. Tym przepięknie zarysowanym podbródkiem, zawsze wyzywająco uniesionym, gdy Leonora chciała utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że jest niezwykczona. A przede wszystkim przekonać o tym samą siebie.

- Dobrze wiesz, że żadna z tych kobiet nigdy ani w połowie nie będzie mi tak droga jak ty. Właśnie dlatego dotrzymam warunków zakładu, Leonora. Chcę, byś została niezależna i urzeczywistniła swoje marzenia. Mam nadzieję, że w to wierzysz.

Milczała przez dłuższą chwilę, jakby gdzieś we własnej duszy szukała odpowiedzi. Szczerej, ciężkiej do zniesienia, jednak takiej, jaką mu była prawdziwe winna.

- Wierzę - padła w końcu odpowiedź tak cicha, że Morse mógłby ją wziąć za szelest wiatru w świeżych liściach. To jedno drobne słowo jakby nagle zerwało tamę. - Wierzę ci, Morse. Jakże to arogancko z mojej strony mówić, że uczyniłam z ciebie dżentelmena. W głębi serca ty zawsze nim byłeś.

- Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. Nie martw się o mnie, moja droga. Ostatecznie nie jestem tak bezwolny jak biedny Fitzwarren. Ty natomiast jak najszybciej zbuduj swoją szkołę i zrób z niej jak najlepszy użytek. Nie będę też ukrywał, że zanim to wszystko się skończy, bardzo chciałbym się czegoś dowiedzieć.

- Tak?

- Czemu jesteś tak bardzo przeciwna małżeństwu? Czy dlatego że nie wierzysz, byś mogła pogodzić to z prowadzeniem szkoły? Czy może uznałaś, że nikt nigdy nie poprosi cię o rękę, więc postanowiłaś, że nigdy tego nie będziesz chciała?

Milczała tak długo, że Morse uznał, iż nie zamierza odpowiedzieć na jego pytanie. Mówiąc szczerze, sam nie umiałby zdecydować, czy chciał usłyszeć odpowiedź.

Po pewnym czasie jednak się odezwała.

- Powiem ci to, Morse, skoro mnie zapytałeś. Zawdzięczam ci tak wiele, że przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Ale nie tutaj. I nie w tej chwili.

Bez protestu przyjął jej wyjaśnienie. Po chwili zaś doszli z powrotem do parkowej bramy i dołączyli do Algiego i panny Taylor, rozmawiających ze sobą tak serdecznie, jakby znali się od dziecka.

- Nie teraz - powtórzyła Leonora szeptem tak cichym, że Morse ledwo pochwycił jej słowa - ale wkrótce.

Musi działać, i to jak najszybciej.

Zanim sparaliżuje ją strach lub dadzą o sobie znać jej aspiracje, nie pozwalając postąpić w sposób, jaki uznała za najbardziej słuszny. Gdy wracali do domu z Ogródów Sydney, Leonora szykowała się do akcji.

Skoro Morse nie chciał zerwać zaręczyn, ona musi znaleźć jakiś powód, by zostały zerwane. Tylko co by to mogło być?

Już zbyt późno, by podesłać Frederice innego adoratora - nawet gdyby udało się znaleźć kogoś równie przystojnego i czarującego jak Morse. Chociaż Leonora nie pałała specjalnym sentymentem do panny Hill, musiała przyznać, że ta dziewczyna miała wyjątkowo dobry gust, gdy chodziło o mężczyzn.

Czy udałoby się jej przekonać narzeczoną Morse'a, że uległ on kilku powszechnym nałogom? A może raczej... W tym momencie przypomniała sobie coś, co powiedziała jej pani Hill na balu wydanym na cześć pułkownika Maxwella. Frederica była wyjątkowo zazdrosna o ich przyjaźń. Czy można by to jakoś wykorzystać?

Rozważając cały problem, Leonora doszła do wniosku, iż wszystko sprowadzało się do tego, że dwie bardzo silne osobowości postanowiły, że Morse musi poślubić pannę Hill. Jedną była sama Frederica. Drugą - jej ojciec.

Herbert Hill był zdecydowany pozyskać drugiego dobrze urodzonego zięcia, poważanego w towarzystwie. Skoro kapitan Archibald idealnie odpowiadał temu wzorcowi, pan Hill był gotów przymknąć oko na wszelkie niedociągnięcia, które mogłyby doprowadzić do zerwania zaręczyn.

Odkrycie prawdziwej tożsamości Morse'a niewątpliwie ostudziłoby entuzjazm pana Hilla. Czy jednak ugasiłoby uczucia młodej dziewczyny? Może mimo to postanowiłaby przeciwstawić się ojcu i poślubić wybranka?

O ile Leonora zdążyła zaobserwować, panna Hill była raczej romantycznego usposobienia. Jeżeli uznałaby związek z Morse'em za możliwy pomimo jego niskiego urodzenia i braku fortuny, Morse dotrzymałby danego jej słowa.

Trzeba było jednak zaryzykować. Tożsamość Morse'a musiała zostać ujawniona w taki sposób, by to panna Hill nie miała innego wyjścia, jak zerwać zaręczyny.

- Czy udało ci się przemówić mu do rozsądku? - spytał Algie, gdy Morse udał się już na spoczynek.

Leonora pokręciła przecząco głową.

- Czyż nie wspominałam ci, że nikt nie jest w stanie odwieść Morse'a Archera od tego, co już postanowił?

- Co więc możemy zrobić?

- To, co może zapewnić zwycięstwo, gdy zawiedzie frontalny atak, Algie. Musimy odważyć się na gambit.

Uniósł pytająco brwi.

- Musimy odwołać się do podstępu.

- A, podstępu! - zapalił się Algie. - Do jakiego podstępu? Czy mógłbym się na coś przydać?

- Wkrótce się dowiesz - odparła Leonora. - Tymczasem wystarczy, że zachowasz pełną dyskrecję wobec Morse'a.

Algie położył uroczyście dłoń na sercu.

- Ani mru-mru, słowo honoru.

Chociaż Leonora czuła obawę na myśl o tym, co zamierzała zrobić, nie mogła powstrzymać się od radosnego uśmiechu.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, Algie.

Zapewne nie zdoła założyć wymarzonej szkoły, ale wysoce prawdopodobne, że uda jej się przekonać Algiego, by uposażył pannę Taylor, która by to za nią zrobiła. I nigdy nie opuszczą Laurelwood ani wuja Hugona, który zapewne będzie się bardzo cieszył. Lepiej, żeby poślubiła tego dobrego człowieka, niż skazała Morse'a na wieczne nieszczęście.

Algie już wychodził. Leonora jednak przywołała go z powrotem.

- Czy mógłbyś poszukać Elsie i powiedzieć jej, że chciałybyśmy porozmawiać z nią w bibliotece?

- Z największą przyjemnością. Czy coś jeszcze?

- Tak. - Leonora uciekła wzrokiem w bok. - Bez względu na to, co się jutro wydarzy... bez względu na skandal, jaki może wybuchnąć, pamiętaj, proszę, że był to jedyny sposób, by uwolnić Morse'a od Hillów, dobrze?

- W twych ustach brzmi to złowieszczo. Nie przejmuj się z mojego powodu. Blenkinsopowie są zawsze lojalni wobec przyjaciół, bez względu na okoliczności.

Niemal tracąc oddech z poczucia winy i ulgi zarazem, Leonora wspięła się na palce i ucałowała Algiego w policzek.

- Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na tak wspaniałego przyjaciela jak ty, Algie. A teraz idź, proszę, i poszukaj Elsie, zanim całkiem się rozkleję.

Gdy tylko Algie zniknął z horyzontu, Leonora weszła do biblioteki. z biurka sir Hugona wyciągnęła arkusz papieru, po czym znalazła dość ostre pióro i nakreśliła kilka słów.

Ledwo zdążyła złożyć podpis, a zjawiła się Elsie.

- Pan Blenkinsop powiedział, że pani mnie potrzebuje.

- W rzeczy samej, Elsie. - Leonora zaczęła machać arkuszem, by atrament wysechł jak najszybciej. - Potrzebuję pomocy w bardzo delikatnej materii. Wiem, że mogę polegać na twojej dyskrecji i rozsądku.

- Bardzo dziękuję, panienko. Jak pani wie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by panią zadowolić.

Składając i zamykając list woskową pieczęcią. Leonora próbowała zagłuszyć skrupuły - ostatecznie nadużywała zaufania swej uczennicy. Być może z tego powodu więcej już jej nie zobaczy.

- Chcę, byś jutro o świcie dostarczyła ten list na Camden Place i upewniła się, że trafił on do rąk panny Hill i jej macochy.

- Oczywiście, proszę pani. - Elsie zerknęła na papier z niekłamana ciekawością. - Czy coś jeszcze?

Leonora potaknęła skinieniem głowy.

- Gdy tylko dostarczysz liścik, musisz wrócić tu biegiem i czekać na ich wizytę. A potem musisz wprowadzić je do mojej prywatnej bawialni.

Elsie uniosła brzozy w wyrazie najwyższego zdumienia.

- Ależ panno Freemantle. pani nie ma prywatnej bawialni.

- To prawda, Elsie. Wskażesz im trzecie drzwi po lewej, licząc od szczytu schodów.

- Ależ to jest...

- Moja prywatna bawialnia.

Elsie rzuciła okiem na zapieczętowany list, a potem znów na swą panią.

- Mam nadzieję, że pani wie, co robi.

Leonora patrzyła swjej pokojówce prosto w oczy, jednak nic nie powiedziała. Elsie w końcu dygnęła i opuściła bibliotekę.

- Też mam taką nadzieję - wymamrotała pod nosem, a potem wciągnęła w nozdrza charakterystyczny zapach książek, być może po raz ostatni. - Też mam taką nadzieję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gdzie się właściwie znajdował?

Jedynie na wpół rozbudzony, Morse przekręcił się na łożku, po czym naciągnął na siebie prześcieradło. Położył się bardzo późno i wiedział, że powinien dalej spać. Osobiście też przykazał Dickonowi, by pod żadnym pozorem nie budził go przed wybiciem południa.

Coś jednak szczególnego wyrwało go ze snu. Ciepło rozlewające się po łożku, którego nigdy wcześniej nie było. Cichy oddech, zupełnie niezgodny z jego oddechem. Subtelny zapach lawendy.

A może po prostu ciągle śnił? Nie po raz pierwszy w sennych marzeniach widziałby Leonorę przy sobie. Poczuł drżenie i wyciągnął ku zjawie dłoni.

Tymczasem jego ręka napotkała ciepłe, żywe ciało okryte delikatną, miękką materią. Niemal równie rozkoszną w dotyku jak naga skóra. Opuszkami palców zaczął wędrować wzdłuż tego cudownego zjawiska. Gładkie równiny. Delikatne wzgórki. Wyuzdane doliny.

Zniecierpliwiony, że od prawdziwego szczęścia oddziela go pajęczna tkanina, przypuścił atak i pozbył się jej. Ale zaraz potem się zawahał. Odgłos rozdieranej tkaniny i cichy kobiecy jęk były aż nadto prawdziwe!

W końcu zmusił się do otwarcia powiek.

- Leonora! - wykrzyknął chrapliwie.

Bez wątpienia była to ona we własnej osobie. Ciemne włosy

rozsypały się po poduszce, a promienie wschodzącego słońca wydobywały z nich miedziane błyski. Miała skórę niczym świeżo rozkwitłe kwiecie jabłoni. Oczy jak wiosenny poranek skąpany we mgle. Rozerwana koszula odsłaniała kształtne, drobne piersi.

W końcu zdołał się zebrać w sobie na tyle, by zapytać:

- Skąd się wzięłaś? I co tu robisz?

Nie zrobiła nic, by zebrać rozerwane kawałki koszuli. Nie podciągnęła też prześcieradła, żeby przykryć nagość.

W zamian spojrzała mu prosto w oczy i oznajmiła tonem tak naturalnym, jakby co rano budzili się razem w łóżku.

- Spytałeś, czemu jestem tak przeciwna małżeństwu. Przyszłam, żeby ci to wyjaśnić.

- Czy nie mogłaś z tym trochę poczekać? Niewątpliwie znaleźlibyśmy lepszy czas i... miejsce.

Zdecydowanie pokręciła głową.

- To bardzo osobiste wyznanie, Morse. Dlatego wybrałam tak intymne miejsce.

- No dobrze - odparł, odwracając się na plecy i zakładając ręce pod głowę.

Gdyby jeszcze chwilę dłużej patrzył na Leonorę, nie mógłby w ogóle skoncentrować się na jej słowach. A gdyby nie przycisnął głową swych rąk, nie mógłby się powstrzymać od dotykania jej ciała.

- Mów więc, co masz do powiedzenia.

- Dobrze. Czy pamiętasz, jak ci powiedziałam, że w ogóle nic chcę męża?

Morse mruknął potakująco. To było owej nocy w Laurelwood, gdy odprowadzał ją z wioski do domu i prosił o następną szansę. Powiedział jej wówczas, że nienawidzi rozkazów, bo wychowywał się na farmie ubogiego dzierżawcy i zawsze musiał być na usługi lepszych od siebie.

Leonora też wówczas coś mu wyznała. Coś, czego jednak teraz nie mógł sobie wyraźnie przypomnieć. Mówiła o chaosie w jej życiu. Czemu nic słuchał jej wtedy dość uważnie? Dlaczego nie zadał istotnych pytań?

- Mój drugi ojczym przegrał w karty większość majątku mej matki. Wciąż zmienialiśmy miejsce zamieszkania lub uciekaliśmy na wieś, by zwieść jego wierzycieli.

- Drugi ojczym? To ilu ich miałaś?

- Na szczęście tylko trzech. Jednak i tak o trzech za dużo. Pierwszego prawie nie pamiętam - i dzięki Bogu, jak sądzę. Wrzeszczał na moją matkę i na mnie z byle powodu. A gdy matka zaczęła płakać, wówczas wpadał w jeszcze większą wściekłość i...

Morse nie mógł się już dłużej powstrzymać - chwycił Leonorę w ramiona i przyciągnął do siebie. Czy właśnie od tego uciekała, gdy jako mała dziewczynka naciągała kapelusz na twarz? Żałował, że nie może cofnąć czasu i stanąć w jej obronie, gdy była przerażonym dzieckiem. Teraz jedynie mógł jej oferować spokojną przystań ze swych ramion, chroniącą od wszelkich złych wspomnień.

Nie odepchnęła go, ale z wdzięcznością się przytuliła, a po chwili podjęła wątek:

- Na szczęście jego wybuchowość doprowadziła go do zguby. Zginął w pojedynku, gdy miałam zaledwie siedem lat.

- A następny był hazardzistą?

- Spadł z dachu pewnej zimy, gdy uciekał przed wierzycielami. Matka została z niewielką sumą pieniędzy, wystarczającą jednak, by przyciągnąć kolejnego, już ostatniego męża. - Leonora zadrżała w ramionach Morse'a. - Ten był najbardziej odrażający z nich wszystkich. Wykorzystywał pieniądze i towarzyskie koneksje mej matki, by łowić bogate kobiety, gotowe go utrzymywać. Jestem przekonana, że matka zmarła z jego powodu - z upokorzenia i żalu.

- Czemu poślubiła takich szubrawców?

Morse nagle zdał sobie sprawę, że zbyt namiętnie tuli się do Leonory. Granica między ochroną a zniewoleniem była bardzo cienka - wyjątkowo trudna do zauważenia.

Leonora tymczasem położyła głowę na jego piersi.

- Wszyscy byli pełni uroku, Morse - oznajmiła z rozbrajającą szczerością. - Przystojni i wymowni. A moja matka. Panie świeć nad jej duszą, uważała, że nie zniesie życia bez mężczyzny.

Teraz miał już jasny obraz sytuacji. Być może zrozumiał nawet więcej, niż Leonora zamierzała mu wyjawić.

- A więc patrząc na swoją matkę, zapragnęłaś wieść zupełnie odmienne życie.

Skinęła głową, a jej włosy połaskotały jego pierś podniecająco.

- Doszłam do wniosku, że jedynym wyjściem dla rozsądnej kobiety jest życie bez mężczyzny.

W tym momencie poczuł palący wstyd. Niemal tak wielki jak po śmierci porucznika Peverilla. Tamten jednak złagodziła Leonora - to ona uwolniła go od poczucia winy.

Teraz jednak nikt go nie rozgrzeszy. Zachowywał się tak jak ojczymowie Leonory. Bezwstydnie wykorzystywał swą urodę i urok osobisty do własnych, egoistycznych celów. W tym świetle należy uznać za prawdziwy cud, że w ogóle wzięła pod uwagę jego oświadczenia.

Leonora jakby czytała w jego myślach, bo oznajmiła:

- Gdy poprosiłeś, bym za ciebie wyszła, bardzo chciałam powiedzieć „tak”. Wiedziałam przecież, że nie jesteś taki jak mężczyźni, którzy wykorzystywali moją matkę - wyrachowani i chciwi - tyle że...

- Tyle że już wcześniej zachowałem się jak ostatni łajdak.
- To też, ale przede wszystkim nie mogłam uwierzyć, że na-

prawdę chcesz być ze mną, Leonora Freemantle, nieatrakcyjnym molem książkowym, podczas gdy mogłeś złowić każdą piękność, jaka zjechała do Bath.

A więc o to chodziło!

O jej brak zaufania do mężczyzn, spotęgowany jeszcze jego nieuczciwym wobec niej zachowaniem. A wszystko to połączone niewiarą we własny, kobiecy urok.

- Dałaś mi jednak szansę, prawda? - Szansę, by złamać jej serce. - Chciałaś, bym udowodnił, że zależy mi jedynie na tobie?

- Nic miałam racji. Nigdy nie powinnam poddawać cię podobnej próbie. Nic dziwnego, iż uznałeś, że nie jestem lepsza od...

- Cii. Ani słowa więcej.

Przyciągnął ją do siebie i namiętnie ucałował. Po tym, co mu właśnie wyznała, poprosił Leonory jeszcze bardziej niż do tej pory.

Zmusił się w końcu, by oderwać usta od warg Leonory - a była to jedna z najtrudniejszych decyzji w jego życiu.

- Odpowiedziałas na moje pytanie. Myślę, że teraz powinnaś już stąd iść.

Leonora jednak przywarła do niego całym ciałem, on natomiast nie miał dość siły, by ją odepchnąć.

- Przecież wiesz, że nie tylko z tego powodu przyszedłam tu dzisiaj rano.

- Doprawdy?

- Przecież obiecałaś, że pokażesz mi, w jaki sposób mężczyzna może dać kobiecie... rozkosz.

Rzeczywiście obiecał jej coś podobnego.

- Zbyt dobrze pamiętam mężczyzn zadających matce ból i to, jak sądzę, zaburzyło moje postrzeganie całego rodzaju męskiego. Tymczasem zrobiłabym moim przyszłym uczennicom

wielką krzywdę, gdybym nie wyrobiła sobie... bardziej zrównoważonego sądu.

Morse wybuchnął śmiechem, zaś do oczu napłynęły mu łzy. Bez trudu mógł sobie powiedzieć, że były to łzy śmiechu.

Leonora usiadła gwałtownie i gniewnie na niego popatrzyła. Po raz pierwszy tego ranka odezwała się w niej skromność, naciągnęła więc na siebie prześcieradło.

- Czy myśl o kochaniu się ze mną tak bardzo cię rozbawia?

- Ależ skąd - wysapał w końcu. Po chwili jednak znowu zaniósł się śmiechem. - W żadnym razie - powtórzył, z trudnością łapiąc oddech, jakby nagle złapał go atak. Uniósł rękę, po czym przejechał nią wzdłuż jej ramienia. - Poznałem wiele powodów, dla których kobiety chciały, by mężczyzna je wykorzystał, ale nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

- To była jedynie wymówka - oświadczyła, posyłając mu spojrzenie spod długich rzęs. - Prawdę mówiąc, jestem tu, bo cię bardzo pożądam. - Nie ulegało wątpliwości, że jest całkiem szczerą. Tęsknota wyzierała z jej oczu i emanowała z całego ciała. - Chcę ciebie, Morse. Teraz i na zawsze. Skoro jednak nie jest mi to dane, chcę dostać wszystko, co mogę w tej sytuacji. Choćby jedynie wspomnienie, którym będę się karmić do końca życia.

Jak w takiej sytuacji postąpiłby prawdziwy dżentelmen?

- W żadnym razie nie powinienem.. - urwał, chwytając ją w objęcia.

- Bo nie chcesz?

Pocałował ją namiętnie i wypchnął biodra, by zetknęły się z jej biodrami, żeby poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Tyle że...

- Leonoro, ja jestem zaręczony. - Te słowa zabrzmiały tak, jakby ktoś wyciągał mu je z gardła rozpalonymi do czerwoności szczypcami.

- Ale jeszcze nie złożyłaś ślubów - zaczęła się kręcić w jego ramionach, aż w końcu opadła z niej koszula. To obudziło w nim niepokonaną żądzę.

- Czy... mam cię błagać - szepnęła pomiędzy gorącymi pocałunkami. - Jeżeli tak, to będę.

Czy w zamian powinien błagać ją, by przestała? Na to jednak nic potrafił się zdobyć.

Morse przygarnął Leonorę, usiłując określić pożądanie.

- Nie musisz o nic błagać. Dam ci wszystko, czego zapragniesz. I nie będę przy tym udawał, że dla mnie nie jest to najpiękniejszy dar.

Powściągając żądzę, Morse przysiągł sobie, że przeleje całą swą czułość w to szczególne doświadczenie z Leonora. I już nigdy w życiu nie będzie wątpić, że jest wyjątkowo piękną, godną najwyższego pożądania kobietą.

- Nie będziesz się spieszył, prawda?

Teraz, gdy już go sprowokowała i przekonała, by się z nią kochał, Leonorę ogarnęły inne obawy. W żadnym razie nie mogą skończyć, dopóki zaproszent przez nią goście nie nasycą się tym widokiem.

Prawdę mówiąc, nic wolno im pod żadnym pozorem posunąć się za daleko, to znaczy Morse nie może pozbawić jej dziewictwa. Przecież chodziło tylko o to, by Morse nie musiał zenić się z panną Hill

To jednak oznaczało, że Leonora będzie musiała poślubić Algiego Blenkinsopa. I choć nie był on mężczyzną, jakiego dobrowolnie by wybrała, bardzo go polubiła. Jego lojalność wobec niej i Morse'a została wystawiona na poważną próbę, którą Algie przeszedł zwycięsko. Zasługiwał więc na pewno, że dzieci, które ewentualnie urodzi Leonora, będą rzeczywiście jego potomkami.

Czy jednak zdoła wytrwać w swym szlachetnym postano-

wieniu, gdy każda cząstka jej ciała pragnęła poddać się słodkiemu naporowi Morse'a?

Tymczasem Morse płynnym, powolnym ruchem przejechał po jej nodze, potem biodrze, a na końcu po płaskim brzuchu. Przesunął dłońmi po piersiach, by w końcu zatrzymać się na podbródku.

- W żadnym razie nie musimy się spieszyć - powiedział. - Ty zadecydujesz, jak wiele mamy poświęcić na to czasu.

- To cudownie - odparła, przeciągając dłonią po jego ciele, tak jak chwilę wcześniej uczynił to Morse. - Ponieważ najprawdopodobniej będzie to moja jedyna lekcja, chciałabym nauczyć się jak najwięcej. Szczególnie że mam tak doświadczonego i cierpliwego nauczyciela.

Przyciągnęła jego twarz do swojej i pocałowała go mocno. Chwilę później przesunęła usta na jego silny podbródek i zdecydowanie zarysowany nos. A jeszcze potem na policzki pokryte ostrym zarostem i szerokie, pełne wyrazu brwi.

- Jakimż jestem szczęściarzem - wyszeptał, muskając ustami jej powieki - że trafiła mi się równie pilna i zdolna uczennica.

Jej usta znów przywarły do jego warg. Ten długi, niezwykle pocałunek im dwojgu zdał się powrotem do bezpiecznej przystani. Prawdziwym cudem. Wyrazem czci. Słodką wiecznością.

- Palce mogą sięgnąć wszędzie - usłyszała chrapliwy, niski głos Morse'a i jego przyspieszony oddech. - Zawsze jednak uważałem, że szyją powinny zająć się usta.

Westchnęła głęboko, gdy Morse z wielkim znanstwem za brał się do rzeczy. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, że skóra na jej szyi jest tak bardzo wrażliwa w tyłu miejscach.

Pulsujące mrowienie zaczęło rozchodzić się po jej ciele - od szyi do brzucha, i jeszcze niżej. Leonora za wszelką cenę pró-

bowiała wynaleźć powody, dla których powinna znosić to słodkie cierpienie bez możliwości jego zakończenia.

Panna Hill. Algie. Głęboka niechęć, by jej znajomość z Morse'em dobiegła końca. Jednak zdolność logicznego myślenia gdzieś jej umykała, wypierana przez nienasycony głód.

Kiedy już bała się, że za chwilę zacznie błagać Morse'a o szybkie zaspokojenie, on oderwał się od niej i odwrócił na plecy. Mimo swego zaślepiającego pożądanego dojrzała na jego czole krople potu, a także wybrzuszenie prześcieradła na jego brzuchu.

- Pierwsza deklinacja - wymamrotał, ciężko chwytając ustami powietrze. - *Barba, casa, femina, lingua.*

- Co robisz? - Ogarnął ją nagle strach. - Czy zrobiłam coś nie tak? Już mnie nie chcesz?

- Nie chcę? - Wybuchnął śmiechem. - Gdybym kiedykolwiek wątpił w twoją dziewiczość, Leonoro, to jedno pytanie przywróciłoby mi natychmiast wiarę.

Na jej twarzy musiało się pojawić zdumienie, bo śmiech Morse'a przeszedł w ciepły pomruk.

- Chcę cię aż za bardzo, moja kochana. Jak do tej pory żadna kobieta nie wystawiła mojej woli na tak wielką próbę. Zacząłem recytować te łacińskie słowa, które wbijałaś mi do głowy, by ostudzić swą namiętność. Okazuje się, że te meczące lekcje jednak na coś przydały!

- Ach tak. - Ten koncept pobudził ją do chichotu godnego płoczej dzierlatki, jaką nigdy nie była. - Cóż za szczególny pomysł. Może zadziała i w moim przypadku. Druga deklinacja: *amicus, caseus, ventus, oculus.*

Jej gorączkowe pożądanie rzeczywiście zaczęło opadać. Była tylko nie wywoływała z pamięci słów Morse'a. ..żadna kobieta nie wystawiła mojej silnej woli na tak wielką próbę. Gdy tylko wracało do niej to zdanie, natychmiast całe ciało zaczynał trawić ogień.

- Trzecia deklinacja: *mater, nox, miles, mons*. Teraz wspólnie zaczęli recytować łacińskie rzeczowniki, odzyskując powoli równowagę. - Czwarta: *arcus, manus, tribus, portus*.

W tym momencie Leonora usłyszała tumult pod drzwiami sypialni Morse'a. Nikt jeszcze nie otworzył drzwi, ale zapewne wkrótce to nastąpi. Leonora chciała, by panna Hill ujrzała scenę o jednoznacznej wymowie.

- *Tangere* - wyszeptała. - Dotykać.

Sięgając dłonią pod prześcieradło, wcieliła słowo w czyn, przejeżdżając palcami po jego najintymniejszej części ciała, bez cienia wstydu czy wahania. Morse wydał z siebie niski jęk, po czym przysunął się do niej. W jego orzechowych oczach płonął pożądanie.

- *Tangere* - powtórzyła Leonora.

- Już się do tego zabieram, moja ty lubieżna nauczycielko.

Jednym wprawnym ruchem dłoni rozsunał jej uda i zaczął wodzić palcami po ich wnętrzu. A za każdym ruchem przesunął się coraz wyżej, wprawiając Leonorę w ekstatyczne drżenie.

- *Comedo* - wyszeptała - Konsumować.

A potem wygięła ciało w łuk, by mógł chwycić ustami sterzący koniuszek jej piersi. Doznanie było tak wspaniałe, że Leonora chciała, by już trwało do końca jej życia. Jego wargi jakby były stworzone właśnie do tego.

Podobnie bezbłędne w działaniu były jego palce.

Właśnie błdziły po jej kobiecych intymnościach, badając każdą wilgotną fałdkę. Odnajdując źródło rozkoszy, delikatnie wprowadzając Leonorę w świat ekstazy.

Starała się nie być zbyt gorliwą uczennicą. Jednak ani łacińskie koniugacje, ani algebraiczne równania, które gorączkowo przywoływała z pamięci, nie były w stanie jej oderwać od cudownej lekcji Morse'a.

Wreszcie przepełniona zaufaniem - oddawała mu się całkowicie. On *ni* traktował ją z rewerencją, z jaką prawdziwy uczoney traktuje cenny manuskrypt. A czyniąc to, otwierał przed nią cały nowy świat zmysłowych rozkoszy.

Język i palce działały teraz w zgodnym rytmie, rozbudzając w niej niezwykłą namiętność, a chwilę później prowadząc na skraj przepaści i pobudzając do lotu.

Wszystkie myśli umknęły jej z głowy. Teraz pławiła się jedynie w ekstazie. A w głowie dźwięczało jej tylko jedno słowo - jego imię. Było kwintesencją tego nowego, niezwykłego doznania.

- Morse - wyszeptała.

- Morse?

To samo słowo, ale nic ton głosu, jakim zastało wypowiedziane - przepełniony wściekłością i zdumieniem, podczas gdy powinien przypominać delikatne dzwonki lub delikatny wietrzyk przebiegający przez żywopłoty Laurelwood.

- Morse Archer!

Na dodatek ten głos wcale nie należał do Leonory! A co miał oznaczać ten pisk słyszalny w tle?

Leonora nagle przypomniała sobie, że ma oczy, i uniosła powieki.

Chociaż sama zaaranżowała tę sytuację, widok panny Hill i jej macochy stojących w drzwiach mocno ją poruszył. Było już zbyt późno, a mimo to chwyciła prześcieradło i naciągnęła na siebie.

- Wiedziałam, że już kiedyś się spotkaliśmy - odezwała się pani Hill, po czym zwróciła się w stronę roztrzęsionej, szlochającej pasierbicy. - Ty bezmyślna idiotko! Twój wspaniały kapitan Archibald był kiedyś moim lokajem. Nie ma w sobie ani kropli arystokratycznej krwi. Jest nie lepszy od pospolitego śmieciarza.

- M-m-maurice, jak mogłeś?- szlochała Frederica.

- Jestem pewna, że jego wspaniałe wojenne dokonania są lakze w całości zmyślone. Ten człowiek adorował cię tylko dlatego, by dostać się do pieniędzy twego ojca. Czegoś ty się właściwie spodziewała? - Lady Pamela nie mogła odmówić sobie przyjemności całkowitego upokorzenia pasierbicy.

Leonora tymczasem bardzo żałowała, że nie udało jej się wymyślić takiego sposobu wybawienia Morse'a z opresji, który by się nie łączył ze zranieniem panny Hill. I Algiego.

Czemu nie ostrzegła go, by zniknął z domu tego ranka? Słyszając niezwykły hałas, przybył, by sprawdzić, co się dzieje. Teraz z wybałuszonymi oczami wpatrywał się w nią i Morse'a, podczas gdy Elsie Taylor na próżno próbowała zatrzaskać drzwi. Pewnie w naiwnej wierze, że w ten sposób zdoła z powrotem zamknąć puszkę Pandory i ochronić dom od skandalu.

Była kochanka Morse'a nic skończyła jednak wylewać żółci.

- Bez wątpienia uknuł to wszystko ze swoją kochanką. I śmiali się z ciebie za twoimi plecami, bo przez ten cały czas...

- Dość tego! - wykrzyknął Morse. - Algie, zabierz je stąd natychmiast!

Zanim Algie zdołał zareagować i rzucić się do drzwi, by pomóc Elsie, panna Hill zdjęła z palca swój ekstrawagancki pierścionek i szlochając w głos, rzuciła go w stronę Morse'a. Nie trafiła jednak i w efekcie pierścionek wylądował na poduszce tuż obok Leonory.

W końcu Algiiemu i Elsie udało się zamknąć drzwi, wkrótce też uciszył się harmider w holu. Zapanowała złowieszcza cisza. Leonora zastanawiała się, czy ma szansę wymknąć się z sypialni Morse'a niezauważona, i doszła do wniosku, że trudno na to liczyć.

Morse przeciągnął dłonią po twarzy.

- Zapewne ty to wyreżyserowałaś?
- Wszystko ci wyjaśnię. Morse.

Wstał z łóżka i zaczął przetrząsać szafę w poszukiwaniu szlafroka.

- Czy przysłałaś tu tylko dlatego, by zobaczyć nas razem Frederica?

Emocje miłosne i upokarzająca scena przy drzwiach sprawiły, że Leonora poczuła się całkiem bezbronna.

- Jeżeli tak sądzisz, to jesteś ostatnim głupcem. Morsie Archerze. Czy masz jeszcze inny szlafrok, bym i ja mogła coś na siebie włożyć?

- Weź ten. - Zdjął z siebie okrycie i rzucił na łóżko. A potem chwycił koszulę i zaczął się ubierać.

- Musiałaś wtrącić swoje trzy grosze, prawda? - Ze złością wciągnął spodnie. - Uważasz, że ty jedna wiesz, co dla wszystkich najlepsze. Nigdy w życiu nie spotkałem równie irytującej, despotycznej...

Leonora włożyła szybko szlafrok, po czym rzuciła się w ramiona Morse'a.

- Przebac mi, jeżeli naprawdę chciałeś poślubić pannę Hill, a ja wszystko zepsułam. Jestem despotyczna i egoistyczna. Wmawiałam sobie, że postępuję tak z wielu szlachetnych pobudek. Ale tak naprawdę zrobiłam to dlatego, że nie mogłam znieść myśli, iż będziesz należał do innej kobiety. Tak bardzo chciałam przeżyć coś podobnego z tobą, że oddałabym za to wszystko.

Spodziewała się, że ją odepchnie i obrzuci jeszcze gniewniejszymi słowami. Tymczasem on przytulił ją mocno.

- Nie będę udawać, że się nie cieszę, iż uwolniłem się od Frederiki i jej rodziny.

- A więc nic innego się nie liczy. Warto było tak postąpić.

- Doprawdy? - Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. -

Teraz to ja będę musiał patrzeć, jak poślubiasz innego, i to kogoś, kogo nie kochasz. Musimy teraz zebrać w sobie całą odwagę, moja ukochana. Obawiam się, że wkrótce rozpęta się istne piekło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zgodnie z przewidywaniami Morse'a piekło rzeczywiście się rozpętało.

Wieczorem tego samego dnia Herbert Hill wraz z rodziną powrócił w pośpiechu do Sheffield. A przy tym każdy w Bath - od napuszonego mistrza ceremonii do najzwyczajszego kąpielowego czy tragarza - dowiedział się, co było tego powodem.

Kapitan Maurice Archibald, narzeczony panny Hill i niedawny bohater Bath, został przyłapany przez swą wybrankę i jej macochę z inną kobietą *in delicto flagrante*.

To było jedyne łacińskie określenie, które wszyscy w Bath rozumieli doskonale.

Jeszcze większy skandal wywołała jednak wieść, że przystojny kapitan okazał się oszustem. Zupełnie nikim, prostym żołnierzem o nazwisku Morse Archer - człowiekiem, który swego czasu był na służbie żony pana Hilla. Co zaś się tyczy natury tej służby - o tym rozprawiano w Bath jeszcze długo po tym, jak wszyscy goście rozjechali się do swych posiadłości, by oddawać się polowaniom i dworskim przyjęciom.

Morse przyjął polecenie sir Hugona, by stawił się w bibliotece, ze spokojem więźnia oczekującego kary śmierci. Próbował przekonać samego siebie, że i tak jest teraz w dużo lepszym położeniu niż wówczas, gdy Leonora i sir Hugo zabierali go z Bramleigh. Noga nieźle się wygoiła i już mu nie dokuczała, jeśli jej nie forsował. Co prawda, odszedł z Brygady Strzelców, jednak nie stanął przed sądem wojskowym. A do te-

go potężny żal, który nosił w sobie przez lata - opuścił go na zawsze.

Przez kilka miesięcy był dżentelmenem. Obracał się wśród dżentelmenów i przekonał się, że to tacy sami ludzie jak wszyscy inni. Niektórzy dobrzy. Inni źli. Niektórzy obnoszący tylko piękną fasadę i nic poza tym. Inni - prawdziwie wartościowi, co jednak odkrywało się dopiero po pewnym czasie znajomości

Gdy Morse wszedł do biblioteki, ujrzał sir Hugona i Algiego, stojącego w pewnym oddaleniu od starszego pana. Wuj Leonora wyglądał niczym kot, który właśnie dobrał się do śmietanki, wcześniej zaś skorzystał z wdzięków wszystkich okolicznych kocić. Morse jednak nie mógł wzbudzić w sobie gniewu na tak oczywiste zadowolenie starszego pana.

Natomiast przyszły zięć sir Hugona wyglądał na zaniepokojonego i bardzo zażenowanego.

Teraz czekali już tylko na Leonorę. Morse podszedł do Algiego.

- Gdy chodzi o dzisiejszy ranek, przyjacielu - nie mógł się jednak zdobyć, by spojrzeć mu w oczy - to nie było tak źle, jak się wydawało. No wiesz, źle, ale nie aż tak bardzo.

Jak dżentelmen ma powiedzieć innemu dżentelmenowi, że mimo wszystko nie tknął jego przyszłej żony?

Algie wyglądał tak, jakby za wszelką cenę usiłował połknąć swe jabłko Adama.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie bardzo zagniewany. Morse? Powiniennem się domyślić, co chodzi po głowie Leonorze, i jakoś temu zapobiec.

Czy słuch go nie mylił? On miałby się gniewać na Algiego?

Zanim Morse zdołał się dowiedzieć, co za bzdury opowiada Algie, do biblioteki weszła Leonora. Czy to doprawdy ta sama kobieta, która w sali szpitala Bramleigh złożyła mu oburzającą propozycję? To wydawało się całkiem nieprawdopodobne.

Miała na sobie cienki peniuar koloru świeżo rozkwitłej lawendy. Ciemne włosy opadały w miękkich falach, kręcąc się wokół skroni i uszu. Paskudne binokle zniknęły. Być może Leonora doszła do wniosku, że już ich nie potrzebuje, skoro będzie musiała porzucić książki. Choć Morse upajał się widokiem jej przecudnych oczu, bez zastanowienia zgodziłby się, by znów wcisnęła binokle na nos. jeżeli w zamian mogłaby się oddawać swym ukochanym studiom.

Sir Hugo odchrząknął, zanim jednak zdążył coś powiedzieć. Leonora uniosła dłoń.

- Pamiętaj, wuju, że już uznałeś swą porażkę. Moglibyśmy więc przyjąć, że ten zakład nie obowiązuje. - Mówiąc to, patrzyła cały czas na Morse'a. - Chcę też dodać, że zrobiłam to, co zrobiłam, z pełną świadomością konsekwencji. Morse nie jest temu winien. Cały czas działał w dobrej wierze i nadal zachowywałby się jak na prawdziwego dżentelmena przystało, nie tylko zresztą tu, w Bath. Dlatego nie powinien cierpieć z powodu moich wybryków.

- Zgoda - odparł sir Hugo z wciąż rozpromienioną twarzą. Najwyraźniej udział Morsc'a w tym zakładzie, bez względu na jego wynik, nie miał dla niego żadnego znaczenia.

- O nie - sprzeciwił się Morse. Sięgnął do kieszeni i wyjął zaręczynowy pierścionek Frederiki. - To teraz należy do pana. sir. Ja poszukam własnej drogi w życiu.

Sir Hugo odsunął się gwałtownie od pierścionka, jakby był rozpalonym żelazem.

- Na Boga jedyne, a co ja bym z tym czymś począł? Nie, drogi chłopcze, zatrzymaj ten klejnot. Ty dotrzymałeś swej części umowy. Nie twoja wina, że Leonora dokonała takiego wyboru.

- Proszę cię, Morse! - Te trzy krótkie słowa znaczyły dla niego bardzo wiele. Tęskny ton, jakim je wypowiedziała.

i błaganie w jej oczach powiedziały mu, że będzie czuła się spokojniejsza, wiedząc, że nic został pozbawiony środków do życia.

Jeszcze niedawno duma Morse'a nic pozwoliłaby mu przyjąć tego daru. Jeżeli jednak miało to uspokoić Leonorę...

- Dziękuję, sir Hugonie. To bardzo szlachetnie z pana strony. - Zgodził się tym skwapliwiej, że szybko obmyślił plan, który zapewne ucieszy serce Leonory. Gdy sprzeda pierścioneł, uzyska odpowiedni kapitał na jego urzeczywistnienie.

- No dobrze - oznajmił sir Hugo. - Teraz, gdy już wyjaśnilimy tę kwestię, czas. bym wygzekwował nagrodę należną mi z racji wygranego zakładu.

Leonora pobladała, nadal jednak trzymała dumnie uniesioną głowę z tym hartem ducha, który Morse tak bardzo w niej podziwiał.

- Skoro pan Morse nie uchodził za dżentelmena przez cały sezon w Bath. na mocy zawartego zakładu mogą wybrać dla ciebie męża. A moim życzeniem, droga siostrzenico, jest, byś poślubiła... sierzanta Morse'a Archera.

Zdumiony Morse spojrział na Leonorę, potem na Algiego i sir Hugona. Zapewne cierpiał na omamy słuchowe. Algie uśmiechał się od ucha do ucha. Leonora była całkowicie oszołomiona.

Sir Hugo wbił w Morse'a pełne oczekiwania spojrzenie, po czym wybuchnął śmiechem.

- Uśmiechnijcie się wreszcie! Po tym, co ostatnio nawyczynialiście, sądziłem, że bardziej ucieszy was ta nowina.

- Ni... nic nie rozumiem, sir Hugonie - wyjąkał Morse. - Algie. nie zamierzasz żenić się z Leonora?

Sir Hugo roześmiał się jeszcze głośniejsz, a Algie natychmiast mu zawtórował.

- Chyba żartujesz, Morse. Kocham tego chłopca jak własnego syna, ale już dawno temu porzuciłem wszelką nadzieję na

połączenie go z Leonora. Zarówno dla jego, jak i jej dobra. Od samego początku wybrałem cię.

Na policzkach Leonory pojawiły się ciemne plamy. Morse przez chwilę obawiał się, że wyrwie butelkę z szampanem z ręki sir Hugona i roztrzaska ją wujowi na głowie.

- Czemu od razu nie powiedziałeś tego, wuju? Co cię opętało, by posuwać się do tego idiotycznego zakładu?

- Nie ma w tym nic idiotycznego - zaprotestował sir Hugo. - To był wyjątkowo błyskotliwy plan. Pozwól, że zadam ci pytanie, moja panno. Gdybym ci na początku oznajmił, że chcę, byś poślubiła Archera, czy byś się zgodziła?

- Oczywiście, że nie.

Sir Hugo wyciągnął palec w stronę Morse'a.

- Nawet nie próbuj twierdzić, że ty zareagowałeś inaczej, mój panie. Pięć miesięcy temu żadne pieniądze nie mogłyby cię skłonić do ślubu i Leonora.

Leonora i Morse uśmiechnęli się do siebie nieśmiało. Wstrząs wywołany oświadczeniem sir Hugona powoli ich opuszczał. W piersi Morse'a zaczęła zbierać nadzieja.

- Gdy tylko cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że jesteś mężczyzną w sam raz dla Leonory - oznajmił radośnie sir Hugo. - Po tym, jak ryzykowałeś życie dla mojego syna, uznałem, że najlepszą zapłatą będzie oferowanie ci niezwyklej, wspaniałej kobiety na żonę.

- Bardzo to pięknie. - Leonora całkowicie zignorowała pochlebstwo wuja. Najwyraźniej wciąż jeszcze nie pojęła, jak wielkie spotkało ich szczęście. - Kiedy jednak już widziałeś, że... mamy się ku sobie, czemu nie powiedziałeś nam wówczas, o co chodzi, i nie oszczędziłeś wszystkim nerwów i niepokoju?

- Ba! - Sir Hugo znów był sardonycznym, starszym panem. - A skąd niby miałem wiedzieć, że się ku sobie macie? Jak się na was patrzyło, człowiek odnosił wrażenie, że podró-

żuje po wyboistej drodze. Parę razy, jeszcze w Laurelwood, wysłałem za wami Algiego, by wy badał sprawę, ale wciąż nie można było znaleźć żadnej wyraźnej oznaki waszych uczuć.

- Daję słowo - wtrącił Algie.

Sir Hugo oparł ręce na biodrach.

- Gdy tylko wydawało mi się, że doszliście między sobą do ładu, następnego dnia przestawaliście się do siebie odzywać lub zaręczaliście się z wyjątkowo nieodpowiednimi osobami. Ta historia zrujnowała mi nerwy. Przysięgam, że od tej pory nigdy więcej nie będę się mieszać do cudzych spraw.

- Dobrze wiem, że chciałeś jak najlepiej, wuju.

- Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło - oznajmił Algie. - Tak jak lubię. - Rozejrzył się po wszystkich obecnych. - Przyznaję, że byłem poważnie zadurzony w Leonorze, zanim sir Hugo nie sprowadził mnie do Laurelwood z Londynu. Gdy jednak spostrzegłem, jak patrzysz na Morsc'a, od razu wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans. Miałem tylko nadzieję, że może uda mi się w życiu spotkać dziewczynę, która choć w połowie będzie miała o mnie tak dobre mniemanie, jak ona o tobie, Morse. - Nie mogąc się powstrzymać, Algie wyjawiał resztę: - Chyba mi się udało. Po tym, jak wpadliśmy do waszego pokoju tego ranka, panna Taylor wyraźnie uznała, że potrzebuję pociechy. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy się okazało, że taka ładna, inteligentna panna zakochała się właśnie we mnie. Musicie też wiedzieć, że poprosiłem ją o rękę i mam nadzieję, że zdołam przekonać pannę Elsie, by przyjęła oświadczenia.

- Och, Algie! - Leonora zarzuciła mu ręce na szyję, a Morse i sir Hugo zaczęli potrząsać jego dłońią, gratulując mu z całego serca. - Oczywiście, że przyjmie twe oświadczenia. Oboje będziecie żyli bardzo szczęśliwie.

- Mam nadzieję, że wszyscy będziemy szczęśliwi. - Algie

wyglądał tak, jakby już wysączył kilka butelek szampana. - Co powieździelibycie na podwójne wesele?

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej! - wykrzyknął sir Hugo.
- Z przyjemnością wydam śniadanie weselne dla całego hrabstwa.

Do Morse'a zaczynało w końcu docierać, co się wokół dzieje. Wszystko, czego pragnął, zostało mu podane na tacy. Ale co na to Leonora?

- Sir Hugonie... - zawahał się, szukając odpowiednich słów - proszę wierzyć, że w pełni doceniam pańską wielkoduszność i szczodrość. - Czy jest naprawdę gotów zrezygnować z darowizny i jeszcze raz w życiu podjąć poważne ryzyko? - W kwestii małżeństwa pańską siostrzenicę wiążą warunki zakładu, ale mnie nie.

Gdyby Leonora miała skłonność do omdleń, zapewne osunęłaby się na podłogę. A więc jednak jej nie chciał? Czy może ta przekłeta duma w ostatniej chwili wzięła nad nim górę i cały ich wysiłek pójdzie na marne? Jeżeli tak, będzie musiał się przed nią długo tłumaczyć. Teraz, kiedy wreszcie uwierzyła w siebie, wygzekkuje od Morse'a Archera to, co był jej winien!

- Doskonale rozumiem, czemu Leonora opiera się małżeństwu. - Morse nerwowo obracał zaręczynowy pierścionek w palcach. - Nie chcę, by wyszła za mnie tylko dlatego, że zmuszają ją do tego warunki zakładu. - Postąpił parę kroków w jej stronę. - Czy mnie poślubi, czy nie, będzie zależało tylko i wyłącznie od jej woli.

Leonora nie mogła wykrztusić słowa.

Morse tymczasem chwycił ją za rękę i obrócił wnętrzem dłoni do góry.

- Kocham cię z całego serca, Leonoro. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem, gdy zobaczyłem, jak wiele byłaś w stanie zaryzykować, by uwolnić mnie od panny Hill i jej rodziny. Żebyś więc nie zrozumiała mnie źle: bardzo chcę być częścią two-

jego życia. Nigdy przedtem niczego nie pragnąłem równie żarliwie, ale chcę, by stało się to na twoich warunkach. Jeżeli ma to oznaczać wspólne życie bez ślubu - niech tak będzie. - Wyciągnął ku niej dłoń z pierścionkiem, stanowiącym cały jego majątek. Mógłby uzyskać za niego cenę wystarczającą na kupno plantacji w koloniach i wszystkiego, co byłoby nieodzowne do jej eksploatacji. - Chcę, żebyś sprzedała ten klejnot, a pieniądze za niego uzyskane przeznaczyła na swoją szkołę. Bez względu na to, czy zechcesz mnie na męża, czy nie.

Choć oczy miała pełne łez. Leonora opanowała się na tyle, by odpowiedzieć na jego przemowę. Zaciśnęła w dłoni pierścionek - symbol jego miłości. Zupełnie bezcenny.

- To bardzo szlachetny gest, mój chłopcze - Sir Hugo otoczył Morse'a swym mięsistym ramieniem. - Jednak zupełnie niepotrzebny. Zamierzam utrzymać w mocy darowiznę, którą poczyniłem na rzecz Leonory. Będzie miała mnóstwo pieniędzy na swą szkołę... i założenie rodziny. Zapewne starczy jej też na niewielki dom - liczę na to, że stanie on w pobliżu Laurelwood.

Z ust Leonory wyrwał się ni to śmiech, ni to szloch. Spojrzała przeciągle na tych trzech mężczyzn bliskich jej sercu. Na swój sposób każdy z nich walczył o jej uczucie. I każdego trzeba było uznać za wygranego.

- Oczywiście, wuju Hugonie. Niewielki dom w pobliżu Laurelwood to coś, o czym marzę. Jednak nie potrzeba nam twych pieniędzy.

Morse szanował jej niezależność. Ona szanowała jego dumę.

- Wszystko, czego pragnę, to poślubić Morse'a. A potem wznieść naszą szkołę i założyć rodzinę.

- Przykro mi, ale muszę nalegać. Zawsze szczyliłem się tym, że spłacam swoje honorowe długi. W tym wypadku nie zamierzam czynić wyjątku. - Sir Hugo klepnął Morse'a po plecach, po czym uniósł butelkę z szampanem i strzelił korkiem.

- Przyznaję, że nie wierzyłem w twoje radykalne teorie dotyczące wykształcenia, Leonoro, w końcu jednak udało ci się mnie przekonać. Okazuje się, że nawet świńskie ucho jesteś zdolna przerobić na jedwabną sakiewkę.

- Wuju, stanowczo protestuję! - Wybuchając śmiechem, Leonora rzuciła się w ramiona Morse'a. - W żadnym razie nie godzę się, by mego narzeczonego przyrównywać do świńskiego ucha.

Morse ucałował ją namiętnie, a przed oczami stanęły mu natychmiast rozkoszne chwile ich porannych igraszek. Jak wiele jeszcze nauczą się od siebie nawzajem w ciągu nadchodzących lat?

Odrywając w końcu usta od jej warg, Morse wyjął z dłoni Leonory pierścioneł i wsunął go jej na palec, uznając, że tam będzie najbezpieczniejszy.

- Ja również protestuję, sir Hugonie - oznajmił. - Trudno nazwać mnie jedwabną sakiewką.

- To prawda - przyznała Leonora, gładząc jego świeżo wygolony policzek. - Niewątpliwie jednak jesteś solidnym, skórzanym portfelem.

Omnia vincit Amor et nos cedamus Amori

Miłość wszystko zwycięża - i my ulegnijmy miłości

(Wergiliusz, *Eklogi*)